



*Candice Hern*



# *Żona na sprzedaż*

---

Tytuł oryginału: „The Bride Sale”



Casey Micle, której pomoc była wprost nieoceniona przy tworzeniu tej powieści - od pomysłu, który zrodził się w barze w Greenwich Village, aż do nadania książce ostatecznego kształtu.

Bez ciebie, Casey, nigdy bym tego nie dokonała!

RS

*Kornwalia, październik 1818*

- No, chłopaki! Kto ma ochotę na taki fajny kawałek mięska? Ile mi za niego dacie?

- Niech będzie pół korony!

Ochrypli śmiech niemal całkowicie zagłuszył grubiańską odpowiedź licytatora na tę pierwszą propozycję. James Gordon, piąty baron Harkness, oparł się o chropowatą, granitową ścianę apteki, położonej w pobliżu placu targowego w Gunnisloe. W żadnym ze sklepów na tej uliczce nie było klientów. Większość mieszkańców Gunnisloe oraz ludzi, którzy przybyli do tego miasteczka w dzień targowy, tłoczyła się teraz na placu, chcąc przyjrzeć się licytacji. James pogryzał resztkę smakowitego pasztecika z mięsem, a jego służący ładował do powozu dzisiejsze zakupy: kilka bel miejscowej wełny, kilka miedzianych garnków, dwa wory ziarna, parę bażantów, koszyk wędzonej ryby, trzy skrzynki wina.

- Dwa funty!

James zlizywał okruchy pasztecika ze swych długich palców i przysłuchiwał się odgłosom licytacji, odbywającej się za rogiem. Głosy licytatora i oferentów rozlegały się wyraźnie w rześkim jesiennym powietrzu.

- Dwa funty i dziesiątka!

- No, ruszta się, chłopcy - przebił się przez gwar jakiś kobiecy głos. - Dyc ta krowina więcej warta!

- Nie dla mego chłopca! Co to, to nie! - odszczeknął inny piskliwy głos, wywołując salwy śmiechu.

- Dwa i piętnaście!

Odpowiedzią na tę ofertę był znowu śmiech i przeraźliwe bębnienie w cynowe garnki. Wiejskie baby chętnie podtrzymywały dawny zwyczaj walenia w kociołki, co miało zachęcać do żywszej licytacji. Musi to być rzeczywiście ładna sztuka! dumiał James, gdy rytmiczne dzwonienie przybrało na sile.

Silny wiatr gonił po uliczce rdzawe brzoźowe liście; przy okazji zdmuchnął kosmyk gęstych czarnych włosów na czoło Jamesa. Lord Harkness odgarnął włosy do tyłu i nadal przysłuchiwał się licytacji.

- Trzy funty!

James równocześnie słuchał i wdychał smakowite zapachy świeżutkich bułek z cynamonem i pasztecików z mięsem, piekącego się na rożnie prosiaka i króliczych udek, cydru i lokalnego piwa. Rozkoszne wonie, wesołe śmiechy i odgłosy ożywionej licytacji nieuchronnie budziły w nim wspomnienia dawnych lat, kiedy niewątpliwie radowała się dniem targowym i byłby czynnym, mile widzianym uczestnikiem tych wydarzeń. Teraz z pewnością nie wmiesza się z własnej woli w tę cizbę. Zbyt wielu go tu znało - dobrze wiedzieli, kim i czym był.

Rzadko zaglądał do Gunnisloe, choć było to najbliższe miasto targowe. Wolał odwiedzać większe, dalej położone Truro czy Falmouth, gdzie nie znali go aż tak dobrze. Korzystając z tego, że był to dzień targowy, wysłał lokaja, by kupił na straganach i w kramach niezbędne artykuły gospodarskie. Sam trzymał się na uboczu, mimo że na miejskim placu handel prosperował aż miło. Nie wytrzymałby dziś chyba tej zapadającej nagle ciszy, tych niespokojnych spojrzeń, tych zduszonych

szeptów, które rozległyby się z całą pewnością, gdyby pojawił się na placu.

Lokaj zamknął schowek na bagaż - porządnie, na klucz. Potem otworzył drzwi powozu i stanął z boku. James odsunął się od granitowej ściany, którą podpierał, i podszedł do otwartych drzwiczek. Wbił mocno na czoło cylinder z karbowanym brzeżkiem, by wiatr mu go nie strącił.

- Cztery funty!

- Ani się waż, Danny Gower! Flaki ci wypruje, zobaczysz!

Nowe salwy śmiechu i ogłuszające bębnienie w garnki powitały to zdumiewające oświadczenie. James znieruchomiał z nogą na stopniu powozu. Co się tam dzieje, u licha?! Nigdy dotąd podczas licytacji tłum nie reagował tak hałaśliwie i tak gwałtownie! Co też takiego było w tej sprzedawanej krowie?

Ciekawość wzięła górę i Harkness zszedł ze stopnia powozu. Tylko raz zerknie, nie więcej. Przekona się na własne oczy, o co tyle hałasu. Zobaczy - i w drogę!

- Pięć funtów!

James przeszedł kilka kroków i wyjrzał zza rogu uliczki. Miał nadzieję, że nikt go nie zauważy. Szybko zdjął cylinder: wysoki, elegancki kapelusz przyciągnąłby uwagę niczym światło latarni morskiej w tłumie prosto odzianych wieśniaków i górników. Niepotrzebnie się jednak obawiał. Kiedy znalazł się na tyłach ciżby złożonej z co najmniej dwustu osób, nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Przez chwilę James radował się niegdyś dobrze mu znanym rejwachem i zamętem targowego dnia w Gunnisloe. Z jednej strony placu znajdowały się prowizoryczne zagrody dla krów i owiec, wystawianych na

licytacji. Większość z nich znalazła już nabywców i została przez nich zabrana. W jednym rogu placu kilkadziesiąt osób - w pojedynkę i grupkami - obsiadło długie stoły na kozłach i ustawione „w jodełkę” lawy. Chronił ich tam od wiatru rozpięty na palikach pasiasty, płócienny daszek. Korpulentna Mag Puddifoot przesuwiała się między stolami, wydzielając sowe porcje wyjątkowo smakowitego budyniu z mleka i pszennych krup. Uwijała się tak samo, gdy James był jeszcze chłopcem. Pełne różnobarwnych towarów i płodów rolnych wózki i kramiki handlarzy otaczały plac z pozostałych stron. Słodkie i pikantne wonie sprzedawanych smakołyków wydawały się jeszcze bardziej kuszące na placu niż w przylegającej do niego uliczce. Na chwilę James zapomniał, w jakim celu odważył się w ogóle zmieszać się z zebranymi na placu. - Sześć funtów!

Oczy Jamesa zerkwały z pewnym niepokojem to tu, to tam, gdy zapuszczał się głębiej w tłum. Na razie nikt go nie dostrzegł. Wszystkie oczy były zwrócone na kamienne podwyższenie w pobliżu stojącego na targowym placu krzyża. Licytator, stary Jud Moody, stał tam, wymachując uniesionym ramieniem, i zachęcał widzów do składania wyższych ofert. W drugiej ręce Jud trzymał koniec rzemienia, opasującego szyję jakiejś kobiety.

Kobiety.

Co się tu dzieje, u wszystkich diabłów?!

Stojący w tłumie mężczyźni naprawdę brali udział w licytacji; oferując coraz wyższe stawki, mieli zamiar kupić tę kobietę! Nie sztukę rasowego bydła, ale istotę ludzką.

Ktoś wystawił na licytację żonę!

James czytał o podobnych praktykach. Zniżali się do nich przedstawiciele uboższych klas, których nie było stać na legalny rozwód. Wiedział też, że sądy przymykają oczy na takie niezgodne z prawem poczynania. Nawet na powtórne małżeństwo - zarówno sprzedanej żony, jak jej męża. Tym razem jednak nie było jakoś widać upatrzonego z góry oferenta, jak zdarzało się zwykle w podobnych wypadkach. Ta kobieta naprawdę miała przejść w ręce tego, kto da najwięcej - niczym rozplodowa klacz czy pociągowy koń.

James czuł, że jego własna hańba blednie w porównaniu z tą oburzającą transakcją. No, niezupełnie... Ale wszyscy ci - o jakże cnotliwi - ludziska z Gunnisloe, sól ziemi, cholerne metodystyczne świętoszki? Jakże nisko upadli!

I oni śmieli osądzać jego? Obłudne kołtuny, hipokryci! Ci sami, którzy na jego widok zmykali do domów, przyciskając do piersi swoje dzieciaki. Ci, którzy tak bezlitośnie potępili jego występki, teraz najwidoczniej nie mieli żadnych skrupułów, biorąc udział w tym wołającym o pomstę do nieba publicznym widowisku!

Przyjrzał się dokładniej kobiecie stojącej na kamiennym podwyższeniu. Nie wyglądała na jedną z miejscowych bab, na żonę górnika czy farmera. Miała na sobie ciepły ciemnoniebieski płaszcz, który - przynajmniej z daleka - wydawał się uszyty przez dobrego krawca z kosztownego materiału. Czepek kobiety podbity był również ciemnoniebieską podszewką, dobraną kolorem do okrycia. I płaszcz, i okrycie głowy zdawały się świadczyć, że nie jest to zwykła wyrobnica ani nawet żona jakiegoś dzierżawcy. Może wystarano się o taki strój, by podwyższyć cenę na licytacji? Dodać tej kobiecie atrakcyjności?

- Siedem funtów! - wrzasnął jakiś mężczyzna. Nie był to nikt znany Jamesowi. Wyglądał na wędrownego druciarza albo kramarza, zwłaszcza że stał przy nim wielki koń pociagowy, obładowany różnymi tobołami. Z niektórych wystawały cynowe naczynia. James był przekonany, że z czasem świętoszkowata ludność miejscowa zrzuci całą winę na obcych przybłędów: włóczęgów lub górników pracujących od niedawna w tutejszych kopalniach miedzi. Jasne! Jakżeby ich przyzwoici, bogobojni sąsiedzi albo bliscy znajomi mogli brać udział w tak gorszącym widowisku?! Albo zacni mieszkańcy wrzosowisk - górnicy, którzy dzięki niemu mieli pracę i przyzwoite zarobki w kopalni, albo rolnicy, którym wcale nieźle żyło się na jego dzierżawach, pod dachem, o którego dobry stan troskliwie dbał zły Harkness! W poczuciu swej wyższości moralnej nawet nie raczyli zdejmować czapek na jego widok. O, nie! W podobnych bezceństwach nie mógł uczestniczyć żaden z solidnych Kornwalijszyków - tych wzorów chrześcijańskiego miłosierdzia i miłości bliźniego!

- Siedem i dziesiątaka! - włączył się do licytacji Sam Kempthorne, jeden z jego dzierżawców. Łypał na sprzedawaną kobietę z wyraźnie lubieżnym błyskiem w oku. Zapewne z chrześcijańskiego miłosierdzia.

- Osiem funtów! - nie ustępował druciarz.

- Osiem i dziesiątaka.

Nieznajoma stała na kamiennym podwyższeniu nieruchomości, jakby sama skamieniała. Głowę miała zwieszoną, wystające rondko czepka przesłaniało twarz. Mimo pozornej obojętności tej kobiety James dostrzegł, że wzdryga się lekko za każdym razem, gdy ktoś podbija wrzaskliwie cenę. Przyszedł mu na myśl żołnierz, którego skazano na



chłostę za jakieś błahe przewinienie: w równie stoicki sposób znosił każde chłaśnięcie bicia.

Dostrzegł stojącego za kobietą - u boku licytatora - młodego, elegancko ubranego człowieka. Jego oczy, rozszerzone chyba strachem, obiegały niespokojnie tłum. Potem z wyrazem desperacji zatrzymały się na licytatorze.

- No, chłopaki! - wrzasnął do tłumu Moody, skinąwszy głową młodzieńcowi. - Może ona i nietutejsza, może nawet z dalekich stron... Ale od razu widać, że to nie jakaś wywłoka spod byle płota! To prawdziwa dama, powiadam wam! Tego się nie da podrobić: taki hrabski szyk ma się we krwi! Mówię wam: pierszokłaśna dama. Więc nie róbcie jej i sobie wstydu marnymi groszakami! Licytujcie jak się patrzy - tyle, ile warta!

- To niech się tak nie chowa! Kto kupi kota w worku?! -wydarł się jakiś mężczyzna.

Stary Moody pociągnął za rzemień owinięty wokół szyi kobiety, zmuszając ją do podniesienia głowy.

- No, złotko! - zachęcił. - Pokaż im, co masz do pokazania! Okazała się młodsza, niż James przypuszczał: najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ciemne włosy były ledwie widoczne spod czepka. Oczy też wydawały się ciemne, ale James stał zbyt daleko, żeby mieć pewność. Szybko spuściła wzrok, była chyba wystraszona... Tak, nawet przerażona! doszedł do wniosku, przyjrzawszy się jej baczniej. Ze strachu cała krew odpłynęła jej z twarzy. Dostrzegł jednak ślad wyzwania: zacisnęła szczęki i wyprostowała się dumnie, gdy Moody pociągnął za rzemień. Potem szarpnęła głową i cofnęła się raptownie. Moody - zupełnie na to

nieprzygotowany - zachwiał się i przez chwilę nie mógł odzyskać równowagi. Brawo, dziewczyno! pomyślał James. Punkt dla ciebie!

- Popatrzcie, ludziska! - kontynuował licytator. - Czy z niej nie ślicznotka? Ma wszystkie zęby - dodał, głaszcząc ją po podbródku - I w ogóle całkiem młoda! A jaka zbudowana! Każdy chciałby mieć coś takiego w łóżku! Widzicie?

Rozchylił jej płaszcz i przeciągnął wymownie ręką po staniku sukni. Materiał napiął się na piersi.

James zrobił krok w stronę Moody'ego, a równocześnie Mag Puddifoot, zapominając na chwilę o swoim pszennym specjale, machnęła groźnie drewnianą łychą w stronę licytatora.

- Ej, ty tam! - krzyknęła z oburzeniem. Jednak młody człowiek odtrącił już łapę Juda.

- Nie dotykaj jej! - zaprotestował. Wiatr rozchylił płaszcz kobiety jeszcze bardziej: ledwo się już trzymał na ramionach. Mąż otulił ją ponownie. Wzdrygnęła się pod jego dotknięciem i odsunęła od niego.

Zadziwiające! pomyślał James. Ten człowiek, pozbawiony wszelkich uczuć, który sprzedaje własną żonę jak niepotrzebny sprzęt, potrafił się zdobyć na jakiś... choćby tak znikomy... dowód delikatności!

- No i co? - triumfował Moody. - Widzicie, jaka z niej dama?! Warta góry złota, a nie brudne grosze. Ten dżentelmen najlepiej o tym wie! Nie rozstanie się z nią za parę nędznych funciaków, co?

Mąż nieznajomej wpatrywał się przez chwilę w licytatora, po czym potrząsnął głową.

- No, do roboty, chłopaki! - ciągnął dalej Moody. - Kto nie pożałuje grosza, żeby mieć prawdziwe dame za żone? Kto da dwadzieścia funtów?

- Dwadzieścia kawałków?! To cena nie za byle żone, ale pierszoklasne dziwkie!

Ciżba wybuchnęła śmiechem.

- A co? Nie stać cię na takie lalunie, Nat? - odparował Moody.

Nat Spruggins, zatrudniony przez Jamesa w kopalni Wheal Devoran, stał z głupim uśmiechem, a inni mężczyźni walili go w plecy, podjudzając do dalszej licytacji.

- E... chyba nie! - odparł Nat przekrzykując śmiechy. -Moja stara mi nie pozwoli.

- A żebyś wiedział! - wrzasnęła stojąca w pobliżu pani Spruggins. - Co ci do łba strzeliło, Nattie?! Ledwie ci siły starcza, by zaorać czasem własne pole, a cudzego ci się zachciwa?!

Znów się ozwały śmiechy.

- Kołuj lepiej kawalirów, Jud! - odezwał się inny kobiecy głos. - Każda jedna woli mieć swego chłopca dla siebie, jak Hildy Spruggins!

- No to jak, kawaliry? - kontynuował Moody. - Komu sie nada taka zgrabna, młoda żonka? Już ujeżdżona... i to jak! Taka to wie, co robić w łóżku! Może nie, panie szanowny?

Młody człowiek spojrzał gniewnie na Moody'ego, ale zaraz odwrócił wzrok i nic nie odpowiedział. Bydlę!

- Dziesięć funtów!

- Kpisz czy co, Cheelie Craddick?! Chcesz mieć prawdziwe dame pod pierzyną za marne dziesięć kawałków? Nie rozśmieszaj mnie! Rany boskie, człowieku, ona jest warta co najmniej tyle co twoja najlepsza szkapa! Ale nie chcesz, to nie! Kto jeszcze chętny? No, chłopaki! Niech no który pokaże prawdziwe klase! Kto da dwadzieścia funtów?

- Jak taka dobra, to po diabła on sie jej pozbywa?! - wzbił się ponad gwarem inny męski głos. - Może z niej taka jędza, że nie idzie z nią wytrzymać? Musi być jakiś feler!

- Daj spokój, Jacobie! - mitygował go Moody. - Nie wiesz, jak to jest z panami? Taki zara się nudzi. Cięgiem mu trza czegoś nowego. I tylko bez to taki aligancki dżentelmen, za godziwe cene, ma się rozumieć, gotów wam odstąpić własne klaczkie. Jeszcze żaden z was nie jeździł na czymś takim, co?... No, kto będzie tym cholernym szczęściarzem?!

James zmarszczył brwi, słysząc te prostackie wywody. Równocześnie jednak przeleciało mu przez myśl, że sam chętnie by spróbował takiej jazdy. Ale on był bydlakiem gorszym nawet od tego, pozał się, Boże, mężulka. Nic dziwnego, że zaraz myśli o takich świństwach!

Przyjrzał się uważniej spętanej jak zwierzę kobiecie. Czy istotnie była damą szlachetnego rodu? Należała do jego klasy? James nie słyszał dotąd o przypadku „sprzedaży żony” wśród ziemiaństwa! Mąż tej kobiety robił wrażenie zamożnego, eleganckiego, światowego młodzieńca. Zachowywał się dość nerwowo, był nieco zażenowany tą sytuacją.

Jakież mężczyzna mógł tak potraktować własną żonę?! Tak łatwo wyrzec się jej i tak ją upokorzyć na oczach ludzkich. Czy nie powstrzymała go myśl o przysiędze małżeńskiej? O honorze?

James uświadomił sobie nagle absurdalność własnego surowego osądu i zaśmiał się gorzko w duchu. Kimże on był, by kwestionować poczucie honoru innego mężczyzny?! Jakież miał prawo oskarżać kogokolwiek o złe traktowanie żony?! Cóż z tego, że ten młody człowiek ma zamiar tak obojętnie porzucić swą życiową partnerkę? Cóż z tego, że

postanowił upokorzyć ją publicznie? Cóż z tego, że jest ostatnim durniem, nie uświadamiając sobie, jaki skarb posiada i jak puste jest życie mężczyzny pozbawionego żony? Cóż z tego?! To przecież nie jego sprawa! On, James, nie będzie się do tego mieszać!

- Może Duży Will ją weźmie? - zawołał jakiś kobiecy głos. - Przydałaby mu się żona, no nie? A inszej se nie znajdzie, ni ma gadania!

Thum znowu ryknął śmiechem. Wszyscy, włącznie z Jamesem, zerknęli na przeciwległy koniec placu, gdzie stał kowal z Gunnisloe, ciężki, niezgrabny Will Sykes, wpatrzony w spętaną kobietę, stojącą na kamiennym podwyższeniu. Skrzyżował na potężnej piersi mięsiste ramiona - obnażone do łokci, porośnięte gęstym czarnym włosom, lepiące się od brudu, sadzy i Bóg wie jakiego jeszcze paskudztwa.

- Co ty na to, Will? - zagadnął Moody, kiedy kilku mężczyzn popchnęło osiłka w stronę podwyższenia. - Znasz lepszy sposób na pozbycie się forsy? Patrz, jaka to milutka, mięciutka kobitka... i tylko czeka, żebyś z nią pofiglował!

Kowal gapił się z rozdziawioną gębą na młodą kobietę, która odwróciła wzrok. Will Sykes spędził całe swe życie w Gunnisloe. Był całkiem niezłym kowalem. Jednak jego zwalista postać, kompletny brak inteligencji i bardzo osobliwe poglądy na temat higieny osobistej sprawiały, że od lat stanowił ulubiony temat lokalnych dowcipów. Kobiety przekomarzały się z nim, ale zawsze z daleka. Zbliżyć się do Dużego Willa nie chciała żadna.

- No i co powiesz, Will? - kusił go stary Moody. - Będziesz miał nareszcie własne kobitkie! I w dodatku prawdziwe dame!

Duży Will oblizał wargi i James poczuł nagły skurcz żołądka. Czyżby to z litości dla tej kobiety? Czy przeraził się tego, co ją czeka?... Nie. Oczywiście, że nie! To nie jego sprawa. Nic go nie obchodzi, że ten młody żonkoś okazał się skończonym łajdakiem! Że pozwala, by na jego żonę łąpało ślepiami i śliniło się to wielkie bydlę! Że gotów odstąpić swoje prawa do niej każdemu, byle sypnął groszem!... Ale czemuż to on, James, tak pyszni się nagle własnym honorem? Skąd pewność, że nie jest zdolny do równie podłego postępku?

Co za bzdurna myśl! Wie przecież, że ma na sumieniu znacznie cięższe grzechy.

Popychany przez innych mężczyzn Duży Will był coraz bliżej podwyższenia.

- Wysupłaj dwadzieścia funciaków i będzie twoja - przekonywał Moody. - Zrobisz świetny interes. Najlepszy w życiu!

- To kupa forsy - wzdragał się Duży Will, potrząsając wielką głową.

- Przecie ci jej nie brakuje, Will! - odparował licytator. - Wiemy, że masz jej jak lodu! Zarabiasz w kuźni jak się patrzy. A każdy w okolicy wie, że od lat nie wydałeś ani grosza. At, co tu gadać: spójrz tylko, człowieku! Spójrz na to cudo!

Duży Will gapił się na kobietę, a baby z tłumu parskały śmiechem i znów coraz częściej uderzały w cynowe kociołki. Will odwrócił się do cizby z szerokim uśmiechem. Był wyraźnie rad, że stał się ośrodkiem zainteresowania.

- Will! Will! Will!

Cały plac dosłownie się trząsał od piekielnego łoskotu. James wyczuwał drzenie ziemi przez podeszwy butów.

- Will! Will! Will!

Z każdym okrzykiem i z każdym walnięciem w metalowy garnek tłum posuwał się nieco bliżej ku platformie. Na plac przepychało się coraz więcej chętnych do zabawy. James musiał też puścić łokcie w ruch, by utrzymać się na nogach, a tłum parł do przodu przy akompaniamencie bębnienia w kociołki i skandowania setki głosów:

- Will! Will! Will!

Osilek skinął wreszcie głową i odwrócił się do licytatora. Stary Moody gestem ręki nakazał ciszę. Bębnienie stawało się coraz słabsze i wreszcie ustało.

- No, dobra - oświadczył Will grubym, pozbawionym wyrazu głosem. Nadal gapił się na kobietę, która stała bez ruchu, jakby - podobnie jak żona Lota - zmieniła się w słup soli. Ani razu podczas tego całego zamieszania nie podniosła głowy. - Niech będzie dwadzieścia kawałków.

W ciżbie rozległy się śmiechy i wiwaty, ale wszystkie utonęły w przeraźliwym waleniu w kociołki. James rozglądał się dokoła, zdumiony, że tych ludzi, których większość znał przez całe życie, tak podnieca myśl, iż nieznajoma, niczego nie podejrzewająca kobieta wpadnie w brudne, cuchnące i brutalne łapska Willa Sykesa. Nie przeszkadzają, by stała się ta okropność! Co więcej, witali takie rozwiązanie z entuzjazmem!

Spojrzenie Jamesa pomknęło w stronę nieznajomej i jej męża. Kobieta stała prosto jak dzielne drzewko, urągające podmuchom wichru. Tylko głowę miała spuszczoną. Jedyne lekkie drżenie zaciśniętych na piersi rąk świadczyło o przeżywanej udęce. Rzadko James spotykał się z taką odwagą - nawet na polach bitew w Hiszpanii. A ten żaloszny mąż zgodzi się na tę potworność. W niczym, oczywiście, nie przeszkodzi!

Minęło kilka minut, nim Jud Moody zdołał uciszyć rozwrzeszczany tłum.

- Duży Will Sykes daje dwadzieścia funtów - oświadczył w końcu. - Kto da więcej?

Cisza, która zapadła po słowach licytatora, ugodziła Jamesa jak ostrze francuskiego bagnetu. Dobry Boże, co się z nim dzieje?! Przecież nawet nie zna tej kobiety! Nic go nie obchodzi, co się z nią stanie! To nie jego sprawa! Jeśli ta młoda kobieta zostanie sprzedana - sprzedana, na litość boską! - najbardziej odrażającemu matołowi w całej Kornwalii, to trudno. To nie jego interes, i kwita!

Nieznajoma nadal nie podnosiła głowy. Nie orientowała się, jaki los ją czeka. Nie miała pojęcia! James oderwał od niej wzrok i popatrzył na jej męża. Mężczyzna zbladł. Zdawało się, że zaraz dostanie torsji. Wpatrywał się rozszerzonymi oczyma w Dużego Willa. Mimo to nie odezwał się ani słowem.

Najwyższy czas zabierać się stąd! pomyślał James. Nie miał ochoty oglądać ostatniego aktu tej ohydnej farsy.

A jednak nie był w stanie odejść.

- Kto da więcej? - powtórzył Moody.

James poczuł znów skurcz w żołądku. Omiótł wzrokiem rozochocony, ryczący ze śmiechu tłum. Może to ten wiatr, a może podniecenie towarzyszące licytacjom przemieniły tych ludzi w uczestników jakiegoś obłąkańczego, pogańskiego rytuału?...

Spojrzał raz jeszcze na kobietę z rzemieniem na szyi. Stała bez ruchu i drżała ze strachu przed tym rozgorączkowanym tłumem.

A niech to piekło pochłonie!



- Jak nie ma chętnych, znaczy się, została sprzedana...

- Sto funtów!

Ciżba wydała zbiorowy jęk, po czym zapadła złowróżbna cisza.

Verity Osborne Russell podniosła wzrok - po raz pierwszy od wejścia na podwyższenie.

Grupa ludzi zgromadzonych na placu wydała się jej absurdalnie mała w porównaniu z wrogim tłumem, który widziała oczyma wyobraźni. Dostrzegła oczywiście, że są tu jacyś ludzie, kiedy Gilbert wprowadzał ją na plac. Ale w chwili, gdy zarzucono jej rzemienną pętlę na szyję, wszystko uległo przeobrażeniu. Liczba widzów rosła i rosła, aż zmienili się w olbrzymią, wrogą, szydzącą z niej tłuszcę. Gdyby podniosła na nich wzrok, musiałyby przyznać, że są tu naprawdę, że to wszystko nie jest sennym koszmarem, ale rzeczywistością.

Na to zaś Verity nie mogła się zdobyć, więc uparcie trzymała oczy spuszczone.

Czuła jednak na sobie tysiące szyderczych spojrzeń, które obmacywały ją równie lubieżnie jak łapy licytatora. Rytmiczne skandowanie tłumu ciągle potężniało, aż wreszcie jednogłośnie, ohydny zaśpiew przytłoczył Verity bezlitosnym ciężarem.

W dodatku ten ogłuszający brzęk - jakby setki blaszanych bębenków! W chwili absurdalnej paniki Verity była pewna, że ci wrogowie rzucą się na nią z kijami, łyżkami i czym tam jeszcze walili w swoje kociołki. Że ją zatłuką na śmierć.

Ale tłum przestał się nią interesować. Wszystkie oczy były teraz zwrócone na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który stał z tyłu, za ciżbą. To on zapewne przed chwilą zaoferował sto funtów - za nią.

Włożył na głowę wysoki czarny cylinder. Było to dla tłumu wyraźnym znakiem: wszyscy rozstąpili się przed nim jak fale Morza Czerwonego na skinienie laski Mojżesza. Nieznajomy nie ruszył się z miejsca, ale patrzył prosto na Verity. Mimo woli poczuła dreszcz strachu. Jej katusze jeszcze się nie skończyły.

- W takim razie... - przerwał ciszę niepewny głos licytatora. Nie przypominał już pewnego siebie, dowcipkującego demagoga. Był wyraźnie spięty. - ... lord Harkness daje sto funtów.

Lord Harkness? Więc to człowiek szlachetnie urodzony? Dżentelmen?... W sercu Verity zakiełkowało ziarno nadziei. Może zjawił się tu, by położyć kres tej haniebnej farsie? Może to ktoś nie tylko szlachetnego rodu, ale i charakteru? Ktoś, kto nie pozwoli, by ten koszmar ciągnął się dłużej? Może przemówi jakoś Gilbertowi do rozumu?...

Nic podobnego. Nieznajomy nie odrywał spojrzenia od niej. Nie patrzył na rozpasany tłum, który się z niej naigrawał. Ani na odrażającego licytatora. Ani na Gilberta. Obchodziła go tylko Verity. To nie był jej wybawca. Zaoferował za nią sto funtów. Zamierzał ją kupić.

- Chiba nikt nie zechce przelicytować jego lordowskiej mości, co? - odezwał się znów licytator. Zawiesił głos na moment, po czym ciągnął dalej: - Znakiem tego, ta dama została sprzedana baronowi Harknessowi za okrągłe sto funtów. Sprzedana.

Verity ogarnął znów paniczny strach. Została sprzedana. Sprzedana!

Straszne słowo rozbrzmiewało jej w głowie echem potężniejszym niż warkot dziesięciu tysięcy blaszanych bębnow. Było bardziej przerażające od wszystkiego, co już wycierpiała. Sprzedana.

To przecież niemożliwe! Mamy przecież XIX wiek, na litość boską! Coś takiego nie mogło się zdarzyć w obecnej epoce, zwłaszcza w słynnej ze swej nowoczesności i oświecenia Brytanii, prawda?...

A jednak została sprzedana. Jak koń w londyńskim Tattersallu. Jak czepek wystawiony w witrynie modystki. Jak łakocie u cukiernika. Jak niewolnica.

Usłyszała za sobą westchnienie ulgi. To Gilbert. Została sprzedana i mąż odetchnął z ulgą. Dlatego, że wreszcie się jej pozbył? Czy dlatego, że przekaże ją w ręce dżentelmena, a nie miejscowego kowala? A może dlatego, że zamiast marnych dwudziestu funtów otrzyma sto?

To nie miało żadnego znaczenia. Nic, co się wiązało z Gilbertem, nie miało już dla niej znaczenia.

Verity skupiła uwagę na ciemnowłosym nieznajomym, który szedł ku niej przez tłum. Rondo cylindra rzucało cień na jego twarz, nie mogła więc przyjrzeć mu się dokładnie. Ale w samych jego ruchach było coś zwracającego uwagę -jakiś nieujarzmiony wdzięk, drapieżnika, jakaś władcza arogancja. Niepokojącą ciszę mąciły teraz szepty, rozlegające się wśród tłumu, gdy zmierzał bez pośpiechu w kierunku podwyższenia. Ludzie, których mijał, wpatrywali się w niego z wytrzeszczonymi oczyma i rozdziawionymi gębami, cofając się spieszenie, jakby obawiali się przypadkowego zetknięcia z baronem. Sąsiad trącał sąsiada i szeptali sobie coś do ucha. Dzieci czepiały się trwożnie rodziców. Niektórzy z nerwowym chichotem pokazywali przechodzącego palcami.

Nieznajomy nie zważał na ich reakcję i szedł naprzód z wyniosłą arogancją, która pozwalała zrozumieć lęk tłumu.

Verity obserwowwała zbliżającego się z irytującą powolnością mężczyznę z takim nateżeniem, że drżała jak napięta struna. Uczyniła instynktownie krok w kierunku Gilberta, ale przecież nie był już jej mężem ani opiekunem. Prawdę mówiąc, nigdy nim nie był. Łączące ich więzy nie były mocne; Verity czuła, że przestają istnieć, gdy Gilbert owiązał jej szyję rzemieniem. Ostatecznie przecięło je to jedno słowo: „Sprzedana!”.

Zacisnęła mocniej ręce, usztywniła łokcie i kolana, starając się zapanować nad swym ciałem. Ale im bardziej była spięta, tym mocniej drżała i nie mogła temu zapobiec.

Nieznajomy nadal szedł przez plac. Do uszu Verity dotarł stłumiony okrzyk: „Potępieniec!” Czy to możliwe, by to jego tak przezywano?... Był przecież lordem! Chyba tylko własny wzburzony umysł podsuwa jej takie fantazje!

Boże, jak wszyscy obawiali się tego człowieka! Kim on właściwie był?... Czy naprawdę stała się jego własnością, jak rasowy koń czy krowa? Czy oddano ją na łaskę i niełaskę człowieka, który budzi grozę najbliższego otoczenia?

Została sprzedana.

Drżenie objęło całe jej ciało. Czuła podchodzące do gardła mdłości. Starła się opanować, zachować spokój, ale było coraz gorzej. Mięśnie miała napięte do ostatecznych granic, cała była zlane potem. Halka lepiła się jej do nóg, po karku płynęła strużka wilgoci. Wiatr chłodził jej mokrą skórę. Drżała bez przestanku, nie było na to rady.

Musi wziąć się w garść! Nie wolno jej okazać strachu temu człowiekowi; być może jest jednym z tych, którym zastraszenie innych

sprawia rozkosz. Z trudem, niezręcznie podniosła rękę. Chwyliła poły płaszcza, otuliła się szczelnie. Wczepiła się mocno w materiał, starając się ukryć drżenie rąk.

Kiedy mężczyzna dotarł wreszcie do podwyższenia, Verity po raz pierwszy ujrzała wyraźnie jego twarz. Była twarda, kanciasta i chmurna. Krzaczaste czarne brwi zbiegły się nad niebieskimi oczyma, które przeszywały ją na wylot jak ostrza rapierów. Kiedy nieznajomy oderwał wreszcie wzrok od niej i zwrócił spojrzenie na Gilberta, Verity odetchnęła z trudem. Grzmiało jej w uszach gwałtowne pulsowanie własnej krwi.

- Pan jest jej mężem? - spytał nieznajomy niskim, kulturalnym głosem.

Verity usłyszała, jak stojący za nią Gilbert przestępuje z nogi na nogę.

- Tak...

- Chce się pan pozbyć żony?

- Tak...

Fala rozżarzonego do białości gniewu zalała Verity z taką siłą, że nie czuła już prawie strachu. Gdyby tylko mogła, odwróciłaby się i trzepnęła Gilberta z całej siły w twarz. Jak śmiał przyznać, że chce się jej pozbyć?! Przecież nigdy go nie łąpała za męża. Wszystko zostało ułożone przez rodziców, zanim jeszcze przyszli małżonkowie spojrzeli na siebie. Prawdę mówiąc, przez ostatnie dwa niemiłosiernie wlokące się lata ona sama często marzyła o tym, by uciec raz na zawsze od Gilberta! Ale wiedziała, że nie wolno jej robić czegoś takiego - tylko dlatego, że miałyby na to ochotę.

- Odstąpi mi ją pan za sto funtów? - spytał ciemnowłosy mężczyzna.

Gilbert zrobił krok do przodu; stał teraz obok Verity. Nie odwróciła się, ale zerknęła na niego z ukosa. Zdjął kapelusz i przeczesał palcami swe jasne włosy.

- No cóż, jeśli o to chodzi... - Urwał, przygładził włosy i znowu włożył cylinder, nieco zawadiacko, na bakier. Zerknął przy tym w stronę Verity. - Sto funtów za nią samą -oznajmił. - Drugie sto za jej rzeczy.

Verity usłyszała, jak ciemnowłosy mężczyzna zaczerpnął nagle powietrza.

- Drugie sto funtów? - spytał głosem twardym jak stal.

- To... to doskonały interes, rozumie pan - odparł Gilbert. - Mam w powozie kufer z jej ubraniami i rzeczami osobistymi. Za sto funtów może go pan zabrać razem z nią. To uczciwa cena. Zapłaciłby pan znacznie więcej, gdyby musiał pan kupić jej wszystko co trzeba, nieprawdaż?

Ciemnowłosy nieznajomy utkwiał w Gilbertcie spojrzenie pełne takiego gniewu, że Verity była pewna, że musiało parzyć jak ogień. Wzdrygnęła się i zacisnęła jeszcze mocniej ręce na połach płaszcza.

Po chwili, która zdawała się nie mieć końca, nieznajomy sięgnął do kieszeni i wyjął aksamitną sakiewkę. Pomacał ją i rzucił bez ceremonii Gilbertowi.

- Zabieraj wszystko, do diabła! Jest tu ponad dwieście funtów. Bierz je i wynoś się. Zostaw jej kufer!

Gilbert wetknął sakiewkę do kieszeni i zbliżył się o krok do Verity, która nie była w stanie poruszyć się.

- No to w porządku - mruknął. - Idę. Verity, ja...

- Chwileczkie, panie szanowny, chwileczkie! - wtrącił się licytator. - Jak tak można? Forsa do kieszeni i w nogi?! Najpierw trza podpisać dokument!

- Dokument?... A, prawda. Oczywiście - powiedział Gilbert, patrząc ciągle na Verity. - Zapomniałem o tym.

- No to idziemy - stwierdził licytator.

Obaj z Gilbertem ruszyli na drugi koniec podwyższenia. Verity czuła, że powinna iść z nimi, ale nie mogła się poruszyć. Drżenie nieco ustąpiło, mimo to ruszyć się nie mogła. Stała bez ruchu, jakby nogi jej wzrosły w kamienną płytę. Gdyby tylko zdobyła się na pierwszy krok, z pewnością zrobiłaby drugi i trzeci... mogłaby stąd uciec. Wyrwać się z tego koszmaru!

Ale nie była w stanie się poruszyć.

- Jedną chwilę! - Ciemnowłosy nieznajomy zrobił dwa szybkie kroki i znalazł się tuż przed Verity. Wyciągnął rękę, a serce Verity podskoczyło gwałtownie w jej piersi. Od jednak dotknął tylko rzemiennej pętli wokół jej szyi i zaczął ją rozplątywać. - To doprawdy nie jest potrzebne! - powiedział. Zdjął ramię i rzucił go w tłum.

Verity przymknęła oczy i odetchnęła z trudem. Potem poruszyła szyją. Po jeszcze jednym, głębszym oddechu poczuła, jak rozluźniają się napięte mięśnie barków, pleców, ramion, nóg... Cał po calu całe jej ciało odprężało się, aż w końcu była znów spokojna i opanowana. Drżenie ustało. Powoli rozprostowała palce, dotąd kurczowo zaciśnięte na płaszczu. Rozpostarła je szeroko, a potem uniosła do gardła, na którym nie było już rzemienia. Strach przestał ją paraliżować. Mogła się poruszać. Chodzić. Odejść stąd.

Ale nie odeszła. Ciemnowłosa mężczyzna przypatrywał się jej z zagadkowym wyrazem twarzy. Nie wiedzieć czemu, Verity zapragnęła uśmiechnąć się do niego, ale wyminął ją i ruszył w ślad za Gilbertem i licytатorem. Verity przycisnęła palce do ust; co też jej strzeliło do głowy?... Odwróciła się i podeszła do mężczyzn, którzy pochylali się nad stołem ustawionym na drugim końcu podwyższenia. Kiedy znalazła się obok nich, zauważyła, że wpatrują się w arkusz welinu. Bez wątpienia przygotowują akt sprzedaży. Rozstrzygają o jej przyszłości.

Gilbert napisał kilka słów na pergaminie i podał gęsie pióro ciemnowłosemu mężczyźnie. Ten nabazgrał coś pospiesznie. Verity pochylila się, by lepiej widzieć, by dowiedzieć się czegoś o własnym losie.

Ja, Gilbert Russell, zgadzam się za sumę dwustu funtów rozstać się ze swoją żoną, Verity Russell z domu Osborne, na rzecz Jamesa Gordona lorda Harkness. Ceduję na niego wszelkie swe dotychczasowe prawa, obowiązki i roszczenia co do jej majątku, wzajemnych usług i żądań.

I tak oto została przekazana w obce ręce jak spłachetek ziemi.

Verity ani przez chwilę nie sądziła, by ten dokument miał jakąkolwiek moc prawną. Taka transakcja po prostu nie mogła być legalna!... Przyglądała się, jak licytator sporządza kopię aktu sprzedaży. Gilbert i baron Harkness podpisali także i ją. Licytator posypał dokumenty piaskiem i wręczył je obu dżentelmenom. Gilbert złożył swój pergamin i schował do kieszeni surduta. Lord Harkness wpatrywał się w swoją kopię ze zmarszczonym czołem, jakby nie mógł pojąć treści dokumentu.

Podniósł wreszcie oczy i zauważył, że Verity obserwuje go. Na sekundę ich spojrzenia zwały się ze sobą. Nieoczekiwanie w oczach Harknessa błysnęło jakieś uczucie – może litość? - ale zaraz znikło. Verity



pomyślała, że coś jej się przywidziało. Baron był znowu nachmurzony i zaraz odwrócił się, by porozmawiać z Gilbertem.

Zamieniwszy z nim kilka słów, zwrócił się znów do Verity, ale nie patrzył jej w oczy.

- Ruszajmy w drogę - powiedział. - Tu już chyba wszystko zakończone.

Istotnie, wszystko było zakończone. Dotychczasowe życie Verity, wraz ze wszystkim, co było jej bliskie i znane, legło w gruzach.

Lord Harkness zszedł z podwyższenia. Nie dotknął Verity, nie wziął jej za ramię, ale dał wyraźnie do zrozumienia, że ma pójść za nim.

Odetchnęła głęboko i ruszyła w jego ślady.

- Verity, zaczekaj!

Na dźwięk głosu Gilberta zatrzymała się, ale nie odwróciła. Nie chciała na niego patrzeć. Już nigdy w życiu.

- Bardzo... bardzo mi przykro, Verity - powiedział niepewnym głosem. - To było jedyne rozwiązanie.

Verity nie pojmowała tego, ale niewiele ją to obchodziło. Pragnęła się od niego czym prędzej uwolnić, tak samo jak on od niej. Chciała odejść. Żeby się to wreszcie skończyło!

- No więc - ciągnął dalej Gilbert - nareszcie przestanę ci zawadzać.

Verity nic na to nie odpowiedziała i odeszła od swego męża. Na dobre.

Zrobiła dwa niepewne kroki i zatrzymała się na brzegu podwyższenia. Lord Harkness czekał na dole. Po chwili wyciągnął do niej rękę, bez słowa oferując pomoc przy zejściu ze schodków.

Verity spojrzała na męską dłoń w rękawiczce. Wiedziała, że gdyby się na niej wsparła, byłby to milczący znak, że uznaje prawo barona do opieki nad nią. Nie miała pojęcia, jaką rolę jej wyznaczył - kochanki, sługi, więźnia, niewolnicy?... Mógł posiadać dowód kupna, ale ona i tak nigdy nie będzie jego własnością! Może zawładnąć jej ciałem, lecz nigdy nie posiada jej duszy. Nigdy!

Splotła mocno ręce na poziomie pasa i wysunęła brodę.

Powoli i ostrożnie, gdyż mięśnie znowu się jej usztywniły, zeszła ze schodków bez niczyjej pomocy, ignorując wyciągniętą ku niej rękę lorda Harknessa. Uniósł jedną brew, a na jego ustach pojawił się uśmiech - chyba trochę wymuszony. Odwrócił się jednak i odszedł, nim zdążyła wyrobić sobie opinię na temat tego uśmiechu.

Nie obejrzał się, by sprawdzić, czy Verity za nim idzie. Najwidoczniej nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zdjął więzący ją ramię i odwrócił się do niej plecami, dając jej do zrozumienia, że może tu zostać, jeśli zechce... a jednak był pewien, że nie zostanie. Skąd ta pewność? Skąd wiedział, że mu nie ucieknie?

Oczy Verity obiegły zatłoczony plac. Zrozumiała, że nie ma tu dla niej miejsca. Nie zostanie wśród tych ludzi, którzy sztydzi z niej, dręczyli ją, znieważali... Lord Harkness przynajmniej nie sztydził z niej ani jej nie lżył.

Pójdzie z nim. Na razie.

Szepty zaczęły się w chwili, gdy tłum rozstał się przed nimi, tak samo jak przedtem przed samym baronem.

- ... Potępieniec...

- Bidulka! Co to za los!

- Co z nią teraz będzie?...
- Abo to długo pożyje?...
- Ten Potępieniec!...
- ... ją tyż?...
- Myślicie, że on...
- Bidna kobicina...
- ... zakatrupi?...
- Boże, zlituj się!

Przerażona tymi ledwie dosłyszalnymi szeptami i ponurymi minami, Verity splotła ręce tak kurczowo, że paznokcie wbiły się w dłonie. Boże święty, dokąd ona zmierza?... Co zdaniem tych ludzi ma zamiar z nią uczynić jej nowy „właściciel”?... Verity przysięgła sobie, że nie okaże strachu na oczach tłumu. Z podniesioną głową kroczyła w ślad za wysoką męską postacią. Jednak mimo pozornej obojętności czuła się jak skazaniec prowadzony na szafot. Wolą nie dociekać, o ile jej własny los będzie lepszy... albo gorszy.

Przerażające, nie powiązane ze sobą obrazy migają jej przed oczyma. Strzępy cichych rozmów zasłyszanych w dzieciństwie - równie niepojęte teraz jak wówczas, ale dziwnie przerażające. Sekrety z ubiegłego stulecia, o których nigdy głośno się nie mówiło: kult szatana... markiz de Sade... białe niewolnice...

Czy taki miał być jej los?... Miała paść ofiarą perwersyjnych zachcianek tego nieznanego? Znosić straszne i haniebne męczarnie... tortury... śmierć?...

Z niepojętej przyczyny - może z dumy albo zwykłego uporu? - nie chciała umierać. Choć nie miało to właściwie sensu, chciała żyć, i już!

Wysuwając zdecydowanym ruchem brodę, kroczyła za lordem Harknessem w stronę zwykłego, nieoznaczonego żadnym herbem czarnego powozu, który czekał w pobliskim zaułku, na szczęście dość daleko od targowego placu. Stangret odziany w białe skórzane bryczesy, kamizelkę w paski i ciemny surdut trzymał konie mocno przy pysku, a lokaj otwierał drzwiczki powozu.

Po raz wtóry lord Harkness wyciągnął rękę, by pomóc Verity przy wsiadaniu. I tym razem zignorowała go, więc odszedł na bok, by zamienić kilka słów ze stangretem. Kiedy jednak lokaj - rudowłosy dryblas o szczerzej, życzliwej twarzy - zaoferował jej pomoc, Verity przyjęła ją bez wahania.

Wnętrze powozu okazało się wygodne, choć niezbyt ozdobne. Siedzenia i ściany obite były pikowanym ciemnoniebieskim aksamitem, ale wszelkie wykończenia wykonano z mosiądzu i mahoni, bez żadnych rzeźb i złocień. Jednak w porównaniu z nędznym powozikiem, którym tłukli się do Kornwalii wraz z Gilbertem, był to szczyt luksusu.

Nie powinna jednak pozwolić, by sympatyczny lokaj i wygodny ekwipaż wpłynął na zmianę jej opinii na temat obecnej sytuacji.

Poczuła, że resory się ugięły, a powóz zakołysał. Widocznie załadowano jej kufer do schowka na bagaż. Verity miała nadzieję, że zawartość kufra nie została uszkodzona: znajdował się w nim cały jej majątek. Zrozumiała teraz, czemu Gilbert kazał jej spakować wszystko, co posiadała. Wiedział, że wróci z Kornwalii bez żony.

Drzwi powozu otworzyły się i młody lokaj wetknął głowę do środka.

- Paniusia wybaczy... ale trza było wypakować ze schowka te trzy skrzynki, żeby się pomieścił panin kufer. Ni ma rady, musze je wstawić tutaj.

Ostrożnie ustawił na przeciwległym siedzeniu trzy drewniane skrzynki.

Boże święty! Czyżby lord Hardness był w dodatku pijakiem?! Ojciec Verity prawie nie używał alkoholu - najwyżej kieliszek wina przy obiedzie. Trzy skrzynki wystarczyłyby mu na rok! Ciekawe, jak szybko lord Harkness się z nimi uwinie?... I jaką rolę miała grać ona w jego pijackich orgiach?...

Obiekt jej rozważań wsiadł właśnie do powozu, zajął miejsce obok niej i zamknął drzwi za sobą. Ich uda otarły się lekko o siebie. Verity wzdrygnęła się jak oparzona. Chcąc odsunąć się od niego jak najdalej, przylgnęła do bocznej ścianki powozu. Utkwiła wzrok w oknie, a raczej w granitowej ścianie stojącego naprzeciwko domu.

- Czy pani wygodnie? - spytał lord Harkness. Verity skinęła głową, nie odwracając się do niego.

- Mamy do Pendurgan niecałe pięć mil drogi - mówił dalej nieco sztucznym tonem. - Dojedziemy tam za jakieś trzy kwadranse.

Pendurgan!... Nawet nazwa jego domu budziła strach. Jechała więc do miejsca zwanego Pendurgan\* z człowiekiem, którego nazywają Potępieńcem!... Boże, zmiłuj się!

*\*Pendurgan - zapewne nieco zniekształcone fonetycznie Pendragon (dosł. „Głowa Smoka”), tytuł władcy w starożytnej Brytanii, zwłaszcza w Walii. Na przykład ojciec słynnego króla Artura nazywał się Uther*

*Pendragon. Nic dziwnego, że ta „smocza głowa” mogła wzbudzić w Verity pewien niepokój (przyp. tłum.).*

Powóz znów się zakołysał: ruszyli w drogę. Verity uczepliła się rzemiennego uchwytu, jakby to była lina ratunkowa.

RS

James bębnił palcami o parapet pod okienkiem powozu. Jeszcze nigdy, w całym swym życiu, nie czuł się takim idiotą. Właśnie kupił za grubszą gotówkę młodą kobietę. Co, u diabła, ma z nią teraz począć?!

Co też go podkusiło do takiego nieprzemyślanego postępku? Powinien być mądrzejszy! Należało trzymać się z daleka od tych paskudztw, opuścić plac i nie zaprzętać sobie tym głowy! Bóg świadkiem, że nie miał prawa wprowadzać młodej kobiety do swego domu. Nie po tych wszystkich tragicznych zajściach! A jednak podpisał dokument, przejmując tym samym pełną odpowiedzialność za nią. Jak mógł popełnić takie straszliwe głupstwo?!

I jak miał teraz wytłumaczyć obecność tej nieznajomej domownikom? Nie mógł przecież wystawić jej na pokaz jak dopiero co nabytego wyścigowego konia. Ani oddać jej pod opiekę pani Tregelly jako nową podkuchenną. Niech to wszyscy diabli! Żałował, że nie była jakimś parszywym popychadłem, które można zasadzić do szorowania garnków i zapomnieć ze szczerem o jego istnieniu. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nieznajoma należała do jego sfery - była szlachcianką, może nawet arystokratką... Należało się zatroszczyć o nią. Tak czy inaczej.

Musiał też wziąć pod uwagę Agnes. Jak też jej wytłumaczy przywiezienie tej kobiety?!

Do rana po całej Kornwalii - od Liskeard do Truro - rozniesie się ta historia. Kto żyw będzie wyciągał (i rozpowszechniał!) własne wnioski na temat tego, w jakim celu James sprowadził tę kobietę do Pendurgan. Nie

trzeba było nadzwyczajnej bystrości, by domyślić się, jakie to będą wnioski.

Niech to szlag! Znowu stanie się „bohaterem” skandalu.

Zerknął na nieznajomą, ale siedziała do niego prawie tyłem, przytulona do drzwiczek powozu. Bez wątpienia pragnęła uniknąć wszelkiego kontaktu z... No właśnie, z kim? Ze swoim właścicielem? Przecież nie była niewolnicą!... Chlebodawcą? Nie należała do służby!... Mężem? Z pewnością nie!

Kimże więc była, u licha? I co on, do stu diabłów, miał począć z tym fantem?!

Nawet okiem na niego nie rzuciła, na litość boską! Może by sobie jakoś poradził, gdyby była płaksiwym, kruchym stworzonkiem lgnącym do zbawcy, który wyzwolił ją od publicznej hańby. Nie miałby nic przeciwko temu, gdyby do niego lgnęła. Dobrze pamiętał piękny biust, uwydatniony prostackim karesem Moody'ego. Ale ona nie czepiała się go kurczowo. Nie płakała ani nie mdlała. Nie dramatyzowała, nie przeklinała okrutnego losu.

Nie próbowała żadnej z tych kobiecych sztuczek, niech ją diabli! A on nie miał pojęcia, co robić!

Jedną ręką przytrzymała płaszcz w talii, a drugą zaciskała tak kurczowo na rzemiennym uchwycie, że James miał wrażenie, że zaraz wyrwie go ze ściany. Wzrok wlepiła w okno, a rondko czepka ocieniało jej twarz.

James zdążył jednak dobrze przyjrzeć się tej kobiecie - Verity, tak się przecież zwracał do niej mąż - kiedy stał naprzeciw niej na podwyższeniu w pobliżu starego krzyża na placu targowym. W zbielełej twarzy przede



wszystkim zwracały uwagę ogromne brązowe oczy, jeszcze bardziej rozszerzone ze strachu. Choć stała prosto i dumnie, widać było, że jest zaledwie średniego wzrostu; czubkiem głowy sięgała mu do podbródka. I drżała tak gwałtownie, jakby ją właśnie wyciągnięto z lodowatej wody. James dostrzegł, z jakim wysiłkiem stara się opanować to drzenie. W tej chwili też była cała spięta - poznał to po ręce kurczowo zaciśniętej na rzemiennym uchwycie.

Żeby choć spojrziała w jego stronę! Żeby coś powiedziała!

James nagle uświadomił sobie, że nie słyszał jeszcze jej głosu.

Podczas tego haniebnego wydarzenia nie odezwała się ani słowem. Ani do męża. Ani do Juda Moody'ego. Ani do niego, ma się rozumieć!

Powóz turkotał i podskakiwał na wielkich i twardych kocich łbach, którymi wybrukowano główną ulicę w Gunnisloe, a James zastanawiał się przez cały czas, jaki głos ma ta nieznajoma kobieta. Zależało to w dużym stopniu od stron, z jakich pochodziła. Jud Moody Wspomniał, że była „nietutejsza, z dalekich stron”. Ale oznaczało to po prostu, że nie jest Kornwaliijką. James Harkness wyglądał przez okno na przysadziste kamienne domki, stojące jeden przy drugim po obu stronach wąskiej ulicy, i myślał, jak posępna i monotonna musi się wydawać ta część Konwalii komuś z innych stron.

Nie wiedzieć czemu, uparte milczenie nieznajomej drażniło go. Był pewien, że kobieta nie odezwie się ani w żaden inny sposób nie zaakceptuje jego obecności ani sytuacji, w jakiej się znalazła, chyba że zmusi ją do tego absolutna konieczność. Otuliła się szczelnie płaszczem nieugiętej dumy. Tylko ona pozwoliła jej przetrwać tę koszmarną farsę na rynku w Gunnisloe. Nie zrezygnuje z niej tak od razu!

Kiedy indziej James może by podziwiał podobną siłę charakteru, teraz jednak nie był w nastroju do znoszenia niczyich fochów. Milczenie tej kobiety, jej żelazna samokontrola i jej piekielna duma zaczęły mu działać na nerwy. Była dla niego cholerną zawadą - niechcianym i krepującym brzemieniem. Przeklinał siebie w duchu za to, że wziął na swe barki taką odpowiedzialność.

Tak więc powóz turkotał, krepujące milczenie przedłużało się, urozmaicone tylko dzwonieniem szybek w oknach i pobrzękiwaniem orczyka. Zostawili za sobą Gunnisloe i wjechali na zrytą koleinami, błotnistą drogę.

James zastanawiał się z irytacją, czy warto nawiązywać z nią rozmowę. Czemu właściwie miałby się fatygować dla kogoś, kto skomplikował mu życie?! Poza tym ta kobieta - Verity, dobrze zapamiętał to imię - była wyraźnie przerażona. To, że nadal trzymała się kurczowo rzemiennej pętli, najlepiej świadczyło o napięciu nerwowym.

Bała się go jak diabli, i nic dziwnego. Te przeklęte matoly z Gunnisloe już się o to postarały! Słyszała złośliwe szepty i fałszywe biadolenie tych samych ludzi, którzy z takim entuzjazmem popychali ją w brudne łapy Willa Sykesa! No tak, ale zwałisty kowal był tylko ordynarnym prostakiem i brudasem, który w gruncie rzeczy nie wadził nikomu. A on, James, był w ich oczach ucieleśnieniem zła. Nic więc dziwnego, że się obawiali, iż wyrządzi jej jakąś krzywdę.

Najokropniejsze zaś było to, że ci ludzie mogli mieć słuszość.

Wzrok Jamesa spoczął na roztaczającym się za oknem krajobrazie. Niech to szlag! Powinien był zapowiedzieć stangretowi, by jechał do Pendurgan dłuższą drogą, od południa, wzdłuż gęsto porośniętego zielenią

brzegu rzeki. Trasa, którą obrali, wiodła prosto przez najbardziej ponure uroczyska Bodmin Moor. Verity gotowa jeszcze pomyśleć, że pędzą do jakiegoś czarciego matecznika!

W tym momencie James uświadomił sobie, że widoki oglądane przez jego towarzyszkę są jeszcze bardziej złowieszcze niż widniejące na horyzoncie tory, czyli skaliste pagórki, które sam mógł podziwiać z przeciwległego okna powozu. Po stronie Verity znajdowały się ruiny kopalni Wheal Zelah, którą zamknięto jeszcze za życia jego dziadka. Unieruchomiony, niszczący kołowrót i ruiny maszynowni były na terenie Kornwalii często spotykanym widokiem, ale jakie wrażenie na tej obcej kobiecie wywarły zarówno one, jak smukłe wieżyczki nadszybia, odcinające się czarnym konturem od fioletowego nieba o zmierzchu?... A podobne do miniaturowych piramid hałdy odpadów? Dla kogoś nieobeznanego z kopalniami miejsce to musiało się wydawać dziwaczne i zapomniane przez Boga i ludzi.

Stangret powściągnął nieco konie i zjechał na skraj drogi, jakby ustępował miejsca komuś innemu. Rzadko przejeżdżały tędy jakieś powozy, toteż James pochylił się w stronę swej towarzyszki, by dostrzec przez jej okno, cóż to za pojazd się tu zabłąkał. Verity wzdrygnęła się, gdy niechcący dotknął jej ramienia. James mruknął jakieś kornwalijskie przekleństwo i odsunął się natychmiast. W duchu miał pretensję do tej kobiety o to, że w jej obecności czuł się tak nieswojo.

- Bardzo przepraszam - wymamrotał.

Powóz zatrzymał się, by przepuścić sznur obładowanych mułów. James zaśmiał się z cicha, ale złośliwie. Ciekawe, jak jej się spodoba taka parada! Potężne szare muły maszerowały parami; z grzbietów zwisały im

kosze wypełnione po brzegi rudą miedzi. Na ten widok twarz Jamesa rozjaśniła się przelotnym uśmiechem: to była jego ruda, z Wheal Devoran!

Z wiatrem dobiegały do nich odgłosy pracy z odległej kopalni: głuchy stukot i pobrząkiwanie pompy, usuwającej wodę z najgłębszych pokładów, przytłumione nieco deszczem, który właśnie zaczął siąpić. Dźwięki świadczące o tym, że w kopalni wre praca, miłe sercu każdego Kornwalijczyka.

- Dobry mamy urobek w tym roku... - mruknął.

Jego słowa zaskoczyły Verity, ale się nie odwróciła. Co za płochliwe stworzenie, niech ją diabli! pomyślał James. Będzie trzymał gębę na kłódkę, póki nie dotrą do Pendurgan.

A na razie musi obmyślić jakiś plan. Służba oczywiście nie ośmieli się zadawać mu pytań... Ale Agnes?... Trzeba jej jakoś wyjaśnić, jak to się stało, że wyjechał do Gunnisloe sam, a wraca w towarzystwie młodej kobiety.

Potem obmyśli swoją prywatną strategię: musi trzymać się od niej jak najdalej!

Cholera, cholera... jasna cholera!

Ostatnia para mułów przeczłapała obok ich powozu, prowadzona przez dwóch mężczyzn z ponurymi minami, upapranych od stóp do głów błotem; nadawało im niepokojący wygląd - wydawali się jakimiś mrocznymi stworami bez twarzy. Obaj mieli na głowach dziwaczne sztywne kapelusze z ogarkami świec przyklepionymi do róna.

Dreszcz przemknął po grzbiecie Verity. Cóż to za niesamowite miejsce? Wychowała się pośród bujnej zieleni i łagodnych pagórków hrabstwa Lincolnshire. Krajobraz jej rodzinnych stron w niczym nie

przypominał tego pustkowia! Nawet dom Gilberta w Berkshire - mimo że zniszczony i leżący na odludziu - znajdował się w otoczeniu bujnej zieleni, na lekko pofałdowanym terenie. Nigdy w życiu nie widziała czegoś, co by przypominało to kornwalijskie uroczysko. Jak okiem sięgnąć, żadnego zdrowego drzewa. Tych kilka, które się tu ostały, było samotnymi, nagimi, szerniałymi odmieńcami, równie posepnymi jak reszta krajobrazu. Jakże ponure i obce były te nie wiedzieć czy kamieniska, czy wrzosowiska - w dodatku z jakimiś dziwnymi ruinami. Wszystko tu było szare, szare, szare!...

W dodatku rozpadało się na dobre - czyżby niesamowity lord Harkness i w tym maczał palce, jej na złość?... Porywisty wiatr atakował z taką siłą ich powóz, że ten zataczał się i podskakiwał na zrytej koleinami drodze. Verity siedziała skulona w swoim kąciku, gdy kołysało nimi jak na wzburzonym morzu. Wycie wiatru zlewało się ze skrzypieniem powozu w przenikliwe i smętne zawrodozenie.

Verity trzymała się kurczowo rzemienneo uchwytu. Wiedziała, że powinna oderwać wzrok od niepokojącego, nieprzyjaznego krajobrazu... ale wówczas mogłaby ulec pokusie i skoncentrować uwagę na postaci swego tajemniczego, milczącego towarzysza. I tak nie była w stanie całkowicie zapomnieć o jego obecności. Ilekroć zaś skutkiem kolebania się powozu ich uda zetknęły się, odczuwała prawdziwy szok -jakby poraził ją piorun.

Powóz jechał coraz wolniej, deszcz srożył się coraz bardziej. Koła grzęzły w błocie, czarna maź chlapała na szyby. Po kilku minutach błotne bryzgi przesłoniły jej całkowicie widok ponurego wrzosowiska.

W końcu Verity odwróciła się od okna, zamknęła oczy i próbowała sobie wmówić, że kiedy znów je otworzy, ujrzy słoneczne niebo i łagodnie zaokrąglone, zielone pagórki Lincolnshire.

Poczuła jakiś lekki ruch i otworzyła oczy. Zastrzygła ciekawie okiem w stronę lorda Harknessa, głowę jednak trzymała prosto, żeby nie zauważył, że mu się przygląda. Przesunęła się odrobinę na siedzeniu, by móc go obserwować spod rondka czepka. Patrzył prosto przed siebie. Cylinder rzucił na jedną ze skrzyń ustawionych na przeciwległej ławce. Włosy barona w szarawym świetle robiły wrażenie czarnych jak skrzydła kruka. Zakrywały uszy i sięgały do wysokiego kołnierzyka koszuli. Na skroniach były chyba przyprószone siwizną... albo tak się tylko wydawało w tym oświetleniu. Profil był ostry: mocna szczęka, wydatny nos z niewielkim garbkiem. Oczu Verity nie mogła dostrzec... wcale zresztą nie chciała, pamiętając aż za dobrze tę króciutką, pełną napięcia chwilę, kiedy ich spojrzenia spotkały się na miejskim placu.

Powóz raptownie podskoczył, a Verity wbiło po prostu w oparcie siedzenia, gdy wjechali na urwiste zbocze. Ulewny deszcz walił w szyby, zmywając z nich prawie całe błoto. Oczom Verity ukazał się tak zaskakujący widok, że dech jej wprost zapało. Skalne pustkowia znikło; spadzisty stok porastał ciemny, gęsty las. Mimo że był niemal czarny i wyglądał równie ponuro jak wszystko, co Verity oglądała po drodze z Gunnisloe, las stanowił dziwaczny kontrast z poprzednim nagim krajobrazem. Jakim cudem wśród tych jałowych skał wyrosła taka gęstwina drzew?!

Serce podszeptało Verity, że w głębi tego posepnego lasu kryje się ostateczny cel ich podróży: Pendurgan.

- No, jesteśmy już prawie na miejscu - odezwał się lord Harkness. Verity, która ciekawie wyglądała przez okno, wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu. - Zaraz będzie Pendurgan, mój dom.

Kiedy powóz dotarł na szczyt, roztoczył się przed nimi widok pełen zieleni. Dom otoczony był otoczony wieńcem drzew, chyba kasztanów. Zdumiewające! Kasztany mogą rosnąć na granicie?! Komuś widocznie bardzo zależało na tym, by osłonić... albo ukryć przed ludzkim wzrokiem swoją siedzibę!

I nagle Verity ujrzała ją dokładnie. To wcale nie przypominało domu. - Raczej niewielką średniowieczną twierdzę. Budowla była szara, kwadratowa. Grube mury zdobne blankami nie miały okien - nie licząc dwóch wysokich, wąskich luk strzelniczych. Poza tym była to niezdojta, niczym nie ozdobiona, jednolita kamienna bryła. Wyglądała tak, jakby wyrosła ze skalnego podłoża, na którym ją wybudowano.

Boże święty! Złowieszcze, ponure zamczysko, do którego można wejść... ale nigdy się go nie opuszcza. Te grube ściany zamkną się wokół niej niczym więzienie.

Przez sklepioną bramę w murze zewnętrznym powóz wjechał na obszerny dziedziniec wewnętrzny. Choć widziany stąd dom wydawał się mniej przytłaczający niż to, co Verity dostrzegła przed chwilą - przynajmniej były tu okna, dużo okien - budowla nadal robiła wrażenie surowej, odpychającej, groźnej.

Powóz zatrzymał się; rudowłosej lokaj otworzył drzwi od strony Verity i opuścił dla niej schodki. Verity wsparła się na jego rękę i z pewną obawą zeszła na ziemię. Krople deszczu stukały głośno o granitowy

podjazd; otuliła się szczelniej płaszczem i stała bez ruchu, nie wiedząc, co ze sobą począć.

- Zanieś kufer pani do wielkiego hallu, Tomasie - polecił lokajowi lord Harkness donośnym, ostrym głosem. - A ty, Jago, podjedź pod kuchenne wejście i wyładuj tam resztę. Potem jak najszybciej zabierz konie do stajni. Niech nie mokną na deszczu!

Odwrócił się szybko do Verity, chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę wielkich dwuskrzydłowych drzwi z masywnego drewna. Po raz pierwszy dotknął jej; chwyt był tak szorstki, że Verity aż się wzdrygnęła. Nie ze strachu jednak, gdyż wiedziała, że nie jest to akt brutalności: chciał po prostu jak najprędzej znaleźć się wraz z nią poza zasięgiem deszczu. Jej drżenie było spowodowane czymś zupełnie innym. Pod dotknięciem jego palców zaczerwieniła się i dostała gęsiej skórki. Nie umiała powiedzieć, skąd taka reakcja, ale dotknięcie barona wstrząsnęło nią równie silnie jak wszystkie dzisiejsze przeżycia.

Lord Harkness wydał jakiś dziwny pomruk i stanął jak wryty. Zaciskając jeszcze mocniej palce na jej ramieniu, odwrócił Verity twarzą ku sobie.

- Niech to diabli! - warknął. - Musimy ustalić coś jeszcze. Kiedy będziemy w Pendurgan... Jak pani sobie życzy, żeby się do niej zwracać? Russell? Pani Russell?

- Nie!

Słowo to wyrwało się jej, nim Verity zdążyła się opanować. Ale po wszystkim, co przeżyła tego dnia, nazwisko „Russell” było dla niej przekleństwem.



Przez kurtynę deszczu spływającą z jego kapelusza lord Harkness spojrział na Verity wilkiem. Zmarszczył okropnie brwi, jakby chciał ją zamordować za to, że ośmieliła się odezwać.

- Nie! - powtórzyła Verity.

Ledwie była w stanie oddychać. Wymówiła to jedno słówko z nadludzkim wysiłkiem. Chciała powiedzieć coś więcej, wyjaśnić, dlaczego nie może się zgodzić, by tak ją nazywano... ale na samą myśl o rozmowie z posepnym nieznajomym, który sprowadził ją w to ponure miejsce, zaczęła drzeć.

- Verity Osborne - zdołała tylko wykrztusić.

- Nic mnie nie obchodzi, u diabła, jakie sobie pani wybierze nazwisko! - odparł z rozdrażnieniem. - Byleśmy nie sterczeli dłużej na tym cholernym deszczu!

- Verity Osborne - powtórzyła. Poczowała ulgę i udało jej się zapanować nad głosem. To maleńkie zwycięstwo sprawiło, że wyprostowała się, a nawet spojrzała baronowi prosto w oczy.

- Panieńskie nazwisko? - rzucił oschłym tonem. - Doskonale. Ale podczas swego pobytu w Pendurgan będzie pani występować nie jako panna, lecz pani Osborne. Tego tylko brakowało, by rozeszła się wieść, że przywiozłem do mego domu młodą pannę bez przyzwoitki! Boże święty! To byłby szczyt wszystkiego!

Z tymi słowy pociągnął ją znów za ramię ku wielkim drzwiom, które stały już otworem. Przytrzymała je pulchna starsza kobieta o srebrnych włosach, odziana w ciemnoniebieską suknię i biały fartuch.

- Panie baronie! - zawołała, trzepocząc rękoma z niepokoju. - Proszę wejść jak najszybciej, nim wasza lordowska mość przeiębi się na śmierć!

Lord Harkness popchnął Verity przed sobą, toteż ona pierwsza wylądowała bezpiecznie w ogromnym hallu. Siwowłosa kobieta spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Panie baronie?... - spytała niepewnie.

- Czy żółty pokój nadaje się dla gościa, pani Tregelly? - spytał Harkness lakonicznie i szorstko, zdejmując kapelusz i strząsając krople deszczu z każdej poły płaszcza.

- Oczywiście, milordzie - odparła starsza pani. - W ubiegłym tygodniu wietrzyliśmy tam, trzepaliśmy materace i oblekliśmy świeżą pościel.

- Doskonale. To jest pani Osborne, zatrzyma się u nas na jakiś czas. Tomas! Przynies tu kufer pani Osborne i zaprowadź ją do żółtego pokoju. Pani Tregelly, proszę na słówko.

Nie obejrzawszy się nawet na Verity, wyszedł z pokoju. Pani Tregelly rzuciła jej zdziwione spojrzenie i pospieszyła za lordem Harknessem. Verity stała nadal we frontowym hallu, a deszcz ściekał z jej ubrania na posadzkę. Miała nadzieję, że starsza kobieta tu powróci. Wydawała się taka... zwyczajna. Ale rudowłosy lokaj stęknął, zarzucił sobie kufer Verity na ramię i zwrócił się do niej:

- Tędy, pszepani.

Uginając się pod swym brzemieniem, Tomas poprowadził gościa niezbyt rażnym krokiem przez obszerny hall. Oświetlony był jedynie ogniem płonącym na kominku na drugim końcu tego wielkiego pomieszczenia, toteż Verity nie mogła dostrzec żadnych szczegółów. Odniosła jednak wrażenie, że belkowane sklepienie hallu znajduje się bardzo wysoko. Bielone ściany były do połowy pokryte boazerią. Ponad

ciemnym drewnem na każdej z nich wisały w niezliczonych rzędach miecze, piki, topory wojenne, włócznie oraz różne rodzaje broni palnej. Wśród tych śmiercionośnych narzędzi widniały tu i ówdzie części uzbrojenia służące do ochrony: napierśniki, hełmy i tarcze. Wszystko było starannie wypolerowane i połyskiwało w blasku ognia.

- Tamój na stole są świczki - wyjaśnił Tomas, wskazując ruchem głowy stojący pod jedną ze ścian długi stół na krzyżakach. - Tera na korytarzach ćma. Lepiej niech se pani jedną weźnie.

Verity posłusznie wzięła świeczkę i zapaliła od płonącego na kominie ognia, po czym skręciła w ślad za Tomaszem w ciemny korytarz. Wreszcie dotarli do podnóża schodów; biedny lokaj stękał i ciężko dyszał pod ciężarem kufra. Na górnym podejściu przystanął na chwilę dla nabrania oddechu, po czym poprowadził Verity kolejnym korytarzem; na koniec zatrzymali się koło jakichś otwartych drzwi.

- To tu - wysapał Tomas i odsunął się na bok, przepuszczając Verity przed sobą. Zawahała się; miała wrażenie, że stoi na progu swej więziennej celi. Widząc jednak błagalne spojrzenie lokaja, wyprostowała się i z godnością wkroczyła do pokoju. Tomas pospieszył za nią natychmiast i niemal z jękiem postawił kufer na podłodze koło łóżka. Po czym zabrał się od razu do rozpalania ognia na kominku.

- Nie trza paniusi jeszcze czegój? - spytał, gdy ogień już buzował.

Verity rozejrzała się dokoła. Spotkało ją kompletne, aczkolwiek miłe zaskoczenie.

- Nie, nie - wykrztusiła w końcu, nie całkiem jeszcze panując nad głosem.

- No to w porządku - odparł Tomas. - Obiad podają o szóstej, pszepani, a tera dochodzi piąta. Może se paniusia odsapnąć. Już ja tam powiem, coby po paniusie przyśli i sprowadzili na dół, jak będzie pora.

Skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Pod Verity ugięły się nogi; siadła na skraju łóżka z ciężkim westchnieniem. Znajdowała się w bardzo wygodnej, choć staroświeckiej sypialni. Meble były ciemne i ciężkie, liczyły sobie co najmniej sto lat. Nieco spłowiała, żółta narzuta na łóżko i teźże barwy zasłony w oknach stanowiły arcydzieła szydełkowej roboty. Kasetonowy strop znajdował się dość nisko, ściany zaś zawieszono gobelinami. Ogólnie rzecz biorąc, pokój nie olśniewał, ale wydawał się dziwnie przytulny.

Jednak targająca Verity burza uczuć nie pozwoliła jej doznać ulgi i pociechy. Pozornie normalna, sympatyczna służba, obietnica rychłego obiadu, uroczy staroświecki pokój - wszystko to zupełnie nie pasowało do odpychającej granitowej fasady „zamczyska” i do osoby tajemniczego właściciela Pendurgan. Co z tego było prawdą, a co pozorem?... I jaki los ją tu czekał?...

Verity siedziała bez ruchu na brzegu łóżka przez dobrych kilka minut. Lęk zamienił ją w kamień. Myślała co prawda o rozpakowaniu kufra - po to tylko, by się czymś zająć, by zapomnieć o wydarzeniach ostatnich kilku godzin. Oznaczałoby to jednak przyznanie się do porażki, zaakceptowanie tej dziwacznej, przerażającej sytuacji. Verity straciła poczucie czasu. Siedziała na łóżku niezdolna do podjęcia decyzji -zupełnie jakby czekała, że ktoś powie jej, co ma robić.

W końcu wstała jak pociągnięta za sznurki kukła, odwiązała wstążki czepka i położyła go na łóżku. Następnie zdjęła przemoczony płaszcz i

rozwiesiła go na krześle przed kominkiem. Wyciągnęła ręce w stronę ognia, chcąc je ogrzać, gdy nagle usłyszała za sobą skrzyp otwieranych drzwi. Zaskoczona tym Verity wyprostowała się i odwróciła. Ujrzała stojącą we framudze drzwi czarną sylwetkę. Była to kobieta wysoka i szczupła, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Weszła do pokoju.

W blasku ognia okazało się, że jest to kobieta już niemłoda, o wychudłej twarzy i srebrnych włosach uczesanych w stylu sprzed trzydziestu lat. Miała na sobie prostą czarną suknię z czarnej krepy, rozjaśnioną jedynie wykrochmaloną białą chustką wiązana na szyi, zwaną z francuska fichu. Nieznajoma robiła dziwaczne wrażenie. Verity patrzyła na nią tak, jakby miała do czynienia z duchem.

- A więc to ciebie przywiózł! - odezwała się wreszcie kobieta w czerni tonem najwyższej pogardy. Jej oczy mierzyły Verity od stóp do głów z jawną bezczelnością.

Kim była ta kobieta? Jeśli nie słowa, to przynajmniej sposób mówienia świadczyły, że to osoba wykształcona; nie było w jej głosie charakterystycznego dla Kornwalijszczyków zaciągania, które słyszała wyraźnie u Tomasa, a w formie nieco złagodzonej także u pani Tregelly. Ta kobieta z pewnością nie należała do służby - nikt ze służących nie pozwoliłby sobie na podobną bezczelność. A więc mimo wygodnego pokoju i pozornie gościnnego powitania to ona, Verity, miała tu być pogardzaną sługą. Ale jakich usług od niej oczekiwano?

Wytracona z równowagi tymi impertynenckimi oględzinami Verity mogła tylko równie uparcie wpatrywać się w nieznajomą.

- No, no! Nie można nawet powiedzieć, że jesteś ładna! - stwierdziła kobieta w czerni, której bystre oko od razu wypatrzyło przemoczony dół

sukni Verity i jej rozczochrane włosy. Verity odruchowo poprawiła niesforne kosmyki koło uszu. Czemu tę dziwną starą kobietę obchodzi jej powierzchowność?! Chyba że... chyba że sprawdza, czy nowo przybyła nadaje się do roli, jaką tu jej wyznaczono? Roli, w której główną rolę odgrywają ładne rysy i wdzięk kobiecego ciała?

- Nie jesteś podobna do Roweny. Nic a nic! Była piękną, rozumiesz? - Nieznajoma wpatrywała się w nią w tak niepokojący sposób, że Verity wbiła w końcu wzrok w podłogę. - No cóż, niebawem dowiesz się, jaki on jest naprawdę. - Odwróciła się raptownie i wyszła z szelestem czarnych spódnic. W drzwiach zatrzymała się jeszcze i rzuciła przez ramię: - A wtedy, Bóg mi świadkiem, gorzko pożałujesz dnia, w którym przybyłaś do Pendurgan!

Verity opadła znów na łóżko i doszła do wniosku, że ma już tego wszystkiego dość. Musi stąd uciec. Wszystko jedno jak, ale musi! Nie mogła liczyć na niczyją pomoc, powinna więc być opanowana i rozważna, nie poddawać się straszliwej bezradności, która omal jej nie pokonała. Nie była przyzwyczajona do decydowania o własnym losie; pozwalała dotąd, by inni kierowali jej życiem: guwernantka, ojciec, mąż.

Teraz jednak musi ująć ster we własne ręce. Ma dwadzieścia trzy lata, jest zdrowa i dość rozsądna. Nigdy w życiu nie cierpiała na ataki nerwowe ani na wapory. Nie pora teraz ulegać podobnym słabościom!

Wzięła głęboki oddech, podniosła się z łóżka i podeszła do drzwi. Czy ta kobieta w czerni zamknęła ją tu na klucz? Czy jest w Pendurgan więzieniem? Cóż za pytanie! Oczywiście, że jest: przywieziono ją tu przecież wbrew jej woli. Można najwyżej mówić o wygodniejszym lub mniej wygodnym więzieniu.

Verity nacisnęła klamkę. Drzwi się otwały. Odetchnęła z ulgą i wyjrzała na korytarz. Oświetlały go mosiężne kinkiety, rozmieszczone w równych odstępach na obu ścianach. W pasażu nie zobaczyła nikogo. A więc ani jej nie zamknięto na klucz, ani nie trzymano pod strażą.

Raz jeszcze rzuciła okiem na pusty korytarz, po czym cicho zamknęła drzwi i podeszła do znajdujących się na wprost niej okien. Rozsunęła ciężkie kotary i wyjrzała na zewnątrz. Zmierzch przemienił się już w nocny mrok, a deszcz bębnił w szyby, toteż nie mogła dostrzec, co znajduje się za oknami. Nie były jednak zakratowane. Ot, zwykłe, staromodne, wykuszowe okna z prościutkim zamknięciem, które miało po prostu chronić mieszkankę pokoju przed wichrem i deszczem. Okazało się nawet, że w pobliżu jednego z okien rośnie duże drzewo, a jego gałęzi można dosięgnąć bez trudu.

Wszystko wydawało się tak łatwe, że wprost trudno w to było uwierzyć.

Czyżby przesadzała, dopatrując się we wszystkim zła?... Może to najzwyczajniejszy w świecie dom, a ona jest tu całkiem bezpieczna? Ostatecznie, gdyby lord Harkness chciał wyrządzić jej jakąś krzywdę albo ją więzić, czy umieściłby ją w pomieszczeniu, z którego tak łatwo uciec?

Nie, nie, nie! strofowała się w duchu. Nie pozwól, by omamił cię brak krat w oknach i strażników pod drzwiami! Nie daj się rozbroić dobrodusznemu lokajowi i gospodyni o słodkiej twarzy. Nie łudź się, że jesteś tu bezpieczna! To zapewne jakiś podstęp! Pułapka zatrzaśnie się wokół ciebie natychmiast, gdy tylko poczujesz się tu dobrze, pogodzisz się z losem, staniesz się bezbronna!

Nie! Wytrwa przy swoim. Ucieknij stąd - jeszcze tej nocy, o ile zdoła.

Wyrzała przez okno i przymrużonymi oczyma usiłowała coś wypatrzeć przez strugi deszczu. Bez wątplenia widok z tego okna będzie równie odpychający jak te, które oglądała po drodze. Ale gotowa była na wszystko, byle tylko wydostać się z tego miejsca, wyplątać z tej nieznośnej sytuacji.

Verity wzdrygnęła się. Ktoś głośno zastukał do drzwi. Nim zdążyła odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i na progu sypialni stanęła młoda dziewczyna w czepku pokojówki, spod którego wymykały się niesforne kosmyki rudych włosów.

- ...bry wieczór, pszepani - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. - Przyniesłam paniusi gorące wodę. - Weszła do wnętrza pokoju i postawiła na umywalce mosiężny dzbanek pełen parującej wody, a obok położyła kilka białych ręczników i kostkę mydła.

Verity wpatrywała się w dziewczynę. Któż to taki? Jeszcze jedna rzekomo życzliwa osoba, mająca pozorami wygód uspić jej czujność?...

Ale gorąca woda i mydło wydawały się jej w tym momencie szczytem luksusu. Verity czuła się nie tylko fizycznie ubrudzona, lecz i moralnie zbrukana. Jakże cudownie byłoby zmyć to wszystko z siebie!

Dziewczyna uniosła pytająco brwi, zdziwiona jej milczeniem.

- Dziękuję - mruknęła Verity. Choć nadal miała zaciśnięte gardło, w jej głosie słyhać było tylko leciutkie drżenie. Może ta dziewczyna nie zauważy.

- Pomogę się też paniusi rozpakować, a jakże! I w ogólności zadbam, żeby wszystko było jak trza, pszepani.



A więc to nie ona miała służyć, tylko jej miano usługiwać! Ale jeżeli nie będzie tu służącą, to kim właściwie?! Jedyna odpowiedź, jaka przyszła Verity do głowy, wzmogła jeszcze jej determinację. Musi stąd uciekać!

- Dziękuję - powtórzyła Verity. Głos jej nie brzmiał tak pewnie, jakby tego sobie życzyła. Zasłoniła znowu okno, uświadamiając sobie, że wyglądanie przez szybę nic jej nie da. Potrzebowała konkretnych informacji. Może ta dziewczyna okaże się pod tym względem użyteczna, jeśli Verity weźmie ją na spytki?

- Dziękuję - powiedziała raz jeszcze, tym razem opanowanym głosem.

- Pani Tregelly mówiła, że mam być za panine pokojów-kie, jak długo paniusia zabawi w Pendurgan - oznajmiła rudaska i dygnęła niezbyt zrećźnie. - Wołają mnie Gonetta.

Stała przed Verity z rękoma za plecami i ze spuszczoną głową.

- Gonetta? - powiedziała Verity. - Co za śliczne imię! I takie niezwykle.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- E tam! To stare kornwalijskie imię, pszepani. Często się trafia w tych stronach.

- Ale ja się z nim dotąd nie spotkałam - odparła Verity rada z każdego tematu, by pociągnąć dziewczynę za język. - Nigdy przedtem nie byłam w Kornwalii, więc wasze imiona i wasz sposób mówienia to dla mnie coś całkiem nowego. - Zdobyła się na przyjacielski uśmiech.

Dziewczyna ochoczo go odwzajemniła.

- Jużem słyszała - odparła porządkując ręczniki - że obce to nijak nie mogą się połapać, jak gadamy po naszymu. Ale nie trza sie turbować! Jak paniusia tu dłużej pobędzie, przyuczy sie raz dwa!

Jak tu dłużej pobędzie...

- A na razie jak ktoś z nas sie rozpędzi, starczy, jak mu paniusia powie: „Prrr! Zwolnij, bo nijak nie rozumie!” Mój brat Tomas (on tu jest za lokaja, wniósł panin kufer) w ogólności niewiele gada, to z nim paniusia nie będzie miała kłopotu. Ale ja!... Matula zawdy mi mówi: „Dziewucho, co z ciebie będzie? Nic, ino trzepiesz jak najęta!”... Ale tera bede mówić wolno i starać się jak nigdy, bo przecie paniusia u nas obca i w ogóle...

Głos dziewczyny był nieco gardłowy, a wymawiane przez nią słowa brzmiały dość dziwnie w uszach Verity. Widocznie „obcemu” równie trudno dogadać się z Kornwalijszczykiem, jak z rdzennym mieszkańcem Yorkshire!

Każdy by się chyba uśmiechnął do tej naiwnej i szczerzej dziewczuszki, która zapewne mimo woli została uwikłana w rozgrywający się tu dramat. Verity, myśląc przede wszystkim o roli, jaką jej samej przyszło w nim odegrać, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Nie całkiem szczerze. Nigdy dotąd nie posługiwała się fałszem i obłudą, ale w tej chwili gotowa była wykorzystać wszelkie środki, byle się stąd wydostać.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Gonetto. I cieszę się, że zawarłyśmy znajomość. O, bardzo przepraszam! Nie przedstawiłam ci się. Jestem...

- Pani Osborne, no nie? Wiem już o paniusi wszystko! Verity wzdygnęła się, jakby dostała w twarz. Oczywiście!

Cała służba z pewnością już o niej gadała! Co też sobie myślą o kobiecie sprzedanej na licytacji jak koń albo krowa?

- Matula mi mówiła, że z paniusi krewniaczka naszego milorda i w ogóle - trzepała dalej Gonetta. - I że paniusia całkiem nagle straciła męża. Okropnie mi było przykro tego słuchać, pszepani! I w dodatku nie ma się paniusia gdzie podziać! To wstyd i hańba, jak się tak wszystko złe naraz wali na człowieka, nie? A paniusia to mi od razu przypadła do serca!

Miała więc odgrywać rolę ubogiej krewnej lorda Harknessa?... Verity zastanawiała się już przedtem, jak baron wyjaśni jej nagłe pojawienie się w Pendurgan... jeśli w ogóle coś trzeba będzie wyjaśniać! Całkiem możliwe, że sprowadzanie obcych młodych kobiet do domu to jego stały zwyczaj. Verity zakładała, że od początku wszyscy ją uznają za kochanicę jego lordowskiej mości - i że w końcu będzie musiała nią zostać. Być może, baron ma to nadal w planie, tylko zależy mu na zachowaniu pozorów, i stąd ta bajeczka o krewniaczce.

Zadrzała na samą myśl o tej perspektywie, choć to nie miało już znaczenia. Nie zamierzała pozostać tu tak długo, by przekonać się, jakie baron miał w rzeczywistości plany względem niej.

- Ale co ja plete! - wykrzyknęła Gonetta, czerwieniąc się aż po korzonki rudych włosów. - Ni mam nijakiego prawa gadać z paniusią tak za pan brat! Jak ta świnia z pastuchem! Bardzo przepraszam, pszepani. Czasem coś mi się tak chlapnie przez zastanowienia. - Przygryzła zębami dolną wargę, wyraźnie zmieszana swą niewczesną poufałością.

Nerwowa paplanina Gonetty była dokładnie tym, na czym Verity w tej chwili zależało. Na szczęście, nie trzeba było dziewczyny do tego zachęcać.

- Pendurgan to pierszokłaśny dom, pszepani - odezwała się znowu Gonetta, tym razem nie unikając już wzroku Verity. - Stare toto jak nasze skały na wrzosowisku, abo prawie. Pewnikiem sie paniusi u nas spodoba - dodała nieśmiało. -A tera sie biere do rozpakowywania!

- Będę ci bardzo wdzięczna, Gonetto.

Na prośbę dziewczyny Verity wyjęła z torebki klucz od kufra i z pewnymi oporami wręczyła go pokojówce. Potem odwróciła się, nie chcąc, by zachwiały jej postanowieniem widok osobistych drobiazgów, które tyle dla niej znaczyły - zwłaszcza teraz, gdy pozostała bez środków do życia i bez przyjaciół.

Tak czy inaczej, kiedy Gonetta wypakuje już rzeczy z kufra, trzeba będzie podjąć niełatwą decyzję: wybrać to, co zdoła zabrać ze sobą. Reszta z konieczności zostanie w Pendurgan.

- Może byś mogła, Gonetto - powiedziała Verity, siląc się na pogodny ton - opowiedzieć mi więcej o Pendurgan i o tej części Kornwalii? Nigdy nie byłam w tych stronach i wszystko wydaje mi się takie obce! Kiedy jechaliśmy do Pendurgan, było już ciemno i lał deszcz, więc nie mogłam wiele zobaczyć. Ale przyznam, że okolica wyglądała mi na pustą i kamienistą...

- O, znakiem tego musieliście jechać od północy! - odpowiedziała Gonetta i strzepnąwszy ostrożnie ulubioną muślinową suknię Verity, powiesiła ją do szafy. (Chyba to zbyt frywolna toaleta dla zarabiającej na własne utrzymanie kobiety. Trzeba ją będzie pozostawić w Pendurgan).

- Bez wrzosowiska, nie? - ciągnęła dalej pokojówka -Wielga szkoda, że jechaliście od tamtej strony! Pewnie, że tam nic ino skały i skały. Ale niech no paniusia tu rzuci okiem! - Podeszła do okna i odsunęła zasłonę. -

Ojej, tera to za ciemno, choć oko wykol... Ale słowo daje paniusi, od południa to całkiem co inszego! Mamy tu ogrody, i trawniki, i rzeka płynie zara za parkiem... O, tam! - przekonywała, wskazując palcem.

- Rzeka? - Verity starała się opanować podniecenie. Rzeka! Jeśli tylko uda się jej wydostać poza bramę, pójdzie brzegiem rzeki. To nie powinno być trudne! - Nie miałam pojęcia, że jest tu jakaś rzeka - powiedziała ze sztuczną obojętnością. - Przyjechaliśmy tu z... Zupełnie zapomniałam, jak się nazywało to miasteczko.

- Gunnisloe, pszepani. Zwykła dziura, co tu gadać, ale w dni targowe to sie tam schodzą ludziska z całej okolicy.

O tak, Verity wiedziała doskonale, jak wygląda dzień targowy w Gunnisloe! Z pewnością nie będzie uciekać w tamtym kierunku.

- A są tu w pobliżu jakieś inne miasta... albo wioski? Może nad rzeką?

- A jakże, pszepani! - odparła Gonetta. - Najbliższe duże miasto nad rzeką to będzie Bodmin, ma sie rozumieć. Ale to dalej, a od nas na południe ino o krok jest nasza wioska. Znaczy się, St. Perran's. Niewiele tam do oglądania: kilka chałup, kościół i piwiarnia. Prawie same górniki tam żyją. Bo rolniki, znaczy sie dzierzawcy pana barona, to zawdy troche dalej... no i po jednemu, nie w kupie.

- To tu można uprawiać ziemię?!

- No pewnie, pszepani! To nasz pan paniusi nie opowiadał? - Gonetta cmoknęła językiem z dezaprobatą, składając czepeczek z muślinu i koronki. - E, te chłopy, wszystkie jednakie! Nawet panu baronowi w głowie tylko kopalnie i te nowomodne maszyny! A tu w okolicy, ma sie

rozumieć, obsiewamy ziemię i ładnie nam plonuje, nie powiem. Mamy pszenicę i jęczmień, a niektóre to i owce hodują. Ale niedużo.

Verity bardzo podniosła na duchu ta informacja. Ziemia, którą oglądała przez okna powozu w drodze do Pendurgan, nie wydałaby marnego bobu, a co dopiero pszenicy! A jeśli hoduje się tu owce, musi być w okolicy dużo trawy. Znacznie przyjemniej będzie wędrować wśród swojskich pól i łąk niż przez tamte skalne pustkowia.

- W takim razie - zauważyła - od południa musi tu być całkiem inaczej niż od tamtej strony, skąd dzisiaj przyjechaliśmy.

- Dzień i noc, pszepani, dzień i noc! - odparła Gonetta. - Trza ino poczekać do rana, a sama paniusia zobaczy, żem nie łągała!

Verity miała nadzieję, że nim zaświta ranek, będzie daleko stąd.

- Nie mogę się już doczekać - zapewniła. - Ale powiedz mi jeszcze jedno, Gonetto... Z dziedzińca weszliśmy do takiego olbrzymiego hallu...

- A, do mordowni!

Verity dreszcz przebiegł po grzbiecie.

- M... mordowni?...

- A ino! - odpowiedziała Gonetta, układając na toalecie szczotkę do włosów i grzebień z kości słoniowej. - Nie widziała paniusia tych wszystkich okropności do dźgania, rąbania i w ogóle? Mówię o tym „mordownia”, bo jak na to spojrzę, to mi się widzi, że jeszcze tera krew z tego kapie!

- Istotnie... ale ostatnio nikogo tym nie zabijano, mam nadzieję?

- A skąd! - odparła z przekonaniem Gonetta. - Ino pani Tregelly ciągiem nas zagania do czyszczenia tego żelastwa. Ale jakby zobaczyła, że kto inszy się za to łapie, ani chybi sama by mu dała bez łeb!

- To doprawdy wielka pociecha - mruknęła Verity. - Ale jak się stąd dostać na południową stronę? - ciągnęła dalej. - Tam, gdzie są te ogrody? Lubię wcześnie wstawać i chciałabym pochodzić przynajmniej po parku i trochę się z nim zapoznać.

- Ano, zejdzie paniusia na dół - wyjaśniła Gonetta - a potem tak jak przódzi. Ino nie bez mordownie. Ze schodów trza od razu w lewo, koło biblioteki i do południowego wyjścia.

- A można ogrodami dojść nad rzekę?

- A ino! Dworski park dochodzi nad same wode. Na pewno paniusia trafi. A o świcie ślicznie tam, że jej!

- Naprawdę nie sprawię nikomu kłopotu, wstając o świcie? - dopytywała się Verity. - Drzwi pewnie pozamykane...

Gonetta przerwała składanie koszul i spojrzała na nią jak na głupią.

- A kto by ich tam zamykał?! Boże święty! W Pendurgan nikt niczegój nie zamyka! Jakiemu złodziejowi by się chciało włamywać do takiego zamczyska?! I jeszcze na górcie toto leży, na odludziu i w ogóle! Niech się paniusia nie trapi. Bezpiecznie tu jak u Pana Boga za piecem. Gdzie paniusi się uwidzi iść, to iść i nie pytać!

Verity poczuła się znacznie pewniej i rozkoszowała się tą pewnością. Ale choć w ustach Gonetty wszystko brzmiało tak prosto, dla Verity ucieczka z Pendurgan będzie najtrudniejszym krokiem, na jaki się dotąd zdobyła. Wyruszy w pojedynek, z paroma tylko groszami przy duszy i kilkoma błyskotkami. Nie wiadomo dokąd...

Ale wydostanie się z tego miejsca. Ucieknie od tego człowieka!

Tak, zdobędzie się na to!

- W co sie paniusia przebierze do obiadu? Może coś odprasować?

Do obiadu?... Dobry Boże!... Radosne uniesienie opuściło Verity w jednej chwili. Wczesny zmrok sprawił, że zapomniała, iż ma jeszcze cały wieczór przed sobą, zanim będzie mogła pomyśleć o ucieczce! Calutki wieczór, który z pewnością będzie musiała spędzić w towarzystwie lorda Harknessa... a może i tej kobiety w czerni?

Nie! Nie teraz, kiedy musiała zebrać wszystkie siły przed realizacją swego planu! Jeśli raz jeszcze zobaczy tego człowieka, gotowa się załamać...

- Och, Gonetto... - powiedziała z całkiem szczerym niepokojem. - Jak myślisz, czy nie mogłabym zjeść w moim pokoju? Jestem śmiertelnie zmęczona i nie mam siły przebierać się do obiadu!

-Jasne, pszepani. Sama przyniesie paniusi coś na tacy. I dobrej herbatki na nerwy, co? A potem położymy paniusie do łóżeczka, żeby wypoczęła jak sie patrzy! A jakby paniusia jeszcze czego chciała, starczy pociągnąć za sznur od dzwonka - o, ten przy łóżku - a ja zarutko przylecę!

Skoro tylko drzwi zamknęły się za pokojówką, Verity odczuła taką ulgę, że osłabła i musiała się oprzeć o słupek baldachimu. Nie będzie musiała oglądać barona! Nie ujrzy już jego twarzy, groźnie ściągniętych brwi ani przeszywających niebieskich oczu. Ten człowiek, przezwany Potępieńcem, nie będzie miał okazji zastraszyć jej tak, by zrezygnowała z planu ucieczki!

Zaczęła spieszenie przerzucać ubrania, wybierając to, co weźmie ze sobą.



James siedział tyłem do żarzącego się ognia i po raz trzeci czytał ten sam akapit. Nie, to nie miało sensu! Nie był w stanie skoncentrować się na tym eseju. Pozwolił, by książka opadła mu na kolana. Przymknął oczy. Ale nie miał też wcale zamiaru zasnąć. Walczył ze snem jak zawsze, nie chciał poddać się bez walki nieubłaganym koszmarom, które niezmiennie go zwyciężały. Zresztą, i tak by nie zasnął. W jego myślach panował zbyt wielki zamęt.

Sięgnął do kieszeni kamizelki i poczuł pod palcami papier. Akt sprzedaży. Mięśisty pergamin chrzęścił głośno; zachęcał do przeczytania dokumentu raz jeszcze. Nie było jednak potrzeby. Już kilka godzin temu James nauczył się go na pamięć. Właśnie te sformułowania dręczyły go teraz, nie pozwalały mu zasnąć.

Wszelkie prawa... Obowiązki... Roszczenia co do majątku, wzajemnych usług i żądań.... Obowiązki. Obowiązki!

Ten przeklęty dokument był pewnie w obliczu prawa bezwartościowym świstkiem. Ale mimo wszystko James złożył pod nim swój podpis. Z własnej woli wziął na siebie te... te obowiązki. Bez względu na to, czy miały jakąś podstawę prawną, czy nie. Był przecież dżentelmenem, do diabła, więc...

Jego własny cyniczny śmiech przerwał te absurdalne rozważania. Potępieniec dżentelmenem?! Prawie każdy obruszyłby się na takie zestawienie słów!

James wetknął znów odrażający dokument do kieszeni kamizelki. Minęło wiele lat od czasu, gdy uważał się za człowieka honoru. Za

dżentelmena. Czemuż więc nie dać tej kobiecie fartucha i ścierki, nie zrobić z niej kuchennego popychadła, nie pozbyć się raz na zawsze idiotycznego kłopotu?

Obowiązki.

Co począć z tą Verity Osborne?!

Oznajmił pani Tregelly, że nieznajoma kobieta jest jego daleką krewną, na którą los się uwziął. Przemiła starsza pani nie zadała oczywiście nietaktownego pytania: jakim cudem jej chlebodawca natknął się na swą zubożałą kuzynkę w Gunnisloe?... Gospodyni z pewnością usłyszała już od To-masa dokładne sprawozdanie z licytacji. Był jednak pewien, że nie zamierza ten temat plotkować z resztą służby ani z nikim innym, tylko obstawać przy wersji Jamesa. Choćby wszyscy dokoła wiedzieli, że to bajeczka wyssana z palca, pani Tregelly do ostatniego tchu będzie podtrzymywać tę fikcję. Należała do nielicznych, którzy przed kilkoma laty nie odwrócili się do niego plecami. Jej niezłomna lojalność zdumiewała Jamesa. Niczym sobie przecież na to nie zasłużył, a jednak zawsze mógł na nią liczyć.

Westchnął i zagłębił się jeszcze bardziej w fotelu. Wyciągnął ramiona, rozprostował zmęczone mięśnie, wreszcie splótł dłonie na karku.

Jutro trzeba będzie przeprowadzić poważną rozmowę z „kuzynką Verity” i wspólnie z nią dopracować szczegóły historyjki i ustalić zasady dalszej koegzystencji. Bajeczka o krewnej będzie musiała wystarczyć; należy ją wzbogacić i upiększyć dla większego prawdopodobieństwa. Mimo iż - Bóg świadkiem - do jutra całe hrabstwo i tak będzie wiedziało, w jakich okolicznościach Verity Osborne trafiła do Pendurgan.

James był rozczarowany, gdy wyraziła chęć zjedzenia kolacji u siebie w pokoju. Nie wiedzieć czemu żywił przekonanie, że pod maską skromności i potulności kryje się czupurna osóbką o niezłomnej woli. No cóż... była pewnie wykończona: zbyt wiele przeżyć jak na jeden dzień. Nie mógł jej pozbawić tej odrobiny prywatności. W dodatku Agnes miała znów muchy w nosie. Jej humory plus dodatkowe napięcie wywołane obecnością Verity Osborne stanowiłyby mieszankę piorunującą. On też by tego nie wytrzymał dziś wieczorem.

Ale co z dniem jutrzejszym?

Prawdę mówiąc, już dzisiejszym: podświetlony zegar na kominku wybił właśnie trzecią.

Jakieś szuranie w korytarzu sprawiło, że James wrócił do rzeczywistości. Ktoś się wyraźnie skradał! Lobb - jego lokaj - zostawiał go zwykle w spokoju aż do wschodu słońca. Czemu więc dzisiaj miałby włączyć się po domu o tak dziwnej porze?

Ktokolwiek jednak się tu zbliżał, stąpał o wiele lżej od Lobba. Lokaj był potężnym mężczyzną i jego ciężki krok James poznałby od razu. Więc któż to mógł być?

Wyprostował się w fotelu i nadstawił ucha. Drzwi biblioteki były lekko uchylone. Zanim drobna, spowita cieniem postać zdążyła przemknąć obok nich, James wiedział już, kto to taki.

- Dokądże to, Verity Osborne?

Kroki zatrzymały się nagle. James usłyszał, że kobieta gwałtownie wciąga powietrze w płuca. Stała jak wryta.

- Wejdz lepiej do biblioteki, kuzynko Verity - powiedział. -I wyjaśnij mi, o co chodzi. Jeśli chcesz stąd wyjechać, mam prawo o tym wiedzieć.

Zaległa dość długa cisza. Potem drzwi biblioteki otworzyły się. Jakaś okutana od stóp do głów postać wsunęła się niepewnie do mrocznego wnętrza. Ciężki widocznie tobolek sprawiał, że pochylała się nieco w lewo. Powoli, ostrożnie odstawiała zawiniątko na podłogę i splotła dłonie na dziwnie okazałej talii. Oczy miała spuszczone. James czekał, aż odezwie się pierwsza.

- Jakie prawo? - spytała cichym, drżącym głosem. Nie zdziwiło go to: bała się przecież. Wszyscy się o to postarali, żeby się go bała!

- Słucham?

Widział, z jakim trudem przełyka ślinę. Wyprostowała się i wysunęła brodę. Niewątpliwie zbierała całą odwagę.

- Jakie masz prawo pytać, dokąd się wybieram, milordzie? Kiedy podniosła powieki i popatrzyła wprost na niego, mógłby przysiąc, że dostrzega w jej ciemnych oczach prócz odblasku płomieni także iskry buntu. Może to zresztą była gra świateł, gdyż widział wyraźnie, że patrzy na niego z wyraźnym strachem. Była przerażona jak królik, który znalazł się pod samym nosem lisa.

- Naprawdę chciałabym to wiedzieć - mówiła dalej. - Jakie prawa wobec mnie daje ci, milordzie, ta oszukańcza transakcja zawarta na placu miejskim? - Głos jej lekko drżał, ale nie odwróciła wzroku. - Czy zamierzasz mnie przekonywać, że było w tej koszmarnej farsie coś legalnego?

James spoglądał na nią w osłupieniu. Przedtem wydawało się, że strach odebrał jej mowę. Teraz jednak, choć nadal była wstrząśnięta i przerażona, mówiła nie tylko jasno i logicznie, ale wręcz wyzywająco!

Więc istotnie była czupurną osobką! Teraz, kiedy się o tym przekonał, jakoś mniej zachwycała go perspektywa kontaktów z herod-babą. Ciche, potulne, nieśmiałe stworzonko znacznie łatwiej zapędzić do zmywania garnków i zapomnieć o nim.

Ogromne, brązowe oczy Verity wpatrywały się w niego uparcie, starając się zuchwałością dorównać głosowi. Zdradzały ją tylko nagłe błyski strachu w źrenicach, mimo że natychmiast je tłumiała. O, tak: dumy z pewnością temu maleństwu nie brakowało!

Co prawda, nie takie znowu z niej maleństwo! dumał James, wodząc wzrokiem po jej zdumiewająco obfitych kształtach. W Gunnisloe wydawała się całkiem normalnie zbudowana, raczej drobna. Jamesowi przypomniało się, jak pod prostackim dotknięciem Juda Moody'ego suknia opięła się na piersiach Verity, gdyż licytator chciał jeszcze bardziej podniecić rozochocony tłum. Wydawała się wówczas bardzo kształtna, bynajmniej nie otyła. Ale teraz...

Boże święty! Ta idiotka wciągnęła na siebie wszystko, co tylko mogła! Wkładała suknię za suknią, aż stała się równie szeroka, jak wysoka. Istna cebula!

- Nieważne, czy ten dokument ma znaczenie prawne, czy nie - odezwał się wreszcie James. - Złożyłem na nim mój podpis, więc jestem zobowiązany... - Omal nie powiedział zmuszony- ... do wzięcia na siebie odpowiedzialności za ciebie... kuzynko Verity. Chciałbym więc, zanim stąd umkniesz, wiedzieć dokładnie, jak ciężkie brzemie zobowiązań na mnie spoczywa.

Przechyliła głowę na bok i zmarszczyła brwi w grymasie zdumienia.

- Nie mam żadnych... zobowiązań, które musiałbyś spłacać,  
milordzie - odparła.

- Miło mi to słyszeć. Kamień spadł mi z serca.

- Więc mogę odejść?

James westchnął z teatralną przesadą.

- Łaskawa pani! Gdybym pozwolił ci błąkać się po nocy po terenie zupełnie ci nieznanym, jak mógłbym być pewny twego bezpieczeństwa?! Księżyc nie świeci, deszcz chyba nadal leje, a ty nie masz pojęcia, dokąd zmierzasz. Może ci się przydarzyć nie wiedzieć co! Powiedzmy... runiesz z nadbrzeżnej skały i utoniesz w rzece. - Obrzucił wzrokiem jej sztucznie pogrubioną postać. - Do diabła! Choćbyś tylko upadła na ziemię w tych wszystkich kieckach, nie podniesiesz się o własnych siłach. Sturlasz się po zboczu jak przewrócony żółw!

Kupa żarzących się na kominku węgla osunęła się i snop iskier oświetlił na sekundę twarz Verity. James mógłby przysiąc, że kąciki jej ust zadrgały ze śmiechu.

- Albo wlecisz do szybu jakiejś opuszczonej kopalni - ciągnął dalej - i skręcisz kark. - Rodzący się na ustach Verity uśmiech zgasł. Wargi zacisnęły się w posępną linię. - Albo napadną cię pijani górnicy, którzy nie uszanują twojej cnoty, a może i życia.

Na te słowa Verity wyraźnie zbladła.

- Gdyby się coś takiego wydarzyło, to będzie moja strata i wyłącznie moja wina. Nikogo za to nie obwinia!

- Owszem. Mnie - odparł James.

- A to czemu?!

Wyjął z kieszeni akt sprzedaży i pomachał nim przed nosem Verity.

- Czy nie podpisałem tego dokumentu, łaskawa pani? -zagrzmiał. - Czy nie wzięłem na siebie odpowiedzialności za twój los?! Krucho by było ze mną, gdyby ci się przytrafiło jakieś nieszczęście, póki jesteś pod moją opieką!

Spojrzała nań z nienawiścią przymrużonymi oczyma, ale James ujrzał w nich także niepewność i zmieszanie - wyraźnie widoczne jak pożar w ciemną noc. Verity nie wiedziała już, co począć.

On zresztą także. Może puścić ją, niech idzie, dokąd chce?... To byłoby doprawdy najlepsze rozwiązanie. Czemuż się uparł grać rolę błędnego rycerza?! Jakież to absurd! Omal nie wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, jeśli masz się dokąd udać... kuzynko - dodał szyderczym tonem - gdzie bym śmiał zatrzymywać cię siłą w Pendurgan! Byłoby to z mojej strony wdzieranie się w cudze sprawy. Niewybaczalne. Niczym nie usprawiedliwione. Czy nazbyt pochopnie podjąłem się roli opiekuna? Zatem przepraszam. Może masz przyjaciół albo rodzinę w tych okolicach? Jeśli tak się sprawy mają, rano odwiozę cię do nich z najwyższą radością. Nie musisz udawać się tam na własną rękę i po nocy.

Spuściła wzrok. Wpatrywała się teraz w noski swych bucików. Ha! Zbił ją z tropu! Punkt dla niego.

- Masz się dokąd udać? - nalegał.

Nadal wpatrywała się w palce u nóg. W końcu podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie, milordzie - odparła cichym głosem. - Nie znam nikogo w Kornwalii.

Coś w jej zachowaniu - jej duma? jej odwaga? - prowokowały Jamesa do drażnienia się z nią. Chciał ją zmusić, by przyznała się do własnej porażki.

- Wobec tego - powiedział głosem pełnym ironii - może masz przyjaciół w dalszych stronach i to do nich zamierzałaś się udać? Wynając w mieście powóz na resztę podróży?

- Nie, milordzie.

- Żadnych przyjaciół ani krewnych, którzy udzieliliby ci schronienia?

- Nie, milordzie.

- No cóż... - James postukał się palcem po brodzie i zmarszczył brwi.

- Wobec tego nie ma chyba innego wyjścia... Ale nie! Zamierzasz może zatrudnić damę do towarzystwa i kupić sobie jakiś domek, by wieść samodzielne życie? Czy tak to sobie zaplanowałaś, szanowna pani Osborne?

- Nie, milordzie.

- Mówiąc otwarcie: czy masz jakie zasoby finansowe, umożliwiające niezależną egzystencję?

- Nie, milordzie.

- Tak właśnie myślałem! Gdybyś je miała, twój mąż by je sobie przywłaszczył, nieprawdaż?

- Tak, milordzie.

- Wobec tego, łaskawa pani, coś ty właściwie zamierzała zrobić? Po kiego diabła wybrałaś się nocą na zwiedzanie Kornwalii?!

- Chciałam dotrzeć z biegiem rzeki do najbliższego miasta - odparła, starając się zachować godność mimo cebulaste-go przebrania.

- Do Bodmin?



- Chyba tak.

- I cóż zamierzałaś tam robić? - dopytywał się.

- Poszukać jakiegoś zajęcia... jakiejś posady. Kiedy już zarobię trochę pieniędzy, zacznę spłacać swój dług, dwieście funtów.

Co u diabła?!

- Słucham?

- Dwieście funtów, które za mnie... zapłaciłeś, milordzie.

- Boże święty! Co ty gadasz, kobieto?! Nie jesteś przecież zgodzoną służką, która pobrała zaliczkę! Niech cię głowa nie boli o te dwieście funtów!

- Nie chcę mieć wobec ciebie żadnych długów, milordzie - oświadczyła. - Zwrócę ci wszystko. Choćbym miała spłacać do końca życia, oddam co do grosza!

James cmoknął językiem i pokręcił głową. Niemądra, unosząca się honorem kobieta! Jak ona to sobie wyobraża?

- Czy nie masz ani szczypty rozumu, moja pani Osborne?! Po pierwsze, nie dałem tych pieniędzy tobie, tylko twemu mężowi. Ty nie zaciągnęłaś u mnie żadnych długów. Możesz stąd odejść albo pozostać, jak sobie życzysz.

Zrobiła wielkie oczy. Czego się spodziewała? Że będzie ją trzymał pod kluczem?! Ależ oczywiście! Właśnie tak to sobie wyobrażała. Inaczej nie wykradałaby się po nocy jak złodziej... w stroju handlarki starzyzną!

- A po drugie - kontynuował coraz głośniej, w miarę jak rosła jego irytacja - w tych ciemnościach trafiłabyś do rzeki tylko wówczas, gdybyś spadła z urwistego brzegu. W promieniu co najmniej pół mili nie ma

nigdzie łagodnego zejścia do wody. A w Pendurgan skały są całkiem pionowe.

Verity gryzła dolną wargę i James widział, że znowu nie wie, co począć.

- Posłuchaj... - powiedział ze znużeniem. - Jeśli naprawdę chcesz się dostać do Bodmin, odwiozę cię tam rano. Nie doradzam takiego rozwiązania, ale zrobimy tak, jak sobie życzysz. Nie zapominaj jednak o tym dokumencie - dodał, klepiąc się po kieszeni. - Wiedz, że traktuję sprawę poważnie. Czuję się odpowiedzialny za ciebie. Wolałbym, żebyś została w Pendurgan. Byłbym wówczas pewny, że jesteś bezpieczna.

- Została... jakim charakterze? - spytała.

- Słucham?

- W jakim charakterze miałabym tu zostać? Jako twoja służąca, milordzie? A może twoja... twoja...

- Moja kuzynka! - warknął. Tracił już cierpliwość. - Powiadomiłem już całą służbę, że jesteś moją daleką krewną w trudnej sytuacji materialnej. W dodatku w świeżej żałobie. Będiesz traktowana z odpowiednim szacunkiem, jak długo pozostaniesz w Pendurgan.

Wpatrywała się w niego wielkimi, sarnimi oczyma. Najwyraźniej nie wierzyła w ani jedno słowo.

- I to wszystko? - spytała. W jej głosie była nutka wyzwania. - Uboga krewna, która stara się być użyteczna?

- Jeśli tak to sobie wyobrażasz, kuzynko.

- I niczego poza tym nie oczekujesz ode mnie, milordzie? Naprawdę niczego?

James zmierzył wzrokiem od stóp do głów i z powrotem jej sztucznie zaokrągloną postać.

- No cóż - powiedział. - Poczekamy, zobaczymy... Nieprawdaż?

Verity siedziała skulona przy ogniu w ogromnym fotelu z narożnikami, owinięta w gruby pled. Szarawe światło poranka przesączało się przez szczeliny w ciężkich zasłonach. Nareszcie zaświtał nowy dzień! Pora odejść.

Po nocnej rozmowie z lordem Harknessem podreptała z powrotem do swej sypialni zdezorientowana i skonfundowana. Gotowa była jednak skorzystać z szansy, którą jej zaoferował. Deszcz bębnił w szyby. Od czasu do czasu rozlegał się huk pioruna. Odbijał się echem o stare kamienne mury i wstrząsał fundamentami. Po jakimś czasie Verity wyciągnęła się na łóżku, by przespać choć kilka godzin. Zmęczenie zapewne ją zmoгло, gdyż zapadła w sen.

Dręczyły ją koszmarne wizje tłumów walących w kociołki, łypiących oczyma, nacierających na nią - bliżej, bliżej, coraz bliżej! Wreszcie zbudziły ją własne krzyki. Po dwóch takich straszliwych majakach Verity dała za wygraną i przeniosła się na fotel. Siedziała tam i snuła fantazje na temat nowego, samodzielnego życia, jakie będzie wiodła. Ale jej myśli uparcie powracały do właściciela Pendurgan.

Lord Harkness był niesłychanie intrygujący i nieco przerażający; być może jedno spletało się z drugim. Ubiegłego wieczora siedziała spięta na tym samym fotelu przy kominku - pewna, że baron zaraz się zjawi. Nadal nie wiedziała, czemu ją kupił. Nie miała jednak wątpliwości, że kierują nim nieczne motywy. Oczekiwała więc, że zjawi się w nocy w jej sypialni.

A jednak zostawił ją w spokoju.

Bawił się z nią w kotka i myszkę! Widać podejrzewał, że Verity spróbuje w nocy wymknąć się z domu. Po cóż by inaczej czał się w bibliotece o tak nieprawdopodobnej porze? Siedział tam przez te wszystkie godziny niewzruszony jak głaz, jakby się jej spodziewał. I zawołał ją po imieniu, chociaż przez drzwi biblioteki nie mógł jej przecież zobaczyć! Skąd wiedział, że to właśnie ona?...

Gdy weszła do pokoju, wyglądał prawie jak duch: ciemna sylwetka na tle płonącego ognia. W takim oświetleniu Verity nie mogła zobaczyć prawie nic oprócz zarysu agresywnej szczęki i jakby sennego nachylenia głowy. Ale nawet po ciemku była pewna, że usta barona wykrzywione są pogardliwym uśmiechem. Otaczała go niewidoczna, ale doskonale wyczuwalna aura gryzącej ironii.

Verity podniosła się z fotela, rozprostowała zeszywniałe mięśnie i podeszła do okna. Odciągnęła ciężkie zasłony i przekonała się, że dzień naprawdę już zaświtał. Od wschodu na perłowoszarym niebie widniały blad różowe smugi. Zerknęła niżej i widok, który ukazał się jej oczom, zaparł jej dech w piersi.

To przecież nie mogło być to samo kamienne pustkowie, przez które ją wieziono ubiegłego wieczora! Krajobraz roztaczający się przed nią był pełen soczystej zieleni i drzew. Obrzeżone kwietnym rabatami trawniki opadały rzędem tarasów od domu w dół stoku, w najbliższym zaś otoczeniu dworu widniały wielkie kępy drzew; część z nich nie straciła jeszcze swej jesiennej szaty.

Gdyby nie wczorajsza wieczorna rozmowa z pokojówką, Verity bez trudu uwierzyłaby, że cała podróż do Kornwalii była koszmarnym snem, a ona znów znajduje się w Berkshire.

Gdyby reszta Kornwalii wyglądała podobnie jak to miejsce, nie zaś jak jednolicie szare granitowe miasteczko, w którym odbyła się licytacja, Verity z prawdziwą radością rozpoczęłaby tu nowe życie.

Jej kufer nadal stał u stóp łóżka. Ubrania, które zwinęła w węzełek lub wciągnęła na siebie w nieudanej próbie ucieczki, leżały w kącie sypialni, gdzie cisnęła je po powrocie. Verity rozwiązała tłumoczek i zaczęła wrzucać rzeczy z powrotem do kufra. Ciche stukanie do drzwi przerwało jej tę pracę. Przypomniała jej się dziwaczna kobieta w czerni, która zjawiała się wczoraj wieczorem: Verity zamarła.

Do pokoju weszła jednak mała pokojóweczka imieniem Gonetta. Powstrzymywane powietrze uwolniło się z płuc Verity z głośnym sykiem.

Służąca dygnęła. Oczy miała spuszczone.

- Przyszła żem popatrzeć, czy sie paniusia już zbudziła -wyjaśniła. - I przyniesłam gorące wode. - Podeszła do umywalki i znów postawiła na niej mosiężny dzbanek. Sprawdziła temperaturę wody i aż jęknęła. - Ojejku! Już wziena i wystygła! Alem zamarudziła po drodze!

Spojrzała na Verity z wyrazem takiej rozpacz, że wydawało się, iż zaraz rozplynie się we łzach.

- Musiałam... Widzi paniusia, przódzi żem zajrzała gdzie indziej... Nie powinnam była, wiem! Bardzo paniusie przepraszam. Zara przyniese inszej, gorącej wody!

- Nie kłopot się! Ta będzie w sam raz.

- To żaden kłopot! - zapewniała dziewczyna. Mówiła jakimś piskliwym, nienaturalnym głosem.

- Dziękuję ci, Gonetto, ale ta woda nada się wyśmienicie -odparła Verity. - To ładnie, że mi ją przyniosłaś.

Gonetta podniosła wzrok i zobaczyła, że Verity wrzuca dalsze części garderoby do kufra.

- Ejże! - rzuciła z przestachem - Co sie tu wyrabia? Paniusia chce od nas odjechać?

- Tak, Gonetto, wyjeżdżam stąd. Lord Harkness zgodził się odwiedzić mnie dziś do Bodmin. Doszłam do wniosku, że wolę sama zarabiać na życie niż... niż być na łasce u mego... krewniaka. - Nie miała pojęcia, czemu się usprawiedliwia przed tą młodziutką służącą. Nie musiała jej przecież niczego wyjaśniać. Ale słowa same się jej wyrwały.

- Och... - westchnęła Gonetta z nieopisaną rozpaczą. - Straśnie mi żal, paniusiu! Okropnie!... Pomogę z tymi ubraniami, co?

Stała przed kufrem i wyciągnęła z niego pomietą suknię. Strzepnęła ją, by wygładzić fałdy, i odwróciwszy się do szafy, zawiesiła w niej ubranie. Kiedy to samo powtórzyło się z dwiema następnymi sukniami, Verity położyła dziewczynie rękę na ramieniu, by ją powstrzymać.

- Gonetto! - powiedziała z naciskiem. - Ja tu nie zostaję, tylko wyjeżdżam. Ubrania mają iść do kufra, nie do szafy!

Pokojóweczka popatrzyła na Verity i twarz skrzywiła się jej do płaczu.

- Ojej, paniusiu! - zawodziła. - Przepraszam, z całego serca przepraszam. To ino bez to, że... że...

Zwiesiła głowę, ukryła twarz w dłoniach i rozsłochała się na dobre.

Wielki Boże! Cóż to miało znaczyć?

W normalnej sytuacji Verity bez wahania objęłaby dziewczynę ramionami i starała się ją pocieszyć. Ale ani to miejsce, ani okoliczności z

pewnością nie były normalne. Nie ufała nikomu w Pendurgan. Mógł to być jakiś podstęp, by odwieść ją od decyzji.

A jednak dziewczyna wydawała się naprawdę zmartwiona. Łkania wstrząsały całą jej drobną postacią. To z pewnością nie mogło być udawanie!

Po chwili niezręcznej ciszy Verity dotknęła ramienia Gonetty i podprowadziła ją do łóżka. Skinieniem głowy dała znak, by zrozpaczona dziewczyna usiadła na jego skraju.

- A teraz - powiedziała z pewnym zakłopotaniem - powiedz mi, o co chodzi? Mam nadzieję, że nie zrobiłam ci niechcący jakiejś przykrości?

- Wcale nie idzie o paniusie!

- Ach, tak?...

Gonetta podniosła na nią oczy.

- Ojej, paniusiu!... Znowu coś chlapnęłam! Nie miałam na myśli nic złego. Straśnie mi żal, że paniusia wyjeżdża, naprawdę! Od razu mi paniusia przypadła do serca... Tak się cieszyłam, że będę paniusi usługiwać... Ino nie chodzi o to. Widzi paniusia... Widzi...

Łzy ją dławiły i nie mogła mówić dalej. Verity odstąpiła nieco. Czowała się wyjątkowo głupio. Pozwoliła dziewczynie wypłakać się. Była już pewna, że to prawdziwe zmartwienie, a nie żadne oszustwo. Co też mogło doprowadzić dziewczynę do takiej rozpacz?

Kiedy spazmatyczne łkania Gonetty przeszły w cichy płacz, Verity powiedziała:

- Powiedz mi, proszę, o co chodzi? Co cię tak trapi? Gonetta podniosła wzrok, otarła nosek rękawem i dostała czkawkę.

- Musze płakać, paniusiu - odezwała się w końcu drżącym głosem. - Chodzi o Daveya, to mój mały braciszek. Straśnie sie rozchorował i matula mówi, że pewnikiem umrze... Jemu idzie na piąty roczek, paniusiu! Zawsze był z niego taki nieusłuchany gówniarz... Bardzo paniusie przepraszam. Nie mogę patrzeć, jak taka kruszyna choruje i umira... Nie nasz Davey!

Szłochy dziewczyny rozdzierały Verity serce.

- A co mu dolega, Gonetto? - spytała łagodnie.

- Dostał chyba błonicy, paniusiu. Coraz z nim gorzej i gorzej. Nic mu już nie przechodzi bez gardła. I taki strasznie rozpalony...

- A co mówi doktor, Gonetto? - spytała Verity. - Czy dał Daveyowi lekarstwa na gardło i na obniżenie gorączki?

- Ni ma u nas tera nijakiego dochtora, paniusiu! - jęknęła rozpaczliwie Gonetta. - Nasz dochtor Trefusis wyjechał do Penzance. Znaczy sie, do swoich krewniaków, czy jak tam. Ni ma nikogój, kto by uleczył nasze niebożątko!

- Nikogo? Naprawdę nie ma nikogo? - dopytywała się przerażona Verity. - Może we wsi jest felczer?

Gonetta pokręciła głową.

- Albo przynajmniej jakaś zielarka w okolicy? Gonetta zmarszczyła brwi i spojrzała tak, jakby nie rozumiała, o czym mowa. Potem zaprzeczyła. Verity westchnęła.

Jak powinna postąpić? Czy może stać z boku i pozwolić, by dziecko straciło życie z powodu ludzkiej ignorancji? Verity znała się całkiem dobrze na ziołach i wiedziała o rozmaitych środkach, które mogły pomóc chłopczykowi.



Gdyby jednak zaczęła bawić się w lekarza, opóźniłoby to jej wyjazd z Pendurgan. Na niczym jej tak nie zależało jak na wyjeździe stąd!

Tak... ale wówczas dziecko zapewne umrze.

- Jak go sami kurujecie? - spytała.

- Ino go ciągiem obmywamy zimną wodą, coby go tak ciałko nie paliło... i dajemy herbaty z miodem, bo to jeszcze czasem łyka.

Tego rodzaju „leczenie” mogło co najwyżej ulżyć dziecku doraźnie. Nie dano mu nic na obniżenie gorączki ani na ropne zapalenie gardła.

Dobry Boże, jak powinna postąpić?

- Chyba mam coś, co mu pomoże - powiedziała w końcu. Nie mogła pozwolić, by dziecko umarło! Gonetta zrobiła wielkie oczy. - Czy wczoraj, jak rozpakowywałaś mój kufer - spytała ją Verity - zauważyłaś takie małe, muslinowe woreczki?

- Te tam... saszetki, paniusiu? Włożyłam toto po jednej do każdziutkiej szuflady, żeby ładnie rozpachniły panine rzeczy!

Verity uniosła brew i omal się nie roześmiała. Saszetki, rzeczywiście! Niektóre z tych ziół cuchnęły aż strach. Ładnie by jej „rozpachniły” rzeczy!... Powyciągała szuflady i grzebała w nich, póki nie odnalazła wszystkich swoich torebek z ziołami.

- Czy kucharka ma więcej świeżego miodu w spiżarni, Gonetto?

- No pewnie! - odparła dziewczyna, obrzucając Verity zdumionym spojrzeniem swych podpuchniętych, zaczerwienionych oczu. - A bo co?

- Z tego... i z tego - wyjaśniła Verity, podnosząc jeden, a potem drugi z woreczków - mogę z odrobiną miodu zrobić syrop, który pomoże twojemu braciszкови.

- Naprawdę? - dopytywała Gonetta z oczyma jeszcze większymi ze zdumienia. - Zrobi mu się lepiej? Nie umrze?!

Verity dobierała słowa bardzo ostrożnie, nie chcąc budzić fałszywych nadziei.

- Nie mogę niczego obiecywać. Rozumiesz, prawda? Wszystko zależy od tego, jak bardzo choroba się rozwinęła. Ale do tej pory moje napary z hyzopu i syrop z szanty zawsze skutkowały.

Teraz, gdy Verity podjęła już decyzję, zależało jej na tym, by jak najprędzej przystąpić do działania. Może wyjazd z Pendurgan nie opóźni się aż tak bardzo! Z pomocą Gonetty szybko się ubrała i piętnaście minut później pochylała się już nad małym, piegowatym Daveyem.

Leżał opatulony w matczynym łóżku w służbówce. Włosy miał tak samo rude jak jego siostra. Verity bez trudu wyobraziła sobie, jaki musiał być z niego „nieusłuchany gówniarz”. Ale nie w tej chwili. W gardle ją ścisnęło, kiedy badała chore maleństwo. Gonetta trzymała świeczkę tuż przy twarzy braciszka, a Verity otworzyła mu buzię i zajrzała do gardła. Było czerwone jak ogień, ale nie dostrzegła białych plam. Mimo to dziecko płonęło z gorączki i ledwie mogło oddychać. Verity miała nadzieję, że nie jest już zbyt późno na kurację.

Stara kobieta z Lincolnshire, która niegdyś dzieliła się z Verity swą wiedzą o ziołach, bardzo często powtarzała, że na jedną chorobę przeważnie jest wiele leków. Verity pokazała więc pani Chenhalls - matce Daveya, a zarazem dworskiej kucharce - jak powinna nacierać nóżki synka gorącą wodą, gardło zaś owinać mu wełną. Dało to zaniepokojonej kobiecie pożyteczne zatrudnienie, a Verity zajęła się ziołami.

Ponieważ kucharka miała już pełne ręce roboty, Verity zwróciła się o pomoc do pani Tregelly. Gospodyni zaprowadziła ją do staromodnej, wysoko sklepionej kuchni. Prawie całą ścianę zajmował ogromny kominek, wyposażony w wielki ruszt i szereg przesuwanych haków, na których można było powiesić kociołki nad niezbyt wysokim, wesoło trzaskającym ogniem.

Obie kobiety ogołociły niemal całą spiżarnię z miodu. Kiedy pani Tregelly ściągnęła z jednej z wiszących półek kilka wielkich garnków, pozostałe rozkołysały się i rozbrzęczały.

Verity skamieniała.

Poczuła zimny wiatr na twarzy, na szyi zaś ucisk rzemiennej pętli, zaciśniętej mocnym szarpnięciem licytatora. Wrzask tłoczących się wokół podwyższenia widzów był niemal ogłuszający. Tłum nacierał na nią, atakował ją przy wtórze przeraźliwego brzęk! brzęk! brzęk! Był bliżej, coraz bliżej... nie mogła już oddychać...

- Co się stało, pani Osborne?

Słowa gospodyni przerwały zły czar. Ręka Verity przyciśnięta była do gardła, które owiązano rzemienną pętlą. Nie wróciła jeszcze całkiem do przytomności i ze zdziwieniem rozglądała się po najzwyklejszej w świecie kuchni. Szare oczy gospodyni patrzyły na nią z niepokojem.

- Dobrze się pani czuje?

Verity odetchnęła z trudem, potem nieco głębiej i wreszcie otrząsnęła się z koszmaru.

- Tak, zupełnie dobrze, pani Tregelly.

Garnki napełniono wodą i postawiono na bardziej nowoczesnym kuchennym trzonie, który dziwnie kłócił się z resztą staroświeckiej,

liczącej sobie kilkaset lat kuchni. Verity otworzyła jeden z muślinowych woreczków i pociągnęła nosem, by upewnić się, czy to na pewno hyzop. Wsypała niewielką ilość do jednego z kipiących już garnków, by przyrządzić napar. Do innego dodała szantę - składnik miodowego syropu. Dla pewności dosypała też szczyptę szanty do naparu.

Wszystkie te czynności mogła wykonać niemal mechanicznie dzięki długoletniej praktyce. Jednak tym razem skoncentrowała uwagę na każdym szczególe doskonale jej znanego procesu. Suszone zioła należało drobniuteńko pokruszyć, zachowując jak najściślejszą proporcję między liśćmi a koszyczkami kwiatów; potem sprawdzić zapach przygotowanego naparu, który świadczył o właściwej dawce szanty. Te nieskomplikowane i na szczęście doskonale znane czynności pozwoliły Verity odpędzić od siebie niepokój, wywołany odłożeniem wyjazdu z Pendurgan. W roli zielarki była opanowana i pewna siebie.

- Mam nadzieję, że to pomoże dzieciakowi - mówiła pani Tregelly. - Straszny z niego urwis, tylko by psocił, ale jakież to kochane maleństwo! Wszyscy byśmy rozpaczali, gdyby mu się zmarło. - Zmarszczyła nos: kuchnię wypełnił odór podobny do kamfory.

- Zrobię, co w mojej mocy - zapewniła Verity, wpatrując się w drugi garnek, w którym ciecz właśnie zakipiała.

- Cale nasze szczęście, że pani akurat tu jest! - ciągnęła dalej gospodyni. - Zwłaszcza że doktor wyjechał i w ogóle... Że też wzięła pani ze sobą te wszystkie zioła!

- Rzeczywiście... - odparła Verity z pewnym roztargnieniem, gdyż wpatrywała się w kipiący w garnku hyzop. - Wrzuciłam je do kufra, bo nie wiedziałam... - Omal nie zakończyła: „... na jak długo wyjeżdżamy z domu

z Gilbertem", ale ugryzła się w język i wymamrotała: - ... czy się przypadkiem nie przydadzą.

- Skąd pani się tak zna na leczeniu, pani Osborne? - spytała gospodyni.

- Właściwie to nie na leczeniu, pani Tregelly. Ale znam się na ziołach, a wiele z nich ma lecznicze właściwości.

- Obawiam się, że bardzo niewiele wiem o ziołach - wyznała starsza kobieta. - Nasza kucharka hoduje w ogródku jakieś zielsko, przydatne do gotowania. Ja sama używam lawendy, szalwii i różnych tam takich do odświeżenia powietrza w domu i żeby pościel ładnie pachniała. Ale na tym kończy się cała moja wiedza o ziołach. Szkoda.

- Może kucharka ma w swoim ogródku jakieś lecznicze zioła?

- Może i ma - odparła pani Tregelly. - Ale pewnie sama o tym nie wie. Inaczej przyrządziłaby z nich leki dla swojego synka.

- Paniusia nauczy nas, czego trzeba!

Verity spojrzała znad garnka z odparowywaną właśnie szantą w proszące oczy Gonetty, która w tej chwili weszła do kuchni. Potrząsnęła głową.

- Proszę - powiedziała, nalewając napar z hyzopu do filiżanki. - Zanieś to braciszкови. Dopilnuj, żeby wypił, ile tylko zdoła. Pewnie mu to nie przypadnie do gustu, ale niech wypije jak najwięcej.

Gonetta popędziła do pokoju chorego braciszka z filiżanką ziołowego leku. Nakryła ją dłonią, by nie wychłapać zawartości.

Verity zaczęła ucierać odparowaną szantę z miodem, a pani Tregelly przyglądała się temu z zainteresowaniem.

- Pachnie równie mocno jak napar, nieprawdaż? - zauważyła Verity.

- Ale z miodem łatwiej przejdzie mu przez gardło. Po naparzę z hyzopu Davey chętnie skosztuje czegoś słodkiego.

- Netta miała rację.

- W jakiej sprawie?

- Mogłaby nas pani nauczyć tego i owego o ziołach. Byłybyśmy ogromnie wdzięczne. Bóg raczy wiedzieć, kiedy doktor Trefusis wróci!

Verity potrząsnęła głową i nadal ucierała szantę z miodem.

- Bardzo mi przykro - odparła cicho. - Nie zabawię tu długo. Pani Tregelly była wyraźnie zawiedziona, ale nie nalegała. Po kilku minutach do kuchni wpadła Gonetta.

- Pije lekarstwo! - wykrzyknęła. - Wybrzydza, ale matula nie ustępuje i już prawie wszystko w niego wlała!

- Doskonale - odparła Verity. - A teraz znajdź jakiś słoiczek albo garnuszek na syrop. Zobaczymy, co jeszcze zdołamy wlać Daveyowi do buzi.

Kiedy wróciły do pokoju chorego, pani Chenhalls uśmiechnęła się przez łzy do Verity.

- Z serca dziękuje paniusi za mego chłopca! - powiedziała. - Widzita? Od razu lepiej oddycha! Nie rzezi tak. Tera już na pewno wydobrzeje, prawda?

Verity pochyliła się nad łóżkiem i dotknęła policzka chłopca. Był wykąpany i ciepło opatulony. O wiele za wcześnie na stwierdzenie, że kuracja poskutkowała. Po prostu kamforowe opary unoszące się z nad ziołowej herbatki udrożniły nieco układ oddechowy. Ale poprawa była chwilowa, nie radykalna.

- Niczego nie mogę obiecać, pani Chenhalls. Te lekarstwa powinny sprawić Daveyowi ulgę i ułatwić mu oddychanie. Ale nie chciałabym budzić fałszywych nadziei. Nie mogę ręczyć za wyzdrowienie. To bardzo chory chłopczyk. Musimy po prostu czekać. I proszę dopilnować, by zażył łyżeczkę tego syropu. Napar trzeba mu podawać co godzina. I koniecznie trzymać go w cieple! A syrop - łyżeczka od herbaty co trzy godziny. Gdyby mu to nie pomogło, spróbujemy innej kuracji.

- Dziękuję paniusi! - powtórzyła pani Chenhalls. - Dziękuję! Jakem ja szczęśliwa, że taki anioł zjawił się u nas! Gras e the Dhew. Drusona!

Verity spojrzała pytająco na córkę kucharki, ale Gonetta nie odwzajemniła spojrzenia. Wyjaśniła szeptem:

- Matula dziękuje Bogu, że nam paniusie zesłał.

- Chodźmy - powiedziała Verity, pragnąc się wyzwolić od targających nią uczuć. - Objaśnię i tobie, i pani Tregelly, jak przygotowywać te leki, żebyście dbały o Daveya, kiedy stąd wyjadę.

Gonetta ruszyła za nią bez słowa. Kiedy Verity podawała dokładne instrukcje dotyczące przyrządzania naparu i syropu, dziewczyna kiwała tylko głową. Pani Tregelly robiła dokładne notatki.

- Największy kłopot będzie z hyzopem - stwierdziła Verity. - Szanty mam dość i mogę wam zostawić ile trzeba. Do syropu dodaje się jej tylko odrobinę. Ale hyzopu niewiele mi zostało. Jak myślisz, Gonetto, czy twoja matka ma go w swoim ogródku?

- A bo ja wiem? Nawet bym tego ziela nie poznała!

- Ale ja tak - odparła Verity. - Chodźmy sprawdzić! Gonetta zaprowadziła ją do małego, bardzo porządnie utrzymanego ogródka tuż za kuchnią. Rosły tam: rozmaryn, szalwia, pasternak, koper zwykły i włoski,

tymianek, piołun, lubczyk, wrotycz i werbena. Verity obiegnęła wzrokiem grządki w poszukiwaniu dobrze jej znanych, wysokich łodyg hyzopu. I rzeczywiście były tu - obok swych kuzynek: mięty zielonej i pieprzowej.

- Popatrz, Gonetto - powiedziała Verity, urywając liść i rozcierając go w palcach. - Masz tu wszystko co trzeba. To jest hyzop, potrzebny do gorących naparów. Ja użyłam suszonych liści. Ty użyjesz świeżych, więc musisz dać podwójną porcję. Będziesz o tym pamiętała?

- Chiba nie - odparła Gonetta z wyraźną pretensją w głosie. - Powinna paniusia zostać! Będzie wtedy więcej czasu, to i nauczy nas paniusia jak się patrzy. Bo jak nie, to jeszcze się która pomyli i zrobi coś okropnego... Proste z nas ludzie, nie takie kształcone, jak nie przymierzając paniusia! Trza nam paninej pomocy, bo tu ni ma doctora, i w ogóle.

Verity z najwyższym trudem oparła się płaczącej prośbie dziewczyny. Chciała jej pomóc, naprawdę chciała, gdyż zdążyła się już - nie wiedzieć kiedy - przywiązać do Gonetty. Nie mogła też zapomnieć pełnego wdzięczności i ufności spojrzenia pani Chenhalls.

Ale mimo wszystko nie mogła spełnić ich życzenia. To było niemożliwe!

- Zrozum, Gonetto - powiedziała, nie patrząc na dziewczynę. - Nie mogę tu zostać. Opuszczam Pendurgan, jak ci już mówiłam. Choćby dziś, jeśli zdążę się spakować i odnajdę jego lordowską mość.

- Wcale paniusia nie musi stąd wyjeżdżać! Nie tak od razu! Może paniusia zostać, póki Davey nie stanie na nogi!

- Och, Gonetto!



Verity zebrała wszystkie siły, by nie załamać się pod błagalnym spojrzeniem dziewczęcych oczu. Naprawdę musiała opuścić Pendurgan. Znaleźć się jak najdalej od lorda Harknessa, który - zły czy dobry - budził w niej dziwny niepokój.

- Zlituj się, paniusiu! Braciszek mi zemrze, jak paniusi z nami nie będzie. Wszyscy paniusi potrzebujemy! Pani Osborne! Paniusiu złota! Nie opuszczaj nas!

- Dajże spokój, Gonetto...

- Zostań z nami, paniusiu! Nasz pan nie będzie się o to zły. Prawdę mówię, milordzie?

Verity skamieniała.

- Ależ oczywiście - odezwał się za jej plecami niski głos.

James zaobserwował, że napięte mięśnie pleców i ramion Verity odprężyły się nieco, gdy zdołała opanować swe zakłopotanie. Choć przyglądał się jej się od tyłu, dostrzegł, że wysunęła brodę równie wyzywająco jak wczoraj w nocy. Kiedy odwróciła się twarzą ku niemu, nie zdołał powstrzymać kpiącego uśmiešku.

Znikł on jednak natychmiast, a usta Jamesa rozchyliły się ze zdumienia. Po raz pierwszy widział tę kobietę w pełnym świetle, bez czepka ocieniającego jej twarz, bez ciężkiego płaszcza, bez całej góry fatalaszków, które wciągnęła na siebie ostatniej nocy. Nie miał pojęcia, jak bardzo jest pociągająca! Można było z powodzeniem nazwać ją piękną, choć nie odznaczała się kruchą, złocistą, pastelową urodą, którą nade wszystko podziwiał.

Jej włosy miały intensywną barwę mocnej kawy. Odgarnięte do tyłu otaczały twarz Verity ciemnymi falami. Kilka niesfornych kędziorków

odpadło na kark. Szyja była długa i smukła. Równie pięknej szyi nie należy zasłaniać wstążkami czepka, a tym bardziej krępować rzemienną pętlą! Usta pełne, nos prosty i czysta, gładka cera, przywodząca na myśl śmietankę z Devon - najlepszą na Wyspach Brytyjskich. Ogromne brązowe oczy (które w tej chwili spoglądały groźnie na zagapionego niczym uczeń Jamesa) obramowane były długimi rzęsami i osadzone pod doskonałymi łukami brwi. Przywodziły na myśl oczy pięknych Hiszpanek, które przed laty wodziły na pokuszenie żołnierzy z jego regimentu.

James przełknął z trudem ślinę i starał się nie myśleć o tym, od jak dawna obywatel się bez kobiety.

- Czyżby twemu bratu się polepszyło? - zwrócił się do Gonetty, starając się ignorować Verity i wrzenie własnej krwi na jej widok.

- A ino, milordzie! - odparła Gonetta. - Nasza paniusia... znaczy się, pani Osborne, od razu mu pomogła.

- Doprawdy?

- Upichciła mu różności z ziół i w ogóle. Z punktu się poznała, co mu dolega, dała leki. I jak ręką odjął!

- Jeszcze za wcześnie o tym wyrokować - wtrąciła Verity.

- Davey ani chybi tera wydobrzeje! - przerwała jej Gonetta. - Czuje to, o tu! - zapewniła, uderzając się w okolice serca. - Paniusia... znaczy pani Osborne, wylekowała chłopaka, ni ma gadania!

- No cóż... - powiedział James. - To doprawdy wspaniała nowina! Posłałem po doktora do Bodmin. Może gdy tu przyjedzie za kilka godzin, znajdzie chłopca w lepszym stanie, niż sądziliśmy. Wszyscy jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni, kuzynko!

Oczy Verity zwięzły się, gdy nazwał ją „kuzynką”. Nic jednak nie powiedziała. Wyraźnie jej się nie podobała ta komedia z pokrewieństwem, ale jeśli zostanie pod jego dachem, to jako kuzynka, i już! Nie życzył sobie, by służba plotkowała na temat Verity, by uważała ją za „kochanicę Potępieńca”. Z pewnością już sobie strzepili na niej języki!

- W każdym razie - mówił dalej - będzie lepiej, jeśli lekarz porządnie zbada Daveya. Jestem pewien, że chłopcu trzeba puścić krew, by całkiem wydobrzał. Wątpię, by moja kuzynka zechciała się podjąć tego zabiegu...

- Nie pozwolę puścić mu krwi!

Zaskoczony tym wybuchem James spojrzął na Verity i uniósł jedną brew. Jak widać, mimo wyraźnego niepokoju, jaki odczuwała w jego obecności, pewne sprawy od razu zagrzewały ją do walki. Interesujące!

- Davey jest bardzo słaby - dorzuciła Verity mniej wojowniczym tonem. Nerwowo obracała w palcach jakąś roślinę i unikała jego wzroku. - Puszczanie krwi osłabi go jeszcze bardziej i trudniej mu będzie zwalczyć gorączkę.

James spojrzął na nią jak na wariatkę. Cóż to za bzdury?!

- Bardzo mi przykro, kuzynko, ale chłopcu trzeba koniecznie puścić krew.

Spojrzała na niego wojowniczo.

- Jestem innego zdania! - odparła drżącym głosem. - Znacznie szybciej wróci do zdrowia na ziołowych lekach, bez puszczenia krwi!

- Co też ty wygadujesz?! - burknął James. - To największa bzdura, jaką w życiu słyszałem! Czyste zabobony!

Postawa Verity zdumiewała go. Mimo tych nagłych wybuchów temperamentu uważał ją raczej za rozsądną niż za postrzeloną. No tak...

ale z Pendurgan chciała uciekać w ulewny deszcz, ubrana jak cebula!  
Może istotnie brakuje jej piątej klepki. Psiakrew! Tego tylko brakowało!

- Każdy wie, że puszczenie krwi jest niezbędne: oczyszcza ciało pacjenta ze złych humorów - oznajmił tonem, który nawet jemu wydał się oschły i przemądrzały. - Medycy stosują ten zabieg od wieków!

- A większość pacjentów umiera - odparowała Verity.

- Przecież nie z powodu puszczenia krwi!

Znowu spojrzała na niego.

- Skąd ta pewność? - spytała.

Napięcie uwidaczniało się w jej twarzy, w postawie ciała, w ręce, ściskającej kurczowo łodygę, jakby to był oręż.

- Skąd można wiedzieć - mówiła - czy pacjent umiera z powodu trapiącej go choroby, czy też z nadmiernego osłabienia, spowodowanego upływem krwi, skutkiem czego organizm nie może już walczyć? Moja matka... - Urwała nagle. Potem wzięła głęboki oddech i ciągnęła dalej. - Moja matka wykrwawiła się na śmierć... z winy lekarzy. Miała zapalenie płuc. Nie pozwolili jej wrócić do sił, tylko puszczały jej ciągle krew. Puszczały i puszczały, aż wreszcie nie zostało w niej już ani kropelki. Być może i tak by zmarła... ale nic mnie nie przekona, że lekarze nie przyspieszyli jej zgonu przez to wieczne puszczenie krwi!

Głośny szloch Gonetty przerwał tę zdumiewającą przemowę.

- Nasz Davey umrze?... - zawodziła. - Jak dochtor przyjedzie i puści mu krwi, to dzieciak będzie musiał umierać?

Ponad ramieniem Gonetty Verity spojrzała Jamesowi prosto w oczy. Uniosła brwi i posłała mu spojrzenie mówiące wyraźnie: „I ty będziesz temu winien!” Niech to szlag! Jeśli teraz pozwoli, by lekarz puścił

Daveyowi krwi, a dzieciak potem umrze, mordercą znowu okaże się on, James! Splamiony krwią jeszcze jednego niewiniątka.

Boże święty, nie zniesie tego drugi raz!... Lepiej niech ta przemądrzała jędza weźmie na siebie całą odpowiedzialność.

- A zatem, kuzynko - zagruchał słodko - chylę czoła przed twoim doświadczeniem. Ty decyduj!

Zbiło to Verity na chwilę z tropu. Potem jednak skoncentrowała całą swą uwagę na Gonetcie.

- Nie sądzę, by puszczenie krwi Daveyowi w tej chwili było dobrym pomysłem - wyjaśniła dziewczynie. - Znacznie lepiej wzmocnić go najpierw ziołami leczniczymi. Jeśli nie będzie żadnej poprawy, wówczas pomyślimy o innych metodach leczenia.

- Znakiem tego, paniusia zostaje? - Gonetta kuła żelazo, póki gorące.  
- I przypilnuje doctora, żeby nie zrobił jakiego głupstwa?

Ha! Verity złapała się we własne sieci! James domyślał się, jak rozpaczliwie pragnęła stąd uciec. Teraz jej wyjazd byłby dowodem absolutnego braku miłosierdzia. Przyglądał się, jak toczy wewnętrzny bój. Na jej wyrazistej twarzy odbiły się kolejno: bezradność, bezsilny gniew, wściekłość, a wreszcie rezygnacja. Zostaje!

Powinien być zadowolony. Znacznie łatwiej będzie mu opiekować się Verity, jeśli pozostanie pod jego dachem. Dlaczego więc przeklinał się w duchu za to, że nie sprowadził wcześniej doktora, by jego „kuzynka” mogła wyjechać z Pendurgan bez przeszkód?

- Dobrze, zostanę - powiedziała w końcu. Widać było, że ugina się pod nowym brzemieniem. W ciemnych oczach dostrzegł wyraźnie

bezsilny gniew... i łzy, którym nie pozwoliła spłynąć. - Ale tylko do chwili, gdy Davey stanie na nogi.

- Dziękujecie paniusi! Dziękujecie! Dziękujecie! Matula będzie taka rada! Ale paniusia zostanie kapkę dłużej, coby nas wyuczyć wszystkiego o tych tam ziołach! I w okolicy dużo innych ludzi potrzebuje pomocy. Zna paniusia sposób na sztywne stawy i takie różności?

- Chyba tak. Na to jest...

- No to pomoże paniusia naszej babci Pascow! Tak jej to draństwo dokucza, że czasem bidula nie może kroku zrobić. A na bóle brzucha jest jaka rada?

- Owszem, są zioła na dolegliwości gastryczne. Ale...

- Znakiem tego, Hildy Spruggins też paniusia wykuruje. Bidulce brzuch czasem tak dokucza, że strach!... A jak się kto poparzy albo zatnie?... I na siniaki, naciągnięte mięśnie i pęcherze też się znajdzie rada? A co z kolką... albo z puchliną?

Verity westchnęła.

- Leki ziołowe mogą pomóc na wszystkie te przypadłości, ale...

- No bo zawsze się znajdzie ktoś, kto ma takie kłopoty -przerwała jej Gonetta. - Straśnie wiele będzie tego uczenia, nie? Potrwa to, oj, potrwa!

James zachodził w głowę, skąd młodziutka dziewczyna nauczyła się takiego manipulowania ludźmi?! Przyparła Verity do muru, ani się ta obejrzała.

Byłby tym bardzo ubawiony, gdyby nie nagły niepokój, który ogarnął go z taką siłą, jak gorączka małego Daveya. Właśnie skłoniono Verity, by została w Pendurgan na czas nieokreślony.

Wydawała się tak samo rozdarta wewnątrz jak on. W zamyśleniu obgryzała paznokieć. Czoło jej przecinały dwie głębokie zmarszczki.

- No to jak? - dopytywała się natarczywie Gonetta. - Zostaje paniusia u nas?

Verity uniosła ręce w geście poddania. Wyraz jej oczu przypominał spojrzenie żołnierza gotującego się do wymuszonego przez wroga odwrotu.

- Niech będzie - odpowiedziała. - Zostanę. Ale tylko dopóki Davey nie wróci do zdrowia i póki nie przekażę twojej matce i tobie podstawowych wiadomości o ziołach. Oczywiście - dodała z naciskiem - jeżeli jego lordowska mość nie ma żadnych obiekcji.

- Doskonale wiesz, że jesteś tu mile widzianym gościem, kuzynko - odparł James ze zdumiewającym opanowaniem. - Już ci przecież o tym mówiłem.

Verity prychnęła lekceważąco, po czym skupiła całą swą uwagę na roślinach.

- Narwijmy hyzopu - zaproponowała Gonetcie. - Niebawem bardzo się przyda twojemu braciszкови.

James wyciągnął z kieszeni scyzoryk, a Verity ścięła nim pokaźną ilość łodyg hyzopu. Potem zdecydowanym krokiem powiodła ich z powrotem do kuchni. James oparł się o ścianę niedaleko kominka i z rękoma skrzyżowanymi na piersi przyglądał się Verity. Wyjaśniała właśnie Gonetcie, które zioła warto hodować i jak to należy robić.

James nie miał właściwie powodu, by stać tutaj i gapić się na swego gościa. Pracy na dworskich gruntach nie brakowało. Powinien też sprawdzić, jak działa nowa pompa w Wheal Devoran. Prawdę mówiąc,

wiedział doskonale, że należało trzymać się jak najdalej od Verity Osborne. Ale ta kobieta niezwykle go interesowała. Nie był to tylko pociąg fizyczny, chociaż - Bóg świadkiem - tego również nie brakowało. Wargi Jamesa wykrzywiły się w szyderym grymasie: jakież to zgodne z panującą o nim opinią największego łajdaka w okolicy, że zapalał żądzą do pierwszej kobiety, która mu się napatoczyła po raz pierwszy od sześciu lat!

Nie powinien zwracać na nią uwagi. Z tego mogły wyniknąć tylko kłopoty. A mimo to interesowała go.

Zawsze czuł pociąg do subtelnych, kruchych, niezmiernie kobiecych istotek, które budziły w nim uczucia opiekuńcze. Tak właśnie wyglądała Rowena: blondynka delikatna jak majowe kwiecie. Ale Verity nie była ani jasnowłosa, ani szczególnie zwiewna. Niezwykły przypadek sprawił, że James miał wszelkie prawo odgrywać wobec niej rolę obrońcy; ona jednak wcale go do tego nie zachęcała. Pod powłoką niepewności i lęku kryła się niezwykła odwaga i hart ducha. Przekonał się o tym w momencie, gdy „kuzynka” stawiała mu czoło, a potem w chwili, gdy musiała się pogodzić z dłuższym pobytem w Pendurgan. A może podtrzymywała ją nie odwaga, tylko zwykła duma?

Ciekawe, co też mogłoby ją złamać?

W tym właśnie momencie do kuchni - niczym gradowa chmura - wpłynęła Agnes. Zebrała fałdy swej czarnej sukni, jakby obawiała się skazić dotknięciem czegokolwiek w tym pomieszczeniu. James jęknął. Nigdy jeszcze nie widział, by Agnes zapuściła się w te rejony domu. Dlaczego właśnie teraz, na litość boską?!



- Co tu się dzieje? - spytała ze zmarszczonymi brwiami i wykrzywioną z gniewu twarzą. - Gdzie się podziała kucharka?! Czekam od godziny, aż raczy się zjawić u mnie dla omówienia menu! Zmusza mnie do przyjscia... - Rozejrzała się po kuchni z wyrazem niesmaku - ... w takie miejsce! A ty co tu robisz, Jamesie? Zechciej mnie natychmiast poinformować, co się stało.

- Bardzo mi przykro, Agnes, że nikt tego dotąd nie zrobił, ale nie chcieliśmy cię niepokoić - wyjaśnił James. - Davey, najmłodszy syn naszej kucharki, ciężko zachorował.

- No cóż... - Agnes zbyła tę informację niecierpliwym wzruszeniem ramion. - I dlatego wszystko w domu ma się wywrócić do góry nogami? Gdzie się podziała pani Tregelly?

- Czuwa razem z kucharką przy chorym dziecku - odparł James, opanowując się z trudnością. - Czy mam przysłać ją do ciebie, byś mogła z nią podyskutować o menu?

- Oczywiście. - Agnes odwróciła się w stronę Verity, która zapatrzyła na nią jak na ducha. - A ta co tu robi?! - spytała tonem lodowatej pogardy.

Nie było innego wyjścia. Zresztą Agnes musiała prędzej czy później zapoznać się z Verity.

James podszedł do starej damy, ujął ją stanowczo za ramię i podprowadził w stronę półek, nad którymi Verity i Gonetta zawieszały pęczki hyzopu. Agnes opierała się, ale on nie zważał na to.

- Pozwól, Agnes, że ci przedstawię panią Verity Osborne. To moja kuzynka, która przybyła na dłużej do Pendurgan.

Agnes obrzuciła pogardliwym spojrzeniem Verity. Miało się wrażenie, że przygląda się przez lorgnon jakiemuś niegodnemu uwagi insektowi.

- Kuzynko Verity - kontynuował prezentację James - oto moja teściowa, pani Agnes Bobina. - W odpowiedzi na zdumione spojrzenie Verity dodał: - Pani Bodinar jest matką mojej zmarłej żony. Mieszka na stałe w Pendurgan.

Verity szybko się opanowała. Odłożyła zioła i otarła dłonie o spódnicę z niebieskiej wełny. Potem spokojnie wyciągnęła rękę do Agnes.

- Bardzo mi miło, że wreszcie możemy się oficjalnie poznać, pani Bodinar.

James nie rozumiał, co miała na myśli.

- Czyżbyście się już spotkały?

- Pani Bodinar ubiegłej nocy zajrzała do mego pokoju, by mnie powitać w Pendurgan - wyjaśniła Verity, nie odrywając oczu od Agnes.

Dobry Boże! Co też ta Agnes znów nabroiła?

- Wyszła jednak, nim zdążyłam spytać ją, z kim mam przyjemność - mówiła dalej Verity, niezwykle spokojna w obliczu groźnej teściowej Jamesa. Spodziewał się raczej, że będzie się bała Agnes. Starsza pani - Bóg świadkiem - potrafiła jednym spojrzeniem obudzić w każdym paniczny strach! A jednak Verity, choć w pierwszej chwili doznała szoku, zdołała się opanować. Nie drżała na całym ciele, głos się jej nie załamywał.

„Bardzo się cieszę, że wiem już, z kim mam zaszczyt, pani Bodinar. Pragnęłam podziękować osobie, która pierwsza powitała mnie w Pendurgan”.

Verity nie cofała wyciągniętej ręki, choć Agnes miała minę wyraźnie mówiącą: „Wolałabym dotknąć ropuchy!”

- No, no! Kuzynka! Coś takiego!

Agnes wiedziała już zapewne, w jakich okolicznościach Verity przybyła do Pendurgan. Do tej pory wiedziała o tym cała Kornwalia! James był jednak zdecydowany podtrzymywać bajeczkę o ubogiej krewnej. Przynajmniej wśród domowników w Pendurgan.

- Właśnie, moja droga - potwierdził. - Pokrewieństwo nie jest zbyt bliskie, ale zawsze to więzy krwi. Ufam, że potraktujesz kuzynkę Verity z takim samym szacunkiem, jak każdego gościa w Pendurgan.

Agnes bez słowa odwróciła się od Verity.

- Przyślij mi natychmiast panią Tregelly! - rzuciła Jamesowi i zebrawszy fałdy spódnicy, skierowała się ku drzwiom kuchni. Tylko szelest materiału mącił ciszę, która zapadła w obszernym pomieszczeniu. Na progu Agnes odwróciła się i zmierzyła Verity ostrym spojrzeniem.

- Ladacznic! - syknęła i opuściła kuchnię.

To miejsce stawało się jej coraz bliższe. Ogrody w Pendurgan nawet w zimie pełne były skarbów - zwłaszcza dla kogoś, kto znał się na ziołach i innych użytecznych roślinach.

Minęło już pięć dni od przyjazdu Verity do Pendurgan. Ponieważ nie miała innych obowiązków poza kurowaniem Daveya i pogadankami dla Gonetty i jej matki na temat ziołowych leków, nie brakowało jej czasu na zwiedzanie dworskich gruntów. Błądziła, gdzie tylko chciała, po porośniętych trawą tarasach na południowym stoku. Była to najbardziej ozdobna część parku. Stamtąd Verity zbaczała na kręte ścieżki, wijące się wśród gęstych drzew na niżej położonych gruntach, ogrodzonych starym granitowym murem, skąd roztaczał się widok na leżącą w dole rzekę. Na wschodzie znajdowały się sady (przeważnie rosły w nich jabłonie) oraz poletka jesienno-zimowych warzyw.

Choć barwy jesieni coraz bardziej blakły, a wszystkie budynki były z szarego granitu, kryte równie szarym łupkiem, Pendurgan odznaczał się swoistym urokiem.

Tak, to miejsce rzucało na nią coraz potężniejszy czar.

Verity otuliła się szczelniej płaszczem od zimnego wiatru, schodząc po krętej, wąskiej ścieżce na najniższy poziom, który lubiła najbardziej ze wszystkich części parku. Teren był gęsto zadrzewiony. Rosły tu złociste jesiony, dęby, głogi, modrzewie i miedziane buki. Wśród nich wiły się drożynki i niespodziewanie oczom Verity ukazywały się malownicze polanki, przytulne altany, pełne ryb sadzawki lub małe chatki kryte strzechą. Przystanęła na chwilę obok starego gołębnika, by śledzić lot

dwóch białych ptaków, które sfrunęły z gzymsu otaczającego kopulasty, kryty łupkiem dach. Kiedy obserwowała ptasie harce, wzrok jej padł na kępę rosnącego nieco dalej miotlastego żarnowca. Oparła trzymany w ręku koszyk o biodro i zadumała się nad różnymi sposobami wykorzystania suchych, zimowych gałązek tego użytecznego zieleńca.

Obcinając zeschnięte łodyżki nożycami pożyczonymi od pani Chenhalls, Verity myślała o kucharce i jej rodzinie. Gorączka Daveya nareszcie opadła i dziecko powoli wracało do zdrowia. Skromne talenty zielarskie Verity wychwalano pod niebiosa. A to, że sprzeciwiła się stanowczo doktorowi z Bod-min, który istotnie chciał puścić chłopcu krew, ugruntowało jeszcze jej opinię cudotwórczym w rodzinie Chenhallsów.

Małe zwycięstwo nad doktorem sprawiło Verity ogromną satysfakcję - nie tylko ze względu na dobro chłopca. Stwierdziła ze zdumieniem, że potrafi trwać uparcie przy swoim, czego nigdy dotąd nie podejrzewała.

Bez trudu nawiązała serdeczne kontakty z rodziną przyjacielskich rudzielców, którzy do spółki z przemiłą panią Tregelly dbali o to, by w Pendurgan wszystko szło gładko. Choć nie była to wielka posiadłość, Verity zdumiewała szczupłość dworskiego personelu. Czyżby służby było tak mało, bo nikt inny nie chciał pracować w domu Potępieńca?

Łatwo było zapomnieć o takich podejrzaniach, gdy przebywało się w towarzystwie Chenhallsów, a zwłaszcza Gonetty, pogodnej, bystrej i pragnącej zatrzymać „paniusię” w Pendurgan po wieki wieczne. Verity od dawna wyzbyła się podejrzeń, że dziewczyna uczestniczy w jakimś złowrogim spisku, który pozorami przyjaźni ma wzbudzić w niej złudne poczucie bezpieczeństwa i zmienić ją w uległego więźnia. Zadowolona z

własnego losu nie dostrzegłaby wówczas, że sieć zaciska się wokół niej, dopóki złowrogi pająk nie skoczyłby na swą ofiarę. Nigdy przedtem Verity nie miała upodobania do takich koszmarnych fantazji.

A jednak to nie tylko chorobliwe fantazje.

Budząca we wszystkich strach pani Bodinar, jakże różna od przyjaźnie nastawionej służby, nie była tworem wyobraźni Verity. Stara dama spoglądała na nią z nienawiścią, okazywała jawną wzgardę, zatruwała jej życie na każdym kroku. Jeżeli w ogóle raczyła przemówić do niej, to tylko po to, by coś skrytykować lub rzucić kąśliwą uwagę o konieczności mieszkania pod jednym dachem z kochanicą zięcia.

Verity nigdy nie odpowiadała na podobne ataki. Nie wiedziała by zresztą, co odpowiedzieć. Z pewnością nie tylko Agnes Bodinar uważała ją za kochankę lorda Harknessa.

Verity nie była nią. Na razie.

Prawdę mówiąc, prawie nie widywała barona. Spędzał większość czasu poza domem, przeważnie w kopalni, a nawet i we dworze trzymał się na uboczu. Nadal jednak budził w Verity niepokój, ilekroć go ujrzała.

Obserwował ją. Bardzo często czuła na sobie spojrzenie tych zimnych niebieskich oczu i robiło jej się wyraźnie nieswojo. Nawiedzała ją wówczas myśl, że tej nocy z pewnością przyjdzie do niej, by upomnieć się o swe prawa do ciała, które nabył na licytacji.

Jednakże dotąd nie uczynił tego. Verity nie wiedziała, co o tym myśleć.

Ona również go obserwowała. Nieraz przyłapywała się na tym, że wlepia wzrok w jego długie, kształtne palce albo w ostro zarysowany profil z wydatnym, niemal rzymskim nosem lub też czarne, dość długie

włosy, połyskujące błękitnawo w blasku świec i przyprószone siwizną na skroniach. Według powszechnie obowiązujących kryteriów nie był nawet przystojny. Mimo to fascynowała ją ta twarz jakby wykuta z kornwalijskiego granitu, w której świeciły cynicznym blaskiem intensywnie niebieskie oczy

Nie powinna zwracać uwagi na takie rzeczy. Należało trzymać się od niego jak najdalej choćby ze względu na spowijającą go niczym grubą płaszcz atmosferę grozy.

A może to właśnie pociągało Verity? To ją fascynowało? Nie znała dotąd nikogo takiego jak on. Był niebezpieczny i nieprzewidywalny. Nie mogła zadomowić się w Pendurgan, zanim nie rozszyfruje tego niepojętego człowieka i nie dowie się, jaka rolę wyznaczył jej w swoim życiu.

Verity włożyła łądygi żarnowca do koszyka, w którym znajdowały się już inne rośliny, i postanowiła wracać do domu. Wejdzie tylnymi drzwiami, by pozostawić uzbierane okazy w tym kącie starej kuchni, który jej przydzielono i zwano teraz „apteczką”. Jutro wykorzysta żarnowiec i kłącza żywokostu, przygotowując na oczach pani Chenhalls i Gonetty różne maści i wywary na obrzmienie stawów.

Wiatr targał jej spódnicą, kiedy zmierzała stromą, krętą ścieżką do sklepionej bramy w starym kamiennym murze. Następnie szerszą już alejką dotarła do niższego muru i zwykłej furtki. Wreszcie znalazła się na tyłach domu, w ogrodzie warzywnym. Wiatr znowu się nasilił. Atakował Verity zawzięcie, omal jej nie zdarł czepka. Zwiesiła głowę; opuszczone rondko osłaniało jej twarz. Walcząc z fruującą spódnicą i wydymającym

się jak wielki żagiel płaszczem, biegła z pochyloną głową po dobrze znanej zwirowanej ścieżce warzywnego ogrodu.

- Prrr! Gdzie tak na oślep?!

Verity wpadła na coś twardego i odkryła, że nie patrząc przed siebie, zderzyła się pierś w pierś z potężnym mężczyzną. Chwycił ją mocno za oba łokcie, by nie upadła. Podniosła wzrok i przekonała się, że był to Rufus Bargwanath, tutejszy rządca. Kilka dni temu zostali sobie przedstawieni przez panią Tregelly, ale od tamtej pory nie spotkała się z nim. Był to krzepki Kornwalijszyk w średnim wieku. Miał gęste brązowe włosy przetykane siwizną, nos jak kartofel i rumianą twarz. Od pierwszej chwili wydał się Verity antypatyczny.

Zajmował niewielki kantorek w kuchennym skrzydle domu.

Widocznie wyszedł stamtąd tak, że Verity tego nie zauważyła. Puścił jedno jej ramię, by zdjąć z głowy kapelusz, ale drugą ręką nadal trzymał ją za łokieć.

- O! To pani Osborne, nie myle się?

Ironicznym uśmiechem podkreślił słowo „pani”. Dreszcz strachu przebiegł Verity po grzbiecie. Rządca leniwym wzrokiem błądził po jej ciele. Jego oczy zatrzymały się dłużej na piersi, do której tuliła kosz. Verity z niepokojem uświadomiła sobie, że na silnym wietrze suknia z cienkiej welenki przylgnęła do jej ciała niczym druga skóra. Chciała się wyrwać, ale Bargwanath trzymał ją mocno.

- Nie myślałem, że baron takie śliczności odeśle do garów w kuchni - powiedział rządca. W jego ustach dialekt kornwalijski nie był wcale przyjazny ani śpiewny, tylko szorstki i zgrzytliwy. Zdecydowanie niesympatyczny. To, że pochodził z Kornwalii, można było poznać tylko



po lekkim przeciąganiu samogłosek. Ścisnął znacząco łokieć Verity. - Myślałem, że cie zagonił do całkiem inszej roboty, laluniu!

Niewielkie usta rozwarły się w obleśnym śmiechu, ukazując mnóstwo żółtych zębów. Oddech cuchnął cebulą i tabaką. Verity wyrwała rękę z jego uścisku.

- Wybacz pan, ale się spieszę! - warknęła.

Odsunęła się jak najdalej od niego i popędziła do kuchennego wejścia. Gonił ją urągliwy śmiech Bargwanatha.

Przebiegła pędem koło spiżarni i pomywalni i otoczyła ją wreszcie przyjazna, ciepła atmosfera starej kuchni. Pani Chenhalls stała przy wielkim otwartym palenisku i podniosła głowę na widok wchodzącej Verity.

- A, to pani Osborne! Dzień dobry. Naznosiła pewnie paniusia nowych badyli, co?

Kiedy Verity dotarła do kąta, w którym gromadziła rośliny i inne składniki swych ziołowych leków, odstawiła wreszcie koszyk i przycisnęła rękę do piersi. Była bez tchu jak po forsownym biegu; nie od razu mogła się uspokoić. Wsparła się obiema rękami na drewnianym blacie i wdychała smakowite zapachy piekącego się mięsa i gorącego jeszcze chleba.

- Byłam na samym dole - powiedziała wreszcie. Rozwiązała wstążki czepka i powiesiła go na wbitym w ścianę haku. Nie podnosiła głowy, wiedząc, że musi być czerwona jak burak po grubiańskiej uwadze rządcy.

- Znalazłam wiele pożytecznych roślin. Bardzo się nam przydadzą. Jutro opowiem o nich wszystko pani i Gonetcie. Pokażę wam też, gdzie można je znaleźć... o ile pogoda dopisze.

Pani Chenhalls odwróciła się do kominka i zaczęła umocowywać obrotowy rożen na dwóch solidnych, metalowych wspornikach, ustawionych pod kątem do tylnej ściany. Paplała przy tym o kapryśnej kornwalijskiej pogodzie, Verity zaś opróżniała swój koszyk i wiązała łądygi i kłacza w pęczki. Słuchała półuchem słów, wypowiedzianych przez kucharkę z przeciągłym lokalnym akcentem, ale myślami wracała wciąż do niepokojącego spotkania z rządcą.

Czuła prawdziwy, fizyczny strach - po raz pierwszy od tamtej koszmarnej nocy zaraz po przyjeździe. Agnes bywała po prostu kąśliwa, a lord Harkness trzymał się na dystans. Verity wprawdzie starała się unikać ich obojga, ale żadne z nich nie wyrządziło jej nigdy fizycznej krzywdy. Nie obawiała się z ich strony brutalnej napaści.

Jakże by chciała być zwykłym gościem w zwykłym domu, pełnym zwykłych ludzi! Wówczas nic by jej nie powstrzymało od poskarżenia się gospodarzowi na grubiaństwo jego rządcy.

Ale w obecnej sytuacji nie było nic zwykłego ani normalnego.

Jak mogła się uskarżać na bezczelne zachowanie rządcy człowiekowi, którego obecność niepokoiła ją bardziej niż ordynarne zaczepki tamtego?

Przemogła jakoś nieznośne poczucie własnej bezradności. Nigdy już nie ulegnie bezsilnej rozpaczycy! Uczyniła wszak zdumiewające postępy w przewyciężeniu wrodzonej uległości. Nie może się teraz poddać!

Verity zakończyła porządkowanie roślin, które zawsze koilo jej stargane nerwy. Została jednak dłużej w kuchni, by porozmawiać z panią Chenhalls o zdrowiu Daveya. Chłopiec nadal był słabiutki, a suchy kaszel ciągle go dręczył, ale od czasu, gdy spadła gorączka, czuł się coraz lepiej.

Verity przypomniła kucharce, że dziecko trzeba trzymać w ciepłe, i obiecała, że odwiedzi je po kolacji.

- Ale Davey będzie rad! - odparła matka. - On mówi, że paniusia to jego anioł stróż, re Dhew. Już się dzieciak rwie do wstawania z łóżka, niech mu Bozia da zdrowie!

- O, na wstawanie jeszcze za wcześnie! - orzekła Verity.

-Juści, juści! Ino taki malec jeszcze nie rozumie, że trza całkiem wrócić do sił. Ale jak mu paniusia powie: „Leż spokojnie!”, to posłucha, choćby nie chciał słuchać własnej matuli.

- Zrobię co w mojej mocy! - uśmiechnęła się Verity.

Opuszczając kuchnię, myślała o tym, jak bardzo przywiązała się do małego rudzielca, który zawsze - mimo choroby -witał ją łobuzerskim uśmiechem. Wspomnienie triumfu, jakim było wyleczenie Daveya, pomogło Verity zapomnieć o paskudnym rządcy. Na jej wargach jaśniał uśmiech dumy, gdy zmierzała przez wielki hall do głównych schodów.

Uśmiech jednakże zgasł, a oddech uwiązał jej w gardle, gdy ujrzała, że lord Harkness wkracza również do hallu. Verity sama nie wiedziała, czemu baron budzi w niej taki niepokój. Nigdy przecież nie uczynił niczego, co mogłoby ją przerazić. Prawdę mówiąc, nie tyle bała się Harknessa, co własnej reakcji na jego obecność.

Zdjął właśnie kapelusz i rękawiczki i zostawił je na stoliku w pobliżu drzwi. Potem odwrócił się i dostrzegł Verity. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Witaj, kuzynko - odezwał się w końcu baron. Z płuc Verity wydobyło się powietrze, które nieświadomie powstrzymywała. Baron

wyraźnie nie miał pojęcia, co by tu jeszcze powiedzieć. Verity dałaby głowę, że był równie skrepowany jak ona. Zdumiało ją to.

- Jak tam twój pacjent? - spytał.

- Miewa się coraz lepiej. Gorączka minęła i musi po prostu odzyskać siły, biedaczek. Ale dzielny z niego wojownik!

- Tak, to prawdziwy Kornwalijszyk. Twarde z nas chłopcy. - W jego oczach pojawił się jakiś niezrozumiały błysk, ale natychmiast zgasł. - A przynajmniej większość z nas - dodał. - Jeszcze raz dziękuję, kuzynko, że uratowałaś to dziecko.

- Pomogłam mu z wielką radością - odparła.

- Naprawdę? - Zmrużył oczy i przyjrzał się jej bacznie. -

Zdumiewające!

Verity próbowała, naprawdę próbowała wytrzymać jego wzrok, okazać nieco hartu ducha, z którego ostatnio była taka dumna. Nie chciała, by lord Harkness zorientował się, jak dalece ją niepokoi. Nie mogła jednak znieść badawczego spojrzenia tych zimnych niebieskich oczu. Musiała odwrócić głowę.

- Wybacz, kuzynko - powiedział baron - ale mam jeszcze wiele roboty.

Wyminął Verity i udał się do biblioteki. Usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Jakże pragnęła poznać jego myśli, dowiedzieć się, czego oczekuje od niej. Wszystko byłoby lepsze od tej niepewności... A jednak przez chwilę patrzyłam mu prosto w oczy! pomyślała, wchodząc po schodach. Tylko czy owo patrzeć było dowodem jej silnej woli, czy też fascynacji tym mrocznym, niepojętym człowiekiem?...

Ależ była głupia! Ten stary dom rzeczywiście rzucił na nią czar... i odebrał jej rozum.

- Cóż cię tak rozśmieszyło?

Agnes Bodinar stała na podeście i spoglądała na nią z góry. Była jak zawsze w czarnej sukni i w czarnym humorze. Wydęte pogardliwie usta i lekceważący wyraz jej szarych oczu sprawił, że Verity zatrzymała się w pół kroku.

- No więc?

- Śmiałam się bez powodu - odparła. Zacisnęła obie ręce na wstążkach czepka i tym razem nie okazała takiej słabości, jak w momencie pojedynku na spojrzenia z lordem Harknessem. - Całkiem bez powodu.

- Też coś! - sarknęła Agnes. - Zresztą, coż by cię tu mogło rozśmieszyć?!

Zeszła z podestu i ruszyła ku niej. Twarze ich dzieliło zaledwie kilka cali. Verity wciągnęła głęboko powietrze. Poczowała zapach pudru i krochmalu. Oczy starej damy zwięzły się, brwi zbiegły nad czołem tak mocno, że powstały na nim głębokie bruzdy.

- Oczywiście, że nie masz tu powodów do śmiechu. Raczej do strachu! - syknęła, wymachując kościstym palcem przed nosem Verity. - To wcielony szatan! Szatan, powiadam!

Odsunęła się nieco i zmierzyła Verity wzrokiem od stóp do głów.

- Nie dbam o to, jakie słodkie kłamstwa szepcze ci do ucha ani ile ci płaci za twoje... usługi. Powtarzam: miej się lepiej na baczności, jeśli ci życie miłe. To szatan we własnej osobie! Zapamiętaj moje słowa: przy nim czeka cię tylko zguba i hańba!

Myślałem, że cie zagonił do całkiem innej roboty, laluniu!

- Powinnaś opuścić ten dom! - mówiła dalej Agnes. - Uciekaj, póki jeszcze czas!

Verity odsunęła się od niej i pobiegła na górę. Kiedy dotarła do swego pokoju, zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się ciężko o nie.

Tak, powinna stąd odejść. To ciągle miotanie się między normalnością a koszmarem było ponad jej siły. Znow przyszedł jej na myśl jakieś zbrodnicze spiski, jakieś próby otumanienia jej do tego stopnia, że przyjmie z obojętnością, cokolwiek się stanie.

Wyjedzie stąd, skoro tylko Davey całkiem wyzdrowieje. Nie będzie dłużej grać w tę denerwującą, dziwaczną grę -kto kogo przechytry? Nie wiedziała nawet, co stanowiło w niej główną stawkę. Musiała jednak być niezwykle wysoka. A Verity była z góry skazana na przegraną.

Nie wiedziała tylko, co jej przyjdzie stracić. Czy ją czeka przedwczesna śmierć, hańba czy całkowita utrata zmysłów?

Gryzący dym nappełniał mu nozdrza i palił w gardle. Noc aż dygotała od nieustannej palby. Kule karabinowe i karta-cze padały ze świstem i dziesiątkowały szeregi żołnierzy. James powstrzymywał jeszcze swoich ludzi, ale pierwsza kolumna atakowała już wyłom. Przez gęstą zasłonę dymu i pędzących z krzykiem żołnierzy widział, jak francuskie armaty rozbijają w proch całą ich brygadę.

Garstka niepokonanych brnęła naprzód przez obwarowania po obu stronach wyłomu, skąd dwudziestoczerofuntówki miały na szturmujących kartaczami. Po dwukrotnej kanonadzie, od której wszystko się trzęsło, działa zamilkły. Widać zbrojne tylko w bagnety uparciuchy z 88. regimentu rozprawiły się z kanonierami. Teraz przyszła pora na nich!

Na sygnał Pictona James gestem ręki dał znak swoim ludziom, by ruszyli na wały.

- Żywo, chłopcy! - krzyknął, gdy przebiegali obok niego.

I nagle wszystko przed jego oczami eksplodowało.

Ujrzał swoich stóp ogniste kule. Jakaś ciężka, skwiercząca masa zwała się nań i runął na ziemię. Lewą nogę przeszył mu straszliwy ból, który promieniował aż do ramienia. Wszędzie dokoła pojawiały się języki ognia, podpalając wszystko, wznecając dalsze pożary, powodując co kilka sekund następne eksplozje. Biegły ku niemu jakieś dwie płonące kukły. Nie widział ich wyraźnie wśród dymu i ognia. Czyżby jedną z nich był Hughes, jego sierżant?

Musi spieszyć im na ratunek!

Straszliwy odór płonących ciał przyprawiał go o mdłości. Nie było jednak czasu na takie fanaberie. Musi dotrzeć do swoich ludzi. Musi ich ratować!

Nie mógł się jednak ruszyć. Niech to szlag, nie mógł się ruszyć! Coś przygniatało go do ziemi. Wygiął plecy w łuk, usiłując zrzucić z siebie to brzemię. I wówczas jakaś zwęglona, tłąca się jeszcze ręka pacnęła go po twarzy. Drżąc na całym ciele, odepchnął ją i z wysiłkiem przełknął żółć, która rosła mu w gardle.

Płonące postacie nadal zbliżały się ku niemu, a on w dalszym ciągu nie mógł się ruszyć z miejsca. Ból w przygniecionej nodze stawał się coraz straszliwszy. Jedna z ognistych kukieł wrzasnęła: „Majorze!...” i zwała się niczym płonąca kłoda o kilka stóp od Jamesa. Przerazający jęk ścichł do rozpaczliwego szeptu... Potem wszystko ucichło.

James wyciągnął w tamtą stronę ramię, jak mógł najdalej.

- Hughes! - zawołał - Hughes!

Szczerniała postać młodego sierżanta drgnęła. Nadal lizały ją płomienie. Hughes poruszył głową.

Spojrząwszy w uniesioną ku niemu twarz, James przekonał się jednak, że to nie jego młody podkomendny, tylko Rowena. Rysy jej skurczone były z bólu i rozpacz. James patrzył na nią, skamieniały z przerażenia. Rowena tuliła w objęciach bezwładne ciało ich synka, Trystana. Jej wargi powtarzały bezgłośnie: „Ratuj!”

Próbował znów oswobodzić się, podbiec do nich, ale przytłaczający ciężar wgniatał go w ziemię, wgniatał, wgniatał... Dusił się. Musi dotrzeć do nich! Musi ich uratować! Zginą bez jego pomocy! Oni... i Hughes... i reszta... Potrzebowali jego pomocy. Wzywali go na ratunek!

A on nie mógł się poruszyć.

Rowena wydała przeciągły, bolesny krzyk i znikła w morzu płomieni.

- Nie! - wrzasnął James.

Otworzył oczy i szamotał się z przygniatającym go ciężarem.

Była tylko pościel, straszliwie skotłowana, gdyż rzucał się w niespokojnym śnie. Opadł na poduszki. Powietrze z sykiem wyrwało się z jego płuc. Był zlany potem i czuł się tak, jakby wbiegł pędem na szczyt wzgórza, do Pendurgan.

Niech to piekło pochłonie! Czy nigdy nie uwolni się od tych koszmarów?!

Wczoraj jak zwykle walczył ze snem do późna w noc. Wiedział już z doświadczenia, że sen, będący skutkiem skrajnego wyczerpania albo (rzadziej) pijaństwa, bywa zazwyczaj głęboki i pozbawiony zwidów.



Czasem jednak koszmary przechytrzały go i zjawiały się - najczęściej o świcie, tuż przed obudzeniem.

Drzwi otwarły się bezszelestnie i do sypialni wszedł Samuel Lobb.

- Dzień dobry, milordzie.

James burknął coś w odpowiedzi i zakopał się głębiej w poduszki, próbując się otrząsnąć z sennych widziadeł. Bez skutku. Koszmary czaiły się zawsze w pobliżu, na granicy świadomości, przez wszystkie godziny dnia i nocy, a także podczas wypoczynku... jeśli to można było nazwać wypoczynkiem. Nie odstępowały go, w każdej chwili gotowe wytknąć mu haniebną tchórzostwo.

James słyszał, jak jego lokaj podchodzi do kominka i zaczyna rozpalać ogień.

- Znowu paskudna noc, milordzie?

Biedny, stary Lobb doprowadzał go do jakiegoś takiego ładu po niezliczonej ilości takich „paskudnych nocy”. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał, skąd się u Jamesa biorą te koszmary. Był razem z nim pod Ciudad Rodrigo, co prawda nie w ogniu walki. Pełnił raczej pokojową funkcję ordynansa. Wkrótce po owym wybuchu (kiedy 3. Dywizjon sforsował umocnienia nieprzyjaciela i wziął miasto szturmem) Lobb wyszedł na pobożowisko, poszukując swego majora wśród skrwawionych i zwęglonych ciał. Znalazł Jamesa, wydobył spod szerniałych trupów, które przygniatały go do ziemi, i zaniósł nieprzytomnego w bezpieczne miejsce.

O, tak: Lobb dobrze znał przyczynę koszmarnych snów Jamesa.

- Proszę to wypić, milordzie. Dobrze panu zrobi. Postawił na stoliku koło łóżka parującą filiżankę. Mocna czarna kawa z dodatkiem brandy i

jakichś innych tajemniczych ingrediencji. Lobb nigdy nie zdradzał składu lekarstwa, które zawsze aplikował Jamesowi po „paskudnej nocy”. James zrzucił z siebie przykrycie i sięgnął po filiżankę.

- Dziękuję, Lobb.

Wypił potężny łyk. Brandy ukoić stargane nerwy, kawa dodała sił, by wziąć na barki ciężar nowego dnia. Co też on by zrobił bez Lobba?

Nagle coś mu się przypomniało.

- Lobb! - powiedział - Obiło mi się o uszy, że pani Osborne też miewa senne koszmary. Nie wiesz przypadkiem, czy to prawda?

Lokaj wyciągał właśnie z bielizniarki czystą koszulę.

Obejrzał się na swego pana i zmarszczył brwi, jakby wahał się z odpowiedzią. James uniósł pytająco brew.

- Chyba z początku naprawdę tak było, milordzie - odparł po chwili Lobb. - Niejeden ze służby słyszał w nocy jej krzyki.

James wzdrygnął się. Ciekawe, jaką rolę w koszmarach tej kobiety odgrywał on sam?

- Ale teraz to już nie wiem, jak z nią jest - mówił dalej lokaj. - Ja tam od kilku nocy nie słyszałem, żeby krzyczała.

- Gdybyś znów usłyszał, poślij pani Osborne trochę swego lekarstwa - podsunął James, unosząc w górę parującą filiżankę. - Z pewnością dobrze jej zrobi!

- Tak jest, milordzie.

James zwłóknął się z łóżka i Zabrał do mycia i golenia. Jego myśli poszybowały ku Verity Osborne. Mimo nocnych krzyków zadomowiła się całkiem nieźle w Pendurgan. Służba przepadała za nią... być może przyczyniło się do tego wyleczenie chłopca Chenhallsów. O ile James

mógł stwierdzić, Verity dotrzymała obietnicy i przekazywała każdemu, kto tylko zechciał, swą wiedzę o ziołach. Nieraz widział ją też zbierającą rozmaite rośliny, choć starał się trzymać od niej jak najdalej. Te niezgłębione brązowe oczy i biała kolumna jej szyi doprowadzały go do szaleństwa!

Obserwował ją jednak bacznie wieczorami podczas kolacji, które jadała z nim i z Agnes. Nie reagowała na ciągle przytyki starej damy, nie starała się zmienić jej opinii, nie prostowała, że wcale nie jest jego kochanką. Siedziała milcząca i pełna godności, a dumna linia jej szczęki mówiła wyraźnie, że nie pozwoli się zastraszyć. A może była to tylko brawura, nie zaś niezłomna pewność siebie?... Nękały ją przecież nocne koszmary.

Kiedy James ubrał się, zjadł śniadanie i udał się do kantorka rzadcy, by dowiedzieć się, jak postępują zimowe omłoty. Rufus Bargwanath był - łagodnie mówiąc - nieokrzesany, ale całkiem dobrze spisywał się jako rządca. Stary Tresco, który pełnił tę funkcję już wówczas, gdy James był jeszcze małym chłopcem, opuścił Pendurgan po tragedii w 1812 roku. Trudno było znaleźć kogoś na jego miejsce. Bargwanath wiedział, że nikt się nie kwapi do pracy w Pendurgan, i wykorzystał sytuację, domagając się niesłychanie wygórowanej pensji. James Zgodził się oczywiście. Nie miał wyboru.

Zastał Bargwanatha przy biurku. W kantorku panował jak zwykle bałagan. James spędził tam pół godziny, omawiając składowanie świeżej paszy na zimę oraz postępy w naprawie rowów i płotów.

Upewniwszy się, że Bargwanath trzyma rękę na pulsie, James zamierzał odejść. Był już przy drzwiach, gdy rządca zawołał za nim:

- Wpadłem przypadkiem na te pańskie nowe klaczkie, milordzie -  
oznajmił. - Całkiem niezła! Nie przydałby się czasem drugi dojeżdżacz?  
Chętnie bym sprawdził, jak niesie!

James odwrócił się raptownie.

- Zamknij parszywą gębę, Bargwanath! Pani Osborne to moja  
krewna i masz ją traktować z szacunkiem!

Rządca ryknął śmiechem i przechylił się na oparcie fotela, splatając  
ręce na karku.

- Krewna? Znamy się na takich krewnych! Cała okolica dobrze wie,  
jak ona tu trafiła. I ile forsy pana kosztowała! Pomyślałem se: co szkodzi  
zapytać? Może już wyszła z obiegu, jak ją odesłał do szorowania garów!

- Jak śmiesz!

James zrobił krok w stronę biurka. Trzymał się jeszcze na wodzy, ale  
z przyjemnością udusiłby własnymi rękami tego gnojka!

- Temperamencik to ona ma. Oj, ma! Lubię takie gorące kobitki. A  
pan?

James oparł obie ręce na blacie biurka i pochylił się groźnie ku  
rządcy. Utkwił w nim takie spojrzenie, jakie przed kilkoma laty zmuszało  
do posłuchu najtrudniejszy element w armii.

- Trzymaj łapy przy sobie, Bargwanath - zapowiedział głosem  
ostrym jak stał - bo pożałujesz! Nie odesłałem pani Osborne do  
szorowania garów, jak się wyraziłeś. Jest naszym gościem w Pendurgan i  
masz ją traktować z szacunkiem. Zrozumiano?!

Bargwanath niedbale wzruszył ramionami.

- Jasne, jasne. Tak tylko spytałem.

James przez dłuższą chwilę mierzył go wzrokiem, zanim tamten odwrócił oczy. Potem wypadł z kantorka, rozwścieczony bezczelnością cholernego rządcy. Gdyby Bargwanath ośmielił się na jakieś zuchwalstwo wobec Verity Osborne, chyba by go zabił! Na samą myśl o tym, że ten cham mógłby ją choćby tknąć, Jamesowi skręcały się wnętrzności.

Zbyt podminowany, by udać się do Wheal Devoran i sprawdzić postępy robót w kopalni, postanowił udać się na konną przejażdżkę i w ten sposób rozładować swoje napięcie. Jago Chenhalls osiodłał dla niego Castora i James wyruszył na wrzosowiska.

Zapędził się aż na jeden ze skalnych szczytów, zwanych torami, nim nieco zwolnił. Głaszcząc spoconą szyję wałacha, z ostrego klusa przeszedł w stępa i wiódł konia ostrożnie po niebezpiecznej grani, pośród skalnych obłomów i obluzowanych głazów, głębokich szczelin i ostrych występów. Wieczne i niezniszczalne piękno rodzinnych stron zawsze podnosiło Jamesa na duchu. Była to kraina starożytnych grobowców i zaklętych kamiennych kręgów, duchów i skrzatów, baśni i legend.

Ostrożnie wiodąc Castora w dół najłatwiejszą drogą po nierównym, usianym piargami stoku, James chłonał atmosferę tego skalnego uroczyska. Oprócz całego zła, które miał ciągle przed oczyma, które wyczuwał, z którym się zmagał, istniało przecież nadal to - istniała jego Kornwalia.

Potem jechał po brunatnym pustkowiu, usianym gdzieniegdzie kępami kolcolistu, i po płaskowyżu, gdzie nieurodzajne wrzosowiska ustępują miejsca uprawnym polom. Zmiana krajobrazu była tak raptowna, że wprost niewiarygodna. Znajdował się znowu na własnej ziemi - w Pendurgan.

Ujrzał nagle jeźdźca, zmierzającego w jego stronę. Kiedy przybliżył się na tyle, iż nie ulegało wątpliwości, że to stary przyjaciel, Alan Poldrennan, James zatrzymał swego wałacha. Zaraz spotka się z jedynym człowiekiem, w którego przyjaźń wierzył bez zastrzeżeń.

- Harkness! Co za miła niespodzianka! - zawołał Poldrennan, ściągając cugle gniadej klaczy. Jego szczery uśmiech powitalny stanowił pożądaną odmianę po wszystkich wykrzywionych nienawistnie gębach. - Wracasz do domu?

James spojrział na mroczniejące niebo i uświadomił sobie nagle, że włączył się po pustkowiu od wielu godzin.

- Do licha! - mruknął. - Nie myślałem, że już tak późno. Straciłem widać poczucie czasu. - W oczach Poldrennana błysnął niepokój. James westchnął. - Nie martw się, Alanie. Błądziłem tylko po wrzosowisku pograżony w myślach - wyjaśnił.

Poldrennan uśmiechnął się.

- Więc pędź do domu, bo pewnie już tam na ciebie czekają!... A może zamiast tego pojedziesz ze mną do Bosreath, co? Wysuszymy butelczynę! Co powiesz na to i na jakieś ptaszysko z rożna?

- Tam do diaska! Chyba się skuszę - odparł James.

- Znakomicie!

Obaj skręcili na zachód w stronę Bosreath, posiadłości Alana, sąsiadującej z Pendurgan.

- Nie widziałem cię od tygodnia. - Poldrennan spojrział z ukosa na Jamesa. - Słyszałem, że wiele się przez ten czas zmieniło w Pendurgan. Czy to nad tymi zmianami takeś się zadumał, że straciłeś poczucie czasu?...

- Założę się, żeś już słyszał całą tę okropną historię!

- Nowiny szybko tu wędrują - odparł Poldrennan. - Pewnie nie znajdziesz nikogo, kto by o tym nie słyszał... w takiej czy innej wersji. Chętnie się dowiem, jak to było naprawdę.

Po drodze do Bosreath James opowiedział przyjacielowi o licytacji.

- Co też cię podkusiło?! - spytał Alan. - Pomyślałeś, że ona by mogła... Że ty byś mógł...? No cóż, u diabła! Od nie wiedzieć jak dawna obywałeś się bez kobiety... Dlatego ją kupiłeś?

James nastroszył się.

- Co znowu! Oczywiście, że nie!... To znaczy... tak mi się przynajmniej zdaje. - Gniewnie trzepnął ręką po udzie. Ca-stor pojął to całkiem opacznie i puścił się galopem. James powściągnął go, szepnął coś w końskie ucho na przeprosiny i zaczekał na przyjaciela. - Niech to wszyscy diabli! - powiedział do Alana, gdy się z nim zrównał, zupełnie jakby nie było żadnej przerwy w ich konwersacji. - Myślisz, że nie zadaję sobie tego pytania od tygodnia?... Dlaczego? Dlaczego to zrobiłem?!

- No i...?

- I w dalszym ciągu nie znam odpowiedzi. - Uniósł rękę w bezradnym geście. - Mogę ci tylko powiedzieć, że nie potrafiłem znieść myśli, że ta biedna kobieta wpadnie w łapy Dużego Willa Sykesa. Flaki się we mnie wywracały! I zanim się opamiętałem, kupiłem ją sam.

- Sykesa?! - Poldrennan aż się wzdrygnął. - Pewnie zrobiłbym to samo co ty - stwierdził. - Rzygać mi się chce na jego widok! - Przez chwilę jechali w milczeniu. Potem Poldrennan znów się odezwał. - A wiec nie był to zwykły kaprys: odezwały się w tobie rycerskie instynkty. Honor kazał ci ratować biedaczkę od straszliwego losu!

- Wątpię, czy honor miał z tym coś wspólnego. Coś mi się zdaje, że moje instynkty były mniej szlachetne, niż przypuszczasz. - Spojrzał na przyjaciela z pewnym zakłopotaniem. - Widzisz... ona jest cholernie ładna.

- A jednak nie uległeś tym... mniej szlachetnym instynktom?

- Nie.

- No widzisz! Jesteś rycerski i honorowy.

- Nie.

- A ona jest cholernie ładna?

-Tak.

- Więc co zamierzasz zrobić?

- Trzymać się od niej z daleka.

- Po mojemu, to bardzo honorowo!

- Wcale nie honorowo! Tchórzliwie - parsknął lekceważąco James.

Poldrennan dobrze wiedział, jakim potwornym tchórzem jest jego przyjaciel. Był w Kornwalii, kiedy to się wydarzyło. Sześć lat temu. - Nie ufam sobie samemu - mówił James. - A jeśli bym... zrobił jej coś złego... podczas...? No, sam rozumiesz! Jak mógłbym przeżyć jeszcze raz... coś podobnego?...

Poldrennan zatrzymał swego wierzchowca. Kiedy James zrobił to samo, Alan wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu przyjaciela.

- Przestań się wreszcie zadrećcać, Harkness! Minęło już sześć lat. Tamto nigdy się już nie powtórzy!

- Skąd wiesz?

- Wiem. I ty także! Nigdy więcej, rozumiesz? A ona jest z tobą całkiem bezpieczna.

James trzepnął lejcam i Castor popędził drogą wiodącą do Bosreath.



- Bardzo bym chciał w to wierzyć...

- No cóż, Gonetto... jestem gotowa.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie do Verity, poprawiła czepek i sięgnęła po jeden z wielkich koszyków, które przygotowały. Żwawym krokiem podeszła do drzwi. Kiedy się zorientowała, że Verity nie idzie za nią, że nawet się nie ruszyła z miejsca, uśmiechnęła się znowu do niej i rzuciła jej zachęcające spojrzenie.

Verity rzeczywiście potrzebowała zachęty, i to bardzo!

- Chodźmy już! - ponagliła pokojówka i skierowała się znów ku drzwiom.

Verity wzięła głęboki oddech i ruszyła za nią. Czy popełnia straszliwy błąd?... Czy nie powinna tu zostać?...

Gonetta zapewniała ją, że mieszkańcy wioski będą bardzo wdzięczni za wszelkie rady i za domowe leki na często spotykane przypadłości. Verity jednak nie podzielała wiary swej pokojówki w to, że będzie we wsi życzliwie przyjęta. Wszelkie nieduże, zwarte społeczności niechętnie odnosiły się do przybyszów z zewnątrz. Ona zaś nie tylko była „obca”, ale zjawiała się w Kornwalii w podejrzanych okolicznościach. Na jakież powitanie ze strony tych podejrzliwych ludzi, obracających się wyłącznie we własnym, niewielkim kręgu, mogła liczyć osoba uważana w całej okolicy za „kochankę Potępieńca”? Może nawet ktoś z mieszkańców St. Perran's był na licytacji i widział ją tam?... Może w tej wiosce mieszkają ludzie, którzy walili wówczas w kociołki i stanowili część tłumy, którego wspomnienie prześladowało ją we snach?...

Nie był to nowy problem. Verity rozważała go bez końca, nim wreszcie przyjęła propozycję pełnej entuzjazmu Gonetty. Poza tym

dreńczył ją wewnętrzny niepokój. Mimo iż grunta dworskie w Pendurgan były rozległe, czuła się jak w więzieniu. Jakaś część jej istoty cieszyła się na wyprawę do wsi bez względu na ewentualne konsekwencje.

I tak oto zmierzała do St. Perran's, by złożyć wizytę zacnym mieszkańcom tej wioski, położonej na terenie posiadłości barona.

Pozostawiwszy za sobą trawniki i kwietne rabatki Pendurgan, Verity z prawdziwą przyjemnością przekonała się, że po obu stronach ścieżki rozciągają się zielone pola, poprzecinane żywopłotami. Wszystko wydawało się takie swojskie. Takie angielskie. Gdzież się podziały ponure, usiane skałami wrzosowiska, przez które wieziono ją do Pendurgan?... Verity spoglądała to w prawo, to znów w lewo - wszędzie tylko żyzne pola i łąki.

Pochwyciła zdumione spojrzenie Gonetty.

- Czegój panusia tak wypatruje?

Verity uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Przypomniały mi się te wielkie granitowe skały, które mijaliśmy w drodze do Pendurgan. Czyżby to był tylko sen?...

Gonetta przystanąła, chwyciła swą towarzyszkę za ramiona i obróciła w stronę dworu.

- Widzi panusia? - spytała, wskazując palcem skalny szczyt, widniejący na horyzoncie za Pendurgan.

Był wysoki, wyższy od wzgórza, na którym wzniesiono dwór. Kamienne występy o fantastycznych kształtach tworzyły dziwną koronę, a zbocza usłane były odłamkami zwietrzałych skał.

- To Wielka Turnia - wyjaśniła Gonetta. - Z nią jest taka dziwna sprawa, że z Pendurgan wcale jej nie widać. Bawi się w chowanego, jak

mówi mój tato. Ale stąd dobrze widać, jaka wielgaśna! Ani chybi paniusia ją widziała, jakieśta jechali z Gunnisloe!

- Zdumiewające - powiedziała Verity. - A już myślałam, że to był tylko sen!

- Wrzosowisko to uroczone miejsce! Lubi se z nas kpinkować. A jak nie ono, to skrzaty! Mało to luda wodziły w kółko po wertepach? Niejeden całkiem sie zbłąkał i nijak nie mógł trafić do domu, chocia od małego tamój biegał! Jakby sie na paniusie skrzaty uwzienny, nie da rady! Ale tu ni ma strachu: prosta droga do St. Perran's, jak strześlił. Skrzatom lubują kręte ścieżki.

Verity uśmiechnęła się. Ta dziewczyna najwyraźniej święcie wierzyła w krasnoludki! Przecież te psotne skrzaty to nic innego jak krasnale.

- A tam co tak sterczy? - spytała Verity, wskazując dwie wysokie, smukłe konstrukcje widoczne nad skalnym usypiskiem u podnóża zachodniego stoku High Tor.

- Te wieżyczki? To przecie kopalnia Wheal Devoran!

- Kopalnia?

- A ino! Kopalnia miedzi. Naszego pana barona. Gonetta stała i czekała cierpliwie, aż Verity napatrzy się niezwykłym wieżyczkom. Niemal wytworne w swej prostocie stanowiły dziwny kontrast z otaczającym je surowym krajobrazem. Nad jedną z tych konstrukcji wznosiła się cienka smuga dymu - a może pary? - która ulatywała w stronę samotnej turni.

- U nas prawie wszystkie chłopcy to górnicy z Wheal Devoran. Znaczy sie te, co nie mają ziemi - wyjaśniała Gonetta. - Dużo dziewczuch też tam

pracuje. Mało która znalazła robote w takim wielgim dworze jak ja. Oj, lepiej służyć u państwa, niż być za łupaczkie w kopalni!

A zatem tajemniczy właściciel Pendurgan nie tylko zapewniał byt i dach nad głową swoim dzierżawcom, ale także godziwy zarobek reszcie miejscowej ludności!

- Jeśli okoliczni mieszkańcy mają pracę dzięki lordowi Harknessowi - zastanawiała się głośno Verity - to czemu jest taki niepopularny? Słyszałam, jak przezywano go Potępieńcem. Z jakiego powodu?

Twarz Gonetty zmieniała się w maskę bez wyrazu. Dziewczyna wzruszyła ramionami i wyraźnie chciała stąd odejść.

Niechęć Gonetty do wdawania się w jakiegokolwiek rozmówki na temat barona sprawiła, że w Verity odezwały się znów dawne wątpliwości i obawy, przesłaniając złowieszczą mgłą jej zdrowy rozsądek. Na czym polegał sekret właściciela Pendurgan? Sekret, o którym ośmieliła się napomknąć tylko Agnes Bodinar?

- No, chodźmy już! - ponagliła Gonetta i Verity ruszyła za nią, jeszcze bardziej zafascynowana czarnowłosym mężczyzną o przenikliwych niebieskich oczach. Kiedy zawróciły w stronę wsi, otoczyły je znowu pola i łąki. Kornwalia była doprawdy krainą kontrastów! W charakterach tutejszych mieszkańców także ich nie brakowało!

Wioska była już niedaleko. Kiedy podeszły jeszcze bliżej, Verity poczuła się dziwnie obco. W St. Perran's nie było nic z ciepła i uroku jej rodzinnych stron, ani nawet Berkshire, gdzie spędziła ostatnie dwa lata. Żadnych krytych strzechą chat o bielonych ścianach. Ani drewnianych bali, ani pruskiego muru, ani starych cegieł porośniętych jakimś pnączem.

Zamiast tego ujrzała przerażające Gunnisloe w miniaturze.

Pozbawione wszelkiego uroku sześciany z chropowatego granitu, kryte łupkowym dachem, porozrzucane chaotycznie wzdłuż niebrukowanych uliczek, odchodzących od głównej drogi. Podobne do pudełek, wyłącznie użytkowe szkaradzieństwa, bez odrobiny charakteru czy oryginalności - bezbarwne, monotonne, nieprzyjazne.

Na drugim końcu tej wioski na niewielkim wzniesieniu stał kościół. Wzniesiony z tego samego granitu i łupku co kamienne chaty, nie był od nich wiele ładniejszy. Kwadratową wieżę ozdobiono czterema narożnymi zwieńczeniami, które z daleka przypominały do złudzenia królicze uszy. Nieliczne w St. Perran's drzewa grupowały się wokół kościoła.

- Tu zajrzemy najspierw - orzekła Gonetta. - Do Dunstanów. - Zniżyła głos i nachyliła się do ucha Verity. - Jacob Dunstan pracuje w Wheal Devoran przy pompie. Jego żona strasznie się tym pyszni: widzi jej się, że to coś lepszego jak zwykły górnik! Dzień dobry, Dunstanowa! - dodała znacznie głośniej.

Mocno zbudowana ciemnowłosa kobieta w skromnej niebieskiej sukni i białym fartuchu ukazała się w drzwiach kamiennego domku. Nie odpowiedziała na powitanie Gonetty i zmierzyła Verity podejrzliwym spojrzeniem.

- Przyprowadziłam tu panią Osborne z Pendurgan, cobyście się poznały. To krewniaczka naszego barona, przyjechała na dłużej do dworu.

Kobieta w niebieskiej sukni prychnęła lekceważąco. Widać nie dała się nabrać na bajeczkę o kuzynce. Verity zebrała wszystkie siły. Czekają ją bardzo niemiłe popołudnie. Gonetta udała, że nie dostrzega niegrzecznego zachowania wieśniaczki, i zwróciła się do Verity:

- To Ewa Dunstan, paniusiu. Jej mąż, Jacob, pracuje w Wheal Devoran.

- Ale nie pod ziemią - wyjaśniła bezzwłocznie Ewa - ino w maszynowni!

Verity wyciągnęła do niej rękę.

- Jak się pani miewa, pani Dunstan? Miło mi panią poznać. Kobieta w pierwszej chwili całkiem zbaraniała, ale w końcu ucisnęła podawaną dłoń.

- Mnie też - odwzajemniła grzecznościowy frazes.

- Matula upiekła całe blachę pleśniaka i kazała zanieść do wsi troche na spróbowanie - oświadczyła Gonetta. Sięgnęła do koszyka, wyjęła porządnie owinięty kawałek placka i podała Ewie Dunstan. - Mówiłam naszej paniusi, że matuli najlepiej się udaje pleśniak w całej okolicy. Ale pani Osborne... pomyśleć tylko! nigdy w życiu nie jadła pleśniaka! Widać w jej stronach nie wiedzą, co dobre.

- Naprawdę?! - zdumiała się Ewa. - A z jakich ona stron, co?

- Wychowałam się w Lincolnshire - odparła Verity uprzejmym tonem, co niełatwo jej przyszło. Postanowiła jednak nie zważać na pogardliwe miny żony „lepszego” górnika. - Ale zdążyłam już zasmakować w pleśniaku pani Chenhalls. Wyborny!

- Mamy jeszcze i to - kontynuowała Gonetta. Wyciągnęła jeden z muślinowych woreczków, które przygotowały razem z Verity, i uraczyła Ewę Dunstan opowieścią o niezwykłych właściwościach ziół. Verity przerwała jej w połowie sagi o cudownym uzdrowieniu Daveya.

- Słyszałam, że tutejszy doktor nie wrócił jeszcze z podróży - wyjaśniła - pomyślałam więc, że być może te zioła przydadzą się

mieszkańcom St. Perran's. Można zrobić z nich napar bardzo pomocny na przeziębienie, które zimą często się zdarza.

Nie szczędziła Ewie Dunstan wskazówek, jak parzyć zioła i podawać je choremu. Skwaszona jejmość nieco się udobruchała.

- Straśnie mi dokuczają zęby - zwierzyła się. - Znajdzie się na to jaka rada?

Verity odparła, że najlepsze będzie płukanie. Z chęcią przygotuje miksturę i jutro ją dostarczy. Wyjęła niewielki notatnik i zapisała w nim ołówkiem zamówienie.

Wdzięczność Ewy była tak wielka, że zaprosiła Verity na herbatę. Gonetta odpowiedziała, nim jej towarzyszka zdążyła się odezwać.

- Piękne dzięki, ale trza nam roznieść te kawałki placka i te woreczki po całej wsi. A paniusia... znaczy się, pani Osborne, robi takie specjalne herbatki... Namówimy babcie Pascow, coby ją zaparzyła. Wpadnijże do babci za pare pacierzy, Ewa, to zobaczysz, co to za pyszności!

Verity wiedziała już od Gonetty, że babcia Pascow jest w St. Perran's najwyższym autorytetem. Zależało jej więc bardzo, by zrobić na staruszce dobre wrażenie. Kiedy pożegnały się z Ewą Dunstan, spytała rudaszkę, czy wypada zapraszać kogoś do chaty babci Pascow bez pozwolenia starej damy. Gonetta wybuchnęła śmiechem.

- Sama paniusia zobaczy, jak u nas jest! - odparła. -Wszystkie baby i tak się zlecą do babci Pascow! Nie trza im nijakich zaproszeń.

Następne spotkania we wsi i na nieco odleglejszych farmach odbywały się według tego samego schematu: początkowo spoglądano na Verity podejrzliwie, potem coraz życzliwiej, niemal przyjaźnie. I dosłownie każdy skarżył się na jakieś dolegliwości. Hildy Spruggins miała

bóle brzucha, niemowlę Dorcas Muddle cierpiało na kolkę i wiatry, mąż Lizzy Trethowan nadwerężył sobie plecy, naprawiając płot, Annie Kempthorne dręczyły straszne bóle miesiączkowe, a córkę Borry Nanpean nękał chroniczny kaszel.

Verity wypełniła cały notatnik zamówieniami na ziołowe leki dla mieszkańców wioski. Pod koniec wyprawy czuła, że przez miejscowe kobiety - żony dzierżawców i górników - została niemal zaakceptowana. Zanim przyszła pora na ostatnią wizytę, tę w domku babci Pascow, Verity czuła zawrót głowy, ale i wyraźną ulgę.

Domek starej królowej wioski nie różnił się od pozostałych chat. Był to niczym nieupiększony sześcian z kamienia z czterospadowym dachem i niewielkimi oknami w drewnianych ramach. Jednakże - w odróżnieniu od mało zachęcającej fasady - wnętrza kornwalijskich chat okazały się ciepłe i przytulne.

Babcia Pascow stała na progu, jakby oczekiwała ich przybycia. Była to niska, pulchna, siwowłosa kobieta w nieokreślonym wieku. Miała potężny nos i małe, ciemne oczy, które niczego nie przepuściły. Stała dumnie jak królowa, gdy przedstawiono jej Verity, a potem szerokim gestem zaprosiła ją do wnętrza.

Od razu stało się jasne, że babcia rzeczywiście na nie czekała. Sporo kobiet z St. Perran's, które Verity i Gonetta odwiedziły wcześniej, tłoczyło się koło wielkiego paleniska. Niski belkowany strop sprawiał, że izba wydawała się mniejsza, niż była w istocie. Schody umiejscowione w kącie chaty świadczyły o tym, że na górze, pod spadzistym dachem, znajduje się jeszcze jedno pomieszczenie. Gonetta wyjaśniła Verity, że mieszka tam wnuk babci Pascow i cała jego rodzina.



Babcia podeszła bez pośpiechu do stojącego najbliżej ognia drewnianego krzesła z wysokim oparciem i poręczami. Drugiego takiego mebla nie było w izbie. Stara kobieta usiadła z pewnym trudem na swoim tronie.

Gonetta dotknęła lekko ramienia Verity.

- Chiba zostawie tu paniusie - szepnęła - i wrócę do Pendurgan. Robi się późno i pani Tregelly obedrze mnie ze skóry, jak nie wyczyszcze rusztów i trzonu w kuchni! A po co panusia ma się spieszyć? Zabawi tu panusia jak długo zechce, a do domu trafi, no nie?

Verity poczuła nagły dreszcz strachu na myśl, że zostanie sama z tymi kobietami, ale lęk ją opuścił, gdy ujrzała przyjazny uśmiech Borry Nanpean. Pojęła, że wszystko będzie dobrze. Gonetta przerzuciła kilka pozostałych drobiazgów ze swojego kosza do koszyka Verity, pożegnała się grzecznie i wymknęła się po cichu.

- Siadaj koło mnie, Verity Osborne - powiedziała babcia Pascow, poklepując wymownie trzciniowe siedzenie dość sfatygowanego krzesła.

Verity wyminęła Ewę Dunstan i Lizzy Trethowan i usiadła na miejscu wskazanym przez staruszkę. Ta zaznajomiła ją z kilkoma jeszcze osobami, a Verity ofiarowała babci ostami kawał pleśniaka i woreczek herbaty z owoców dzikiej róży i czarnego bzu, którą przywiozła z Berkshire. Babcia Pascow podziękowała Verity i wręczyła oba dary żonie swego wnuka, Kate Pascow, prosząc, by zaparzyła herbatę i pokroiła ciasto.

- Juzem słyszała o tych twoich herbatkach - powiedziała staruszka.

Ucho Verity z każdą chwilą bardziej się oswajało z kornwalijską wymową. Nie raziała jej już dość osobliwa gramatyka i składnia. Ani

dudniące „rrr” i śpiewne przeciąganie samogłosek, ani charakterystyczne unoszenie głosu pod koniec zdania, jakby każde z nich było pytaniem. Mimo wszystko jednak musiała porządnie wyteżać słuch, by nie stracić ani jednego słówka.

- Każda mi tu gada, że jej pomożesz to w tym, -to w owym -mówiła dalej babcia Pascow. - Skądś się tyle nauczyła o ziołach? Od swojej matki?

- Od pewnej starej kobiety z mojej rodzinnej wioski - odparła Verity, rada, że rozmowa schodzi na takie miłe i bezpieczne tory. Wiedziała już, że babcia jest dociekliwa i nie popuści, póki nie dowie się wszystkiego na temat jej rodziny, przyjaciół i warunków, w jakich dotąd żyła. - Nazywała się Edith Littleton i była miejscową „znachorką”, czyli po prostu zielarką. Moja matka często chorowała i właśnie dlatego zainteresowałam się działalnością Edith: chciałam mamie pomóc. Edith wzięła mnie pod swoje skrzydła, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Od niej nauczyłam się wszystkiego, co wiem o ziołach.

- Bardzo się nam teraz przyda to wszystko - zauważyła babcia Pascow. - Żadnego doctora w okolicy nie uświadczy, ino ten rzeźnik od górników, znaczy się pan Trevenna. Nic, tylko by ucinał ręce abo nogi! - Staruszka z wyraźnym trudem zmieniła pozycję na swoim krześle i wyciągnęła jedną nogę do ognia.

- Bardzo przepraszam, pani Pascow...

Dalsze słowa Verity zagłuszył ogólny śmiech. Chichotały wszystkie kobiety, włącznie z babcią. Śmiech całkiem zmienił twarz staruszki. Na jej policzkach pojawiła się siateczka wachlarzowatych zmarszczek. Babcia

Pascow była jak odmieniona: stała się nagle taka podobna do najmilszej Edith Littleton, że Verity omal się nie rozplakała.

- Jak będziesz do mnie gadać „pani Pascow”, to zaczniesz się rozglądać po kątach, gdzie ta obca baba siedzi! Mów mi „babciu”, i tyle. Wszystkie mnie tutaj tak wołają. Niektóre „nasza babcia”, inne „stara babcia”. Cichcem, za moimi plecami. Mnie to nie wadzi. Abo ze mnie młódka? Grunt, że babcia, a nie żadna tam pani Pascow!

Verity uśmiechnęła się. Wiedziała, że polubi babcię Pascow.

- Chciałam tylko powiedzieć, babciu, że zauważyłam, jakie masz kłopoty z biodrem. Wiem już od Gonetty, że dręczy cię reumatyzm. Więc pozwoliłam sobie bez pytania przygotować dla ciebie lekarstwo.

Sięgnęła do koszyka, wyjęła niewielką flaszkę brunatnożółtawego olejku i podała ją babci. Stara kobieta wyciągnęła rękę z prezentem do ognia, obróciła buteleczkę w palcach, obejrzała ze wszystkich stron, jakby to był niezwykle, drogocenny klejnot.

- To naprawdę bardzo skuteczna mieszanka - mówiła dalej Verity - pędy żarnowca, koszyczki rumianku i kłącze żywokostu... wszystko uprażone w oleju. Trzeba natrzeć tym stawy, a potem poleżeć z pół godziny bez ruchu. Przekonasz się, babciu, jaką poczujesz po tym ulgę!

Oczy babci Pascow pociemniały i stawały się coraz większe. Wpatrywała się nadal w niewielką buteleczkę. W izbie zaległa cisza. W końcu staruszka przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się do Verity.

- Zrobię jak mi radzisz, dziecko - powiedziała. - Naprawdę tego spróbuje. Bardzo to ładnie z twojej strony, Verity Osborne. Dziękuję z całego serca, dziecino.

Inne kobiety zaczęły zarzucać Verity pytaniami o różne inne przypadłości, aż musiała im przypominać, że nie jest lekarzem. Zrećźnie skierowała rozmowę na inne tory. Wypytywała o ich rodziny, gospodarstwa, dzieci... Babcia Pascow prawie się nie odzywała. Dyrygowała tylko żoną wnuka, która nalewała herbatę i podawała ciasto. Choć stara kobieta prawie nie brała udziału w rozmowie, przysłuchiwała się jej uważnie, obserwując przede wszystkim Verity. Na koniec, gdy Hildy Spruggins rozgadała się o swoim synu Benjie, staruszka uniosła rękę, nakazując milczenie. Hildy natychmiast przestała kłapać buzią.

- Nie bede kręcić ani kluczyć, Verity Osborne - powiedziała babcia. - Co by to dało? Lepiej walić prawdę prosto z mostu. Wszystkie, jak tu jesteśmy, wiemy, jakieś trafiła do Pendurgan.

Serce Verity uciekło w pięty. Wstrzymała oddech i gotowała się na kolejny cios.

- Każdy z nas wolałby nie wspominać, co sie działo w Gunnisloe. Nie ma sie czym chwalić. Niejedne tam byli, jak nie przymierzając Hildy ze swoim Natem. - Hildy Spruggins zwiesiła głowę i poczerwieniała jak burak. - Annie tyż - ciągnęła dalej babcia. - Juzem im powiedziała do słuchu. Wstyd i hańba!

Zmrużyła oczy i powiodła oskarżycielskim wzrokiem po twarzach wszystkich kobiet. Potem znów zaległa w izbie niezręczna cisza. Wreszcie babcia zwróciła się znowu do Verity.

- Ale powiem ci jedno prosto w oczy i przy wszystkich: porządna z ciebie dziewczyna, Verity Osborne. Mogłaś se siedzieć we dworze i gwizdać na bide, co we wiosce piszczy. Dla takiej damy jak ty, kształconej, wychowanej, takie ludzie jak my to ino błoto. Po co leżć w

ichnie brudy? A ty przychodzisz do nas z lekarstwami, z poradami. Więc żebyś wiedziała, że wszystkie ci dziękujemy z całego serca.

W całej izbie rozległy się potakiwania.

- No tak... - mówiła dalej babcia - Co się stało, to się nie odstanie. Powiem ci ino, co myślę o tym, żeś zamieszkała w naszych stronach, i w ogóle. Nie chce, żeby ci włos spadł z głowy, dziecko. Raz o to spytam i dam ci spokój. Powiedz no babci, ale szczerze: czy we dworze są dla ciebie dobrzy? Czy ten tam... potrafi cię uszanować?

RS

Ból rozsadzał mu głowę. James nacisnął z całej siły zamknięte powieki, usiłując uporać się z cierpieniem. Ale bolesne pulsowanie narastało. Miał wrażenie, że w głębi jego czaszki, za gałkami ocznymi, zainstalowano haubicę i ktoś strzela z niej bezustannie.

James jęknął. Znowu?! Och, nie! Byle nie to! Poczul w żołądku skurcz strachu. Odetchnął kilka razy chłodnym powietrzem i udało mu się pokonać mdłości, które zawsze towarzyszyły podobnym bólom głowy. Kiedy był już pewien, że nie dostanie zaraz torsji, otworzył oczy.

Znajdował się na wrzosowisku. Tkwił skulony na samym szczycie High Tor. Tak blisko Boga, jak to tylko możliwe dla kogoś takiego jak on. Poznał po słońcu, że jest już późne popołudnie. Jak on się tu dostał?! W pobliżu Castor podszczypywał jakieś zielsko. A więc przyjechał tu konno. Zupełnie tego nie pamiętał. W ogóle niczego nie pamiętał! Skupże się, człowieku!

Mimo ustawicznego dudnienia w głowie James usiłował sobie przypomnieć, co się tym razem wydarzyło. To było rankiem... Dobry Boże, ileż godzin stracił!... Dotarł do Wheal Devoran. Akurat nocna zmiana kończyła pracę, następna zaczynała. Usmoleni, zmordowani górnicy, opuszczając kopalnię, przekomarzali się rubasznie z towarzyszami z porannej zmiany. James miał właśnie zajrzeć do składu drewna. Nagle zobaczył, że Ezra Noone w żartach palnął Gerensa Palka w głowę. Wszyscy ryknęli śmiechem, gdy przylepiona do ronda sztywnego kapelusza świeca wpadła do wiaderka z drugim śniadaniem. Palk

wrzasał: zapłonęła serwetka, w którą owinięto pasztecik. Z wiaderka buchnął płomień.

To było wszystko. Niczego więcej James nie zapamiętał. Dobrze wiedział, że nic więcej mu się już nie przypomni. Po sześciu z górą latach dobrze znał własne reakcje na nagły błysk ognia albo wybuch. Nadal jednak nie potrafił ich kontrolować. Bardzo prędko zorientował się, że nie powinien zjawiać się w kopalni w te dni, gdy wysadzano skały. Jednak takich drobnych incydentów jak dzisiejszy nie można było przewidzieć.

Znowu stracił kilka godzin. Nic z nich nie pamiętał. Były jak czarna dziura w jego życiu. Ogarnęło go dobrze znane, bolesne poczucie dezorientacji. Zupełnie jakby było w nim dwóch różnych ludzi i jeden nie miał pojęcia, co robi ten drugi. Powtarzało się to raz za razem, ale nigdy nie mógł się z tym pogodzić.

Dosiadł Castora i skierował się w dół stoku, do Wheal Devoran. Kiedy zbliżał się do maszynowni, ujrzał Kneebone'a. Główny mechanik stał właśnie oparty o drzwi i ocierał spocone czoło. Dostrzegł Jamesa i wyszedł mu naprzeciw.

- Dzień dobry, milordzie - powiedział trochę niepewnym tonem.
- Wszystko idzie jak należy, Kneebone?
- A jakże! Wymieniliśmy te felerne pompe i teraz wszystkie zmiany pracują aż furczy! Na przodku Tregonninga też idzie jak po maśle.
- Doskonale. Żadnych nowych problemów?
- Wszystko jak trza, milordzie.

Jeśli nawet dziś rano James jakoś się zbłądził, nigdy się o tym nie dowie od Kneebone'a. Nikt inny także nie puści pary z gęby. James wiedział, że wszyscy ci ludzie mają go za wariata. A ponieważ sam nie

miał pojęcia, co wyprawiał -ani dziś, ani podczas setki innych ataków - był skłonny zgodzić się z ich opinią.

Zajrzał do kantoru, sprawdził, jak idzie robota w sortowni, zamienił kilka słów z kowalem i dokonał pospiesznej inspekcji magazynów.

Wszyscy naziemni pracownicy kopalni omijali go jeszcze skwapliwiej niż zwykle. „Łupaczki” na jego widok przestały śpiewać. Co też on tu wyrabiał dziś rano?!

Całkiem możliwe, że w czasie tych straconych godzin zapędził się do wsi... Najlepiej wrócić do Pendurgan i zapomnieć o wszystkim. A jednak uważał za swój obowiązek prześledzić własne kroki, dowiedzieć się, jakie były jego nieświadome postęпки. Nie było to łatwe: górnicy, farmerzy, nawet służba w Pendurgan - wszyscy trzymali gęby na kłódkę. Poldrennan zapewniał go co prawda, że nigdy już nie spowodował żadnego nieszczęścia - ale James nie był tego wcale pewien. Skierował konia do St. Perran's.

Zatoczył wielkie koło od południowego zachodu, chcąc przybyć do wsi od strony kościoła i cmentarza. Jechał ostrożnie po zwirowanej ścieżce wzdłuż cmentarnego ogrodzenia. Zatrzymał się, słysząc jazgot babskich głosów, i skrył się wraz z koniem w kępie drzew, rosnących w pobliżu cmentarnej furtki.

Zza zasłony liści obserwował grupę kobiet, które ukazały się w drzwiach domku babci Pascow. Najwidoczniej zbierały się do wyjścia. Zamierzał pozostać w ukryciu, póki się nie rozejdą. Dobrze wiedział, co o nim myślały! Ale może warto posłuchać ich paplaniny? A nuż dowie się czegoś pożytecznego? Czegoś, co pomoże mu rozwiązać zagadkę straconych godzin?



Kobiety jednak gadały wyłącznie o swoich rozmaitych dolegliwościach i bolączkach. Z całą pewnością nie o nim. James niepokoił się, że Castor zdradzi go jakimś ruchem czy rzeniem. A baby gadały jak najęte! Niechby już sobie poszły; chciał odjechać stąd czym prędzej.

- Oj, paniusiu! Dziękuję z całego serca! Nie mogię się już doczekać ty mikstury dla mojej Gwennie.

James skamieniał. Czyżby Verity?... Psiakrew, co ona tu robi?!

Ujrzał, jak zza pleców znacznie potężniejszej Borry Nanpean wylania się drobna postać Verity. Niosła jakiś koszyk. Była ubrana w szarą suknię i ciemnoniebieski płaszcz - ten sam, co podczas licytacji. Czy orientowała się, że niektóre z tych kobiet były wówczas w Gunnisloe? Że kilku ich mężów próbowało nawet ją kupić? Verity mówiła coś z uśmiechem do Hildy Spruggins. Czy wiedziała o tym, że Hildy była na placu targowym ze swoim Natem i waliła pewnie w kociołek jak cała reszta?

Musiała o tym wiedzieć. Albo przynajmniej domyślać się, że większość okolicznych mieszkańców wzięła udział w tym okropnym widowisku. Jak mogła tak pogodnie rozmawiać z tymi kobietami, które uważały ją za jego kochanicę?!

A jednak Verity - narażając się na wzgardę i odepchnięcie - sama zrobiła pierwszy krok w ich stronę. W dodatku obładowana swymi ziołowymi lekami! Staneła przed tymi kobietami twarzą w twarz i zdobyła je szturmem. Nie ulegało wątpliwości, że zaakceptowały ją w pełni. Czują się wśród nich tak swobodnie, jakby i ona urodziła się w Kornwalii.

Jamesa ogarnął wstyd. Verity potrafiła stawić czoło demonom i pokonać je. On nie mógł się na to zdobyć. No tak, ale dręczące ją koszmary pochodziły z zewnątrz, powstały niezależnie od niej. Jego demony zrodziły się we wnętrzu jego istoty.

Przeczuwał... co więcej, był pewien, że Verity ma w sobie zbyt wiele hartu i dumy, by jedno bolesne wydarzenie przesądziło o całej przyszłości. Podjęła wyzwanie z taką odwagą, iż z pewnością nie była to pierwsza trudna decyzja w jej życiu. A jednak raz czy drugi James zdołał dojrzeć pod pancierzem stalowej dumy wrażliwą, bezbronną istotę.

Dotarł do jego uszu charakterystyczny głos, należący z pewnością do babci Pascow.

- I pamiętaj, dziecko, com ci mówiła! Jakby ci się co zdarzyło we dworze, leć do mnie jak w dym!

Niech to szlag! Te jędze zwierzały teraz szyki wokół Verity, by ją bronić przed nim. Wścibskie stare wiedźmy! James ze złości odruchowo targnął lejcami. Castor zarżał.

Zapadła nagła cisza. Wszystkie głowy zwróciły się w jego kierunku. Klnąc w duchu, James wyjechał z za drzew jakby nigdy nic: po prostu przejeżdżał obok. Nie czał się w gąszczu, skądże znowu!

Na jego widok rozległy się cichutkie „ochy” i „achy”. Bez słowa wieśniaczki rozbiegły się jak spłoszone króliki na huk strzału. Jedna z nich (chyba to była Dorcas Muddle) przycisnęła dzieciaka do piersi i pognęła ścieżką jak opętana. Jamesowi znowu przyszło do głowy, że podczas straconych dziś godzin musiało się wydarzyć coś złego. Ale, prawdę mówiąc, kobiety zazwyczaj tak reagowały na jego widok. Więc może dzisiaj nic się nie stało?

Verity stała bez ruchu w drzwiach obok starej kobiety. Żona jej wnuczka, Kate, zniknęła we wnętrzu chaty. Babcia Pascow spoglądała Jamesowi prosto w twarz, groźnie i wyzywająco. Verity wydawała się zmieszana i nieco zaniepokojona nagłą ucieczką kobiet.

James zatrzymał konia obok chaty i zeskoczył na ziemię.

- Dzień dobry, babciu! - powiedział. - Witaj, Verity!

Wydawała się zaskoczona, że zwrócił się do niej tak poufale. James zamierzał jednak trzymać się nadal bajeczki o ubogiej krewnej; nie mógł więc nazywać jej „łaskawą panią”, nieprawdaż?

- Dzień dobry - burknęła babcia. Po krótkim wahaniu dodała jeszcze: - ... milordzie. - Znała Jamesa od kołyski. Bardzo rzadko i tylko przy ludziach używała tego tytułu.

James zwrócił się do Verity.

- Nie wiedziałem, że zamierzasz dziś odwiedzić St. Perran's!

- Przyniesła nam leki na przeziębienie i takie tam... - odparła za nią babcia wojowniczym tonem. - Prawdziwa dla nas laska boska. Przecie nasz dochtór Trefusis wziął i wyjechał.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Verity - powiedział James. - Pozwolisz, że razem z tobą wrócę do dworu?

- Tak, oczywiście - odparła, wyraźnie zmieszana tą propozycją. - Dziękuję. - Zwróciła się z serdecznym uśmiechem do babci Pascow. - I tobie, babciu, dziękuję z całego serca za gościnność.

- Zagląдай do mnie, kiedy ino zechcesz, dzieciaku! Drzwi zawdy otwarte, a stara babcia siedzi we środku.

- Wpadnę za dzień czy dwa - obiecała Verity - kiedy już przygotuję obiecane leki. Nie zapomnij nacierać stawów tym olejkiem, babciu!

- Nie zapomnę, nie! Dziękuję ci raz jeszcze, moje dziecko! I tobie, James. - Wymówiła to imię dość osobliwie: Jammez. - Opiekuj się dobrze tą dziewczuszką, słyszysz?

- Jak zawsze troszczysz się o wszystkich w okolicy, babciu!

- Ktoś musi, no nie?

Odpowiedział jej uśmiechem. Twarz staruszki złagodniała.

- Będę się nią dobrze opiekował; nie bój się, babciu. Chodźmy, kuzynko!

Wyciągnął rękę i odebrał jej koszyk. Potem, trzymając Castora za cugle, ruszył ścieżką u boku Verity.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Gdy wreszcie podniósł na nią wzrok, przekonał się, że Verity także na niego spogląda. Spuściła oczy i zaczerwieniła się.

- Przepraszam - bąknęła. - Zaskoczyłeś mnie, milordzie.

- Zjawiając się w St. Perran's?

- Nie. Czymś innym.

- Czym?

Spojrzała mu prosto w twarz. Jej oczy były wielkie, brązowe i nieulekłe.

- Swoim uśmiechem. Uśmiechnąłeś się do babci. James wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Znam ją od urodzenia.

- Ale ja... nigdy jeszcze nie widziałam, żebyś się uśmiechnął.

Słowa Verity i miękki ton jej głosu wprawiły Jamesa w zmieszanie. Lepiej by chyba było, żeby się go nadal bała.

- Uważasz mnie za potwora, co? Masz rację, ale i potwory miewają chwile słabości. W tej chwili jestem prawie nieszkodliwy. Więc zdradź mi, proszę, czemu, do diabła, wybrałaś się samopas do St. Perran's? Trzeba było wziąć ze sobą Gonettę albo Tomasa!

- Ależ zrobiłam tak! - odparła. - Gonetta towarzyszyła mi przez większość dnia. Musiała jednak wcześniej wrócić do Pendurgan, bo czekały na nią pewne obowiązki... A ja zostałam i przy herbacie pogawędziłam sobie z babcią i innymi kobietami z St. Perran's.

- Powinnaś była wrócić z Gonettą - zaprotestował. - Nie życzę sobie, byś włóczyła się samotnie po okolicy!

- Nie wiedziałam, że w Pendurgan obowiązuje taka surowa etykieta!  
- odparła z nutką wyzwania w głosie.

- Nie ma nic osobliwego w moim żądaniu. Każda prawdziwa dama pojęłaby to od razu.

- Jak śmiesz?!

Ten wykrzyknik zniweczył ostatnie opory Jamesa.

- Doskonale wiesz, że mogę się ośmielić na bardzo wiele - rzucił.

- Oczywiście! - odcięła się. - Jaka ja niemądra! Jestem przecież twoją własnością. W przyszłości będę potulnie stosować się do zaleceń pana i władcy.

- Nie gadaj głupstw! Nie jesteś moją własnością ani ja twoim władcą. Chyba powiedziałem ci to wyraźnie pierwszej nocy? Ale póki mieszkasz pod moim dachem, czuję się za ciebie odpowiedzialny.

Ruszyli dalej w milczeniu. Verity szła prędko, długimi krokami, sztywno wyprostowana. Ile w niej dumy!

- Niech to wszyscy diabli! - powiedział w końcu. - Przepraszam. Nie powinienem był tak cię strofować.

- Rzeczywiście, nie powinieneś.

- To był dla mnie ciężki dzień - powiedział. - Nerwy mam w strzępach. Zapomnij o tym, co wygadywałem.

- Więc mogę chodzić do St. Perran's sama, kiedy będę miała ochotę?

- Tak, tak! - odparł ze zniecierpliwieniem. - Rób, co chcesz!

- Staram się tylko pomóc choć trochę twoim ludziom, milordzie.

Im więcej będzie im pomagać, tym mocniej poczuje się z nimi związana. I tym trudniej będzie jej stąd odejść.

- Czemu oni tak się ciebie boją?

To pytanie wstrząsnęło nim. Z rozmysłem unikał rozmów sam na sam z Verity, wmawiając w siebie, że postępuje tak ze względu na grzeszny pociąg, jaki do niej czuł. Ale nie chodziło tylko o to. Niepokoiły go prostota i szczerść Verity. Objawiały się za każdym razem, gdy rozmawiali ze sobą nieco dłużej -począwszy od spotkania tamtej pierwszej nocy, gdy chciała uciec. Mimo iż usiłował tłumaczyć to sobie inaczej, te właśnie cechy jej charakteru wydawały mu się największym zagrożeniem. Bał się, że Verity zada mu kiedyś to pytanie. I zadała.

- A ty boisz się mnie? - spytał.

- Czasami.

- I słusznie!

Ruszył przodem. Resztę drogi przebyli w milczeniu.

W ciągu kilku następnych dni Verity miała w sercu i myślach nieprawdopodobny zamęt. Nie wiedziała, co myśleć o Jamesie. Tamtego dnia po wizycie u babci, kiedy ukazał się od strony cmentarza na karym

wałachu, poczuła niepokój, który zawsze ją ogarniał w obecności barona. Poczula też przelotnie trwogę, gdy kobiety rozpierzchły się na jego widok. A jednak, kiedy go ujrzała, nappełniło ją to radością.

Wyglądał tak imponująco i pięknie na swym lśniącym, karym wierzchowcu! Jak idealnie pasują do siebie! pomyślała, podziwiając pełne takiej samej gracji ruchy konia i jeźdźca. Obaj też lśnili połyskliwą czernią.

Nie powinna była tak się głupio rozmarzyć - choćby ze względu na swoją dwuznaczną sytuację i przerażającą opinię o nim.

Ale z tych rozsądnych przemyśleń Verity nie zostało ani śladu, gdy James uśmiechnął się do babci Pascow. Jej nieobliczalne serce stopniało. James miał przepiękny uśmiech. Rozświetlał jego twarde rysy niczym poranna zorza. Widać było, że nieczęsto się uśmiecha. Na jego twarzy nie dostrzegła cieniutkich zmarszczek śmiechu. Były za to grube krechy wokół nosa i ust, świadczące o tym, że często bywał nachmurzony. Jaka szkoda! Znacznie bardziej było mu do twarzy z uśmiechem.

Czy mężczyzna, który potrafił tak się uśmiechać - nie tylko ustami, ale i oczyma - mógł być naprawdę zły?... Tylu rzeczy pragnęła się o nim dowiedzieć... ale nikt nie chciał jej w tym względzie oświecić.

Nawet on sam. Nie odpowiedział na jej pytanie. Wolał chyba, żeby się go bała i nie zbliżała zbyt do niego. Czemu?! James Harknes był ostrożny, podejrzliwy i czujny. Miała wrażenie, iż nieustannie kryje się za murem żelaznej samokontroli w obawie, że... No właśnie - że co?

Verity często odwiedzała teraz St. Perran's, nie szczędząc jego mieszkańcom ziołowych leków ani rad co do ich stosowania. Tamtejsze kobiety zwierzały jej się z wielu spraw. Dowiedziała się niejednego o

każdej rodzinie, jej radościach i smutkach. Poznała ich dzieci. Wiedziała, jak wielkie są ich gospodarstwa albo jak odpowiedzialne funkcje pełni każdy pracownik kopalni. Ale każda z jej rozmówczyń na jeden temat milczała jak głaz. Na temat lorda Harknessa.

Nawet babcia Pascow trzymała buzię na kłódkę. Olejek na stawy okazał się cudotwórczy i staruszka twierdziła, że czuje się żwawa jak młody żreback. Verity przesiadywała godzinami przy kominku babci, słuchając barwnych opowieści o kornwalijskich świętych i kornwalijskich grzesznikach, o duszkach z kopalni i skrzatach z wrzosowisk. Ilekroć jednak padło nazwisko barona, babcia kierowała rozmowę na inne tory.

Ponieważ Verity nie mogła liczyć na informacje z żadnego innego źródła, próbowała samodzielnie wyciągnąć jakieś wnioski.

James miał we dworze wierną i oddaną służbę. Domki dzierżawców i kościoł w St. Perran's były przez niego utrzymywane w dobrym stanie. Zapewniał w swojej kopalni pracę zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Zorganizował szkołę dla ich dzieci i sam opłacał nauczyciela.

Gdyby lord Harkness był rzeczywiście wcielonym diabłem, czyż troszczyłby się tak o swoich pracowników i o wykształcenie ich dzieci?...

A o nią?... Do tej pory baron nie zjawił się nocą w jej sypialni i była przekonana, że nigdy tego nie zrobi. Ponieważ zaś nie kupił jej dla własnej przyjemności, widać chciał ją po prostu ocalić od znacznie gorszego losu.

Verity nie była w stanie pogodzić wszystkich tych dowodów szlachetności lorda Harknessa z powszechną nienawiścią, jaką żywiła o niego miejscowa ludność, o którą tak się troszczył. Czy znali jakiś jego czarny sekret - tak straszny, że nie wazyli się nawet o nim wspominać?...



Verity próbowała odpowiedzieć sobie na to pytanie, zmierzając kuchennymi schodami do pokoiku, w którym leżał Davey. Przed kilkoma dniami wypatrzyła nad rzeką kępkę podbiału. Uradowała się tym znaleziskiem, gdyż podbiał doskonale łagodził podrażnione gardło, i przygotowała z niego nowy napar dla Daveya.

Zastukała teraz delikatnie do jego drzwi. Czuwający przy łóżku braciszka Tomas wstał na widok wchodzącej Verity. Chłopczyk leżał opatulony grubymi kocami. Szopa rudych włosów opadała na czoło, a piegi na nosie i policzkach tak silnie odbijały od bladej buzi, że wydawała się spryskana jaskrawą farbą.

- Dzień dobry, Davey! - powitała go Verity. - Mam coś dla ciebie.

Podawała parującą filiżankę Tomasowi, który postawił ją na małym stolyczku koło łóżka.

- Dzień dobry, paniusiu! - zapiszczał chłopczyk. Gardło nadal miał zaczerwienione i mówienie sprawiało mu wyraźną trudność. - Coś dobrego, prawda? Tamto było strasznie paskudne!

Verity wybuchnęła śmiechem.

- Mam nadzieję, że tym razem będziesz ze mnie zadowolony, Davey! Specjalnie dodałam miodu. A twoje gardziółko powinno wreszcie po tym wydobrzeć. No i jak, dobre?

- Dobre... - wychrypiał. - Ale ciągiem mnie boli!

- Wiem. Pomogę ci usiąść i zobaczymy, jak szybko poskutkuje. Możesz przez chwilę odpocząć, Tomasie, będę czuwać przy twoim braciszku.

Kiedy lokaj wyszedł, Verity przysiadła na brzegu łóżka i podawała Daveyowi słodki napar, który pił małymi łydkami. Przez cały czas

gawędziła z chłopczykiem. Opowiadała mu o dzieciach Kempthorne'ów, o Gwennie Nanpean, Benjiem od Sprugginsów i o wielu innych malcach, z którymi zaznałomiła się w St. Perran's. Davey znał ich wszystkich i mógł jej także dużo o nich opowiedzieć, ale Verity coraz to zamykała mu buzię łyżkiem lekarstwa, żeby nie nadweręzał gardła.

Mniej więcej po godzinie do pokoju wślizgnęła się Gonetta.

- Ej, ty utrapieńcu! Znowu mielesz językiem? Paniusi pewnie uszy mało nie odpadły!

Verity sięgnęła do uszu, żeby sprawdzić, czy jeszcze trzymają się głowy. Davey rozchichotał się najpierw, a potem rozkasłał. Verity posadziła go prosto, podtrzymując jego drobniutkie, wychudzone plecki. Kiedy atak minął, chłopczyk opadł na poduszki bladziutki i wyczerpany.

- Odpocznij teraz, Davey - powiedziała Verity. Wezbrała w niej fala miłości do tego dziecka, gdy otulała je pod bródkę.

- Ale paniusia wróci?... - dopytywał się chrapliwym szeptem.

- Oczywiście, że wrócę. Tylko teraz pora spać. Gonetta posiedzi przy tobie, dobrze?

Chłopiec skinął główką i uśmiechnął się słabo. Powieki same opadały mu na oczka i prawie natychmiast zasnął.

Verity podniosła się ze swego miejsca. Opowiedziała Gonetcie o nowym lekarstwie i wytłumaczyła, kiedy znów należy je podać.

- Bóg zapłać, paniusiu! Taka dla nas paniusia dobra!... Verity wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się raz jeszcze do śpiącego chłopca. Potem opuściła pokój, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Schodami dla służby zeszła na parter. Mijała właśnie uchylone drzwi małego salonu i zobaczyła siedzącą na kanapie Agnes Bodinar z tamborkiem w ręku. Na

odgłos kroków Verity starsza dama podniosła wzrok znad haftu i gestem ręki przywołała ją do siebie.

Verity jęknęła w duchu. Spotkania z Agnes nie należały do przyjemności. Zacisnęła jednak zęby i weszła do salonu.

- Znowu siedziałas z tym bachorem kucharki?

- Owszem - odparła Verity.

Stała tuż za progiem, trzymając za plecami mocno zaciśnięte ręce.

Agnes prychnęła pogardliwie i spuściła znów oczy na robótkę.

- Spędzasz stanowczo za wiele czasu z tym dzieciakiem!

- To bardzo chore dziecko.

- Myślałam, że już wyzdrowiał - odparowała Agnes sarkastycznym tonem, nie podnosząc wzroku. - Kucharka twierdzi, że dokonałaś cudu!

- Staralam się tylko pomóc pod nieobecność lekarza - odparła Verity.

- Ale to poważna choroba, zwłaszcza dla małego dziecka.

Rekonwalescencja długo jeszcze potrwa.

- Zakładam, że zamierzasz tu pozostać, póki chłopak całkiem nie wyzdrowieje?

- Przyrzekłam to pani Chenhalls. Agnes dźgnęła igłą napięte płótno.

- To się fatalnie składa - stwierdziła. - Powinnaś wynieść się stąd czym prędzej!

Verity weszła do wnętrza i zajęła miejsce na wprost Agnes.

Wydobędzie prawdę od tej starej czarownicy, choćby miała tu siedzieć do zachodu słońca!

- Czemu pani tak się chce mnie pozbyć? - spytała. - Czy z powodu swojej córki?

- Oczywiście, że z jej powodu!

To był strzał na oślep. Verity przekonała się jednak, że nie chybił celu. Widocznie Agnes widziała w niej uzurpatorkę, zagrożenie dla świetlanej pamięci córki. A może po prostu nie życzyła sobie żadnej innej kobiety u boku zięcia?

- Nie musi się pani o to obawiać - zapewniła ją Verity. - Wiem, o co pani mnie podejrzewa, ale nie zamierzam bynajmniej zajmować miejsca zmarłej lady Harkness... pod żadnym względem. Czy wyrażam się jasno?

- No, no! Wyobrażasz sobie, że mogłabyś ją zastąpić?!

- Nie ma potrzeby lękać się mnie, pani Bodinar. Zjawiłam się istotnie" w Pendurgan w dość... niezwykłych okolicznościach, ale doprawdy nie w takich celach, o jakie pani mnie podejrzewa.

- Wielkie nieba! Myślisz, że mnie obchodzi, czy włączysz co noc temu potworowi do łóżka?! - Wbiła igłę w materiał z taką siłą, że omal nie zniszczyła haftu. - Chciałam cię tylko ostrzec przed nim!

- Czemuż to?

- Czemu?! Ze względu na to, kim jest i co zrobił, rzecz jasna!

Nadarzała się okazja, na którą Verity od dawna czekała.

- Kim właściwie jest i co takiego zrobił?

Robótka spadła Agnes na kolana. Stara dama patrzyła na Verity z najwyższym zdumieniem. Mrugała oczyma jak sowa oślepią blaskiem słońca.

- Nie wiesz tego?!

- Nie.

- Przecież wszyscy o tym wiedzą!

- Wszyscy w tych stronach. Ale ja nie pochodzę z Kornwalii.

Agnes ciężko westchnęła i zabrała się znów do haftowania.

- Wobec tego muszę ci chyba o tym powiedzieć - stwierdziła.

Verity siedziała w milczeniu na brzegu krzesła, z rękoma splecionymi na podołku, i czekała na wyjaśnienia Agnes.

- Przed wojną wszystko z nim było w porządku - odezwała się w końcu Agnes. Jej głos stracił nieco ze swej ostrości, spojrzenie jednak pozostało twarde. - Kiedy się pobrali, byli oboje bardzo młodzi, on i moja Rowena. Znali się prawie od urodzenia i Rowena uparła się, że zostanie jego żoną. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby wyszła za Alana Poldrennana. Taki miły młody człowiek! I wzdychał do niej od lat. Ale Rowena nic, tylko James i James! Starsza pani przygarbiła się i westchnęła.

- Kopalnia mojego męża, Wheal Blessing, znajdowała się także w tej okolicy, całkiem niedaleko - podjęła znowu. - Stary lord Harkness jeszcze wtedy żył i żelazną ręką kierował Wheal Devoran. Nie zawsze się zgadzali z Jamesem, więc chłopak porzucił dom i wstąpił do armii. W czasie jednego ze swych urlopów ożenił się z Roweną. Zapasy miedzi w naszej kopalni wyczerpały się i musieliśmy zamknąć Wheal Blessing. Wkrótce potem mój mąż zmarł i zostawił mnie bez grosza. James zaoferował mi dach nad głową. Powiedział, że chce, bym dotrzymywała Rowenie towarzystwa, póki on jest w wojsku.

Zmarszczyła brwi i zapatrzyła się w przestrzeń. Zapomniała zupełnie o obecności Verity. Po chwili jednak otrząsnęła się ze wspomnień.

- Przyjeżdżał do domu tak często, jak tylko mógł - opowiadała dalej.

- Trystan urodził się w tysiąc osiemset dziewiątym roku. Rowena szalała z radości. Potem jednak James został ranny i ostatecznie zrezygnował z kariery wojskowej. Kiedy wrócił do domu w tysiąc osiemset dwunastym,

był jak nie ten sam. Nieczuły i okrutny. Gniewny i złośliwy.

Unieszczęśliwił Rowenę!

W oczach Agnes błysnęła nieprzejednana wrogość. Przez długą chwilę wpatrywała się w Verity, nim znowu się odezwała.

- A potem ją zabił - dokończyła.

- Co takiego?!

- James Harkness zabił moją córkę. A co więcej, zamordował też własnego syna.

- Jesteś tego pewien?! - Gilbert Russell krążył nerwowo po tureckim dywanie w gabinecie przyjaciela. - Może chodzi o kogoś innego?

- Jest tylko jeden baron Harkness z Pendurgan - odparł jego towarzysz. - Odziedziczył tytuł po ojcu, jakieś osiem lat temu. Zresztą, gdyby ten ojciec nawet żył, byłby o wiele za stary. Musiałeś spotkać się z Potępieńcem we własnej osobie!

Gilbert nie wierzył wprost własnym uszom. Przyznał się wreszcie swemu przyjacielowi, Anthony'emu Northrupowi, w jaki sposób równocześnie pozbył się Verity i zdobył pieniądze na spłacenie Baldridge'a. Pragnął się wyświadczyć przed życzliwą duszą i uzyskać rozgrzeszenie... W gruncie rzeczy strasznie skrzywdził tę biedaczkę.

Tony był jednym z bardzo, bardzo nielicznych, którzy wiedzieli, że Gilbert miał w ogóle jakąś żonę. Właśnie dlatego było to takie proste. Krótka podróż do Kornwalii - i po wszystkim!

Jednak Gilberta dręczyło sumienie. Dawało mu się we znaki uparcie jak soliter. Musiał komuś wyznać swój grzech! Któż się do tego nadawał lepiej niż Tony, jego przyjaciel i powiernik?

Ale rozmowa z Tonym pogorszyła jeszcze sprawę.

Gilbert przestał krążyć po pokoju i zakrył twarz rękoma.

- Boże miłosierny! Co ja zrobiłem?!

- Wygląda na to, staruszkule, że oddałeś żonę w łapy mordercy.

Verity siedziała przy biurku w sypialni, przy blasku świeczki przerzucając kartki notatnika. Deszcz bębnił o szyby, wicher zawodził. Verity nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, a w końcu zwlokła się z łóżka i postanowiła raz jeszcze przejrzeć notatki przed jutrzejszą pracą w swojej apteczce. Upewnić się, że wszystko się zgadza. Skupiła uwagę na niezbędnych do sporządzania mikstur ziołach w nadziei, że zdoła dzięki temu zapomnieć o przerażających rewelacjach Agnes.

Czy naprawdę James zabił własną żonę i dziecko? Czy można wierzyć słowom Agnes? Stara kobieta chwilami wydawała się nieznacząca, a prawie zawsze pełna była nienawiści i goryczy. Czy komuś takiemu można ufać?

Suszone bulwy czyścica na astmę dla Robbiego Dunstana.

Wygłosiwszy swe oskarżenie, Agnes odrzuciła tamborek i wybiegła z salonu. Wydawała się bliska łez. Straciła córkę i wnuka, nic więc dziwnego, że była zrozpaczona i szukała winnych. Może zresztą miała jakiś powód, by oskarżać Jamesa o ich śmierć?... Ale morderstwo z premedytacją?!

Rozmaryn na kolkę dla niemowlęcia Muddle'ów.

Jeżeli to prawda, jeśli rzeczywiście ich zamordował, czemu nie oskarżono go o tę zbrodnię? Czemu był na swobodzie, zamiast gnić w więzieniu albo na szubienicy?! To się nie trzymało kupy! Agnes z pewnością przesadzała!

Korzeń lubczyka na dolegliwości żołądkowe dla Hildy Spruggins.

Ale jeśli to była prawda?... To by wyjaśniało strach okolicznych mieszkańców, zwłaszcza kobiet. Verity przypomniawszy sobie, jak kobiety z tłumu przygarniały do siebie dzieci, kiedy baron mijał je na placu targowym w Gunnisloe. I jak Dorcas Muddle chwyciła swoje maleństwo i uciekła na widok Potępieńca. Verity nie zapomniawszy też szeptów w tłumie, które sprawiły, że zlekła się o swoje życie. Wieśniacy święcie wierzyli, że James popełnił te zbrodnie... Ale czy je rzeczywiście popełnił?...

Bukowe liście na nadwierzony grzbiet dla Sama Kempthorne'a.

Bukowe... czy brzożowe?

Jakże jej brakowało najnowszego wydania Culpeppera! Otrzymała je w podarku od Edith i nabazgrała mnóstwo własnych uwag na marginesach. Kiedy Gilbert kazał jej spakować wszystko przed wyjazdem do Kornwalii, nie wzięła tego dosłownie. Nie pomyślała o zabraniu książek.

Opierała się więc na swej pamięci, która na ogół dobrze jej służyła. Ale jeśli kiedyś pomyli choć jeden składnik, skutki mogą okazać się fatalne. Do licha! Czemu nie zabrała książek?!

Owinęła się ciasniej szlafrokiem, choć poczucie chłodu było prawdopodobnie nerwową reakcją, wywołaną bębnieniem deszczu i wyciem wiatru. Mimo to przysunęła wielki fotel z narożnikami bliżej kominka i oparła stopy o kratę. Zapatrzyła się w płomienie, wyliczając pieczołowicie składniki kataplazmu dla Sama Kempthorne'a. Ale - mimo wszelkich starań - nie była w stanie przypomnieć sobie, czy chodziło o brzożowe, czy też bukowe liście.

Czegóż by nie dała za jakiś porządny podręcznik zielarstwa!



Biblioteka na parterze pełna była książek wszelkiego rodzaju. Verity jednak nigdy w niej nie myszkowała. To był jego teren, toteż unikała tego pomieszczenia. Ale jeśli wśród książek są zielniki... jakaż by to była pomoc!... Ostatecznie, co w tym złego, że się rozejrzy po półkach?

Ale jeśli spotka tam lorda Harknessa?... Służba nieraz szeptała o bezsenności barona. Jeżeli więc zejdzie do biblioteki i natknie się na niego jak tamtej pierwszej nocy, czy zdoła zachować zimną krew i po prostu rozejrzeć się za książką?

Po tym, co usłyszała od Agnes, nic nie było proste. Teraz, gdy знаła prawdę - a raczej jedną z jej wersji - nie widziała już w Jamesie przystojnego, niezwykle szlachetnego zbawcy. Stał się znowu niepokojącym, mrocznym nieznanym, być może mordercą, którego należało się wystrzegać.

Nie mogła jednak siedzieć wiecznie w swoim pokoju! Ma przecież obowiązki. Potrzebuje podręcznika zielarstwa.

Wstała z fotela i jeszcze szczelniej otuliła się szlafrokiem. Wsunęła stopy w ranne pantofle, wzięła świecę z biurka i na paluszkach pomknęła korytarzem, a następnie schodami na parter. Zwolniła nieco kroku, zbliżając się do biblioteki. Drzwi były lekko uchylone. Błyskało spod nich światło. Był tam!

Verity zawahała się. Czy naprawdę książka o ziołach jest jej niezbędna w tym właśnie momencie?... Można przecież zaczekać do rana i na nic się nie narażać.

Ale dlaczego od razu zakładać, że coś jej grozi? Czy doprawdy powinna przywiązywać tyle wagi do słów pogrążonej w rozpacz i być może nieźrównoważonej starej kobiety?

O, nie! Nie da się zastraszyć takimi opowiastkami! Verity wzięła się w garść i powoli otworzyła drzwi.

James siedział tyłem do ognia, tak samo jak za ostatnim razem. Spojrzał na nią niebieskimi oczyma, twardymi i zimnymi jak stal.

James zaklął w duchu. Że też musiała mu przeszkadzać! Wcale nie chciał znaleźć się z nią znowu sam na sam.

Miała na sobie wełniany szlafrok, związany ciasno w pasie. Nie był to zbyt twarzowy strój, ale na samą myśl o tym, że znajduje się pod nim tylko nocna koszula, serce Jamesa zaczęło walić niczym młot parowy w Wheal Devoran. W lewej ręce Verity trzymała świeczkę, prawą dłonią przytrzymywała poły szlafroka na piersi. Gruby warkocz opadał na prawe ramię, sięgając niemal do pasa. Wydawała się niezwykle młoda, zatrwożona i prześliczna.

Niepokoila go. Jeszcze jak!

Przez kilka długich minut spoglądali na siebie w milczeniu. Świadomość wzajemnej bliskości poraziła ich oboje. Verity odezwała się pierwsza.

- Szukam pewnej książki - wyjaśniła. Nadal patrzyli sobie w oczy. - Pomyślałam, że znajdę tu egzemplarz Culpeppera lub jakiś inny podręcznik zielarstwa.

Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w nią, zanim odpowiedział.

- Jest tutaj, oczywiście. - Wskazał na rzędy półek po przeciwnej stronie pokoju. - Myślę, że chyba tam. Drugi rząd od góry. Sprawdź, czy się nie pomyliłem.

Verity zawahała się, po czym podeszła do wskazanej półki. Uniósłszy wysoko świecę, sprawdzała tytuły książek. Musiała wspiąć się na palce. James przyglądał się jej długiej, białej szyi.

Podniósł się po cichu z fotela i stanął za Verity. Wzdrygnęła się, ale nie odsunęła. Poczul bijący od niej delikatny zapach lawendy i hiacyntów.

- Widzę, że to dla ciebie za wysoko. Pozwól!

Sięgnął do półki spoza ramienia Verity, muskając przy tym ręką jej szyję. Drgnęła pod tym dotknięciem. Wyciągnął dwa tomy i cofnął się. Verity odstawiła świecę na stojący w rogu stół i wzięła od niego obie książki. Otworzyła pierwszą z nich.

- „Lekarz domowy” Culpeppera! - powiedziała. - Tego mi właśnie było trzeba. To wcześniejsze wydanie od mojego, które zostawiłam w domu. Z tysiąc siedemset pięćdziesiątego drugiego roku. Ale nada się doskonale! - Spojrzała na kartę tytułową drugiej książki. - „Nowy zielnik rodzinny” Meyricka. Tego nie znam. Jakże interesujące będzie porównanie!

- Spojrzała na Jamesa. Ciemne oczy lśniły w blasku świecy.

- Mogę pożyczyć obie?

- Nie pożyczaj, weź je sobie po prostu! - odparł. - Nikt ich nie zdejmował z półki od Bóg wie ilu lat!

Przechyliła głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Naprawdę mogę je zatrzymać?... Skinął głową.

- Ale przecież... nie powinnam...

- Nalegam! - odparł James. - Tutaj tylko obrastają kurzem. A ty zrobisz z nich właściwy użytek. Zabierz je, są twoje.

Verity spojrzała na trzymane w ręku książki i przygryzła dolną wargę.

- To... bardzo wspaniałomyślny gest - powiedziała. - Dziękuję!

Sięgnęła już po stojącą na stoliku świecę, ale nagle odwróciła się twarzą do Jamesa. Nie był z tego wcale rad. Wolałby, żeby tego nie robiła. Żeby wyszła, nim zrobi z siebie głupca. Uniosła oczy ku niemu i przechyliła nieco głowę. Znow ujrzał wyraźnie delikatny łuk jej szyi.

- Mogłabym przyrzadzić ci coś na sen, milordzie - powiedziała.

Co u diabła?! Skąd się dowiedziała o jego bezsenności? Czyżby służba o tym plotkowała za jego plecami?

- Znam kilka ziół, które mogłyby na to pomóc - ciągnęła dalej. - Bardzo bym chciała zrobić coś... jakoś się odwdzięczyć za te książki.

Burknął, że nie ma za co, i odwrócił się. Głuptasek! Myślała, że jeśli przemogła swoje koszmary, to upora się z cudzymi! Myliła się. Żadne wywary ani napary nic mu nie pomogą. Jego haniebne rany były zbyt głębokie.

Usłyszał jej kroki. Podeszła do niego bliżej.

- Skąd ta bezsenność? - spytała.

Psiakrew, czy zawsze musi zadawać tyle pytań?! Cofnął się i stał teraz przy ogniu. Przez chwilę wpatrywał się w płonące węgle, wzdrygnął się instynktownie i odwrócił twarzą do Verity. Jej ogromne brązowe oczy błagały o odpowiedź.

- Nie chcę rozmawiać na ten temat - powiedział.

- Czy to ma coś wspólnego z twoją żoną i dzieckiem? - spytała.

Co takiego?! Nagły gniew poraził go niczym uderzenie pioruna.

- Czy to prawda, że ich zabiłeś? Czy dlatego nie sypiasz po nocach?

Wypowiedziawszy te słowa, Verity natychmiast uświadomiła sobie, że popełniła straszliwy błąd.

Jego oczy błysnęły dziko. Były teraz granatowe, niemal czarne w słabym blasku gasnącego już ognia. Cofnęła się. James zrobił krok naprzód.

Boże miłosierny, co ona najlepszego uczyniła?! Czemu nie trzymała języka za zębami? Zwłaszcza teraz, kiedy był taki dobry i dal jej te zielniki!...

Pożałowała, że w ogóle wtrącała się w nie swoje sprawy. To może było głupie - nie, to z pewnością było głupie! - ale w jakiś przewrotny sposób pociągała ją myśl, że właśnie ona zdoła rozwikłać zagadkę. Dowieść, że osławiony Potępieniec był w rzeczywistości szlachetnym człowiekiem. W głębi swego niemądrego, naiwnego serca pragnęła, by znowu stał się jej bohaterskim zbawcą. Zapędziła się jednak zbyt daleko w swoim pragnieniu wykrycia prawdy... i teraz będzie musiała za to zapłacić.

Baron postąpił jeszcze o krok. Był już tak blisko, że wręcz ją przytłaczał. Bojąc się spojrzeć znowu w jego zimne oczy, Verity spuściła wzrok. I to był kolejny błąd. Wpatrywała się teraz w jego opaloną szyję, napięte mięśnie, leciutki ciemny meszek widoczny zza rozchylonego kołnierza jego koszuli. Biła wprost od niego męska siła, mogąca ją w każdej chwili ogarnąć i zgnieść.

- Więc już słyszałaś, że jestem mordercą? Verity skinęła głową.

- Uwierzyłaś w to?

Nie była pewna, jakiej odpowiedzi oczekiwał od niej.

Wpatrywała się więc tylko w niego, oddychając płytko ustami, jakby była zdyszana.

- No więc jak: uwierzyłaś? - zagrzemiał tak głośno, że aż się cofnęła i upuściła trzymane w ręku książki. Wpadła na stół, na którym postawiła świecę. Wyciągnęła ręce do tyłu i zacisnęła je na krawędzi blatu.

- Nie wiem! - Głos miała piskliwy i zdławiony. - Sama już nie wiem, w co wierzyć!

Posuwał się za nią, aż wreszcie palce ich stóp zetknęły się ze sobą.

- Lepiej w to uwierz! - powiedział. I nagle, bez ostrzeżenia, chwycił ją brutalnie za ramiona i przyciągnął do siebie. Przy tym gwałtownym ruchu kosmyk gęstych, czarnych włosów opadł mu na jedno oko, upodabiając go do pirata. Verity zaczęła drżeć. Boże święty! Nie chciała, żeby jej dotykał!...

- Możesz być pewna... - Mówił z tak bliska, że czuła jego oddech na swej twarzy. - ... że jestem równie okrutny i podły, jak głosi fama! - Twardy, bezlitosny głos przeszywał ją jak ostrze miecza. - Nawet bardziej!  
- Czarne brwi zbiegły mu się nad oczyma, w których błyszczał gniew. I coś jeszcze.

Boże... Boże... Miłosierny Boże!...

Zgwałci ją!... Choć musiała przecież wydawać mu się odrażająca, postanowił ją zgwałcić! Ręce Verity zacisnęły się na krawędzi stołu tak kurczowo, że paznokcie wbiły się w drewno.

- Nigdy nie zdołasz zgłębić mej niegodziwości. - Puścił jej prawe ramię i pochwyciwszy warkocz Verity, owinał go sobie wokół ręki. - Ale być może to drobne doświadczenie sprawi, że przestaniesz w nią wątpić.

Jednym szarpnięciem przyciągnął do siebie jej głowę i zmiażdżył jej usta brutalnym pocałunkiem.

Verity próbowała się wyrwać, ale był zbyt silny. Nadal jedną ręką trzymał ją za warkocz, druga zaś opasała ją w talii niczym stalowe imadło. Przez cały ten czas napierał na nią brutalnym, bezlitosnym pocałunkiem. Wargi Verity rozchyliły się lekko i wówczas zmusił ją do szerszego otworzenia ust i wtargnął językiem do ich wnętrza.

Zaszokowana tym brutalnym karesem, zdumiona, że ten człowiek nie reaguje najwyższym wstrętem na taką intymność, Verity próbowała się znów oswobodzić. On jednak powtórnie szarpnął ją za włosy, jeszcze mocniej, i nadal atakował wściekle językiem jej usta. Oszołomiona i przerażona Verity pomyślała, że tym razem chyba ona dostanie torsji... Nie potrafiła się jednak uwolnić, więc poniechała prób.

Siłą woli zmusiła się do odprężenia. Jeśli podda się temu, pewnie będzie mniej bolało. Jakoś to zniesie... byle tylko jej nie zabił... nie okaleczył. Zwisła bezwładnie w jego ramionach.

Natychmiast jego pocałunek stał się jakiś inny. James cofnął się nieco, jakby zdumiony jej uległością. Puścił warkocz Verity i objął ją delikatnie za szyję, gładząc i pieszcząc ją długimi palcami. Ramię obejmujące Verity w talii nie było już stalowym imadłem. Dłoń Jamesa zaczęła sunąć leniwie po jej plecach - w górę i w dół. Wysunął język z jej ust i zaczął nim drażnić i pieścić jej wargi. Nachylił się ku nim, atakował to z prawej, to z lewej w miłosnych igraszkach, smakował, badał, muskał delikatnie końcem języka.

Był to całkiem nowy pocałunek, jakby tamten poprzedni nigdy nie miał miejsca. Łagodnie skłonił ją do tego, by znowu rozchyliła wargi, i delikatnie dotknął jej języka. Verity nie cofnęła się, zaczepiał ją więc

nadal czuły mi musnięciami, zataczał językiem leniwe kręgi, aż wreszcie jej nieobliczalne ciało zaczęło reagować na pieszczotę.

Pocałunek nie był już torturą. Sprawiał jej nawet - mój Boże, czy to możliwe? - prawdziwą rozkosz.

Verity całkiem już straciła głowę. Jego język najwyraźniej kusił i zapraszał do wzajemnych pieszczot. Przytuliła się do Jamesa i pocałunek stał się bardziej żarliwy. Ich języki splotły się ze sobą w namiętym tańcu. Lęk mieszał się z błogością, wstyd z rozkoszą, odmowa z przyzwoleniem. Verity całkiem się zatraciła w tej nawałnicy różnorodnych emocji i oddała się bez reszty zmysłowym doznaniom.

W końcu James oderwał się od niej. Verity miała wrażenie, że odebrano jej nagle coś cennego. Brakło jej tchu. Harkness spojrział w jej oczy ze zdumieniem, potem na jego ustach pojawił się grymas niesmaku. Cofnął się i odwrócił raptownie.

- Sama widzisz, jaki jestem - powiedział, opierając się o fotel plecami do Verity.

Nadal była wstrząśnięta zachowaniem Jamesa i własną reakcją. Spoglądała na niego bez słowa. Zdumiało ją, że przez cały ten czas ręce miała zaciśnięte na krawędzi stołu - że właściwie nie poruszyła się w trakcie tego nieprawdopodobnego wydarzenia.

- Sama widzisz! - powtórzył. Odwrócił się gwałtownie twarzą do niej. Ręce opadały mu sztywno po bokach, dłonie miał zaciśnięte w pięści.

- Teraz już wierzysz? Przekonałaś się?

Czuła pod powiekami piekące łzy. Czemu on tak się zachowywał? W dalszym ciągu nie miała pojęcia, w co wierzyć. Nie umiała mu



odpowiedzieć. Wzruszyła tylko ramionami. Niech sobie to tłumaczy, jak chce.

- Ach, ty głupia! - wrzasnął. - Jak mam cię przekonać?! Spytaj, kogo chcesz! Byle kogo w całej Kornwalii! No, spytaj! Każdy ci powie, jaki ze mnie potwór! No, pytaj! Leć i pytaj! Byle kogo!

RS

*Leć i pytaj! Byle kogo!*

Jego słowa odbijały się od starych kamiennych murów i wracały szyderczym echem, by dręczyć Verity. Rzuciła się do ucieczki, ale potknęła się o coś. Książki o ziołach! Chwyciła je drżącymi rękoma i podbiegła do drzwi. W chwili gdy wypadła na korytarz, zatrzasnęły się za nią z przeraźliwym trzaskiem. Z pewnością usłyszeli ten hałas wszyscy domownicy. Verity pomknęła do swojej sypialni, a dotarłszy tam, rzuciła się na łóżko i rozplakała. Lecz jednak było niewiele i wkrótce przestały kapać. Verity przewróciła się na wznak i próbowała ogarnąć myślą wszystko, co się wydarzyło.

Dotknęła palcami warg. Były obolałe, nawet nieco obrzmiałe. Nadal czuła na nich dotyk ust Jamesa. Nikt jeszcze nie całował jej w ten sposób. Dobry Boże, nie miała nawet pojęcia, że można tak całować!... Chętnie spędziłaby resztę nocy na rozpamiętywaniu najdrobniejszych szczegółów, ale takie myśli wywoływały dziwny niepokój w jej wnętrzu. Nigdy dotąd nie czuła nic podobnego. Łatwo byłoby zatracić się we wspomnieniach zmysłowych pieszczot jego palców, warg i języka. Musiała jednak rozważyć wiele innych spraw. A poza tym jakże głupie i bezcelowe byłoby podsycanie w sobie pragnień, które nigdy nie mogły zostać zaspokojone - ani przez tego, ani przez żadnego innego mężczyznę.

Verity zwlokła się z łóżka i zdjęła szlafrok. Potem odsunęła kołdrę i wślizgnęła się znów pod nią. Przewróciła się na bok, objęła kolana rękami i zwinęła się w kłębuszek jak jeż. Ulewa nadal tłukła o szyby. Uparty wiatr omal nie wyrwał okien z zawiasów. Już tylko bębnienie deszczu i wycie

wichury nie pozwoliłyby Verity zasnąć, a w takim szaleńczym zamięcie myśli nie mogła nawet marzyć o odpoczynku.

To, co zaszło przed chwilą w bibliotece, nie ograniczało się do zwykłego - zwykłego? - pocałunku i jej własnej niepojętej, prawdopodobnie grzesznej reakcji na ów pocałunek. Bulwersujące zachowanie Jamesa Harknessa - zbawcy?... mordercy?... -czyniło go jeszcze bardziej zagadkową postacią niż dotąd.

Z początku zaatakował ją brutalnie - a jednak nie zgwałcił, jak się tego obawiała. Jeżeli tak mu zależało na tym, by uwierzyła we wszystko co najgorsze, czemu nie popełnił i tego występku, by udowodnić swą grzeszność? Mogły co prawda być inne przyczyny, które powstrzymały go od gwałtu. Przyczyny nie mające nic wspólnego z baronem... ale Verity wołała ich w tej chwili nie zgłębiać.

Lord Harkness wyraźnie chciał jej udowodnić, jakim jest brutalem - a jednak nie był w stanie utrzymać się w tej roli. Z pewnością jego bezlitosny chwyt posiniaczył ramiona Verity, a szarpanie za warkocz sprawiło jej wiele bólu. Potem jednak uścisk odmienił się całkowicie. Stał się taki zmysłowy i cudowny, że chyba oszaleje, jeśli nie zdoła wyrzucić go z pamięci. Poczwała również, że i pragnienia Jamesa stały się inne.

Może to sobie tylko wyobraziła?... W końcu nie miała żadnego doświadczenia w tych sprawach! Kiedy jednak jego pocałunek złagodniał, mogłaby przysiąc, że dostrzega w oczach Jamesa tęsknotę pełną melancholii, która nie miała nic wspólnego z poprzednim pragnieniem podporządkowania jej sobie, pokonania, złamania. Miała wrażenie, że James -czy to możliwe? - potrzebował jej i pragnął.

Pewnie tylko wmawiała to sobie, usiłując za wszelką cenę odnaleźć pod maską Potępieńca szlachetnego człowieka, skrzywdzonego niesłusznym podejrzeniem. Możliwe również, że wykorzystując jej brak doświadczenia, omamił ją rzekomą czułością, która była w rzeczywistości fałszem i obłudą. Może istotnie był groźnym przestępcą, który znalazł w niej wyjątkowo łatwowierną ofiarę?

Dreszcz przebiegł Verity po plecach. Zwinęła się jeszcze ciaśniej w kłębek i przywarła rozpaczliwie do poduszki.

Nie zbliżyła się ani o włos do prawdy. „Spytaj byle kogo!” - powiedział baron. No cóż... właśnie to robiła. Naprzykrzała się wszystkim, czepiała się tematu, którego unikali, usiłowała wyciągnąć na spytki. I tylko Agnes Bodinar udzieliła jej informacji. A jednak - z powodu ścisłych więzi rodzinnych ze zmarłą lady Harkness - rewelacje Agnes wydały się Verity podejrzone. Potrzebowały potwierdzenia albo wyjaśnienia. Verity musiała wiedzieć z całą pewnością, czy mężczyzna, który całował ją tak namiętnie, był mordercą własnej żony i dziecka.

*Spytaj, kogo chcesz!*

Doskonale. Tak właśnie postąpi! Uda się jutro do St. Perran's i opowie babci Pascow, co usłyszała do Agnes. A potem spyta bez ogródek, czy to prawda. Verity ubiła pięściami poduszkę w jakiś znośniejszy kształt, przyłożyła się do niej i zamknęła oczy. Raz jeszcze przesunęła palcem po wargach. Jutro odkryje prawdę o mężczyźnie, którego dotyk i smak pozostał dotąd na jej ustach.

James oparł się o parapet i wyjrzał przez okno swojej sypialni. Z tego wysokiego punktu obserwacyjnego widział reprezentacyjną część parku oraz gęstwinę drzew na najniższym z dworskich tarasów. Widział też

rosnące w sadach jabłonie, uprawne pola, położone na południu łąki, upstrzone punkcikami pasących się owiec, i młyn nad Pendurgan Quay. Porywisty wicher sprawiał, że wielkie kasztany ocieniające podjazd kołysały się niczym goździki na cieniutkich łodyżkach. Daleko na zachodzie znad wieżyczek Wheal Devoran białe obłoczki dymu unosiły się w niebo o barwie szerniałego srebra.

Jego ojciec zawsze lubił ten pokój. Była to położona na uboczu sypialnia, urządzona w jedynej wieży Pendurgan. Kiedy James był chłopcem, zanim jeszcze doszło do rozłamu między nim a ojcem z powodu jakichś błahestek, często siadywali razem na tym parapecie. Ojciec tłumaczył synkowi, że z tego pokoju może ogarnąć wzrokiem prawie całą swoją posiadłość. Mówił, jaką dumą napawa go widok tego dziedzictwa przodków. Od wczesnych lat wpajał Jamesowi miłość do ziemi i poczucie odpowiedzialności za właściwy stan majątku i dobrobyt wszystkich mieszkańców Pendurgan.

W tej chwili jednak Jamesa nie zajmowały należące do niego grunta ani wspomnienia chwil spędzonych z ojcem czy dawnych konfliktów. Tego ranka miał całkiem inne powody do skruchy.

Obserwował Verity kroczącą przez ogrodowe tarasy, zgiętą pod silnym wiatrem, stąpającą ostrożnie po błotnistej dróżce. Na chwilę znikła mu pod łukiem bramy wiodącej do niżej położonej części ogrodu, by niebawem pojawić się znowu koło gołębnika.

Czuł bolesne wyrzuty sumienia, gdy przyglądał się kobiecie idącej do St. Perran's. Ubiegłej nocy zachował się wobec niej niewybaczalnie! Był tak znękanym swoim postępkiem, że właśnie z powodu Verity spił się do nieprzytomności, nim zasnął w bibliotece. Lobb odnalazł go tam o

skandalicznie późnej porze i zataszczył go do łóżka. W końcu - mimo wypitego trunku - pojawiły się znów koszmary. Tym razem jednak zmienił się pewien szczegół tych makabrycznych widziadeł. Oblicze sierżanta zmieniło się w twarz Verity, nie zaś Roweny. Nowe poczucie winy wtargnęło nawet do snu.

Teraz zaś głowa pękała mu od wypitej przez ostatnią noc brandy, a wnętrzności skręcały mu się na wspomnienie tego, w jaki sposób potraktował Verity. Czuł się jak prawdziwy potępieniec, słusznie ukarany za swe grzechy. Popijał „lecniczą” kawę Lobba i przyglądał się, jak Verity znika na ścieżce wiodącej do wsi.

Przekonał ją wreszcie, może nie? Okazał się skończonym brutalem. Żadna kobieta nie mogła być bezpieczna pod jego dachem! Po co udawać, że mogli uniknąć podobnego incydentu? To było nieuchronne od samego początku. Verity Osborne zalała mu za skórę pierwszego ranka po swoim przybyciu do Pendurgan.

Próbował sobie wmawiać, że najbardziej go ujęła jej siła, odwaga i poczucie godności. Wierutna bzdura! Verity była po prostu cholernie pociągająca, a on zbyt długo obywatel się bez kobiety. Każda inna wywarłaby na nim równie piorunujące wrażenie!

Czy rzeczywiście?... Kiedy ją całował, burzyła się w nim krew - ale nie na myśl o tym, że Verity na sobie tylko nocną koszulę, a włosy rozpuszczone! Był wściekły na nią za zadawanie pytań o jego żonę i syna. Chciał ją zdominować, zastraszyć, upokorzyć!

I nagle w jednej chwili wszystko uległo zmianie. Verity przestała się opierać. Była taka uległa w jego ramionach, taka cudowna! Mięka, ciepła, wrażliwa. Gdy tylko wyczuł, że jego pieszczoty sprawiają jej

przyjemność, zatracił się całkowicie. Najchętniej by ją pożarł - bez pośpiechu, z lubością. Miał już przyłożyć usta do tętna bijącego na jej szyi... i nagle oprzytomniał.

Gdyby nie zmusił jej wówczas do ucieczki, nie zdołałby się chyba pohamować. Wzięłby ją natychmiast, choćby na stole. Nawet w tej chwili podnieciła go myśl o delikatnym, białym ciele, które przygniatałby swym ciężarem. Nie miał prawa traktować Verity w taki sposób, jakby była dziwką wynajętą na jedną noc!

A jednak opierała mu się tylko wtedy, gdy traktował ją brutalnie. Kiedy stał się delikatniejszy, reagowała na jego pieszczoty. Może nie zabroniłaby mu kochać się ze sobą?...

Sama myśl o Verity jako o kochance przyprawiła go o szaleńcze bicie serca. Wszyscy uważali go za wcielonego diabła. Czemu więc nie zrobić czegoś, co usprawiedliwiłoby tę opinię? Czemu nie spełnić ich oczekiwań? Czemu bronić honoru, którego i tak już nie posiadał? Cóż miał w końcu do stracenia?!

Od sześciu lat jego opinia była czarna jak smoła. Reputacja Verity - choć nie z jej winy - także była w strzępach. Żadne z nich nie miało co marzyć o odzyskaniu dobrego imienia wśród pyszniących się własną prawością metodystów, którzy zamieszkiwali tę część Kornwalii.

Bez względu na to, co myślał o nim świat, nigdy nie wzięłby Verity siłą. Ale gdyby zachowywał się jak dżentelmen, czy pozwoliłaby się kochać?... Czy zgodziłaby się, by uczynił ją swoją kochanką, za którą wszyscy od dawna ją uważali?...

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Babcia Pascow zmrużyła oczy i spojrzała groźnie na Verity. Zniekształcone palce staruszki bębniły po drewnianej poręczy wysokiego krzesła.

- Zachciało ci się prawdy, co?

Verity skinęła głową. Tłący się na kominku torf nappełniał izbę osobliwie pachnącym dymem, który szczypał w oczy. Verity rozejrzała się po twarzach innych siedzących tu kobiet: stanowcza, rzeczowa Kate Pascow, zadzierająca trochę nosa Ewa Dunstan, dobroduszna Borra Nanpean. Verity chciała porozmawiać z babcią na osobności, ale stara kobieta nigdy nie była sama. Kobiety gromadziły się wokół jej ogniska, a dzieci baraszkowały na polepie. Nawet mężczyźni zaglądali tu w drodze powrotnej z kopalni albo z pastwiska, by się przywitać z babcią.

Nietrudno było odgadnąć, czemu odgrywa we wsi tak znaczącą rolę. Verity wyczuwała siłę charakteru tej starej kobiety równie wyraźnie jak wszyscy mieszkańcy wioski, który znali ją przez całe życie. Wiedziała, że może zaufać babci Pascow. Nie umiałyby określić, skąd bierze się to zaufanie, ale ufała jej niewątpliwie. Może dlatego, że stara wieśniaczka tak bardzo przypominała jej najmilszą Edith?... Mniejsza o przy-czyny! Verity lubiła babcię i szanowała ją. Jeśli chciała usłyszeć szczerą prawdę - bez przemilczeń i upiększeń - usłyszy ją teraz od babci Pascow.

Zamrugła oczyma podrażnionymi przez torfowe opary i raz jeszcze skinęła głową.

- Tak - odparła. - Mieszkam pod dachem lorda Harknessa, więc chciałabym wiedzieć, jaki z niego człowiek.

Babcia odchyliła się na oparcie krzesła i spojrzała na Verity spod przymrużonych powiek.



- To nie będzie miła historyjka - stwierdziła. Pozostałe osoby potwierdziły jej słowa zgodnym pomrukiem.

-Jeśli pani Bodinar nie kłamie, historyjka rzeczywiście nie jest miła.

Verity była przygotowana na trudną do przełknięcia, mrozącą krew w żyłach prawdę. Odetchnęła głęboko. Torfowy dym podrażnił jej gardło i rozkasłała się. Zanotowała sobie w duchu, że trzeba się zwrócić do pani Tregelly z prośbą o dostarczenie opałowego drewna mieszkańcom St. Perran's.

- Powiedz mi, babciu - poprosiła po chwili - czy on naprawdę zamordował swoją żonę i dziecko?

Palce babci Pascow znieruchomiały na poręczy krzesła.

- Ano... chyba tak właśnie było.

Serce Verity zatrzepotało jak zraniony ptak. Nie pomogły żadne wmawiania sobie, że zniesie każdą prawdę.

- Chyba? - spytała tylko. - Nie jesteś tego pewna?

- Nikt nie wie na pewno. Nie da się tego sprawdzić ani tak, ani siak. -

Stara kobieta potrząsnęła głową i zacisnęła wargi. - Ale od samego początku paskudnie to wyglądało. I wszyscy myśleli, że to jego robota.

- Ale dlaczego?! - spytała Verity, starając się, choć bez większego powodzenia, mówić spokojnie, obojętnym tonem - Pani Bodinar wspomniała, że baron ogromnie kochał swoją żonę. Czemuż miałby zabijać ją... i własne dziecko?!

- A kto go ta wie?... - odpowiedziała babcia. - Odkąd wrócił z Hiszpanii, był całkiem nie ten sam. Jakby go złe odmieniło!

- Święte słowa! - wtrąciła się Kate Pascow. Huśtała przy tym na kolanach swe rumiane dziecko. - Jak wrócił, to nic ino się na wszystkich wścikał!

- Wrócił z ty wojny zły jak wszyscy diabli! - przytaknęła Ewa Dunstan.

- Jak oni zginęli? - spytała Verity.

- W ogniu - odparła babcia.

Verity wzdrygnęła się.

- Dobry Boże! I wy wierzycie, że to baron go podłożył?...

- Ano, mógł to zrobić - powiedziała babcia. - I pewnikiem zrobił!

- Opowiedz mi, babciu, jak to było!

Babcia Pascow w milczeniu rozejrzała się po izbie, nim zaczęła mówić.

- No cóż... O wiele pamiętam, mały Trystan (to był jego synek) i Billy, chłopczek od Cleggów, bawili się w starej stajni kiele dworu. Wielgie toto było, puste i walące się. Dzieci nieraz się tam bawili. Nie tylko panicz i Billy Clegg, ale i inne wioskowe chłopaki. Nasz mały Charlie. Robbie od Ewy. Lucas Kempthorne'ów. Mały Trystan nie miał innych paniczów do zabawy, to se łobuzował za pan brat z pędrakami ze St. Perran's. Tamtego dnia w stajni nagle buchnął ogień. Nikt nie wiedział, jak to się stało, ale słomy tam pełno, więc się zajęła raz dwa. Rowena... znaczy się lady Harkness, od razu zobaczyła ogień. Wybiegła i woła pomocy. A Jammez ino se stoi, gapi się na ten ogień i ani palcem nie ruszy. Podleciała do niego, zaczena nim trząść i woła: „Ratuj!” A on nic! Wtedy samiuśka wbiegła do stajni, wyciągnąć chłopców. Ale był już

straśny pożar. Dach się ino na nich zawalił. Zginęli wszystka troje: mały Trystan, chłopak od Cleggów i lady Harkness.

- Mój Boże! - szepnęła Verity. - O mój Boże!...

W izbie zaległa cisza, przerywana tylko trzaskiem ognia w kominku. Ból wzbierał we wnętrzościach Verity jak złośliwy guz. Nie spodziewała się czegoś podobnego. To było straszniejsze od jej najgorszych podejrzeń! Baron co prawda nie przytknął pistoletu do głów swoich najbliższych ani nie przyłożył im noża do gardła, ale zabił ich równie pewnie. Jak mógł uczynić coś podobnego?! To było niepojęte, absurdalne!

- Ale skąd wiadomo, babciu, jak to było? - spytała, chwytając się ostatniej nadziei. - Jeśli wszyscy zginęli w pożarze, skąd ta pewność, że lord Harkness zachował się tak czy inaczej?

- Stary Nick Tresco widział wszystko z daleka - wyjaśniła Kate Pascow, przekładając wiercące się niemowlę z kolan na ramię. - Był wtedy jeszcze rządcą w Pendurgan. Rządcował tam od niepamiętnych czasów! Jak raz był w polu, zobaczył, że się pali, i zaczął biec do dworu. Na własne oczy widział Potępieńca. Stało toto jak ten słup i gapiło się na ogień! Rządca widział tyż, jak go pani ciągnie do pożaru. Ale nim Tresco tam dobiegł, było już po wszystkim. Stary Nick przysięgał, że ten przeklętnik ani drgnął! Ani słówka nie pisnął! Ino się gapił na ten ogień i gapił, jucha, a oczy miał jak ten wściekły pies!

- Stary Tresco odszedł z Pendurgan zara po pożarze - uzupełniła babcia, karcąc Kate spojrzeniem za niewyparzony język. - Nie chciał dłużej pracować u barona po tym, co zobaczył. „Kuźdego by zwałiło z nóg”, powiadał.

Verity doskonale go rozumiała. Jej samej zrobiło się niedobrze.

- Ale skąd wiedział, że to lord Harkness wzniecił pożar? Borra Nanpean po raz pierwszy podniosła wzrok znad swego cerowania.

- Nikogój innego w bliskości nie było - odezwała się cichym, nieśmiałym głosem. - A stary Nick mówił, że paliło się nie w jednym miejscu, ale jakby ktoś umyślnie podpalił. Nie jak zwyczajny pożar.

- To robota Potępieńca, ani chybi! - dodała Ewa Dunstan. - Tak samo jak te insze pożary!

- Jakie inne pożary?

Wśród kobiet znowu zapadła cisza. Ewa wpatrywała się w swoje ręce, spoczywające na kolanach. Verity obejrzała się na babcię.

- Jakie inne pożary? - powtórzyła.

- Były jeszcze od tamtej pory dwa albo i trzy dziwne pożary w okolicy. Takie całkiem bez sensu! Nikomu nic się nie stało. A Jammez... znaczy się, lord Harkness, zawsze się przódzi kręcił w pobliżu.

- Co próbujesz mi powiedzieć, babciu? - spytała piskliwym głosem bliska hysterii Verity. - Że to podpalacz i szaleniec?...

Babcia wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem?... Mówiłam ci, dziecko, że to nie będzie przyjemna historyjka!

Rzeczywiście, nie była. Czyżby więc mieszkała pod dachem piromana?... O Boże! Całował ją do utraty zmysłów człowiek, który przyglądał się, jak ginie jego żona i dziecko, zamiast ruszyć im na pomoc! Może nawet sam wzniecił pożar i zabił ich z rozmysłem?... A ona była skazana na wieczne rozpamiętywanie tego pocałunku i - Boże, przebacz! - rozkoszy, jaką z niego czerpała... albo na jeszcze straszliwszy los...

Ocieriała mokre policzki. Mrużyła oczy szczypiące od torfowego dymu.

Wiatr zelżał, a nieśmiały promyk słońca zajaśniał na niewielkim skrawku pogodnego nieba od północnego zachodu. Ten zwiastun lepszej pogody powinien był podnieść Verity na duchu, ale prawie go nie dostrzegła. Wlokła się stromą ścieżką z powrotem do Pendurgan, jakby dźwigała na plecach ogromny ciężar.

Nie było to brzemie niepokoju, choć mogła teraz całkiem słusznie obawiać się o własne życie. Ciężko jej to, czego się dowiedziała. Liczyła się co prawda z tym, że usłyszy potwierdzenie słów Agnes Bodinar... Ale o ileż trudniej było pogodzić się z szaleństwem zamiast zwykłej ludzkiej niegodziwości!

Tak, szaleństwo było jedynym wytłumaczeniem tego, co dowiedziała się od babci Pascow i innych kobiet. A może każda zbrodnia jest w gruncie rzeczy szaleństwem?

Koniecznienie chciała dowiedzieć się prawdy i wreszcie ją poznała. A gdy to nastąpiło, wszystko - zamiast się wyjaśnić - stało się jeszcze bardziej niepojęte.

Z przykrych rozmyślań wyrwał Verity tętent końskich kopyt na polnej drodze. W pierwszej chwili zaniepokoiła się, że jedzie za nią lord Harkness. Spojrzawszy jednak wstecz, z ciekawością i z ulgą spostrzegła, że zbliża się do niej jakiś nieznajomy, przystojny, jasnowłosy dżentelmen. Ściągnął cugle i uchylił kapelusza.

- Dzień dobry! - powiedział z ciepłym uśmiechem.

Verity uprzejmie skinęła mu głową i szła dalej swoją dróżką. Nie miała pojęcia, kim może być ten człowiek, jednak ze względu na swą dość

niezwykłą sytuację i wiążące się z nią plotki wystrzegając się nieznajomych jak ognia. Nie zapomniała grubiańskich zaczepek Bargwanatha i nie miała ochoty na drugie równie niemiłe spotkanie.

- Proszę mi łaskawie wybaczyć - odezwał się blondyn, gdy próbowała wyminąć jego gniadą klacz. W jego kulturalnym głosie pobrzmiwał leciutki kornwalijski zaśpiew. - Mam przyjemność z panią Osborne z Pendurgan, nieprawdaż?

- Owszem - odparła, mając się na baczności. - To ja. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zeskoczył z konia i stanął przed Verity.

- Raz jeszcze przepraszam! - powiedział. - Powinienem zaczekać, aż ktoś mnie pani przedstawi... ale nie mogłem wytrzymać! Tak bardzo się cieszę z naszego spotkania. Kapitan Alan Poldrennan, do pani usług.

Skłonił się bardzo uroczyście, co wyglądało dość dziwnie na samym środku polnej drogi.

- Miło mi pana poznać, kapitanie - odparła Verity i raz jeszcze skłoniła lekko głowę. Nadal jednak miała się na baczności.

- Sąsiedni majątek, Bosreath, należy do mnie. - Niezbyt precyzyjnym gestem wskazał ku zachodowi. - Rodziny Poldrennanów i Harknessów mieszkają ze sobą o miedzę od bardzo wielu lat.

- Doprawdy?

- O, tak! Przyjaźnimy się z Jamesem, mam oczywiście na myśli barona Harknessa, od dzieciństwa.

- O!... - Verity była zdumiona, że Potępieniec ma jakichś przyjaciół. - Pewnie więc od niego słyszał pan o mnie, kapitanie - dodała. - Wie pan również z pewnością...

- Tak, wiem również o licytacji. - Rzucił jej uspokajające spojrzenie.  
- Ale nie mówmy o tym! Trzymajmy się wersji Jamesa o dalekiej kuzynce, dobrze?

- Dziękuję, kapitanie - odparła Verity. Dostrzegła w jego miłych, szarych oczach szczerą życzliwość i natychmiast poczuła się z nim swobodnie. - To bardzo uprzejmie z pańskiej strony.

- Pozwoli się pani odprowadzić do Pendurgan?

- Będę panu ogromnie wdzięczna, kapitanie! Zawrócił konia i prowadząc go za sobą, zrównał swój krok z krokiem Verity. Był pierwszą osobą z jej sfery (nie licząc lorda Harknessa), z którą zetknęła się od przyjazdu do Kornwalii. Podniosło ją na duchu, że sympatyczny kapitan nie myśli o niej źle z powodu okoliczności, w jakich przybyła do Pendurgan. Być może zdoła też rozproszyć jej wątpliwości dotyczące pożarów i ich ofiar? Jak by tylko poruszyć w rozmowie ten temat?...

- Była pani w St. Perran's? - spytał.

- Tak. Chodzę tam często.

- Słyszałem, że zna się pani na ziołach i na sztuce lekarskiej - powiedział. - O ile się nie mylę, uratowała pani życie dziecku kogoś ze służby w Pendurgan?

Verity roześmiała się.

- Ta opowieść staje się coraz bardziej kwiecista i dramatyczna! Przygotowałam tylko kilka prostych domowych leków, ułatwiających oddychanie i obniżających gorączkę. Nie jestem cudotwórczynią, kapitanie, słowo honoru! Wykorzystałam po prostu cząstkę wiedzy, którą przekazano mi przed łąty.

- Pięknie, że dzieli się pani teraz tą wiedzą z okolicznymi wieśniaczkami - zauważył kapitan. - Mają wiele szczęścia, że zawitała do nas pani, i to właśnie teraz, gdy doktor Trefusis wyjechał. Czy dzisiaj odwiedzała pani w St. Perran's jakiegoś chorego? Otóż i nadarzała się upragniona sposobność!

- Nie - odparła. - Dziś nie pomagałam im. Przeciwnie: zwróciłam się do nich po pomoc,

- Po pomoc?...

- Tak. Mówiąc ściślej, po informacje. Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- I znalazła je pani?

- Niestety, tak.

Poldrennan uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Proszę wybaczyć, kapitanie - odezwała się spieszenie Verity. - Wcale nie chciałam bawić się w zagadki! Widzi pan... jestem w trochę niezręcznej sytuacji: nie znam tych stron i przybyłam tu w dość... niezwykłych okolicznościach. Dotarły do mnie pogłoski, że lord Harkness zabił swą żonę i dziecko. Zrozumiałe, że to mnie zaniepokoiło i że zapragnęłam poznać prawdę.

- Ach, tak?... I poznała ją pani?

- Opowiedziano mi o tym, co się tu wydarzyło, ale w dalszym ciągu nie mogę tego pojąć.

Spojrzała na swego rozmówcę, chcąc się upewnić, czy może mówić dalej. Szedł u jej boku, patrząc prosto przed siebie. Zacisnął lekko wargi, ale twarz nie zmieniła się w nieprzeniknioną maskę, mówiącą wyraźnie:



„przestań się wtrącać!”, jak to było z twarzą Harknessa, gdy wracali do domu tą samą ścieżką.

- Niech mi pan wyjaśni, kapitanie... To przecież pański przyjaciel! Czemu on tak postąpił? Czy jest... szalony, jak mi to dziś sugerowano?

Kapitan Poldrennan szedł przez dłuższą chwilę w milczeniu. Verity pomyślała, że popełniła błąd, wypytując go tak bezceremonialnie przy pierwszym spotkaniu. Na czole kapitana pojawiła się zmarszczka; widać głęboko się zastanawiał nad odpowiedzią. W końcu po długim, niezręcznym milczeniu odezwał się.

- To bardzo skomplikowany problem - powiedział. – Nie jestem pewien, czy potrafi go zrozumieć ktoś, kto nie brał udziału w wojnie.

- A więc w Hiszpanii wydarzyło się coś szczególnego? Mówiono mi, że po powrocie baron był zmieniony nie do poznania!

- Wszystkich nas jakoś odmieniło to, cośmy tam widzieli i robili - powiedział ze zmarszczonym nadal czołem.

- A jednak pan, kapitanie... Nie chcę powiedzieć, że nie wywarło to na panu wrażenia. Z pewnością wywarło! Ale nie został pan... okaleczony.

Kapitan Poldrennan roześmiał się.

- Byłbym bardzo rad, gdyby tak było! Niestety, dostałem kulkę w ramię pod Badaj oz. - Natychmiast spowaźniał. - Ale nie to miała pani na myśli, nieprawdaż? Mówiła pani o ranach serca... umysłu... duszy. Wątpię, czy choć jeden z żołnierzy ich nie doznał. Tylko niektóre bywały wyjątkowo głębokie i nie chciały się zbliżnić.

- Czy tak właśnie było w przypadku lorda Harknessa?

Kapitan zatrzymał się nagle. Klacz parsknęła i podrzuciła niespokojnie łbem. Mruknął coś pieszczotliwie i głaskał zwierzę po długiej

szyi, póki się nie uspokoiło. Pieszcząc je nadal, zwrócił się Verity, znów marszcząc czoło. Otworzył usta, jakby chciał przemówić, i w ostatniej chwili rozmyślił się. Verity przypuszczała, że waha się przed ujawnieniem tamtych spraw. Może uważa to za zdradę wobec przyjaciela?...

- Staliśmy wtedy pod Ciudad Rodrigo - przemówił wreszcie. - Wpatrywał się w przestrzeń ponad ramieniem Verity. - Było to paskudne obleżenie, w środku ciężkiej zimy. Ziemia tak skamieniała od mrozu, że ledwieśmy zdołali wykopać rowy. Nie mieliśmy namiotów, więc kwaterowaliśmy we wsi na przeciwnym brzegu rzeki. Ta Agueda do połowy zamarzła, a musieliśmy się przez nią przeprawiać dwa razy na dzień do naszych umocnień. Ależ nam zatruwały życie te paskudne, wielkie kry! Dziesięć dni trwało, nim ruszyliśmy wreszcie do szturm.

Odetchnął głęboko i mówił dalej.

- Nie będę pani zanudzał szczegółami. Wystarczy, że powiem: to było makabryczne! Regiment Jamesa miał przypuścić atak do większego z dwóch wyłomów w murze. Nas przydzielili do mniejszego. Tego, o czym teraz opowiem, nie widziałem na własne oczy. Podczas walki przy tym wielkim wyłomie czoło naszej kolumny zostało kompletnie zniszczone ogniem Francuzów. Kiedy nasi rozprawili się z ich kanonierami, regiment Jamesa rzucił się na mury. I wtedy wielka mina wybuchła im pod nogami, niszcząc większość jego kompanii.

Twarz Verity zastygła w maskę przerażenia. Nigdy jeszcze nie słuchała relacji z bitwy i choć kapitan Poldrennan mówił bardzo ogólnie, bez żadnych makabrycznych szczegółów, słuchanie rozstrajało ją i trwożyło.

- W jakiś czas potem - kontynuował Poldrennan - kiedy James był już zdolny do rozmowy na ten temat, opowiedział mi, że został przywalony zwęglonymi trupami własnych żołnierzy. Miał złamaną nogę i nie mógł się spod nich wydostać. Przyglądał się bezradnie, jak jego młody sierżant - i nie tylko on - pali się żywcem i pada wreszcie o kilka stóp od niego. James nigdy już nie zdołał uwolnić się od wyrzutów sumienia z powodu strasznej śmierci swoich ludzi. I choć Picton wydał rozkaz do ataku, James sądzi do dziś, że to on zapędził swych żołnierzy w śmiertelną pułapkę. Pogorszył to jeszcze fakt, że polecił im gestem, by ruszali pierwsi. Sam osłaniał tyły, co ocaliło go od pewnej śmierci, ale zwiększyło jeszcze jego poczucie winy.

Verity zakryła usta ręką. Walczyła z mdłościami. Żółć podchodziła jej do gardła. Obraz przekazany jej przez kapitana był nieprawdopodobny, potworny.

- Chyba nigdy - powiedziała po chwili - nie uświadomię sobie w pełni okropności wojny. Mam nadzieję, że nie dowiem się nigdy, jak naprawdę wyglądało to... piekło. Ale poczucie winy - uzasadnione czy nieuzasadnione - rozumiem doskonale. Nie pojmuję natomiast, co to ma wspólnego ze śmiercią żony i dziecka barona.

Kapitan westchnął ciężko.

- To jeszcze nie koniec - odparł. Zaczekał chwilę, póki Verity nie podniosła głowy. Spojrzeli sobie w oczy. - Nie sądzę, by James był rad, że opowiadam pani o tym wszystkim. To są jego sprawy, bardzo osobiste i dla większości mężczyzn wstydlive. Ale wydaje mi się, że powinna pani o tym wiedzieć. Więcej pani dzięki temu zrozumie.

- Więc niech mi pan opowie! Niech mi pan pomoże wszystko zrozumieć, kapitanie! Mieszkam pod dachem barona. Jestem w tej chwili od niego zależna. Muszę to zrozumieć!

Przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Dobrze. Ale mówię to pani w ścisłej tajemnicy. James chyba by mnie zabił, gdyby się o tym dowiedział!

- Nie zawiodę pańskiego zaufania, kapitanie.

Ruszyli znów wolnym krokiem po łagodnym zboczach w górę, do Pendurgan.

- Jamesa odesłano do szpitala - mówił Alan Poldrennan -by wyleczyć tę złamaną nogę. Został tam niezwykle długo. Trzymali go tyle czasu, bo... zachowywał się niepoczytalnie. Tak dalece, że nieraz go musiano wiązać. Miewał straszliwe koszmary i budził się z krzykiem. Pewnie by go odesłano do Anglii i umieszczono w Bedlam, gdyby kilku z nas nie wstawiło się za nim, zapewniając, że wróci do zdrowia. Po kilku miesiącach wydawało się, że wydobrzeł fizycznie i umysłowo, toteż odesłano go z powrotem do regimentu. Ale nie mógł tego znieść. Sprzedał oficerski patent i porzucił armię. Wylizałem się akurat z moich ran i postanowiłem wracać do Kornwalii razem z Jamesem. Czułem, że będzie mu potrzebny przyjaciel. Rzeczywiście wrócił do domu całkiem odmieniony. Nie pozbył się ani wówczas, ani później poczucia winy i wstydu z powodu tego, co się wtedy wydarzyło.

- Ależ dlaczego?! - zaoponowała Verity, niczego nie pojmując. - Przecież to nie on podłożył minę! To nie była jego wina! To po prostu jedna z wojennych tragedii! Czegóż miałby się wstydzić?!

- Oficer jest odpowiedzialny za swoich ludzi. James traktował to bardzo poważnie - wyjaśnił kapitan. - Uważał, że zawiódł ich zaufanie. Jeśli zaś chodzi o wstyd... to całkiem inna sprawa. Wstydem napawało go to, co nastąpiło potem. - Poldrennan przerwał, najwidoczniej zbierając myśli.

- Czasem się zdarza, że żołnierz doznaje trwałego urazu skutkiem przeżytych okropności. Niekiedy do tego stopnia, że nie nadaje się do dalszej służby. Takie przypadki są częstsze, niż można by przypuszczać, ale na ogół się o nich nie mówi. Mnóstwo żołnierzy uważa podobne objawy za dowód tchórzostwa. Wielu oficerów nie ma cierpliwości do podkomendnych, chorujących na rozstrój nerwowy czy załamanie psychiczne. Wszystko jedno, jak to zwać. Pozbywają się najczęściej takiej ofiermy, posyłając chłopaka na tyły. A towarzysze broni dręczą nieszczęśnika i piętnują go jako tchórze. To trudna do zniesienia, poniżająca sytuacja dla każdego żołnierza. Tego właśnie James nie potrafił znieść po powrocie do regimentu. Dlatego właśnie dręczył go wstyd, czuł się zhańbiony.

Verity zaczęła rozumieć sytuację.

- Porzucił armię, gdyż bał się, że wszyscy okrzykną go tchórzem. Ale w głębi serca sam się za niego uważał.

- Właśnie! - potwierdził kapitan. - James tak się uginał pod ciężarem swej winy i hańby, że skakał do oczy każdemu, kto się napatoczył. Zaczął pić. Trzymał się na dystans od wszystkich, zwłaszcza od Roweny.

Wypłakiwała sobie oczy, sądząc, że już jej nie kocha. A potem zaczęły się dziać różne dziwne rzeczy. Dowiedziałem się o tym znacznie później, ale James miewał dziwne ataki, a po nich dłuższe okresy nieprzytomności. Ni

stąd, ni zowąd budził się w jakimś miejscu, nie mając pojęcia, jak tu trafił. Tracił w ten sposób nieraz po kilka godzin życia.

- Boże miłosierny!

- Przyczyną każdego z tych ataków był widok płonącego ognia. Nie zwykłego ognia na kominku, oczywiście. Wystarczył nagły błysk czy niewielka eksplozja w kopalni, a James przenosił się znów duchem do momentu oblężenia Ciudad Rodrigo i wybuchu miny. Wracał do tamtego koszmarnego świata... niekiedy na kilka godzin.

- O mój Boże! To właśnie zdarzyło się podczas tamtego pożaru stajni?

- Tak. Ciałem przebywał w pobliżu, duchem natomiast w Hiszpanii. W dodatku te koszmary paraliżowały go całkowicie.

- To potworne! - Verity czuła piekące łzy pod powiekami. - Cóż za nieszczęśnik! Musiał być zrozpaczony, gdy uświadomił sobie, co się stało!

- Nie tylko był zrozpaczony, ale jego stan znacznie się pogorszył - odparł kapitan. - Poczucie winy ustokrotniło się: czuł się odpowiedzialny za śmierć żony i syna. Pięknej, delikatnej Roweny i ich słodkiego chłopczyka.

Verity otarła łzy wiszące na rzesach. Serce jej się rozdzierało na myśl o cierpieniach Jamesa.

- Jakie to okropne! Biedny, biedny człowiek!... I to po tej tragedii okrzyczano go mordercą?! Przecież to nie ma sensu!

- Prawda, którą pani wyjawilem - odparł kapitan - jest znana tylko mnie i jego lokajowi, Samuelowi Lobbowi. Nikt inny nie wie o wydarzeniach w Hiszpanii, o okresach utraty świadomości i sennych koszmarach.

- Dlaczego?! - dopytywała się Verity. - Czyż ludzie nie zrozumieliby wówczas, że on nie mógł wtedy się ruszyć? Że widok ognia tak na niego działa?

- James woli, by uważano go za mordercę niż za tchórza.

- Przecież to śmieszne!

- Wiem, że kobiecie niełatwo to zrozumieć - odparł kapitan. - Ale to decyzja Harknessa... i jego życie.

- Nie pojmuję, czemu wybawił mnie wówczas w Gunnisloe? -  
Wypowiedziała tę myśl na głos, nim zdążyła się opanować.

Kapitan Poldrennan rzucił jej zagadkowe spojrzenie.

- ... Wybawił?...

- Tak! - rzuciła bez namysłu. Teraz jej było już wszystko jedno. -  
Najpierw podejrzewałam go o nikczemne motywy, sądziłam, że jestem w niebezpieczeństwie. Ale się myliłam. Przeważnie ode mnie stronił.

Nie mogła przecież mówić kapitanowi o tamtym pocałunku!

- Trzyma się na dystans prawie od wszystkich - wyjaśnił Alan Poldrennan. - Nadal od czasu do czasu zdarza mu się utrata świadomości. Żyje w wiecznym strachu przed kolejną tragedią. Nie chce być sprawcą niczyjego nieszczęścia.

- Tym bardziej się dziwię, czemu mnie tu sprowadził - powiedziała Verity. - Czy zdarzyły się dalsze wypadki? Słyszałam o innych pożarach.

Twarz kapitana stała się kamienna, a oczy straciły wszelki wyraz.

- I ja słyszałem o kilku dziwnych pożarach. Ale nie wiem o nich nic bliższego.

Jakie to dziwne, że ten miły człowiek, taki dotąd otwarty, zamknął się teraz całkowicie! No cóż... nie mogła dłużej nalegać. I tak dowiedziała się od niego nadspodziewanie dużo.

- Dziękuję, kapitanie, że zechciał mi pan o tym opowiedzieć. Pojmuję, że nie było to łatwe dla pana, i jestem ogromnie wdzięczna za zaufanie. Nie ma pan pojęcia, jaka byłam zdezorientowana. Chwilami wyobrażałam sobie nawet, że mi coś zagraża ze strony lorda Harknessa!

Kapitan Poldrennan uśmiechnął się.

- Jest pani niezwykle wyrozumiała, pani Osborne!

- Lord Harkness jest ofiarą wojny - odpowiedziała Verity. - Tak samo, jakby stracił rękę, nogę czy oko. Zajmuję się trochę leczeniem, kapitanie. Nietrudno mi więc dostrzec cierpienie.

Kapitan uśmiechnął się szeroko i bardzo ujmująco.

- Rad jestem, że tak się pani o niego troszczy! - powiedział. Jego słowa przyprawiły Verity o rumieńce. Czy jej troska o barona aż tak się rzucała w oczy?

- Może to jest właśnie odpowiedź na pani pytanie? Kto wie, czy nie przywiózł tu pani po to - odparł kapitan - by po tych wszystkich latach ktoś uleczył jego rany?

James wjechał przez tylną bramę na zachodni dziedziniec, niewielkie wysypane żwirem podwórze, przytykające do głównego budynku. Jago Chenhalls był jak zawsze pod ręką, by zabrać Castora do stajni.

- Dzień dobry, milordzie.

James zeskoczył z konia i oddał cugle.



- Dzień dobry, Jago! - Spojrzał w błękitne niebo, przynajmniej raz usiane różowymi chmurkami zamiast szarych. -Chyba nam się pogoda poprawi. Jak myślisz?

- Gdzie tam! - odparł Jago. - Wrony nisko latają. Jeszcze przed zmierzchem będzie lato.

James uśmiechnął się do swego ziomka, który nigdy się nie mylił w sprawach pogody, i ruszył na główny dziedziniec. Przechodząc pod niskim sklepieniem, dostrzegł dwie postacie, kierujące się do frontowego wejścia. Alan Poldrennan, prowadząc za cugle swą gniadą klacz, szedł u boku Verity. Jak też się poznali?... James dostrzegł, że Verity odwzajemnia serdeczny uśmiech jego przystojnego, jasnowłosego przyjaciela. Poczł nagłe ukłucie zazdrości. Do niego nigdy się nie uśmiechała w taki sposób!... Ale, ostatecznie, czemu by się miała uśmiechać? Czym sobie na to zasłużył?

Zdażył pojechać do Wheal Devoran i z powrotem, zanim Verity wróciła ze wsi. Czy poszła za jego radą i przekonała się wreszcie o jego niegodziwości?... Czego się dowiedziała? Czy kobiety z St. Perran's opowiedziały jej o pożarze? Pewnie, że jej powiedziały, jeśli je spytała! A co z Alanem?... Gawędzili tak przyjacielsko, jakby się znali od lat! Czy i Poldrennana wypytywała? I co jej wygadał?... Alan wiedział o nim więcej niż ktokolwiek inny. Ile z tego zdradziłby całkiem obcej, choćby nie wiem jak ładnej kobiecie?...

Ładnej? To słowo nie pasowało do Verity Osborne. Raczej do Roweny i jej kruchej, pastelowej urody. Piękność Verity była mniej eteryczna, bardziej ziemska. Promieniała wprost zdrowiem, tryskała życiem. Lepiej do niej pasowało określenie „dorodna” niż „subtelna” czy

„filigranowa”. A może to różnica w kolorycie między nią a Roweną sprawiała, że tak ją postrzega!?!... Kiedy wygięła tę długą białą szyję, by spojrzeć na Alana, wyglądała jak uosobienie kobiecości. Pociągającej w najwyższym stopniu. James poczuł dreszcz w lędźwiach.

Alan zerknął w stronę dziedzińca i napotkał wzrok przyjaciela.

- James! - odezwał się głośno. - Chyba nie będziesz miał o to do mnie pretensji? Spotkałem na wiejskiej drodze panią Osborne i pozwoliła, żebym odprowadził ją do dworu!

- Dżentelmen w każdym calu! - burknął niemiłym tonem James i aż się zawstydził.

- Skądże znowu! - Alan obdarzył znów Verity ciepłym uśmiechem. - To była dla mnie prawdziwa przyjemność.

- Dla mnie też, kapitanie - odparła.

- Rada jesteś ze swej wyprawy do St. Perran's? - spytał ją James.

Mimo wszelkich wysiłków mówił ostrym, urażonym tonem.

Psiakrew! Tak bardzo chciał okazać się uprzejmy, naprawić choć w niewielkim stopniu wyrządzoną jej wczoraj krzywdę! Próbował nawet się uśmiechnąć, ale właśnie w tej chwili spojrzała mu prosto w oczy.

Wiedziała. Wiedziała o wszystkim. Niech to szlag!...

- O, tak - odparła Verity. W jej brązowych oczach nie było strachu, tylko jakieś inne uczucie. Nie umiałby go określić, ale wcale nie przypadło mu do gustu.

- Odwiedziłam babcię Pascow - wyjaśniła. - Jej bóle reumatyczne znacznie zelżały.

James rad był z tej zmiany tematu.

- Kolejny sukces zielarski! - zauważył. - Twój poprzedni ozdrowieniec hasał dziś rano po stajni pod okiem swego taty.

Verity zajaśniała szczęściem.

- Davey już na nogach?!

Jej spontaniczna reakcja sprawiła, że James się uśmiechnął. W oczach Verity było tyle czułości!

- Nie inaczej! - odparł.

Był absolutnie zafascynowany przemianą, jaka w niej zaszła na wzmiankę o Daveyu. Była już nie dorodna czy ładna, ale po prostu piękna. Urzekająco piękna. Alan najwyraźniej też to dostrzegł. Nie odrywał od niej oczu, cholera jasna!

- Wybaczcie, panowie - powiedziała Verity. - Muszę go natychmiast zobaczyć! - Zwróciła się z uśmiechem do Alana: - Jeszcze raz dziękuję za odprowadzenie, kapitanie!

Alan skłonił się wytwornie.

- Ogromnie się cieszę, że wreszcie zawarliśmy znajomość, łaskawa pani. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy.

Verity pożegnała ich skinieniem głowy, pochwyciła na sekundę spojrzenie Jamesa - dostrzegł znów w jej oczach ten sam niepokojący błysk - i ruszyła w stronę drzwi frontowych. James patrzył za nią, gdy szła przez dziedziniec, i podziwiał, jak płaszcz podkreśla krągłość jej biustu. Od chwili gdy pocałował ją ubiegłej nocy, każdy ruch Verity, każde jej spojrzenie, każde słowo miały dla niego niezwykle zmysłowy urok, którego przedtem nie dostrzegał. Doprowadzało go to do szaleństwa. Jak on wytrzyma do wieczora?!

- Miałeś rację.

Słowa Alana przywróciły Jamesa do rzeczywistości. Odwrócił się do przyjaciela.

- Pod jakim względem?

- Powiedziałeś, że jest wyjątkowo ponętna. Miałeś świętą rację! Nie tylko ponętna! Ma znacznie więcej zalet!

Oczy Jamesa zwięzły się, gdy obserwował Alana Poldrennana. Czyżby naprawdę zainteresował się Verity?... Przyjaźnili się bardzo z Roweną i kiedyś Jamesa ogarnęły wątpliwości, czy na pewno są tylko przyjaciółmi?... Szybko jednak wyzbył się tych podejrzeń. Nie pozwolił, by jego własna głupia zazdrość poróżniła go z najlepszym przyjacielem. Teraz powtarzało się to samo z Verity... choć tym razem James nie miał nawet prawa być zazdrosny. Verity nie była z nim związana, nie składała mu żadnych przysiąg jak Rowena.

- Jakich znowu zalet? - burknął.

Alan wzruszył ramionami.

- Robi wrażenie wspaniałej, inteligentnej kobiety o czułym sercu.

Wielki Boże, James! Czy ten jej mąż zwariował, czy co?!

- Sam nieraz się nad tym zastanawiałem. Zostaniesz u nas dłużej? Zjesz z nami obiad?

- Dziękuję, ale nie skorzystam - odparł Alan. - I tak jestem spóźniony. Muszę wracać czym prędzej do Bosreath!

James odprowadził go do głównej bramy.

- Rad jestem, że zachowałeś się honorowo w stosunku do niej - powiedział Alan. James aż się wzdrygnął na te słowa.

- Teraz, kiedy ją poznałem, wydaje mi się wprost potworne, że taką kobietę wystawiono na licytację! Możesz ją sobie wyobrazić w łapach

takiego bydlaka jak Will Sykes?! Bogu dzięki, żeś ją od tego ocalił!  
Nawiasem mówiąc, powtarzam tylko to, co mówiła ona. Nazwała cię swoim wybawcą.

- Wybawcą?! - James spoglądał w osłupieniu na swego przyjaciela. -  
Ona?...

- Ona, ona! Coś mi się zdaje, że ma dla ciebie wiele serca. James wzruszył ramionami z pozornym lekceważeniem, ale słowa Alana po prostu zaparły mu dech.

- Myślałem, że się mnie boi. I nienawidzi.

- Słyszała różne plotki... Nie dziwota, że była zaniepokojona. Ale w głębi duszy uważa cię za bohatera. Przecież ją naprawdę ocaliłeś!  
James prychnął pogardliwie.

- Za bohatera?! Też coś! Człowiek, który...

- Może to jest właśnie twoja szansa - przerwał mu Alan.

- Twoja powtórna szansa na zostanie czyimś bohaterem... Nie pozwól, by wspomnienie dawnych win zagroziło ci drogę do szczęścia!

James spoglądał za odjeżdżającym. Alan miał najlepsze intencje, ale mylił się całkowicie. On przecież nie mógł być niczym bohaterem. Już nigdy!

Verity siedziała przed pełniącym rolę toaletki ciemnym, trójdzielnym, opuszczanym po bokach stołem. Postawiono na nim duże owalne lustro, przed którym rozczesywała swoje ciemne włosy. Był to dzień pełen niespodzianek, do których należał nietypowy popis talentów towarzyskich barona podczas obiadu. Zazwyczaj lord Harkness był milczący i ponury, ale dziś właśnie on podtrzymywał ożywioną konwersację. Mimo wszystko jednak daleki był od wylewności. Nadal zachowywał rezerwę, która znikła tylko w dwóch wypadkach. Wypytywał Verity o jej leki i wywary, o jej wizyty u starej babci z St. Perran's i o legendy, jakie tam zasłyszała. Nie zwracając uwagi na pogardliwe parsknięcia ze strony Agnes Bodinar, James uzupełnił opowieści babci Pascow kornwalijskimi baśniami, które sam zapamiętał.

- Babcia ostrzegała cię przed skrzatami, które wodzą zbłąkanych w kółko po wrzosowisku, nieprawdaż? - dopytywał się James.

- Wszyscy mnie przed nimi ostrzegali! - odparła Verity. Usta mu drgnęły. Myślała już, że zaraz się uśmiechnie, i poczuła w dole brzucha dziwne mrowienie. Jakże inaczej wyglądał, kiedy się uśmiechał! Ciekawe, czy zdawał sobie z tego sprawę?... Chyba tak, bo czynił heroiczne wysiłki, żeby się nie roześmiać.

- Owszem, ostrzegaliśmy - potwierdziła Agnes. Rzuciła Verity dziwne spojrzenie, które uprzytomniło jej, że powinna powściągać swoje reakcje na uśmiech Jamesa, na jego „prawie uśmiech” oraz na nieproszone wspomnienia wczorajszych pieszczot jego rąk, warg i języka.

- My, Kornwalijczycy, lubimy szokować obcych przybyszów opowieściami o skrzatach, olbrzymach, duchach i tak dalej - przyznał James.

- Żeby nas stąd wystraszyć? - spytała Verity, spoglądając z ukosa na Agnes.

- Nie - odparł. - Chcemy tylko, by nowi przybysze uświadomili sobie, że wkroczyli do wyjątkowej krainy, różniącej się od wszystkich innych części Brytanii swoją historią i folklorem. Psotne skrzaty to nasza kornwalijska specjalność! To przeważnie złośliwe stworki. Największą radość sprawia im wodzenie po bezdrożach samotnych podróżnych. Potrafią zmusić nawet farmerów i górników, którzy spędzili tu całe życie i znają każdy zakątek, do krążenia w kółko po wrzosowiskach. Zabłąkani wciąż wracają w to samo miejsce. Niekiedy słyszą wówczas piskliwy śmiech malutkich dręczycieli, choć skrzaty nigdy im się nie ukazują, rzecz jasna!

- To musi być bardzo denerwujące - zauważyła Verity.

- Okropnie denerwujące! - potwierdził James. - Jeśli chce się tego uniknąć, nie wolno się włóczyć samopas po wrzosowisku, zwłaszcza wieczorową porą. Ale jeśli już ktoś się wypuści na taką wyprawę, jest jeszcze jeden środek przeciw skrzatom.

- A mianowicie?

- Kiedy odkryjesz, że skrzaty wodzą cię w kółko, wystarczy wywrócić płaszcz podszewką do góry, a urok pryśnie.

- Hm! - mruknęła Agnes i zmierzyła wzrokiem rozgadaną parę.

Wydeła usta z dezaprobatą, dostrzegłszy szeroki uśmiech Verity. - Skrzaty

ich wodzą, co? Dziwnym trafem przeważnie wtedy, gdy wracają z karczmy!

Verity rozchichotała się na te słowa, a James nie był już w stanie powstrzymać się od uśmiechu, co oczywiście wywołało znów u Verity owo podejrzanе mrowienie.

Nigdy jeszcze nie widziała Jamesa w tak pogodnym nastroju, tak rozmownego! A jednak w jego wesołości było coś wymuszonego; wydawała się nieco nerwowa. Może po prostu chciał się przypodobać Verity, przejednać ją po wczorajszym ataku?... Odgadywała, że James robi co może, by znów czuła się swobodnie w jego towarzystwie.

Nie musiał zadawać sobie tyle trudu. Już się go nie lękała.

Powoli rozczesywała długie włosy. Oprawna w kość słoniową szczotka była częścią kompletu toaletowego, który ofiarowała jej Edith Littleton tuż przed ślubem z Gilbertem. Wtedy to po raz ostatni Verity widziała swą przyjaciółkę, która zmarła kilka miesięcy później. Używając tej szczotki do włosów, zawsze wspominała czule swą ukochaną mentorkę.

Tego wieczora jednak było inaczej. Wszystkie myśli Verity koncentrowały się na Jamesie. Jego przyjacielskie zachowanie podczas obiadu mogło być jeszcze jedną sztuczką obliczoną na zmylenie jej. Z pewnością domyślał się, że Verity dowiedziała się czegoś o nim od babci Pascow i innych kobiet z St. Perran's. Czy starając się zachowywać normalnie, pragnął spowodować chaos w jej myślach? Przecież cała okolica uważała go za szaleńca!

Mało prawdopodobne, by kapitan Poldrennan wyjawiał przyjacielowi treść swej późniejszej rozmowy z Verity. A przecież to właśnie, co



usłyszała od kapitana, zmieniło całkowicie sytuację. Verity nie dopatrywała się już we wszystkim zbrodniczych spisków i podstępów, nawet teraz, gdy James zachowywał się tak nietypowo i odmienił swój stosunek do niej. Nie uważała go już ani za obłąkańca, ani za zbrodniarza.

Został po prostu okaleczony na wojnie, a jego rany były bardzo głębokie. Współczuła mu z powodu wszystkiego, co musiał przeżyć. Nic dziwnego, że zaprowadziło go to na skraj przepaści. Nie wierzyła jednak, by stoczył się w otchłań szaleństwa. Nie chciała w to wierzyć!

Największym jednak zaskoczeniem w tym dniu pełnym niespodzianek okazała się dla Verity jej własna reakcja na wszystko, o czym się dowiedziała. Kiedy znalazła swego małego pacjenta w kuchni, przy matce, i kiedy Davey rzucił się jej na szyję, Verity przekonała się na własne oczy, że chłopczyk jest całkiem zdrowy. Nie miała więc żadnego pretekstu do przedłużania swego pobytu w Pendurgan. A mimo to, kiedy Gonetta spytała, czy nazajutrz nauczy ją przyrządzać wywar z lawendy na ból zęba, Verity bez wahania wyraziła na to zgodę.

Co się stało z jej mocnym postanowieniem wyjazdu?!

Verity odłożyła szczotkę i przejrzała się w lustrze. Policzki jej poróżowiały, gdy odpowiadała sobie w duchu na to pytanie. Podejrzewała, że jej chęć pozostania w Pendurgan ma więcej wspólnego z osobą Jamesa Harknessa niż z obowiązkami, które wzięła tu na swe barki.

Podobnie jak przedtem nie była w stanie opuścić chorego Daveya, tak teraz czuła wewnętrzny nakaz trwania przy Jamesie, który również potrzebował jej pomocy. Verity nie wiedziała dokładnie, na czym ta pomoc miałaby polegać... oprócz przygotowania kojących środków nasennych. Czuła jednak, że musi coś dla niego uczynić.

Przerzuciła swe długie włosy przez ramię, żeby spleść je w warkocz. Najbardziej niepokoiła ją wzmianka o tamtych innych pożarach... Kapitan Poldrennan wyraźnie nie chciał mówić na ten temat i Verity zastanawiała się, czy aby nie ma cząstki prawdy w pogłoskach, że za każdym razem Jamesa widywano tam, gdzie potem wybuchał pożar. Ale przecież James panicznie bał się ognia... Jakże więc mógł być równocześnie piromanem?!

Ręce Verity znieruchomiały. Nic przecież nie wiedziała o chorobach umysłowych! Może paniczny strach przed ogniem przerodził się w chorobliwe urzeczenie tym żywiołem?... Czyżby te niezrozumiałe pożary pokrywały się w czasie z atakami Jamesa, po których nie wiedział, gdzie przebywał ani co robił?

Jeśli tak istotnie było, to jej życiu naprawdę grozi niebezpieczeństwo. Dokładnie tak, jak ją ostrzegęła Agnes. Może więc nadal powinna mieć się na baczności?

Rozległo się dyskretne stukanie. Zanim jeszcze Verity zdążyła odwrócić się w stronę drzwi, otworzyły się same i na progu jej sypialni stanął James.

Wszedł do środka i cicho zamknął za sobą drzwi. Verity wydała zduszony okrzyk i zerwała się tak szybko, że omal nie przewróciła taboretu, na którym siedziała. Ubrana była w białą nocną koszulę, zapiętą pod szyję, z długimi rękawami. Jej ciemne włosy, oświetlone złotawym blaskiem ognia, zwisały nadal z ramienia. Obronnym ruchem skrzyżowała ręce na piersi. W dłoni ścisnęła szczotkę do włosów. Płonący za jej plecami ogień oświetlał ją tak, że przez białą koszulę widać było zarys postaci. James, ubrany tylko w ciężki brokatowy szlafrok, poczuł, że na ten widok ogarnia go podniecenie.

Była taka piękna... i zalekniona. Jej ciemne oczy rozszerzyły się ze strachu.

James stał niepewnie, przyglądał się jej i nie wiedział, co powiedzieć. Myślał, że słowa nie będą potrzebne. Starał się przygotować grunt do tej wizyty podczas kolacji i sądził, że mu się to udało. A jednak była naprawdę zaskoczona, gdy zjawił się w jej pokoju w samym szlafroku. Nie mogła chyba mieć wątpliwości, po co tu przyszedł.

Oddech Verity był nierówny i płytki. Pierś wznosiła się i opadała pod skrzyżowanymi na niej rękoma. James zrobił niepewny krok w jej kierunku. Verity zamknęła oczy, drżące usta wygięły się ku dołowi w bolesnym grymasie.

W chwilę później opuściła ręce po bokach, wyprostowała się i podniosła na niego oczy. Nie było w nich już bólu ani uzalania się nad sobą. Wyłącznie rezygnacja, pełna godności. Verity wysunęła nieco brodę. Dobrze wiedziała, czego James chce, i była gotowa spełnić jego żądanie. Może bez chęci, ale i bez oporu.

Przecież ją kupił. Zapłacił za nią. Nie mogła mu odmówić.

Stała przed nim wyprostowana, niemal wysoka. Przez materiał koszuli sterczały sutki, wyprężone z powodu strachu, zimna, a może czegoś innego?... Nie próbowała już osłonić się przed jego wzrokiem. Żar pożądania, ogniskujący się w lędźwiach Jamesa, był tak silny, że promieniował aż po końce stóp. Pragnął w tym momencie Verity Osborne tak, jak nigdy jeszcze nie pożądał żadnej kobiety.

Stała przed nim bez słowa, osłonięta niemal wyłącznie płaszczem swej dumy, gotowa znieść wszystko. Nawet to.

Przecież zapłacił za nią.

Podczas tej straszliwej parodii zakupu pozbawiono ją wszystkiego: pozycji zamężnej kobiety i związanych z nią praw, mężowskiego nazwiska i domu, bezpiecznej przyszłości, dobrego imienia. Nie pozostało jej nic oprócz dumy, której na szczęście Verity nie brakowało. Teraz zaś, dla chwilowego kaprysu, James chciał jej wydrzeć i to.

Nie wolno mu tego uczynić!

- Wybacz - rzucił szorstko James przez zaciśnięte, drżące wargi. - Nie powinienem był tu przychodzić.

Odwrócił się i pospiesznie opuścił sypialnię, zamykając drzwi za sobą.

Verity opadła na skraj łóżka. Powstrzymywany oddech wydobył się z sykiem z jej płuc. Przytknęła bezwładnie zwisającą rękę do piersi i poczuła gwałtowne bicie serca.

Co się właściwie stało?...

Lord Harkness zjawił się wreszcie u niej. Oczekiwała tego już podczas swej pierwszej nocy w Pendurgan. Była zaszokowana i trochę przestraszona, ale gotowa pogodzić się z losem. Boże, przebacz! Poczuła nawet pewne podniecenie na myśl, że to się wreszcie stanie. Co tu ukrywać, знаła dobrze reakcje własnego ciała na bliskość tego mężczyzny.

Wspomnienie wczorajszego pocałunku przyprawiło ją o dreszcz, choć dzieliła ich cała szerokość pokoju, a baron nawet jej nie tknął. Blask dogasającego już na kominku ognia podkreślał ciemną czerwień brokatowego, indyjskiego szlafroka. Wyglądał w nim nieco demonicznie: był groźny i imponujący.

Gotowa była oddać mu się, jeśli tego sobie życzył. Jeśli tego właśnie potrzebował. Gdyby mogło to ukoić jego zranioną duszę, poniosłaby chętnie tę ofiarę.

Ach, ty idiotko! Stało się dokładnie to, czego należało się spodziewać.

Verity uderzyła pięścią w koldrę. Co też jej się przyśniło?! Nie mogła przecież liczyć na to, że wzbudzi pożądanie w jakimkolwiek mężczyźnie... a co dopiero w tym! Jej zdradzieckie ciało nie miało prawa odczuwać podniecenia, oczekiwać

Bóg wie czego! Przekonała się przecież podczas nocy poślubnej, na co tylko może liczyć. Na wzgardę i odrzucenie. Tak, jak to było z Gilbertem.

Idiotka, skończona idiotka! Przez krótką chwilę jej własny nieśmiały pociąg do barona sprawił, że zapomniała o nieuniknionym odtrąceniu. A przecież od dawna pogodziła się z tym, że nigdy nie zdoła wzbudzić pożądania w żadnym mężczyźnie!

Twarz Jamesa, pełna bolesnej rozterki, potwierdzała w całej pełni tę bolesną prawdę. Może w pewnej chwili była mu potrzebna... albo tak mu się tylko zdawało. Kiedy jednak przyszło co do czego, zrozumiał, że wcale jej nie chce. Żaden mężczyzna nie mógł jej chcieć! Dowiedziała się tego od własnego męża. Nie była normalna, i tyle.

Verity otarła płynące po policzkach łzy i wróciła do toaletki. Ustawiła prosto taboret, usiadła i zaczęła zaplatać włosy. Dobre i to, że James uzmysłowił sobie bezcelowość fizycznego zbliżenia, zanim było za późno. Nie zniosłaby chyba jego bezowocnych usiłowań i poniżających dowodów wstrętu do niej.

Ale widok cierpienia na twarzy Jamesa nadal ją dręczył. Verity podejrzewała, że wynikało ono z fizycznego bólu, wstydu i poczucia winy z racji tego, co wydarzyło się zarówno w Hiszpanii, jak i w Pendurgan. Dobrze wiedziała, czym jest ludzkie cierpienie i jak różne przybiera postacie. Nie pojmowała dokładnie tego właśnie rodzaju bólu, ale pragnęła uczynić wszystko, co w jej mocy, by ulżyć cierpiącemu.

Przynajmniej tyle mu się należało za dwieście funtów, które na nią wydał. Więc zrobi to - choćby z narażeniem własnego życia!

Po bezsennej nocy James zwłókł się na dół na śniadanie wcześniej niż zwykle. Tomas przyniósł mu jak zawsze herbatę, grzanekę i konfitury. Jamesowi nigdy rano apetyt nie dopisywał, ale tego ranka chleb był całkiem czerstwy i bez smaku, a konfitury obrzydliwie przesłodzone. Odsunął więc talerz i miał już wstać od stołu, gdy zjawiała się Verity.

- Dzień dobry, milordzie! - Głos miała pogodny. Uśmiechnęła się nawet do niego.

Co u diabła?!

James odchrząknął i już miał przeproszać za wczorajsze wtargnięcie do jej pokoju, gdy zjawił się Tomas. Również Verity podał stojące na kredensie grzanki i konfitury i spytał, czy woli napić się herbaty, czy też czekolady.

- Proszę o herbatę, Tomasie - odparła żywym, pogodnym głosem. - I jajko na miękko, dobrze? Jestem głodna jak wilk!

Tomas skinął głową i opuścił pokój. Nakładając łyżeczką konfitury na pokąsną grzanekę, Verity odezwała się:

- Prześliczny ranek, nieprawdaż? Taki jasny i słoneczny! Mam nadzieję, że dobrze spałeś?

Gapił się na nią w osłupieniu. Cóż to miało znaczyć?! Jak mogła być taka pogodna, taka przyjacielska, kiedy ostatniej nocy omal nie...?

- Nie! - rzucił. - Wcale dobrze nie spałem! Verity, ja...

- Nadal masz te kłopoty ze snem? Pozwól, że ci pomogę, milordzie! Mam korzeń waleriany, a napar z niego zawsze skutkuje. Wypijesz, jeśli ci go przyrządzę dziś wieczór?

Całkiem zbity z tropu James przegarnął włosy palcami i wpatrywał się w Verity z tępym wyrazem twarzy.

- Przestań, proszę! To okropne! Nie musisz przecież udawać!

- Słucham?...

Poruszył się niespokojnie na krześle. Wolałby mieć więcej czasu na obmyślenie przyzwoitych przeprosin.

- Wybacz, że niepokoiłem cię ostatniej nocy - powiedział. - Wiem, że to było... niewybaczalne. Nie chcę, żebyś myślała...

- Wcale o tym nie myślę, milordzie. Nie musisz się wcale usprawiedliwiać. Rozumiem doskonale.

- Naprawdę?...

Jak to być mogło?... A może Verity tak się cieszy, że dał jej spokój, że woli udawać, iż nic się nie wydarzyło?...

- Nawet jeśli tak jest rzeczywiście - mówił dalej - pozwól sobie powiedzieć, że bardzo żałuję swego postępowania... Nie tylko ostatniej nocy, ale i poprzedniej, kiedy się tak pastwiłem nad tobą. To było niewybaczalne! Zapewniam, że już nigdy się nie powtórzy!

Verity machnęła od niechcienia ręką, jakby odganiała natrętnego owada.

- Wszystko już zapomniane - powiedziała. - Nie będziemy więcej o tym mówić.

Wrócił Tomas z herbatą i jajkiem na miękko w kieliszku z delikatnej porcelany. Verity z wprawą stłukła skorupkę i ozdobiła płynnym żółtkiem drugą grzanekę. Właśnie się w nią wgryzała, kiedy James wstał.

- Wobec tego pozwól, że się pożegnam.

Marzył tylko o tym, by jak najprędzej wyjść. Wyrażna gotowość Verity do wybaczenia jego win ogromnie go krepowała. Nim jednak zdążył odejść od stołu, Verity odezwała się znowu.

- Zaczekaj chwilkę! Taki dziś śliczny dzień... Chciałam cię prosić o przysługę.

No! Teraz przyjdzie zapłacić za ostatnią noc! pomyślał. Verity zaraz powie, że wyjeżdża z Pendurgan. Coś go ścisnęło w żołądku. Z trudem wykrztusił:

- O co chodzi?

Uśmiechnęła się do niego. Wyglądało to na całkiem szczery uśmiech. Nie wyczuwał w niej maskowanego strachu ani niepokoju. Wiedział jednak, że zawsze się go nieco obawiała. Jak więc mogłaby nie lękać się teraz, po tym, gdy wtargnął w nocy do jej pokoju?

- Jeśli to dla ciebie zbyt kłopotliwe, powiedz mi otwarcie - mówiła, patrząc mu prosto w oczy. - Ale mamy dziś taki piękny, słoneczny dzień! Niewiele było takich od mego przyjazdu. I trudno liczyć na wiele więcej, nim zima się na dobre nie ustali.

James skinął potakująco. Ciągnęła więc dalej:



- Widzisz... do tej pory zwiedzałam Pendurgan na piechotę... Więc pomyślałam sobie... Czy znalazłby się w twojej stajni jakiś koń, na którym mogłabym pojeździć?...

Ta kobieta zaskakiwała go na każdym kroku!

- Chciałabyś... pojeździć konno?...

Uśmiechnęła się do niego tak promiennie, że omal nie oślepl od tego blasku. Skurcz żołądka przemienił się w coś całkiem innego.

- Od tak dawna nie jeździłam konno - wyznała. - To byłaby dla mnie taka przyjemność! I mógłbyś mi pokazać całą posiadłość...

Tego już było za wiele! Opadł na krzesło.

- Chciałabyś... chciałabyś, żebym pojechał razem z tobą?

- Jeżeli, oczywiście, nie jestem zbyt natrętna, a ty zbyt zajęty!

Nie był zbyt zajęty. Godzinę później, czując się wyraźnie nieswojo, James opuszczał dziedziniec stajenny u boku Verity. Jago osiodłał dla niej Titanę, gniadą klaczkę o lśniącej sierści. Verity doskonale trzymała się na koniu, choć było widać, że od dłuższego czasu nie zażywała konnej jazdy. Sama śmiała się z tego, że w pierwszej chwili trudno jej było poradzić sobie z wierzchówką. Mimo słonecznego dnia powietrze było chłodne i wiał ostry wiatr. Po krótkim czasie policzki Verity były czerwone jak maki. Wyglądała prześlicznie, choć jej amazonka pamiętała lepsze czasy.

Na prośbę swej towarzyszki James zabrał ją na zwiedzanie całej posiadłości. Mijali farmy dzierżawców, przeważnie pogrążone w zimowym śnie, i stodoły, skąd ulatywały z wiatrem czyste głosy dziewcząt przesiewających pszeniczne ziarno. Przejeżdżali koło pastwisk, na których pozostała już tylko garstka owiec, podczas gdy nieszczęsna większość powędrowała na ubój.

- O tej porze roku trudno ocenić urok wsi - zauważył James, gdy mijali wędzarnię.

- Wychowałam się na wsi - odparła Verity - i zachwycają mnie wszystkie cztery pory roku i związane z nimi prace. Ta pora zimowego snu, przeznaczona na dokonywanie niezbędnych napraw, jest równie ważna jak wiosenny powrót do życia!

James spytał, gdzie spędziła dzieciństwo, ona zaś ze szczerym sentymentem opowiadała mu o Lincolnshire i jego porośniętych bujną zielenią pagórkach. Dowiedział się, że jej ojciec miał tam majątek, ona zaś była jedynaczką. Jamesowi wydawało się to dziwne, że wie o niej tak mało, podczas gdy jej na pewno opowiedziano z wszelkimi szczegółami o jego niechlubnej przeszłości. Nie ośmielił się jednak wziąć Verity na spytki, by nie zakłócić miłego nastroju, który tak nieoczekiwanie zbliżył ich do siebie.

Verity rozejrzała się dokoła, wspominając ze śmiechem, jak dziwaczna wydawała się jej Kornwalia zaraz po przyjeździe.

- Ale teraz - zakończyła, obiegając wzrokiem farmy i rozciągające się za nimi wrzosowiska - bardzo ją polubiłam!

James ściągnął cugle.

- Naprawdę?

- O, tak! Możesz mnie straszyć skrzatami i duchami, ale pokochałam te strony i żyjących tu ludzi, i ich śpiewne głosy! Mój Boże! Ile z początku musiałam się namęczyć, nim zrozumiałam, co do mnie mówią!

- No, ale teraz to już ni ma z nami kłopotów, nie? - spytał James jak przystało na rdzennego Kornwalijszczyka.

Verity wybuchnęła śmiechem.

- A ni ma! Ani krzyny - odparła i pogalopowała naprzód. Kiedy się z nią zrównał, zwolniła biegu i zwróciła się do niego z pytaniem.

- Moglibyśmy pojeździć teraz po wrzosowiskach?

- Jeśli chcesz.

- Jeszcze jak!

Wobec tego pozostawili za sobą uprawne pola i złożone z kamiennych domków osady i skierowali się w stronę nierównych przestrzeni, porośłych wrzosem i usianych skałami. Zwolnili nieco, mijając Wheal Devoran; Verity zasypywała Jamesa pytaniami na temat kopalni i pracy górników. Wyraźnie ją fascynowało pobrzękiwanie i syczenie wielkiej pompy. Z najwyższym trudem zdołał ją powstrzymać przed zwiedzaniem maszynowni. Musiał jej jednak przyrzec, że obejrzą to tajemnicze miejsce innego dnia.

Kiedy dotarli do High Tor, Verity zamilkła. Zeskoczyli z siodła i przez pewien czas siedzieli w milczeniu na jednym z granitowych głazów.

- To wszystko należy do ciebie? - spytała Verity, wskazując okrągłym gestem rozciągające się wokół nich ziemie.

- Nie wszystko. Tylko ta część, którą właśnie przemierzyliśmy. Te farmy. I kopalnia.

- I St. Perran's.

- I St. Perran's. Ale po tamtej stronie - widzisz? - to Bosreath.

Rodzinny majątek Alana Poldrennana. A za nim Trenleven, posiadłość Nance'y.

- Ale twój Pendurgan jest znacznie większy niż one, prawda? - spytała.

- Poszcześciło się nam w Wheal Devoran, a przedtem w Wheal Justice, choć teraz stoi już pusta. Dochody z kopalń idą w ziemię.

- I w utrzymanie pracujących na niej rolników.

-Tak.

- Jesteś dobry dla swoich ludzi, milordzie!

- Wątpię, żeby zgodzili się z tobą.

- Nie potrafię w to uwierzyć! Zgoda, nie czują do ciebie wielkiej sympatii... - Zerknęła nań spod oka. - Ale nie mogą skarżyć się, że o nich nie dbasz. Twoja kopalnia idzie jak w zegarku i zapewnia pracę mężczyznom i kobietom z St. Perran's i innych wiosek. Mówiono mi o tym. Domy dzierżawców są w dobrym stanie, a kościół anglikański oraz kaplica metodystów utrzymane jak należy. Twoi ludzie mają wiele powodów do wdzięczności wobec takiego dziedzica! Bardzo poważnie traktujesz swe obowiązki..

- Robi się późno - powiedział James. Nie miał ochoty rozmawiać dłużej na ten temat. - Powinniśmy już wracać.

Podniósł się i podprowadził konie. Verity stanęła na głazie i baron podsadził ją na siodło. Potem sam wsiadł na swego wierzchowca, a Verity na Titanii zajęła miejsce u jego boku.

- To przezwisko zupełnie do ciebie nie pasuje - stwierdziła.

- Jakie przezwisko?

- Wbrew temu, co ludzie wygadują, jesteś dobrym człowiekiem, milordzie. Tacy nie zasługują na potępienie.

Tego samego dnia późnym wieczorem, gdy James siedział jak zwykle w bibliotece odwrócony plecami od ognia, zjawiała się tam Verity z filiżanką jakiejś dymiącej cieczy. Był to obiecany napar walerianowy. Być

może przypomniał sobie inny wieczór, kiedy również byli sam na sam w bibliotece, Verity szybko postawiła filiżankę obok świecznika na stolyczku ustawionym przy fotelu Jamesa i spiesznie opuściła pokój.

Popijał gorzki napar i rozmyślał o kobiecie, która go przyrządziła. Przez cały dzisiejszy dzień starała się okazać mu, że nie czuje do niego strachu ani wstrętu, czego tak się obawiał po wczorajszej nocy. Uważała go za dobrego człowieka - mimo wszystkich krążących o nim plotek, mimo sposobu, w jaki ją potraktował.

Nie próbował już odkryć motywów jej postępowania, miał jednak nieodparte wrażenie, że Verity pragnie się z nim zaprzyjaźnić. W jej zachowaniu nie było fałszywej skromności ani kokieterii. Nie była to zachęta do następnej próby uwiedzenia.

Bóg świadkiem, że pragnął jej nadal. Zbyt ją jednak podziwiał, by próbował wykorzystać sytuację. Perspektywa przyjaźni z Verity wydawała mu się niesłychanie pokrzepiająca.

Spuścił wzrok na filiżankę z naparem i skrzywił się. Potem odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Może to tylko podstęp, a gadanina o ziółkach na sen miała tylko uspić jego czujność? Może Verity chce go otruć? Wzdrygnął się instynktownie: pozostał mu na języku wstrętny posmak!

Wziął znów do ręki książkę, którą czytał, zanim weszła Verity. Jednak po kilku stronach słowa zaczęły mu się zlewać przed oczyma. Odłożył tomik, powlókł się na górę i ku najwyższemu zdumieniu Lobba rzucił się od razu na łóżko.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przespał spokojnie całą noc.

Od tej pory dni biegły nowo ustalonym trybem, a każdy kończył się tym, że Verity przyrządzała napar z waleriany i zanosila go Jamesowi do biblioteki. Następnego dnia po wspólnej przejażdżce, kiedy spotkali się przy śniadaniu, Verity spytała, czy jej lek poskutkował.

- Spałem jak zabity - odparł James i usta mu drgnęły, co w jego wypadku zwykle zastępowało uśmiech. Zaraz jednak spoważniał. Powiedział z wahaniem: - Nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy i jaki jestem ci wdzięczny. Od nie wiem jak dawna nie byłem równie wypoczęty!

Verity uradowała się tym kolejnym triumfem swej sztuki zielarskiej; przede wszystkim jednak cieszyło ją, że zdołała pomóc Jamesowi. Kto wie, czy to niewielkie osiągnięcie nie będzie pierwszym krokiem na drodze do całkowitego wyleczenia? Verity bardzo chciała w to uwierzyć, toteż co wieczór raczyła Jamesa walerianowym naparem.

W ciągu następnego tygodnia dostrzegła niewielkie, lecz dostrzegalne zmiany w Jamesie. Jego oczy stały się żywsze, a ciemne kręgi pod nimi zaczęły blednąć. Częściej zjawiał się na śniadaniu i miał apetyt na coś więcej prócz zwykłej filiżanki herbaty z jedną grzanką. Przeważnie jadał też kolacje w towarzystwie obu pań; był wówczas wyraźnie odprężony mimo narastającej wrogości Agnes.

Nawet się uśmiechał od czasu do czasu! Co prawda rzadko mu się to zdarzało - zaledwie raz czy drugi. Verity nie oczekiwała cudów, wiedząc, jaki był poważny i zamknięty w sobie. Zastanawiała się tylko, czy dawniej, przed wyprawą do Hiszpanii, miał taki sam charakter? W każdym razie nieco częściej widywała uśmiech, który przeobrażał całą twarz Jamesa, ją zaś przyprawiał o drżenie kolan.

Pewnego pochmurnego ranka, gdy deszcz wisiał znowu w powietrzu, Verity krzątała się po ogrodzie na tyłach kuchni, zbierając korzenie i łodygi, które mogły się jeszcze przydać w zimowe miesiące. Prawdę mówiąc, uznała cały ten ogródek za swoją własność i pracowała w nim każdego dnia, usuwając zdrewniałe gałązki i przycinając zdrowe pędy, by wiosną lepiej się rozwijały.

Verity stała, mierząc wzrokiem rzędy bezlistnych teraz roślin i wspominając z dumą swe medyczne sukcesy. Niebawem, jak zwykle, jej myśli pomknęły ku temu osiągnięciu, które napełniało ją największą radością.

Po konnej przejażdżce, podczas której James zapoznał ją z całą swą posiadłością, zaczęła rozkwitać pomiędzy nimi przyjaźń. Verity radowała się nią ogromnie, gdyż była to znacznie rozsądniejsza więź niż ta, która mogła się między nimi nawiązać, gdy wszedł do jej sypialni. Jednak w najgłębszym zakamarku serca, w momentach absolutnej szczerości Verity wiedziała, że marzy o czymś więcej. Wiedziała, że wdzięczność za uratowanie jej podczas licytacji (patrzyła już na to wyłącznie w ten sposób) oraz instynktowne pragnienie uleczenia Jamesa przeradzają się w znacznie bardziej niebezpieczne sentymenty.

Verity sięgnęła do płóciennej torby przewieszanej przez ramię i wyciągnawszy z niej słomę, zaczęła nią opatrywać rośliny wrażliwsze na zimowe mrozy. Ta prosta czynność wcale jej nie przeszkadzała rozmyślać o Jamesie.

Nigdy przedtem nie odczuwała takich doznań fizycznych, jakie budziły się w niej w kontakcie z Jamesem. Co gorsza - Boże, przebacz! - zachciewało się jej czegoś więcej. Całe jej życie wywróciło się do góry

nogami i czuła, że nic już nie będzie takie jak dawniej. Sprawy, które uznałyby niegdyś za niestosowne, nie budziły już w niej awersji. Jedno wszakże pozostało bez zmian - świadczyła o tym najlepiej reakcja Jamesa. Nie wolno jej o tym zapomnieć. Nie wolno snuć głupich rojeń!

Nie było sensu marzyć o czymś, co się nigdy nie ziści, myślała Verity, opatrując starannie krzew bylicy glistnika. Jak mogłaby wieść normalne życie mężatka, która nie jest mężatką, a choć ją kupiono na własność, nie nadawała się do roli ani kochanki, ani niewolnicy?

W miarę opatrywania krzewów Verity dochodziła do wniosku, że trochę się już zaadaptowała do obecnej sytuacji. Znajomość ziół sprawiła, że mogła przynajmniej być użyteczna, że jej życie miało jakiś sens. Teraz zaś nawiązała tę niezwykłą przyjaźń z Jamesem. To było więcej, niż mogła oczekiwać w chwili, gdy z rzemienną pętlą na szyi stała na placu targowym. Powinna być zadowolona. Nie wolno jej marzyć o niczym innym!

Verity wyprostowała się i stęknęła. Zesztywniała od ciągłego nachylania się. Przycisnęła ręce do krzyża, wygięła plecy i popatrzyła w ciemne, grożące ulewą niebo. W oddali, nad Wheal Devoran, unosiła się cienka, biała smuga dymu.

James dotrzymał słowa i kilka dni po wspólnej przejażdżce konnej zabrał Verity na zwiedzanie kopalni. Najpierw pokazał jej maszynownię. Zafascynował ją potężny silnik pompy; syczał i pracował z taką siłą, że trzęsły się żelazne belki stropu. Potem zwiedzali kotłownię i kuźnię, magazyny wypełnione jakimś dziwnym sprzętem, prochownię, skład drewna i wreszcie sortownię, gdzie dziewczęta zwane „łupaczkami” rozbijały kawałki rudy. Młotki poruszały się w rytm śpiewanych przez nie



pieśni. Wszędzie wrzała praca - niezwykła, brudna i... fascynująca. Być może wydała się Verity taka ze względu na osobę przewodnika. Kiedy przechodzili z jednego pomieszczenia do drugiego, kilku pracowników - Zacky Muddle, Nat Spruggins, Ezra Noone - uchylało ozdobione świeczką kapelusze przed Verity; znali się z St. Perran's. Większość górników ledwie kiwała głową Jamesowi i schodziła mu drogi. Trzymali się od niego z daleka.

W pewnej chwili jeden z mężczyzn wzbudził niepokój Verity. Zauważyła niewielkiego, pokrytego pyłem człowieczka, który czał się za jedną z przybudówek i nie odrywał wzroku od Jamesa. James albo go nie dostrzegał, albo umyślnie ignorował. Kiedy jednak odszedł na chwilę, by zamienić kilka słów z jednym z brygadzystów, mały człowieczek wychynął z ukrycia i stanął obok Verity. W poczerniałej twarzy białka oczu połyskiwały jak białe kamyki. Uniósł palec w górę i machnął nim przed nosem Verity.

- Tu się czai złe, pszepani - oznajmił konspiracyjnym szeptem. - Zawsze krąży koło tego Potępieńca! - Wykrzywił usta, wymawiając to przezwisko. - Przy nim ino ogień i śmierć! Ogień i śmierć, powiadam!

- Zabieraj się stąd, Clegg! - odezwał się inny górnik. - Wracaj na swoje stanowisko i nie szukaj bidy! Już cie tu ni ma!

Niepozorny człowieczek machnął jeszcze raz palcem w stronę Verity i zniknął za zabudowaniami, podobnie jak mężczyzna, który go odstraszył.

Słowa małego górnika wstrząsnęły Verity. Ze zdumieniem odkryła, że James stoi znowu przy niej. Kiedy wrócił? Ile słyszał?

James doskonale wiedział, że jego ludzie nie ufają mu, że się go boją. A jednak, kiedy natknął się na grupę kobiet z St. Perran's, które

rozpierzchły się na jego widok, albo gdy w kopalni górniczy również umykali przed nim, nie robił nic, by zmienić ich postawę. Wiecznie nachmurzona twarz i stalowe błyski w oczach zdawały się mówić: „No i co? Może nie jestem wcielonym diabłem?!”

Kapitan Poldrennan powiedział, że James woli uchodzić za Mordercę niż za tchórza. Widocznie był to jeden z tych niezrozumiałych, czysto męskich poglądów. Verity mężczyzną nie była i nie potrafiła tego zrozumieć. Ani rusz! Miała wrażenie, że James umyślnie pozwala, by poczucie winy i wstydu zagłuszyło w nim wszystkie dobre, rozsądne odruchy.

I to właśnie była choroba, którą tak bardzo pragnęła uleczyć.

Sięgnęła do torby po więcej słomy, chcąc zakończyć pracę Przed deszczem. Torba okazała się pusta, a na twarzy poczuła pierwsze krople. Zerknęła raz jeszcze na niedokończoną robotę, odwróciła się i pospieszyła w stronę kuchni. Nagle zwolniła kroku; do jej uszu dotarły jakieś krzyki z kantorka rządcy.

- Zamknij cholerną mordę!

Doskonale jej znany głos Jamesa sprawił, że Verity się zatrzymała. Widać kłócił się z tym okropnym Bargwanathem. Wzdrygnęła się, słysząc donośny, urągliwy śmiech rządcy. Przypomniała sobie, jak szydził z niej w identyczny sposób.

- Mówię tylko, że jak się już nie drze po nocach, to widać polubiła ostre jazde! Może nie?

Verity skamieniała. Boże święty, chodziło o nią! Rzeczywiście, po przybyciu do Pendurgan przez tydzień (czy coś koto tego) budziła się z krzykiem, nie mogąc zapomnieć ucisku rzemiennej pętli na szyi i harmidru

metalowych kociołków. Ale pan Bargwanath miał wyraźnie co innego na myśli.

Usłyszała jakieś dziwne odgłosy i głowiła się, cóż by to mogło być.

- Nie waż się o niej gadać w ten sposób, słyszysz? - mówił

James bez pośpiechu, ale z naciskiem. Każdemu słowu towarzyszył taki odgłos, jakby w coś walił. Albo w kogoś. Słysząc było oddech zdyszanych piersi i łoskot przewracanych mebli. W kantorku miała miejsce jakaś gwałtowna scena i wszystko wskazywało na to, że rolę karzącego tytana odgrywa James. Mści się za wyrządzoną jej zniewagę. O Boże!... Nie!

Po niepokojąco długiej ciszy dotarły do niej słowa barona.

- Pakuj manatki, Bargwanath! Żebym cię tu więcej nie widział!

- Nie możesz mnie pan wylać! Gdzie znajdziesz drugiego na moje miejsce?!

- Nie potrzebuję nikogo, kto nie okazuje szacunku pani Osborne!

Verity wzdrygnęła się na dźwięk swego nazwiska, ale nadal stała jak przymurowana. Deszcz rozpadał się na dobre; ściekał jej z czepka pod kołnierz na karku.

- Szacunku? A kto by okazywał szacunek takiej wywłóce?! Kupuje się toto na wyprzedazy, i tyle!

Świst uderzenia. Coś ciężkiego zważyło się na ziemię.

- Precz stąd! - Odgłos, jakby wleczono worek. - Precz, powiadam! I jeśli ośmielisz się zajrzeć do Pendurgan, zabiję cię! Wynocha!

Ostatnie słowa James wykrzyczał z taką pasją, że Verity poderwała się wreszcie z miejsca. Podkasła przemoczoną spódnicę i wpadła pędem do pomywalni.

Oparta o kamienną ścianę, z trudem chwytając oddech. Po chwili zdjęła ociekający wodą czepek i otrzepała go. Przeciągnęła ręką po twarzy mokrej nie tylko od deszczu.

Nie wiedziała, co przeraziło ją bardziej: ohydne insynuacje Bargwanatha czy gwałtowna reakcja Jamesa. W jakimś zakątku serca zbudziła się radość: ujął się za nią. Ale w jakież niepoohamowany sposób! Przez ostatni tydzień, może nawet dłużej, tworzyła w swoim sercu obraz dobrego, miłosiernego Jamesa. Zapomniała - a może tylko chciała zapomnieć? - że istnieje również druga, mroczna strona jego charakteru. Odepchnęła od siebie wspomnienie brutalności, jaką okazał tamtej nocy w bibliotece, oraz ostrego, niemal okrutnego tonu, jakim zwracał się niekiedy do Agnes, gdy zbyt mu dopiekała. Wyrzuciła z pamięci niezrozumiałe pożary w okolicy.

Ale James wystąpił w jej obronie. Nikt jeszcze nie ujął się za nią. Musiał więc coś dla niej czuć... choćby przyjaźń. Radość zrodzona w najgłębszym zakątku serca zaczęła się rozprzestrzeniać.

Przeczuwała niejasno, że James był zdolny do gwałtownych wybuchów, które mogły okazać się groźne. Wiedziała, że bezwiednie mógł jej wyrządzić krzywdę podczas jednego ze swych ataków. Brała pod uwagę nawet to, że - Boże, zlituj się! - mógł okazać się kompletnie szalony. A jednak pozwoliła sobie na coś niedopuszczalnego!

Zakochała się w nim.

Wybuch wstrząsnął ziemią pod jego stopami. Ze wszystkich stron otoczyły go płomienie. Krzewy i kępy zarośli stanęły w ogniu. Mundury jego ludzi zaczęły się palić. Wrzaski bólu i przerażenia rozdarły powietrze. Nie mogąc się poruszyć, patrzył bezradnie, jak ludzie z jego kompanii płoną żywcem. Śwąd zwęglonych ciał wisiał w powietrzu. Było tak gęste, że nie miał czym oddychać.

Jego ludzie ginęli... a on nie mógł się ruszyć z miejsca. Nie mógł się ruszyć!

Nagle ujrzał przed sobą jakiś budynek. Stajnia. Jego stajnia w Pendurgan. Dwóch płonących żołnierzy wpadło do niej. Nie, to nie byli dorośli ludzie - to byli chłopcy. Mali chłopcy. Drobne ciała ogarnięte płomieniem wbiegły do wnętrza stajni, która także zajęła się ogniem.

Nagle stanęła przed nim Rowena. Spoglądała na niego z przerażeniem. Chciała, żeby biegł za chłopcami. On jednak nie mógł się ruszyć. Nie mógł się ruszyć!

- Tchórz! - wrzasnęła Rowena i wbiegła do płonącej stajni. Suknie na niej zajęły się ogniem. Znikła we wnętrzu.

Jeszcze ktoś biegł w tamtym kierunku. Niewyraźna sylwetka. Kobieca sylwetka. To była Verity. Boże miłosierny, to była Verity! Musi ją powstrzymać, zanim i ona zginie! Musi ją powstrzymać... ale nie może się ruszyć. Wołał ją po imieniu raz po raz, a ona biegła ku niemu z wyciągniętymi ramionami, nie mogąc do niego dotrzeć.

- Jestem tutaj! - powtarzała, biegnąc, a równocześnie stojąc w miejscu. - Już wszystko dobrze! Wszystko dobrze!

Ktoś chwycił go za ramiona i potrząsał nim. Ktoś uwalniał go z krępujących więzów. Ktoś odciągał go od płonącego ognia, od odoru spalenizny.

- Jestem tutaj!

To był głos Verity. Chciał dotrzeć do niej, ostrzec ją przed niebezpieczeństwem, ale pozostawała nadal - cóż za szatańska sztuczka! - poza zasięgiem jego ramion.

- Verity!

- Jestem tutaj.

Nadal ktoś nim potrząsał.

- Jestem przy tobie, Jamesie!

Potrząsał i potrząsał.

- Jamesie!

Potrząsanie stawało się coraz silniejsze.

- Jamesie, ocknijże się! Oprzytomniej!

Ogarnął go straszliwy zawrót głowy. Osunął się na ziemię.

Verity klęczała obok barona. Położyła mu rękę na głowie i delikatnie głaskała gęste, czarne włosy.

- Jamesie... - szeptała. Nieważne, że tylekroć słyszała o jego straszliwych atakach. Żadne słowa nie mogły jej przygotować na to, co przed chwilą zobaczyła. Był to widok tak przerażający, że w dalszym ciągu dygotała.

Jak zawsze przygotowała wieczorny napar dla Jamesa.

Kiedy weszła do biblioteki, nie siedział jak zwykle w fotelu, plecami do kominka. Przewrócony fotel leżał na ziemi, James zaś klęczał twarzą do buchającego ognia. Był bez butów i bez surduta. Buty porzucono obok

hebanowej kanapy, na której w nieładzie wałały się surdut z zielonego aksamitu i zmięta chustka na szyję. James obiema rękami trzymał się za skronie. Powieki miał zaciśnięte i dyszał ciężko. Coś mamrotał do siebie, ale Verity nie mogła zrozumieć słów. Była zaskoczona i przerażona. Sądząc, że James zrobił sobie jakąś krzywdę i cierpi straszliwy ból, zawołała go po imieniu, ale nie otrzymała żadnej zrozumiałej odpowiedzi.

Nie wiedząc co czynić, upadła obok niego na kolana i pochyliła się jak najbliżej, by zrozumieć, co mówi. Zachowywał się jak w transie.

- Nie mogę się ruszyć - mamrotał. - Moi ludzie! Nie mogę się ruszyć!

Od razu zrozumiała, co go dręczy. Było dokładnie tak, jak opisywał kapitan Poldrennan. James znajdował się znów w Hiszpanii. Pod Ciudad Rodrigo w momencie wybuchu.

Jakiś instykt podszeptał jej, by wyrwać go z transu, nim nastąpi całkowite, wielogodzinne zaćmienie umysłu. Dotknęła jego ramienia i zawołała go po imieniu.

- Nie! - wymamrotał. Powtarzał to w raz po raz, a potem wymówił jej imię. Jakaś częśćka jego istoty zarejestrowała widać obecność Verity, podczas gdy reszta postrzegała wyłącznie minione wydarzenia.

Te dwie części jego osobowości zmagaly się teraz ze sobą. James usiłował wydobyć się z transu. Verity chwyciła go za ramiona i mocno nim potrząsała, wołając raz po raz, żeby się ocknął. W końcu osunął się na podłogę.

Nie była pewna, które „ja” w nim zwyciężyło. Czy był nieprzytomny, czy tylko wyczerpany po wewnętrznym boju?

- Jamesie?...

Ciemna głowa poruszyła się pod głaszczącą ręką. Verity wydała westchnienie ulgi. Powoli, bardzo powoli uniósł twarz, wtuloną dotąd w kolana. Ręka Verity przesunęła się

Z jego włosów na ramię i tam już pozostała. James potrzebował w tej chwili kontaktu z inną ludzką istotą, która pomoże mu wrócić całkowicie do świata rzeczywistego.

- Verity?... - szepnął ledwie dosłyszalnie.

-Tak, to ja. Jestem przy tobie.

Rozglądał się dokoła półprzytomnym wzrokiem, jakby nie wiedział, gdzie jest i jak się tu znalazł. Serce Verity rozdzierało się na myśl, jak często przedtem budził się podobnie zdezorientowany, lękając się tego, co zaraz ujrzy. Albo tego, co widział przedtem.

Odwrócił głowę i spojrzał na Verity. Omal nie krzyknęła na widok rozpaczony w jego oczach.

Nie miała pojęcia, że James może tak wyglądać! Był bezradny, bezbronny, bezsilny w obliczu trwogi, która zrosła się z nim na zawsze. Dostrzegła również wstyd w spoglądających na nią oczach - w tej chwili bardziej czarnych niż niebieskich, osadzonych głęboko nad kośćmi policzkowymi, sterczącymi z bezkrwistej twarzy.

Odwrócił głowę. Człowiek, który wolał uchodzić za mordercę niż za tchórza, z pewnością cierpiał, że była świadkiem jego upokorzenia.

Nieszczęśnik!... W tym momencie czuła tylko ogromną tkliwość i nieugięte pragnienie dopomożenia mu.

- Och, Jamesie! Już wszystko dobrze. Wszystko dobrze. Otoczyła jedną ręką jego barki, drugą objęła go w pasie i przytuliła do siebie.



Opierał się tylko przez sekundę. Potem złożył głowę na jej ramieniu i przywarł do niej rozpaczliwie. Po długiej ciszy zaczął znów szeptać jej imię, raz po raz, jak w transie. Verity uniosła nieco głowę Jamesa, przeczesując palcami jego włosy. Pragnęła spojrzeć mu w twarz, przekonać się, czy znów nie stracił przytomności.

W jego oczach pozostał ślad przeżytego koszmaru, ale było w nich coś jeszcze.

- Verity! - powtórzył i spadł ustami na jej usta. Atakował je wargami i językiem, tak samo jak poprzednio. Tym razem jednak w pocałunku było wołanie o ratunek, nagląca potrzeba, głód. Verity poddała się chętnie.

James napierał na nią całym ciałem, jakby chciał zatonać w niej bez reszty. Całował ją, całował i całował. W policzki, w podbródek, w szyję, a co chwila powracał do jej ust. Otwierał je, wdzierał się językiem do ich wnętrza, coraz to głębiej. Jego ręce sunęły w górę i w dół po jej plecach, bokach, biodrach... Verity była o krok od zemdlenia.

- Verity! Mój Boże, Verity!...

Gdyby nie powtarzał bez przerwy jej imienia, myślałaby, że uważa ją za kogoś innego, kogoś godnego miłości, kogoś... normalnego. Ale przecież wiedział, z kim ma do czynienia, gdy badał każdy cal jej szyi palcami, wargami i językiem. Wiedział, kim ona jest, gdy dotykał czule jej piersi, jakby była czymś pięknym i niezwykłym. Wiedział, kogo tuli, gdy objął jej twarz dłońmi i całował powieki, kąciki ust, wargi.

Zalała ją fala doskonałej radości i sprawiła, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. James uznał ją za godną pożądania! Czy to możliwe?...

Nie opierała się, gdy skłonił ją, by położyła się na dywanie, i nakrył ją swoim ciałem. Ani wówczas, gdy podciągnął jej spódnicę aż po uda i gdy kolanami rozsunął jej nogi.

Verity wiedziała, czego pragnął. Co więcej - Boże, zlituj się! - ona również tego pragnęła. Chciała ofiarować mu ten dar - bez względu na skutki. Choćby miał odsunąć się potem od niej ze wstrętem. Była gotowa na wszystko.

W pierwszej chwili pragnął tylko jej ciepła, jej czułego dotyku, jej pociechy. Oszołomiony i wstrząśnięty marzył o tym, by skryć się w jej ramionach i zapomnieć o wszystkim. Teraz jednak zapragnął czegoś więcej. Owładnęła nim żądza i nie był w stanie oprzeć się temu, co go popychało... choćby nawet z tym walczył.

Pragnął Verity. Musiał ją mieć. Teraz, zaraz! Boże, przebacz! Nie był w stanie dotrzymać swego przyrzeczenia i uszanować jej cnoty. Musi ją mieć natychmiast! Inaczej umrze.

Sięgnął ręką do spodni i mocował się z nimi - niezdarny, podniecony, niecierpliwy. W pośpiechu oderwał jeden z guzików, który potoczył się z brzękiem po podłodze.

Pospiesznie ucałował Verity raz jeszcze, wznosząc się nad nią. Spojrzał w jej oczy, ogromne i niespokojne, i pożałował, że pozbawi ją delikatnej gry wstępnej. Ale nie było już na to czasu. Musiał ją mieć zaraz. Już!

- Wybacz... - wymamrotał i wtargnął brutalnie do jej wnętrza. Jak niezdarny młokos szczytował już po kilku pospiesznych pchnięciach.

Dopiero gdy jego własne jęki nieco ucichły, uświadomił sobie, że Verity także krzyknęła, ale nie z rozkoszy. Nawet teraz popłakiwała

cichutko. I nagle pojał, co uczynił. Boże, zlituj się... Verity była dziewczcą! Dziewcą?... Czy to możliwe? Cóż za podlec z niego!

Leżał bez ruchu i wpatrywał się w nią. Oczy miała zamknięte, łzy spływały jej po policzkach i ściekały na podłogę. Usta były wykrzywione bólem. dzielnie starała się opanować płacz.

Niech to piekło pochłonie! Wahał się pozbawić ją resztek godności... a w końcu zrabował jej znacznie więcej. Skończony podlec!

Leżała nieruchoma, sztywna i miała wyraźne trudności z oddychaniem.

- Niech to wszyscy diabli!

Całe jego pożądanie znikło. Stoczył się z niej, pełen obrzydzenia.

Usiadł na podłodze i odwrócony do niej tyłem poprawił spodnie, przeklinając oderwany guzik, bez którego nie mógł ich zapiąć jak należy. Verity leżała za nim jak ranny ptak -w milczeniu i bez ruchu.

A więc postąpił dokładnie tak, jak można się było spodziewać po kimś z jego reputacją! Wziął niewinną dziewczynę jak ostatnią dziwkę - pospiesznie i brutalnie, zadając jej ból. Mój Boże! Jak strasznie musiał zranić tę dumną młodą kobietę, która chciała go jedynie pocieszyć! A on - jak zawsze - myślał tylko o sobie, tylko o własnych potrzebach, więc w końcu wykorzystywał i krzywdził tych, którzy byli mu najdrożsi.

Tak, Verity naprawdę była mu droga. Tak słodko i nieśmiało zaofiarowała mu swoją przyjaźń... Wkradła się do jego serca, mimo iż starał się trzymać od niej z daleka, nie angażować się. Cóż teraz zostało z jego dobrych intencji? Znowu udowodnił, że niszczy wszystko, czego się dotknie.

Usłyszał za sobą jakiś ruch. Odwrócił się i ujrzał Verity: siedziała z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu, z potarganymi włosami, ze spódnicą nadal podkasaną aż po uda. Wzrok Jamesa padł na ciemnoczerwoną plamę na jasnożółtej muślinowej sukni. Na ten widok zapłonął w nim wściekły gniew. Miał ochotę krzyczeć, rzucić czymś ciężkim. Nawet bić.

- Cóż ma znaczyć ta farsa, pani Osborne? - warknął. - Czemuż to dziewczica opowiada bzdurne historyjki o swoim małżeństwie?!

Odwróciła się od niego i cichym, drżącym głosem odparła:

- M... mylisz się, m... milordzie. To nie ż... żadna farsa. Nie jestem dz... dziewicą.

Wrzący gniew zawładnął nim bez reszty. Chwycił Verity za spódnicę tak raptownie, że cofnęła się w popłochu, jakby miał ją uderzyć. Podetknął jej pod nos splamiony materiał.

- A to co?!

Wyrwała mu się i obciągnęła spódnicę.

- Nie to, co m... myślisz - odpowiedziała. - To tylko... m... miesięczna krew. Jestem m... meżatką. To nie był m... mój pierwszy raz!

James zupełnie nie pojmował, czemu Verity kłamie. Nie ulegało wątpliwości: była dziewicą. Niech ją diabli! Po co to głupie udawanie?!

Wstał z podłogi i po raz pierwszy zauważył wywrócony fotel. Podniósł go, ustawił tyłem do ognia i usiadł ciężko. Przyglądał się, jak Verity wstaje również i poprawia fałdy sukni. Plama z tyłu spódnicy rzucała się w oczy jak światło latarni morskiej. Verity podniosła rękę do włosów i przegarnęła je palcami. Upięty nas karku węzeł rozluźnił się i wilgotne pasma zwisały na plecach. Jeden niesforny lok przylgnął do lewego

ramienia. Przy dekolcie suknia była rozdarta. Każdy by się domyślił, że ta dziewczyna została właśnie zgwałcona.

James nie mógł znieść tego widoku - świadectwa własnej nikczemności.

- Odejdź, proszę - powiedział.

Bez słowa ruszyła powoli w stronę drzwi. Ze sposobu, w jaki się poruszała - niezręcznie, z wahaniem - poznał, że nadal ją boli.

- Zaczekaj! - zawołał.

Verity zatrzymała się. Nie mógł przecież pozwolić, by tak odeszła: zboląca, oszołomiona, nieodwracalnie skrzywdzona. Zmusił się do wypowiedzenia niezbędnych słów-

- Przepraszam za to, co się stało - burknął- To było wszystko, na co mógł się zdobyć, by nie załamać się kompletnie. - To się już nigdy nie powtórzy. Przysięgam, że więcej cię nie tknę!

Verity wyprostowała się, uniosła głowę wyzywającym, doskonale mu znanym ruchem i opuściła bibliotekę z godnością księżniczki. James miał nadzieję, że nie natknęła się na nikogo. Mimo dumnej postawy wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy. Jak okrwawiona ofiara.

James oparł łokcie na kolanach i objął głowę drżącymi rękami. Przez chwilę myślał, że nigdy jeszcze, w całym swoim życiu, nie był aż tak nieszczęśliwy. O, nie! Okłamywał się: przez większość życia unieszczęśliwiał siebie i innych. To był po prostu kolejny rozdział tej samej niechlubnej historii: tchórzostwo, morderstwo... a teraz gwałt.

... Czy to naprawdę był gwałt?... Verity nie opierała się. Nie błagała, by przestał. O ile pamiętał, wydawała się równie podniecona, równie spragniona jak on.

Ale była dziewicą.

Niech to wszyscy diabli! Co on ma teraz zrobić?! Co będzie, jeśli zaszła z nim w ciążę?... Na tę myśl dreszcz przemknął mu po grzbiecie. Czy powinien się jej oświadczyć?...

Nie była przecież wolna! Mimo tych dwustu funtów pozostawała nadal w legalnym związku małżeńskim!

Tylko czy naprawdę miała męża? A jeśli tak, to czemu, u diabła, była nadal dziewicą?! W głowie mu się kręciło od wszelkiego rodzaju spekulacji na temat oszustw, podstępnych działań, prób wciągnięcia w pułapkę... W jaką właściwie pułapkę? Jeśli rzeczywiście uknuto z góry jakiś plan, to był on wyjątkowo głupi. Całkiem bez sensu. Russell ulotnił się z dwiema setkami prawie dwa miesiące temu. Zresztą ani on, ani jego żona nie mogli przewidzieć, że baron Harkness zjawi się w Gunnisloe tego właśnie dnia i weźmie udział w licytacji. Gdyby zresztą zamierzali wciągnąć go w pułapkę, czemuż by czekali z tym do tej pory?!

Oczywiście! Verity musiała zaczekać na jego pierwszy ruch. Raz już omal do tego nie doszło. Wydawała się wówczas gotowa i chętna - tak samo jak dziś.

James podniósł głowę i zaklął na cały pokój. Nie, nie i jeszcze raz nie! Walnął pięścią w poręcz fotela z taką siłą, że z pewnością posiniaczył sobie rękę. Nigdy w to nie uwierzy! Wymyślał te bzdury, chcąc zrzucić z siebie winę. Nie pojmował, czemu Verity skłamała, ale nikt mu nie wmówi, że jest podstępna z natury. Była jedną z najbardziej prostolinijnych osób, z jakimi się zetknął. Wszystko w niej było szczere - począwszy od lęku, który okazywała podczas licytacji i przez kilka następnych dni, aż do pociechy, którą mu zaofiarowała tej nocy.

James wstał z fotela i zaczął krążyć po pokoju. Dlaczego skłamała? Czemu kurczowo trzymała się tego idiotycznego kłamstwa, że atakując ją niczym rozszalały buhaj, nie pozbawił jej cnoty?... Po co było udawać, że nie sprawił jej bólu?

Zatrzymał się raptownie przy stole, na którym stała pełna filiżanka na spodeczku. Ziołowy napar Verity! Przyniosła go tu dla niego i zobaczyła, że... Że co? Kuli się ze strachu przed ogniem?!

Wziął do rąk naczynko z niemiłe pachnącym płynem. I nagle prawda uderzyła go niczym pocisk z haubicy. Verity próbowała zawsze ulżyć w cierpieniu - czy to był ból zęba jakiejś wieśniaczki, czy też jego bezsenność. Wolał się nie zastanawiać, w jakim stanie go dziś zobaczyła, kiedy zmagał się z dobrze sobie znanymi demonami. I żeby ulżyć w tych katuszach zaofiarowała mu - samą siebie. Z własnej woli, bez wahania. Zbyt była przejęta jego bólem, by myśleć o własnym. A udając, że nic się jej nie stało, usiłowała go chronić!

Gwałtownym ruchem James cisnął filiżanką i spodkiem o kratę kominka. Rozbiły się na tysiące odłamków. Jakże nienawidził siebie za to, co uczynił! Jak zdoła przebłagać tę słodką dziewczynę, która pragnęła tylko dopomóc mu w chwili słabości?... W dodatku wyładował na niej swój gniew, jakby to ona zrobiła coś złego!

Verity ofiarowała mu swą niewinność, a on nie potrafił ocenić jej wielkoduszności. Rozdzierało mu się teraz serce (o ile w ogóle je posiadał!) na myśl, ile dla niego uczyniła i jak powinien być jej wdzięczny do śmierci za ten bezcenny dar.

Tak, potraktuje to jako niezasłużony dar. Nigdy więcej nie poprosi jej o podobną ofiarę. Już i tak odebrał jej cześć, podeptał jej dumę. Nie może krzywdzić jej bez końca!

Cóż więc teraz pocznie? Mieszkali przecież pod jednym dachem. Siedzieli przy jednym stole. Verity jeździła z nim na konne przejażdżki, a co wieczór przynosiła mu cuchnący walerianą napar. Nie mogą się pobrać...

Prawda znów poraziła go jak uderzenie gromu. Zatrzymał się nagle. Ożenić się z Verity?... Boże wielki! Ożeniłby się z nią, gdyby tylko mógł! Zawojowała już całą jego służbę, wszystkich mieszkańców St. Perran's! Wślizgnęła się nawet do jego serca... Niczego nie pragnął bardziej, niż spędzić z nią resztę życia.

Przedtem nawet mu nie przemknęło przez myśl, że w jego życiu mogłaby się pojawić znowu jakaś kobieta. Jego związek z Roweną był niełatwy od samego początku, a ich wzajemne uczucia przechodziły różne fazy. Kochał jednak swą żonę z żarliwą namiętnością pierwszej miłości... i w końcu zabił ją. Nie, nie chciał pokochać innej kobiety. Nigdy więcej!

Nie zamierzał przyznać się do tego, że coś czuje do Verity. A już w żadnym razie nie nazwałby swego uczucia miłością. Gdyby jednak Verity była wolna i wyraziła zgodę, ożeniłby się z nią natychmiast!

Przemyślał to sobie przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad możliwością rozwodu lub unieważnienia małżeństwa. Nie miało to jednak sensu. Cóż mógł jej ofiarować? Splugawione życie, obarczone hańbą jego tchórzostwa i poczuciem winy. W końcu Verity pogardziłaby nim tak jak Rowena.



James nalał sobie brandy i wrócił znowu na fotel, z karafką i kieliszkiem. Modlił się, by jego niewybaczalny wybryk nie pociągnął za sobą konsekwencji w postaci dziecka. Myśl o tym przerażała go najwięcej. Jak mógłby zapewnić temu malcowi bezpieczeństwo?... Przecież nadal miewał ataki, podczas których mógłby się dopuścić nie wiadomo czego!

Odsunął od siebie wszelkie myśli o ojcostwie, gdyż wywoływały tylko bolesny obraz Trystana z wielkimi, błękitnymi, pełnymi ufności oczyma i szopą niesfornych, jasnych kędziorków. James ledwie znał swego synka, lecz czuł dla niego desperacką miłość. Kiedy wrócił z Hiszpanii, trzymał Trystana na dystans, broniąc mu wstępu w swoje życie. W owym okresie ataki związane z utratą przytomności były znacznie częstsze i cięższe niż obecnie. Po prostu nie ufał samemu sobie. I miał słuszność!

James wypił duży łyk brandy. Spłynęła palącą strużką przez przełyk do żołądka. Jakże pragnął być godzien takiej kobiety jak Verity Osborne! Odznaczała się taką odwagą, godnością, wrażliwością... nie wspominając już o urodzie. Czy ona w ogóle wiedziała, jaka jest piękna?... Bardzo w to wątpił. O nie! Nigdy nie uznałaby go za godnego siebie. Pograżył się w jej oczach, postępując jak nikczemna, rozpasana bestia.

Wypił brandy jednym tchem i znów napełnił kieliszek. Jakaż z niego żalonna parodia mężczyzny! Od dawna należało skończyć ze sobą. W pierwszych dniach po pożarze niczego tak nie pragnął jak śmierci. Jakie prawo do życia miał człowiek, który zabił dwie najdroższe mu w świecie istoty?...

Gdyby miał choć odrobinę charakteru, zabiłby się choćby po to, by nie spowodować kolejnej tragedii.

Ale brakło mu siły charakteru. Nigdy jej nie miał. Zaczął wynajdywać sobie rzekome powody, nakazujące mu pozostać przy życiu. Nalał sobie trzeci kieliszek i wyliczał w duchu wiecznie te same, marne preteksty. Był potrzebny wszystkim zależnym od niego ludziom. Potrzebowano go w kopalni. Nadeszły zimowe deszcze i pompy w Wheal Devoran nie mogły uporać się z wodą, choć pracowały na pełnych obrotach. Dzierżawcy i mieszkańcy St. Perran's potrzebują opału, żywności i leków. Ktoś musi zadbać o Pendurgan, a nie miał już rządcy. Była też Agnes. Prawda, że go nienawidziła... ale nie miała innego dachu nad głową ani nikogo, kto by się o nią zatroszczył. A teraz jeszcze wziął pod opiekę Verity.

Tak, nie brakło argumentów przekonujących, czemu nie może w najprostszy sposób uwolnić się od ciężaru życia. James wiedział jednak, że głównym powodem jest jego tchórzostwo. Nie miał w sobie dość siły, by zrobić to, co człowiek honoru uczyniłby już przed laty.

Nie miał honoru. Nie miał odwagi. Nie miał serca. Miał tylko pusty kieliszek, który mógł napełniać raz za razem w nadziei, że ból nieco stepieje. Mógł zapić się do nieprzytomności i wreszcie zapomnieć.

Łzy spływały po policzkach Verity i wsiąkały w poduszkę. Płakała i płakała - z powodu bólu, jaki jej zadał, gniewu, który wyładował na niej... Z powodu własnej bezużyteczności i swego zniszczonego raz na zawsze życia.

Kiedy potoki łez wreszcie się wyczerpały, Verity przewróciła się na wznak i wbiła pięstki w oczy. Nie powinna była aż tak rozpaczać. Przecież wiedziała od początku, czym to się skończy! Dopuszczała do tego, by chęć

pocieszenia Jamesa przesłoniła jej świadomość, że nie może tego uczynić. Nie w ten sposób!

Zwiesiła nogi z łóżka, wstała i podeszła powoli do toaletki. Ból między nogami nieco zelżał, ale nie potrafiła zapomnieć ani o nim, ani o jego przyczynie, poruszała się więc sztywno.

Raz tylko rzuciła okiem na własne odbicie w lustrze i odwróciła się. Wyglądała jak straszdyło! Sięgnęła do tasemek na plecach. Po długich trudach zdołała rozsznurować stanik i suknia opadła na ziemię. Kiedy się schyliła, żeby ją podnieść, między fałdami żółtego muślinu dostrzegła rdzawą plamę.

Wyrwał się jej cichy jęk rozpaczony, nim zwinęła suknię w kłęb i rzuciła ją do kominka. Materiał zaczął się tlić, ale się nie zapalił. Ujrzała oparte o kominek niewielkie miechy. Podniosła je i poruszała nimi, aż wreszcie suknia buchnęła płomieniem. Verity przyglądała się, jak muślin czernieje, zwija się, a wreszcie rozpada w popiół. Nie pozostał już żaden ślad po tym, co wydarzyło się na dole.

James rozgniewał się bardziej z powodu jej problematycznego dziewictwa niż z racji jej innych niedostatków. Jak mógł być tego taki pewny? Jakim cudem tak się na tym znał... on, mężczyzna? Wyjaśniła mu przecież pochodzenie krwi -więc skąd ta pewność?

Nieważne! I tak nigdy mu nie wyjawii prawdy. Ani jemu, ani nikomu innemu. Nie zdradziła dotąd żywej duszy, że jej małżeństwo nigdy nie zostało dopełnione. Musiałaby przyznać się wówczas do straszliwego upokorzenia podczas nocy poślubnej; uznać ostatecznie fakt, że nie nadaje się do współżycia, że w żadnym mężczyźnie nie może wzbudzić pożądania.

Trudno było przyznać się do tego nawet przed sobą. Z czasem jednak Verity pogodziła się ze swą ułomnością. Woląca nie wgłębiać się w ten problem. Zaakceptowała po prostu fakt, że musi raz na zawsze wyrzec się miłości fizycznej. I własnych dzieci.

Póki nie przybyła do Pendurgan.

Kiedy odkryła w sobie mimowolny pociąg do Jamesa, poczucie dawnej klęski znów zaczęło ją dręczyć. Ilekroć jej ciało reagowało na niego - na jego dotyk, jego pocałunek, na samą jego obecność - Verity musiała sobie przypominać, że ostateczne zbliżenie między nimi jest niemożliwe.

Ogrom bólu podczas samego aktu potwierdzał dobitnie orzeczenie Gilberta. Było w niej coś nie w porządku, jakaś anatomiczna wada. Utrudniała ona stosunek fizyczny, czyniąc go jeśli nie całkiem niemożliwym, to przykrym i niepożądanym.

Dziś w nocy połączył ich czysty przypadek. James potrzebował kobiety, a nikogo prócz niej nie było pod ręką. Każda by mu wystarczyła. W tej chwili jednak tylko ona była osiągalna i - Boże, odpuść! - chętna.

Podeszła do umywalki i naląła do miednicy wody. Była lodowata. Jak przyjemne wydawało się jej szczypanie na rozpalonej twarzy!

W najtajniejszym zakątku serca Verity żywiła nadzieję, że kiedyś dane jej będzie zaznać tej radości, której inne kobiety doświadczały co dzień. Przez jedną przelotną chwilę uwierzyła nawet, że może wydawać się pociągająca i zaznać słodczy męskiego pożądania.

Po raz ostatni przemyśla zapuchnięte oczy i energicznie wytarła twarz ręcznikiem w nadziei, że zniweczy w ten sposób wszelkie ślady własnej głupoty. Słodka chwila upojenia nie trwała długo. Zakończyła się w

momencie, gdy James wtargnął do wnętrza jej ciała, rozpychając je i rozdzierając tak, iż sądziła, że potarga je na strzępy, a potem chciał jak najprędzej z tym skończyć. Czyżby i on odczuwał ból?... Zaklął i stoczył się z niej ze wstrętem. Nie chciał nawet na nią patrzeć.

Jak mogła się łudzić, że tym razem będzie inaczej? Jak mogła sobie pozwolić na odwzajemnianie jego pocałunków i wmawianie sobie, że świadczą o prawdziwym upodobaniu, nie zaś o zwykłej fizycznej potrzebie?

Co gorsza - jak mogła sobie pozwolić na zakochanie się w człowieku, który nigdy jej nie zapragnie, który dziś wieczorem zaklinał się, że nigdy już jej nie tknie?

Verity usiadła powoli i ostrożnie na taborecie przed toaletką i zaczęła wyjmować szpilki z włosów. Wiele z nich pogubiła na dole; starannie uformowany węzeł przeobraził się w bezkształtną masę. Pozwoliła włosom opaść na plecy i zaczęła - jak co wieczór - rozczesywać bujne, długie loki.

Przypomniała sobie dawną rozmowę z Edith. Była wówczas młodziutką dziewczynką i zwierzała się jej ze swoich marzeń o przyszłości, mężu i dzieciach. Ot, zwykłe dziewczęce rojenia. Tyle że w jej życiu wszystko ułożyło się na opak.

W jej małżeństwie z Gilbertem także nie było nic szczególnego do chwili, gdy nowożeniec dostał straszliwych torsji podczas nocy poślubnej, usiłując bezskutecznie dopełnić ich małżeństwa. Wkrótce potem zostawił żonę w małym, wałącym się domku na ponad dwa lata. Bardzo rzadko się widywali i nigdy więcej nie podjął próby współżycia. W końcu przyjechał, by zabrać Verity ze sobą do Kornwalii. Ale trudno było nazwać czymś

zwyczajnym sprzedanie żony na licytacji niczym pociągowej szkapę. A już z pewnością nie było normalne zakochanie się w mężczyźnie, który wziął ją w potrzebie, wcale jej nie pragnąc.

Verity przestała rozczesywać włosy i zapatrzyła się w lustro.

- Przestań się uzalać! - powiedziała głośno i machnęła szczotką w stronę własnego odbicia. - Przestań! Przestań!

Nie znosiła rozczulania się nad sobą, choćby na krótko. Nigdy sobie na to nie pozwalała, kiedy jakiś nieprzewidziany zwrot w jej życiu ściągał ją na dno rozpacz. Nie dopuszczała do tego, by świat widział w niej skrzywdzoną ofiarę. Przyzwyczała się nawet do nowego życia w Pendurgan, choć nie bardzo wiedziała, jaką rolę ma tu odgrywać. Nigdy nie była nieugiętym wojownikiem, ale nigdy też nie obnosiła się ze swymi rozczarowaniami. Ukrywała je głęboko w sercu i szła przez życie z podniesioną głową, jakby nic się nie wydarzyło.

Podobnie jak nikomu nie opowiadała o swojej nieszczęsnej nocy poślubnej, tak i teraz nie zamierzała nikomu zwierzać się z tego, co zaszło między nią i Jamesem. Miłość do niego - niewyjawiona i nieodwzajemniona - pozostanie na zawsze bezcennym, pilnie strzeżonym sekretem.

Istniały jednak inne sposoby, dzięki którym jej miłość mogłaby go wspierać.

Po tym, czego była świadkiem tego wieczora, kiedy zastała Jamesa w dziwnym transie, zdecydowała, że przede wszystkim potrzebuje on wiernego i bliskiego przyjaciela. Ktoś taki pomógłby Jamesowi uporać się z nękającym go poczuciem winy, desperacji i wstydu, a także odbudować życie i odzyskać dobre imię i utraconą pozycję w lokalnej społeczności.

Każdy, kto by ujrzał Jamesa podczas ataku, z pewnością nie winiłby go za to, co się wydarzyło podczas pożaru w Pendurgan. Ludzie współczuliby mu tylko w jego bezmiernym bólu, jaki dręczył go po śmierci Roweny i dwojga dzieci, kiedy zorientował się, że był wówczas w pobliżu, a nie mógł udzielić im pomocy.

Tylko zwykły ośli upór i głupia męska ambicja Jamesa sprawiły, że otoczenie utwierdziło się w złej opinii o nim. Ale jej nic nie powstrzyma! Spróbuje wyjaśnić nieporozumienia sprzed sześciu z górą lat. Będzie miała do tego doskonałą sposobność, roznosząc po wioskach i osadach swoje zioła i medykamenty. Okoliczna ludność zaakceptowała ją; chyba nawet żywiła dla niej pewien szacunek. Zacznie więc rozmawiać z nimi o Jamesie. Słówko tu, słówko tam... a z czasem wszystkie te napomknienia trafią na podatny grunt i zakorzeniwszy się, wyprą dawne krzywdzące opinie, które rozpleniły się w okolicy jak chwasty.

Verity skończyła zaplatanie warkocza, zdjęła bieliznę i włożyła nocną koszulę. Kiedy wróciła znów do łóżka, już jej się nie chciało tak bardzo płakać. Odsunęła od siebie wspomnienie tego, co wydarzyło się w bibliotece, i podjęła stanowczą decyzję. Co prawda nie była w stanie dać Jamesowi tego, czego pragnął; mogła jednak zapewnić mu swoją przyjaźń i pomoc w odzyskaniu dobrego imienia. Więcej nic nie miała do ofiarowania.

James leżał na boku w swoim łóżku i popijał „lecniczą kawę” Lobba. Głowa mu pękała. Miał chyba najstraszliwszego kaca w życiu. Wyrzuty sumienia i wstręt do samego siebie zwielokrotniały jeszcze skutki nieprawdopodobnej ilości alkoholu, który wlał w siebie ubiegłej nocy.

Miał nadzieję upić się na umór, zapomnieć o rozpaczce, jaką odczuwał na myśl o krzywdzie wyrządzonej Verity. Nic nie pomogło. Im więcej pił, tym większą czuł desperację. Im więcej pił, tym piękniejsza, czulsza i namiętniej sza wydawała mu się Verity. Nim stracił do reszty przytomność, był chory z miłości do niej.

Otrzeźwiawszy nieco w jasnym świetle dnia, James uświadomił sobie, jak obrzydliwie cikliwy i sentymentalny stał się po pijanemu. Podziwiał Verity, rzecz jasna, i pożałował jak diabli. Ale poczucie winy w stosunku do niej powiększyło siłę jego uczuć do nieprawdopodobnych rozmiarów. Zakochanie się w Verity byłoby szczytem głupoty!

Podniósł się powoli i stanął. Skrzypienie łóżka raniło mu uszy. Chwytał za słupek baldachimu, żeby się nie przewrócić.

- Dobrze się pan czuje, milordzie?

James stał bez ruchu, czekając, aż dzwonienie w uszach ucichnie, a straszliwe pulsowanie w głowie nieco się uspokoi.

- Tak, Lobb - odezwał się w końcu. - Czuję się znakomicie. Pomóż mi się tylko ubrać, dobrze? Nie stoję zbyt pewnie na nogach.

Oplukał twarz ożywczo zimną wodą, ale kiedy zabrał się do golenia, Lobb stanowczo wyjął mu brzytwę z drżącej ręki i sam się tym zajął. Następnie, gdy lokaj go ubierał, James stał jak bezwolna kukła, przez cały czas myśląc o Verity. Jakże pragnął - przynajmniej raz w życiu! - postąpić słusznie i szlachetnie! Poprosi Verity o rękę i poślubi ją, o ile ich małżeństwo okaże się możliwe w obliczu prawa. Gdyby zaś tak nie było, postara się przynajmniej o pozory legalnego związku. Może uda mu się skontaktować z Gilbertem Russellem i przedyskutować z nim możliwości rozwodu z orzeczenia parlamentu? W każdym razie James czuł się



nieodwracalnie związany z Verity bez względu na to, czy będzie to zgodne z prawem, czy nie. Zwłaszcza jeśli zaszła z nim w ciążę.

Kiedy wreszcie zszedł na dół, zastał Verity przy śniadaniu. Zgodnie z jego przypuszczeniami wyglądała tak, jakby nie zmrużyła oka. Jej widok wywołał nową falę rozpacz i takiego wstrętu do samego siebie, jakiego nigdy jeszcze nie odczuwał. Agnes również siedziała przy stole. Rzuciła mu wrogie spojrzenie, kiedy siadał naprzeciw niej.

- Wyglądasz okropnie! - warknęła. - Pewnie znowu piłeś całą noc, co?

- Dzień dobry, Agnes - odparł spokojnie. - Dzień dobry, Verity!

Teściowa prychnęła pogardliwie; Verity skinęła głową i zdobyła się na słaby uśmiech. Agnes zaczęła wygłaszać kazanie na temat szkodliwości alkoholu. To prawdziwy gwóźdź do trumny zatwardziałego grzesznika! James starał się jej nie słuchać. Na szczęście dudnienie w głowie zagłuszało część jej wywodów, wygłaszanych ostrym tonem.

Uporawszy się z połówką grzanki i kilkoma łykami czarnej kawy, James wstał, przerywając Agnes w pół zdania, przeprosił i opuścił pokój. Przed samym wyjściem zwrócił się jeszcze do Verity.

- Chciałbym omówić z tobą pewną sprawę, kuzynko -oświadczył. - Czy mogłabyś spotkać się ze mną, kiedy tylko zechcesz, w bibliotece?

Wypowiedziawszy to miał ochotę odgryźć sobie język. W bibliotece?! Za jakiegoż bezdusznego potwora musi go uważać! Każe jej wracać na miejsce wczorajszej katastrofy! Poprawił się natychmiast, nim Verity zdążyła odpowiedzieć.

- Nie, nie w bibliotece! W starym salonie! Każe Tomasowi napalić w kominku. Zechcesz się tam ze mną spotkać?

- Oczywiście, milordzie - odparła Verity bez najmniejszego skrępowania czy wahania. - Może za pół godziny? - zaproponowała.

- Jak sobie życzysz.

Gdy Tomas rozniecił ogień na kominku, James zaczął krążyć po niewielkim pokoju. Stary salon był rzadko używany, więc nikt im nie przeszkodzi. Znajdował się w wieży, na drugiej kondygnacji. Wchodziło się tam po kamiennych stopniach, mocno wydeptanych przez całe wieki. Była to najstarsza część domu, wzniesiona w XV wieku. Większość umeblowania pochodziła z czasów Tudorów.

Dwa rzędy kolumienkowych okien w północnej i wschodniej ścianie zapewniały dość dużo światła po południu, ale w ten pochmurny ranek salon wyglądał mrocznie i ponuro. Zaproszenie tu Verity było chyba błędem.

Powtórne wejście Tomasa wyrwało Jamesa z zadumy.

- Straśnie tu zimno, milordzie, to i przyniesłem więcej szczap do ognia.

James stał odwrócony plecami do kominka, kiedy lokaj dokładał drewno. Nie miał ochoty wywołać kolejnego ataku, wpatrując się w strzelające wysoko płomienie. Słyszał jednak trzask ognia i czuł na plecach jego żar. Kiedy rudowłosego służący wyszedł, James zaczął znów krążyć po pokoju. Powstrzymał się jakoś od wyjmowania co chwila zegarka z kieszeni i sprawdzania, która godzina.

Kiedy usłyszał wreszcie kroki Verity, przestał biegać po salonie. Stanął znowu tyłem do ognia. Kiedy więc weszła do pokoju, od razu spojrzeli sobie prosto w twarz. Verity zatrzymała się w drzwiach.

- Wejdz, proszę - powiedział James. Przysunął jedno ze stojących pod ścianą krzesel z prostym drewnianym oparciem i umieścił je koło kominka. - Usiądź przy ogniu. W tych starych murach bywa zimno o tej porze roku!

Verity spojrzała na krzesło, jednak nie odezwała się ani nie ruszyła od drzwi. Psiakrew! Powinien wybrać bardziej odpowiednie pomieszczenie. Nie tylko panował tu chłód i mrok, ale w dodatku meble były staroświeckie i niewygodne.

Verity z wahaniem postąpiła o krok.

- Może i ty siądziesz, milordzie? - zaproponowała. - Czy zamierzasz stać? Prawdę mówiąc, wolałabym, gdybyśmy oboje siedzieli.

- Oczywiście - odparł James. Z pewnością nie chciała, by sterczał nad nią jak góra! Wziął spod ściany drugie krzesło i ustawił je naprzeciw pierwszego.

Verity podeszła i obróciła mebel tak, że stał teraz tyłem do ognia.

- Siądź tutaj - zaproponowała. Potem ustawiła drugie krzesło na wprost ognia, kilka stóp od pierwszego, i usiadła na nim.

Ten drobny dowód jej troskliwości sprawił, że James skamieniał. Dopiero po chwili zajął wskazane krzesło, a jeszcze dłużej trwało, nim odzyskał mowę. Verity nie pozwoliła, by krepująca cisza wisiała w powietrzu.

- Nigdy jeszcze nie byłam w tym pokoju - zauważyła. - Musi być bardzo stary! Ten rodzaj boazerii widziałam już kiedyś w Lincolnshire, w domu z epoki Tudorów... doskonale naśladuje pofałdowane płótno! Cóż za wspaniałe tło dla gobelinów, nieprawdaż? Masz cudowny dom, milordzie!

Niech jej Bóg błogosławi za te wstępne banały!

- Naprawdę tak uważasz? Nie wydaje ci się mroczny i posepny?

Verity uśmiechnęła się.

- Z początku taki mi się właśnie wydawał... - przyznała. - Podobnie jak ty.

James wparł się plecami w twarde oparcie krzesła. Jak widać, banalne uprzejmości nie trwały długo!

- Ale zdążyłam się już przekonać - ciągnęła dalej Verity - że Pendurgan wcale nie jest tak mroczny i ponury, jak na to wygląda. Jego właściciel również!

- Ach, Verity!

Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Zerwał się z krzesła. Był zbyt zdenerwowany, by na nim usiedzieć. Raz jeszcze zaczął krążyć po pokoju, wyłamując sobie palce w poczuciu bezsilności. Nie ułatwiała mu przeprosin!

- Jak możesz mówić w ten sposób po tym, co się wydarzyło ubiegłej nocy?! Zatrzymał się tuż przed nią. - Nie potrafię wyrazić, jak żałuję mego postępowania. - Zdał sobie sprawę, że sterczy jej nad głową, więc znowu usiadł. - To było niewybaczalne! Jak ja mogłem...

- Daj spokój, milordzie! - Uciszyła go gestem ręki. - Nie przejmuj się tym, co się stało. Zresztą, to raczej ja powinnam przeproszać!

- Ty?... Za co, na litość boską, miałabyś przeproszać?! To przecież ja...

- Ty po prostu potrzebowałeś pociechy... a ja nie potrafiłam ci jej dać. - W oczach Verity był żal... może bolesna rezygnacja? - Szkoda, że tak się stało... ale sam chyba rozumiesz, że to było niemożliwe. Bardzo mi przykro.

Wielki Boże! On ją praktycznie zgwałcił ubiegłej nocy, a ona go przeprosza?! To było więcej, niż James mógł wytrzymać. Zerwał się znów z krzesła, zbyt podminowany, by siedzieć bez ruchu.

- Verity, potraktowałem cię haniebnie zeszłej nocy! Skrzywdziłem cię!

Spuściła oczy.

- To była moja wina.

Jej wina? Co ona wygaduje?! Czyżby robiła sobie wyrzuty, że go nie uprzedziła, iż jest dziewicą? Przecież tak gwałtownie temu zaprzeczała mimo niezbitych dowodów!

- Nic nie rozumiem!

- To bez znaczenia. - Podniosła na niego oczy. - Może spróbujemy po prostu zaprzyjaźnić się?

Nie wierzył własnym uszom.

- Chcesz zaprzyjaźnić się ze mną?... Po tym wszystkim, co ci zrobiłem?! I po tym wszystkim, co wiesz, bo z pewnością już wiesz o mojej przeszłości?

- Ależ oczywiście - odparła takim tonem, jakby to się rozumiało samo przez się.

James opadł znowu na krzesło.

- Nie pojmuję cię, Verity Osborne! Czemu nie czujesz do mnie nienawiści? Przecież cię skrzywdziłem! Czemu nie uciekasz przede mną w popłochu jak cała reszta?!

- Przypomnij sobie, milordzie, że byłam tu poprzedniej nocy i widziałam, co się z tobą dzieje.

Wzdrygnął się, jakby uderzyła go w twarz. Dobry Boże! Co też ona zobaczyła...?

- Wiem, że przeniosłeś się duchem do Hiszpanii - wyjaśniła. - I że znów przeżywałeś tamtą bitwę.

James zacisnął ręce na drewnianych poręczach krzesła.

- Skąd, u diabła, o tym wiesz?! - spytał wściekły, że dowiedziała się o jego hiszpańskich przeżyciach. I o czym jeszcze?

- Nie złość się, milordzie! Wyciągnęłam tę informację od kapitana Poldrennana.

- Niech go szlag!

- Kapitan nic tu nie zawinił. Możesz mieć pretensję tylko do mnie! Wiem, że wtrącam się w nie swoje sprawy... Ale tak bardzo chciałam poznać prawdę... po tym wszystkim, co słyszałam.

- Od babci Pascow i całej reszty? -Tak.

James westchnął ciężko.

- Wobec tego wiesz, co uczyniłem. Ile nieszczęść spowodowałem. A teraz jeszcze skrzywdziłem ciebie.

- Wiem tylko to, co widziałam na własne oczy - odpowiedziała Verity. - Wiem z absolutną pewnością, że to, co się wydarzyło w Hiszpanii... i to, co się stało tutaj, do dziś rozdziera ci serce i duszę... choć upłynęło tyle lat. Pragnę ci pomóc, jeśli tylko zdołam.

Przekłete wścibstwo! Nieproszone litościwe zapędy! O, nie! Bynajmniej tego nie pragnął. W głosie Jamesa zabrzmiało wyraźnie rozdrażnienie.

- W jakiż to sposób chcesz mi pomóc?!

Verity uśmiechnęła się, najwidoczniej nieświadoma rosnącego w nim gniewu.

- Choćby wierną przyjaźnią - odparła. - I moimi naparami z waleriany, które uwolnią cię od koszmarnych snów... Samą swą obecnością, gdyby znów ogarnęły cię majaki... I życzliwym uchem, gdybyś chciał o tym porozmawiać...

- Rozmawiać o tym?! - Czy ona oszalała? - Boże święty! Ja chcę o tym zapomnieć! Ale to jest oczywiście niemożliwe. Rozmową na ten temat nie pomożesz mi z pewnością. Trzymaj się lepiej swoich naporów i mikstur, Verity!

Nie zważając na jego słowa, nalegała dalej.

- Tłamszenie tego wszystkiego w sobie tylko ci szkodzi. O twoich straszliwych wizjach, utratach przytomności i co ci się tam jeszcze zdarza, nie wiem prawie nic...

Boże, niech ona przestanie!

- Ale dobrze wiem, czym są koszmary senne - nie ustępowała Verity.  
- Wiem, jakie przerażające bywa przeżywanie tych samych okropności znowu i znowu. I to z taką ostrością, jakby to była jawa, nie sen. Więc budzisz się z krzykiem. A koszmar powraca... powraca... i jeszcze raz powraca... aż jesteś pewny, że dłużej tego nie wytrzymasz!

James powściągnął gniew i bacznie się jej przypatrywał. Mówiła prosto z serca. Miał wrażenie, że zapomniała już o makabrycznej licytacji na targowym placu. Zazdrościł nawet Verity, że tak szybko się z tym uporała. Czyżby przecenił jej siły? Czy nadal co noc nękały ją złe sny?...

- Ale to, z czym ty się borykasz - kontynuowała - musi być stokroć gorsze, bo dręczy cię na jawie. Widziałam, jak wtedy cierpisz.

James poruszył się niespokojnie na krześle.

- Co tym razem wywołało atak? - spytała. Była wyraźnie zdecydowana, że powinni na ten temat rozmawiać.

James bardzo rzadko wspominał o swoich atakach. Niekiedy Lobbowi, który wiedział o wszystkim od samego początku. Raz czy drugi napomknął o tym Alanowi. Jednak stanowczy błysk w oczach Verity mówił wyraźnie, że nie da za wygraną, póki nie wyciągnie z niego wszystkiego. Niech ją diabli!

- Milordzie?...

Rzucił jej spojrzenie mówiące wyraźnie, jak bardzo nierad jest z jej uporu - mimo że wynikał z najlepszych intencji. W końcu jednak okazał się bezbronny wobec tych łagodnych, brązowych oczu. Z trudem oderwał od nich wzrok i zapatrzył się w jakiś punkt na ścianie ponad ramieniem Verity.

- Skończyłem właśnie czytać pewien list i rzuciłem go do kominka za moimi plecami - wyjaśnił. - Kilka minut później wstałem, by nalać sobie brandy. Byłem pewien, że papier dawno spłonął. Ale tak nie było. Kątem oka dostrzegłem list nadal leżący na samym brzegu paleniska. I chyba właśnie w tej chwili buchnął płomieniem. Nie jestem tego pewien. Nic więcej nie pamiętam.

Verity przez chwilę milczała; potem odezwała się:

- To naprawdę stokroć gorsze od sennego koszmaru! - Kiedy spojrzał na nią, pochwyciła jego wzrok i powiedziała, patrząc mu w oczy: - Tak bym ci chciała pomóc!

- Dlaczego?



- Dlaczego?... Bo czuję, że pod tym ogromem cierpienia, pod maską Potępieńca kryje się dobry człowiek.

Tego już było za wiele!

- Moja paniusiu! Zabierasz się do mnie jak górnik do skały: walisz bez litości kilofem, bo ci się wydaje, że gdzieś tam przytańczyły się bogate złoża! Ale tu nie znajdziesz drogiego metalu, moja droga. Zostaw więc skałę w spokoju. Oszczędzisz mnie cierpienia, a sobie rozczarowania!

- Chcę ci tylko pomóc.

- Nie możesz mi pomóc! - wrzasnął. - Rany boskie, kobieto! To nie przeziębienie, które da się wyleczyć twoimi ziółkami! Nie rozumiesz tego?!

Verity spojrzała na niego wilgotnymi brązowymi oczyma jak skrzywdzony psiak. Niech to wszyscy diabli!... Nie powinien był tak na nią wrzeszczeć.

James przegarnął palcami włosy. Starał się powściągnąć gniew. Verity niczym sobie nie zasłużyła na grubiańskie traktowanie... a on ani trochę nie zasługiwał na jej współczucie. Wyrządził jej krzywdę nie do naprawienia, a ona ciągle chciała mu pomóc! Nie, to było nie do zniesienia!

Odezwał się znacznie ciszej.

- Oczywiście, że nie możesz tego zrozumieć - powiedział. - Jakże byś mogła? Skąd miałabyś wiedzieć, co to znaczy uginać się nieustannie pod brzemieniem hańby i winy? Znosić tak długo strach i nienawiść otoczenia, aż przemienisz się wreszcie w potwora, za którego wszyscy cię uważają? Budzić się każdego ranka z przerażeniem, że oto trzeba przeżyć

jeszcze jeden dzień? Pragnąc gorąco położyć kres temu wszystkiemu... i nie mieć odwagi, by się na to zdobyć?... Co ty możesz wiedzieć o takich sprawach?!

Verity siedziała w milczeniu, z rękoma złożonymi na kolanach. Blask ognia odbijał się w jej ciemnych oczach, gdy wpatrywała się w płomień. Po chwili podniosła oczy na Jamesa i odezwała się bardzo cicho:

- Pewnie nigdy nie zdołam pojąć ogromu cierpień, jakie znosisz. Wybacz, że byłam taka zarozumiała. Chciałam ci tylko okazać przyjaźń... jeśli ją przyjmiesz.

Pokonała go ostatecznie pełnymi dobroci słowami i łagodnym spojrzeniem. Zaofiarowała mu jeszcze jeden bezcenny dar... a on o mało nie odrzucił go jej w twarz. Gniew opuścił Jamesa. Pochylił się ku niej, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Kochana Verity, niczego tak nie pragnę jak twojej przyjaźni! Przyjmuję ją z wdzięcznością. Przyznam jednak, że zupełnie cię nie rozumiem. Okazujesz tyle dobroci człowiekowi, który ubiegłej nocy zachował się jak ostatni bydlak, który wziął cię siłą, wbrew twojej woli!

Znowu spuściła wzrok. Wpatrywała się w zaciśnięte na kolanach ręce.

- To nie było wbrew mojej woli - szepnęła.

- Może z początku nie. Ale zachowałem się jak ostatni brutal.

Przysporzyłem ci bólu i bardzo, bardzo tego żałuję. To się już nigdy nie powtórzy, przysięgam!

- Nie stało się nic złego. Naprawdę, milordzie! James nie wierzył w to oczywiście, ale się nie wyklócał.

- Jeżeli mamy być przyjaciółmi, może byś wreszcie zaczęła mówić mi po imieniu?

- Dobrze... Jamesie.

Uściskała jej rękę i wypuścił ze swej dłoni. Nie chciał, by sądziła, że liczy na coś więcej.

- Niezwykła z ciebie kobieta, Verity Osborne! Zawstydzasz mnie. Jestem zaszczycony, że chcesz się ze mną przyjaźnić. Ale nie nalegaj, bym rozmawiał z tobą na pewne tematy. Ja również nie będę poruszał spraw, które są bolesne dla ciebie.

Wzdrygnęła się lekko na te słowa. Złapał ją! Był to rodzaj szantażu: nie gadaj o Hiszpanii, to nie będę wspominał o twoim dziewictwie i rzekomym małżeństwie. Cóż, musiała ulec.

- A więc zgoda? - nalegał.

- Zgoda.

- Zostaniesz w Pendurgan? - upewnił się.

Przygryzła dolną wargę. Miał wrażenie, że zamierza odpowiedzieć przecząco. Pojął, że tym razem on się zagalopował.

- Verity, powiedziałem ci już pierwszego wieczora, że nie musisz tu zostawać, jeżeli nie masz na to ochoty. Jesteś wolna i możesz odejść, dokąd zechcesz. Mogłaś to zrobić w każdej chwili.

Przestała gryźć wargę, nadal jednak marszczyła czoło. Dałby wszystko, by poznać jej myśli. Chce stąd wyjechać? Dawniej tak było, to prawda, ale myślał... miał nadzieję...

- Sądzę jednak, że nie masz dokąd iść. Wspomniałaś, że twoi rodzice nie żyją. Braci i sióstr nigdy nie miałaś. Kobieta, do której byłaś tak przywiązana, ta zielarka, także już zmarła, nieprawdaż?

-Tak.

- Zechciej więc uważać Pendurgan za swój dom - mówił z pozornym spokojem, choć był o krok od rozpaczliwych błagań. Na myśl o wyjeździe Verity coś w nim wyło z rozpaczony jak zawodzący wichery. - Nadal czuję się za ciebie odpowiedzialny. Zechciej zapomnieć o wczorajszym haniebnym wyskoku. Będiesz tu otoczona przywiązaniem i szacunkiem.

Pozostaniesz nadal moją odnalezioną po latach kuzynką. Czy to ci odpowiada?

Verity uśmiechnęła się, a rozpacz Jamesa znikła; powiało nową nadzieją.

- Tak, Jamesie - powiedziała. - Zostanę tu z radością. Dziękuję ci!

Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

- I będziemy przyjaciółmi! - podsumował.

Należało jednak poruszyć jeszcze jeden śliski temat. Poruszył się niespokojnie: zamierzał postawić sprawę otwarcie.

- Tak, będziemy przyjaciółmi - odezwał się wreszcie. - Musisz jednak zgodzić się na to, bym został... kimś bliższym, Verity... jeśli ja... to znaczy ty... Gdyby było... dziecko.

Szczęka jej dosłownie opadła. Podniosła spieszenie rękę do ust, żeby to ukryć. Zaczerwieniła się jak piwonia. Spoglądała na niego wielkimi oczyma, w osłupieniu, z zapartym tchem -jakby nagle otrzymała cios w żołądek. Nawet jej do głowy nie przyszła taka ewentualność! Co za niewiniątka, mój Boże!

- Powiesz mi, gdyby tak było?

Verity odwróciła wzrok. Zapraǳał nagle chwycić ją w ramiona i pocieszać tak, jak ona pocieszała jego. Zmagał się z nagłym porywem czułości.

- Powiesz mi, Verity?

- Tak - szepnęła cichutko.

- Daj słowo!

Podniosła głowę. Policzki nadal miała zaczerwienione, nie patrzyła mu w oczy. Po raz pierwszy widział ją tak zmieszana.

- Daję słowo - odparła. - Ale nie zapominaj, że znam się na ziołach. Ja... potrafię się zabezpieczyć.

James opadł bezwładnie na krzesło. Ogarnęła go nagła ulga na myśl, że nie będzie żadnego dziecka. Głęboka i widoczna ulga. Po twarzy Verity przemknął cień bólu, nim zdążyła się opanować.

- Nie musisz się tym kłopotać - zapewniła go, otaczając się znów pancerzem dumy i godności. - A teraz wybacz: mam masę roboty w mojej apteczce!

Niemal wybiegła z pokoju. Ani się obejrzała. A niech to wszyscy diabli!

- Co mam według ciebie zrobić?!

Verity uśmiechnęła się na widok jawnego przerażenia na twarzy Jamesa.

- Pomyślałam sobie, że byłoby miło, gdybyś razem ze mną wręczył swoim dzierżawcom i mieszkańcom St. Perran's kosze ze świątecznymi podarkami.

James przyoblekł swą twarz w wyraz nieugiętej stanowczości. Nie pozwoli Verity na żadne bzdury tego rodzaju!

- Ani ty, ani ja nie musimy sobie tym zawracać głowy - powiedział tonem nieugiętego majora Harknessa. - Rozdawnictwem darów zawsze się zajmuje służba.

- Zawsze?

- Tak, zawsze... od śmierci Roweny. Przedtem ona tego doglądała.

- A teraz zamiast niej posyłasz służących?

- Tak. - Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ich konwersacja. - No i co z tego?

Verity uniosła brew.

- Czy ci się to nie wydaje... dziwnie bezosobowe?

- Bezosobowe?

- Właśnie! Mam wrażenie, że to dziedzic wraz ze swoją rodziną powinien rozdawać upominki i osobiście życzyć wszystkim dzierżawcom wesołych świąt! Myślałam, że pani Bodinar zechce mi towarzyszyć... ale i ona odmówiła.

James z trudem powściągnął uśmiech.

- Zapropnowałaś Agnes, by wraz z tobą odwiedziła wiejskie chatki w St. Perran's?

Verity uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- A jakże!

- Ha! Dzielna z ciebie kobieta, Verity Osborne! Założę się, że Agnes nie była zachwycona tą propozycją.

- Chyba rzeczywiście jej się to nie spodobało. Właśnie dlatego tak mi zależy, żebyś ty mi towarzyszył!

Uśmiech Jamesa zmienił się w ponury grymas.

- Nie ma mowy!

- Przecież podarki, które będziemy rozdawać, pochodzą w gruncie rzeczy od ciebie!

- Nie!

- Z pewnością bardziej by je sobie cenili, gdybyś osobiście...

- Nie!

- Och, Jamesie! Przecież to Boże Narodzenie!

I tak oto James w mroźny wieczór wigilijny jeździł po domach dzierżawców rozdając świąteczne koszyki, przygotowane przez Verity i jego służbę.

Verity udawała, że nie dostrzega zaszokowanych min dorosłych i przerażenia dzieci, gdy ciągnęła Jamesa od jednej farmy do drugiej, jakby to było coś zrozumiałego samo przez się. Powtarzała za każdym razem: „Lord Harkness pragnie to wam ofiarować”, i wciskała koszyk w oporne ręce Jamesa, zmuszając go do odegrania roli Świętego Mikołaja.

Było to kłopotliwe. Było to trudne do zniesienia. James gotów by przysiąc, że dzierżawcy czuli się równie skrepowani jak on.

Prawdę mówiąc, nie zawsze tak bywało. Jako młody chłopiec rozdawał prezenty razem ze swą matką, a potem z Roweną, jeśli w święta był na urlopie. Jego żona jednak zachowywała się zawsze nieco wyniośle, odwiedzając kamienne chaty i niewielkie farmy. Może raczej należałoby powiedzieć, że trzymała się nieco na dystans... nigdy bowiem nie traktowała włościan pogardliwie. Verity jednak знаła po imieniu wszystkich członków każdej rodziny, obdarzała uśmiechem i pieśczołą każde dziecko, zamieniała kilka serdecznych słów z każdym dorosłym - przeważnie zresztą na temat chorób i leków, jak można się było spodziewać! Przygotowała też własne upominki: aromatyczne kulki, pachnące skórka pomarańczową i goździkami, i prześliczne saszetki wonnych ziół - niewiarygodne zbytki, przyjmowane przez tych prostych ludzi z ogromnym entuzjazmem.

Koniec końców wyprawa okazała się mniej straszna, niż się James spodziewał. Coś ze świątecznego nastroju, który emanował z Verity, udzieliło się także i jemu. Każda z obdarowanych rodzin dziękowała mu. Z oporami, niezręcznie, często niechętnie, ale dziękowano za każdym razem. Po raz pierwszy od sześciu lat zamienił kilka uprzejmych słów z większością swoich ludzi - i sprawiło mu to niezwykłą satysfakcję.

Święta minęły cicho jak zwykle. James obawiał się, że Verity - która jawnie dążyła do odbudowania jego dawnej popularności - urządzi więcej szumu, usiłując wskrzesić dawne tradycje. Nie zrobiła tego jednak. Nie interweniowała, gdy podobnie jak co roku chwycił się różnych wykrętów, by ktoś go zastąpił przy zapalaniu „wigilijnego polana”. Mały Davey Chenhalls miał prawdziwą frajdę, zastępując dziedzica, i we dwójkę z Verity zapalili szerniałą resztkę ubiegłorocznego polana, a potem od niej



nową kłodę. Jamesowi udało się, nie zwracając większej uwagi, stanąć tyłem do ognia. Potem Verity złożyła domownikom życzenia, przepijając do nich ponczem. Rzuciła przy tym Jamesowi spojrzenie mówiące wyraźnie, Że rozumie, jak ciężką próbą są dla niego świąteczne obrzędy.

Rankiem w pierwsze święto Bożego Narodzenia Verity udała się z Agnes do kościoła. Nie protestowała, gdy baron wymówił się od towarzyszenia im. O innych gwiazdkowych tradycjach nawet nie wspomniała, choć James podejrzewał, że była niegdyś przyzwyczajona do hucznego obchodzenia zimowych świąt. Miał wrażenie, że uczestniczyła w tych rozrywkach z ogromnym zapalem. Z pewnością tym w okresie w całej pełni dochodziła do głosu jej wrodzona dobroć i szczodroblivość.

Nie próbowała jednak przywracać na siłę dawno zapomnianych sentymentalnych tradycji w jego nieszczęsnym domu. W tym roku nie prosiła Jamesa o nic więcej prócz udziału w jakże krępującym rozdawaniu gwiazdkowych podarków.

James poczuł ulgę, ale i pewne rozczarowanie. Żywił w głębi serca nadzieję, że Verity wskrzesi dawny zwyczaj całowania się pod jemiolą. Nie wskrzesiła. Cóż, może to i lepiej.

Ich dość szczególna przyjaźń rozkwitła w uczucie naturalne i kojące. Verity nie miała pojęcia (a w każdym razie James łudził się, że tak było) o jego głęboko skrywanych uczuciach, które starał się trzymać na wodzy. Nie było to jedynie pożądanie, ale James dobrze wiedział, że nie powinien folgować tym niemądrym porywom. Przysiągł sobie uszanować cnotę Verity... a raczej nie hańbić jej jeszcze bardziej. Wydawał mu się teraz czystym absurdem dawny pomysł zrobienia z Verity swej kochanicy. Myśl o takim poniżeniu tej dumnej kobiety nie mieściła mu się już w głowie.

Była teraz - z własnej woli - jego przyjaciółką, ale stosunki między nimi pozostały całkowicie niewinne. Mimo to James czuł się z nią coraz silniej związany, i to pod wieloma względami.

Zdumiewało go nieraz, jak bardzo tęsknił za samą jej bliskością. Pragnął przebywać z nią w jednym pokoju, widzieć ją u swego boku podczas spacerów i konnych przejażdżek po posiadłości; rozmawiać z nią albo zachowywać przyjazne milczenie. Czy właśnie dlatego wziął udział w licytacji w Gunnisloe? Czyżby zwykła samotność popchnęła go do tego kroku?

Jeździli razem konno, o ile pogoda na to pozwalała. James oprowadzał Verity po rozległych wrzosowiskach, wskazując swej towarzyszce - ku jej wyraźnej radości - kamienne kręgi i inne starożytne osobliwości. Kiedy kaprysy pogody zatrzymywały ich w domu, zaznajamiał ją z nim. Pokazywał najstarsze części budowli, wyjaśniał, jak zmieniała się z upływem wieków, wtajemniczał w historię swej rodziny.

Podczas razem spędzanych godzin wiele rozmawiali. Przeważnie o swym dzieciństwie, krewnych i przyjaciółach, ale także o ulubionych książkach, utworach poetyckich i o polityce. Verity bardzo lubiła słuchać kornwalijskich legend, a James chętnie je opowiadał. Od wielu lat nie miał przyjemności takiej swobodnej konwersacji, toteż radował się każdą jej minutą.

Dobrze wiedział, że Verity chciała z nim rozmawiać o Hiszpanii. On sam chętnie by zbadał dokładniej sprawę jej osobliwego małżeństwa. Jednak żadne z nich nie poruszyło zakazanego tematu.

Tylko raz Verity omal nie weszła na zabroniony teren. W pewien pogodny choć zimny ranek wybrali się na przejażdżkę do High Tor.

Zostawili konie u podnóża i wdrapali się na sam szczyt. Siedzieli na odłamku skały i napawali się widokiem, dopóki lodowaty wiatr nie zmusił ich do powrotu na dół. Verity śmiała się i brykała po zboczu jak mała dziewczynka, a James był kompletnie oczarowany tym widokiem.

Zwolniła kroku, kiedy dotarli do wyjątkowo stromego miejsca. James ujął jej dłoń, by sprowadzić ją bezpiecznie z urwiska. W takim trzymaniu się za rękę nie było nic niestosownego, ale mimo skórkowych rękawiczek, które nosili oboje, poczuł jakby elektryczny prąd, kiedy ich palce się splotły. Popatrzyli na siebie i był już pewien, że Verity odczuła to samo.

Gdy dotarli w bezpieczne miejsce, nie puściła jego ręki, ale ze śmiechem pociągnęła go po stoku w dół. Zanim dobiegli do koni, oboje byli zasapani, a oddech wydobywał się z ich ust obłoczkami pary. Verity uśmiechała się promiennie i wyglądała olśniewająco. James omal nie chwycił jej w ramiona, by całować do utraty tchu. Z każdym dniem trudniej mu było dotrzymać tej cholernej obietnicy!

- Jak tu nie ubóstwiać zimy? - entuzjasmowała się Verity. - Powietrze czyste jak kryształ, mróz aż skrzypi i tak cudownie szczypie w policzki!

- Prawdę mówiąc - odparł James - nigdy nie mogłem znieść zimy. Aż do dziś! dodał w myśli.

Verity spoważniała i wysunęła rękę z jego dłoni.

- Przepraszam! - szepnęła. - Kapitan Poldrennan opowiadał mi o...

Wydała cichy okrzyk i zasłoniła usta ręką świadoma, że wkracza na zakazany teren. James był jednak tego dnia w wyjątkowo dobrym nastroju

i choć wolałby, żeby Verity nie puszczała jego ręki, postanowił wybaczyć jej to drobne odstępstwo od ustalonych zasad.

- O czym? - spytał.

- Ooo?... - Verity zrobiła wielkie oczy ze zdumienia. Wyraźnie zbita z tropu spoglądała na niego przez chwilę, starając się odgadnąć, czy naprawdę może mówić dalej. James zachęcił ją lekkim skinieniem głowy, wzięła więc głęboki oddech i kontynuowała: - No, cóż... Opowiadał mi o tamtej strasznej zimie w Hiszpanii, o zamarzniętej ziemi, okopach i w ogóle o wszystkim...

- Tak, to było okropne - przytaknął i pod wpływem impulsu ucałował ją przelotnie w usta. - A teraz wracajmy o domu, nim złapie nas tu równie okropny ziąb!

Verity uśmiechnęła się, a jemu serce fiknęło koziołka. Nie zaprotestowała przeciw pocałunkowi! Przez sekundę pragnął chwycić ją w ramiona i wycałować jak się patrzy, ale z pewnym trudem wybił to sobie z głowy. Nie chciał zniszczyć łączącej ich więzi. Zapewne uznała jego pocałunek za niewinny dowód przyjaźni. Lepiej niech tak zostanie... na razie.

Dosiedli koni i w doskonałej zgodzie popędzili z powrotem do Pendurgan. Kiedy dotarli do dworu i pozbyli się okryć i kapeluszy, Verity pobiegła wesolutko do salonu, żeby się ogrzać, a James pospieszył za nią.

Zamiast wymarzonego ciepła znaleźli tam lodowatą Agnes.

Odziana w zwykłą czerń (nieustanne przypomnienie o śmierci Roweny i Trystana) podniosła oczy znad robótki i przeszyła ich spojrzeniem tak zimnym i mściwym, że oboje stanęli jak wryci. Potem odłożyła haft, wstała i przeszła obok nich bez słowa.

James był przyzwyczajony do humorów teściowej, ale wyczuł konsternację Verity.

- Wejdźmy do środka! - powiedział. - Musimy się ogrzać.

Zadzwoń, żeby nam podali coś gorącego do picia.

Pani Tregelly pojawiła się niemal natychmiast. James poprosił o herbatę i biszkopty, a odwróciwszy się, ujrzał, że Verity ustawiła już dwa fotele przy kominku. Jeden - jak zwykle - tyłem do ognia. Sama siedziała już na tym drugim.

- Dziękuję - powiedział James. - Zawsze pamiętasz o moich... kłopotach.

Tym razem on poruszył zakazany temat. Czuł, że mięknie. Przez chwilę milczał, chcąc się przekonać, czy Verity zignoruje tę uwagę, udając, że jej nie dosłyszała.

Ale nie zignorowała.

- Czy to... znowu się powtórzyło?... - spytała. - Od... tamtej nocy?...

- Nie.

- Bardzo się cieszę! Czy... czy to się... często zdarza?... Powinien był położyć kres tej rozmowie, ale nużyły go już te wieczne zmagania.

Pozwolił Verity na to dyskretne badanie gruntu.

- Nie tak często jak bywało przed laty - odparł. - Ale nigdy nie wiem, kiedy to się zdarzy. Za to dzięki tobie senne koszmary już mnie prawie nie dręczą. Może z czasem i te ataki będą coraz rzadsze?

Verity wyciągnęła rękę i dotknęła leciutko jego rękawa.

- Modłę się, żeby całkiem ustały! - powiedziała żarliwie. Zjawiała się pani Tregelly z herbatą i rozmowa zeszła na ogólne tematy.

James przywykł do nieustannej obecności Verity. Widział ją naprzeciw siebie przy stole. Z kuchennego ogrodu, w którym buszowała z małym Daveyem, dolatywał jej śmiech. Wszedłszy do jakiegoś pomieszczenia, czuł znajomy zapach lawendy. Każdego wieczora czekał w bibliotece, aż Verity zjawi się z uspokajającym lekiem. Prawie już zapomniał, jak puste było jego życie, zanim przybyła do Pendurgan.

W styczniu zaczęły się zimowe deszcze. Przed samym Bożym Narodzeniem spadło trochę śniegu, ale na tym się skończyło. Było nadal chłodno i każdego popołudnia lało.

Największy problem Verity na szczęście rozwiązał się sam: okazało się, że nie jest w ciąży.

Kiedy James wspomniał o takiej możliwości, była zaszokowana. Przedtem nawet jej to nie przyszło do głowy! Sama myśl o tym, że mogłaby urodzić dziecko jak każda kobieta, była równie niewiarygodna, jak cudowna.

Okłamała Jamesa, mówiąc, że zna ziołowe środki zaradcze. Tego samego popołudnia zasiadła do wertowania podręczników zielarskich, szukając w nich jakichś wzmianek na ten temat. Rezultat nie był pocieszający. Skąd, na litość boską, mogłaby wytrzasnąć pestki granatu?!

W końcu okazały się niepotrzebne. Tym lepiej... bo jak by wytłumaczyła obecność dziecka?... Mimo to płakała nad utraconą nadzieją, gdy miała już pewność, że żadnego dziecka nie będzie.

Verity wykorzystywała każdy pogodny rano na konną przejażdżkę z Jamesem albo na wizyty u mieszkanek St. Perran's. Początkowo chodziła tam pieszo, ale gdy po nagłej ulewie ledwie dotarła na górę do Pendurgan

po gliniastym stoku, zaczęła jeździć tam konno. Zresztą, na grzbiecie Titanii mogła zapuścić się i dalej.

Pod koniec stycznia, wracając z farmy Pennecków - największej i położonej najdalej od dworu - Verity dostrzegła Rufusa Bargwanatha. Wyraźnie zaniepokoił ją widok dobrodusznego Marka Pennecka, opierającego się o płot i gawędzącego z tym okropnym typem. Zawróciła klacz i pognęła w przeciwnym kierunku. Instynkt podpowiadał jej, że obecność dawnego rządcy nie wróży nic dobrego.

Nie wspomniała nigdy Jamesowi o awanturze, której odgłosy słyszała w dniu, gdy Bargwanath został wyrzucony z pracy. To wystąpienie Jamesa w jej obronie stało się przełomowym momentem w życiu Verity. Wtedy właśnie pojęła, że zakochała się w nim - niewątpliwie i na zabój. Lepiej nie zdradzać się z takimi głupimi emocjami!

Ścieżka biegnąca w stronę odwrotną niż farma Pennecków skręcała na południowy zachód, na tereny całkiem Verity nieznane. Starła się nie tracić z oczu ozdobionej króliczymi uszami wieży kościoła w St. Perran's, ale po kilku zakrętach wieża nagle znikła jej z oczu i Verity całkiem straciła orientację.

Zatrzymała wierzchówkę, by rozejrzeć się uważnie dokoła, i właśnie wtedy usłyszała tętent końskich kopyt. Zbliżał się jakiś jeździec. Wkrótce w polu widzenia Verity ukazał się kapitan Poldrennan.

- Pani Osborne! - Ściągnął konia i zerwawszy kapelusz z głowy, uklonił się jej szarmancko. - Co za miła niespodzianka! Czyżby zamierzała pani odwiedzić Bosreath? Zmieszana Verity rozejrzała się dokoła.

- O, to Bosreath znajduje się gdzieś w pobliżu?... Nie miałam pojęcia!

Kapitan uśmiechnął się.

- Czyżby łaskawa pani się zgubiła?

- Obawiam się, że tak! Straciłam z oczu mój główny punkt orientacyjny: wieżę kościelną z St. Perran's. Widać skrzaty wreszcie mnie dopadły!

Kapitan Poldrennan odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Kiedy znów odwrócił się do Verity, kosmyk jasnych włosów opadł mu na czoło i musiał go odgarnąć.

- Widzę - powiedział z szerokim uśmiechem - że ostrzegano panią przed tymi małymi łotrzykami! Proszę za mną: odprowadzę panią do St. Perran's.

Zawrócił konia i powiodł Verity w dół ścieżką, której nawet nie zauważyła. Po kilku minutach kościelna wieża pojawiła się znów na horyzoncie.

- Czy wybierała się pani do wsi? - spytał kapitan.

- Nie miałam takiego zamiaru - odparła. - Chciałam znaleźć się jak najprędzej w Pendurgan. Nie podobają mi się te chmury! Wracam z farmy Pennecków.

- Z farmy Pennecków? Tędy?! - Znowu się roześmiał. -Wielki Boże! Naprawdę się pani pomyliły wszystkie kierunki!

- Widzi pan... zauważyłam kogoś, z kim za żadne skarby nie chciałam się spotkać.

Verity spoglądała przed siebie, zastanawiając się, czemu były rządca kręci się w pobliżu Pendurgan. Przychodziły jej do głowy różne możliwości, a żadna z nich nie budziła w niej zachwyty.

Głos kapitana wyrwał ja z zamyślenia.



- Wolno spytać, kogo tak pani unika? Wiem, że to nie moja sprawa i nie musi mi pani odpowiadać, jeśli nie ma ochoty! Ale jeśli ktoś panią niepokoi...

- To był Rufus Bargwanath.

Zerknęła na Poldrennana i ujrzała, że zmarszczył czoło.

- Bargwanath?

- Tak - odparła. - Myślałam, że wyjechał stąd, kiedy James go zwolnił. To paskudny typ!

- Jestem tego samego zdania - odparł. Zmarszczka na jego czole nie znikła. - Zawsze się dziwiłem, że James tak długo z nim wytrzymuje! A propos: znalazł już nowego rządcę?

- Jeszcze nie - odparła Verity. - Na razie sam wszystkiego dogląda. Ma i bez tego mnóstwo kłopotów z kopalnią; te ulewy ogromnie utrudniają pracę pomp. A teraz musi jeszcze harować przy gospodarstwie, biedak!

Kapitan Poldrennan milczał. Verity spojrzała na niego i dostrzegła, że wpatruje się w nią z dziwnym wyrazem szarych oczu. Uniosła pytająco brwi. Kapitan uśmiechnął się.

- Widzę, że całkiem się pani zadomowiła w Pendurgan -Zauważył.

Verity poczuła, że pieką ją policzki. Zdawało jej się, że słowa Poldrennana mają jakiś ukryty sens.

- Tak - odparła. - Chyba się zadomowiłam.

Jechali przez kilka minut w milczeniu, pokonując niezliczone zakręty, zanim Verity znowu się odezwała.

- Jak pan myśli, czemu Bargwanath nadal się tu kręci?

- Czy to panią niepokoi? Szukała najwłaściwszych słów.

- Pozwalał sobie na... bardzo niemiłe uwagi... na mój temat.

- Ach, tak?

- Nie chciałabym, żeby rozsiewał jakieś plugawe plotki.

- Chyba nie musi pani nim się przejmować - powiedział kapitan. - To wieczny malkontent, który lubi sprawiać ludziom kłopoty. Ale to nie pani jest celem jego ataków. Ma na pieńku z Jamesem.

Całkiem możliwe, myślała, ale to mu bynajmniej nie przeszkodzi oczerniać mnie, że żyję w grzechu z jego wrogiem!

- Wątpię, by ktokolwiek w okolicy chciał go zatrudnić -mówił dalej Poldrennan. - Ma tu bardzo zaszarganą opinię. Większość mieszkańców będzie rada, gdy zniknie stąd na dobre. I pewnie niebawem to zrobi, by szukać pracy tam, gdzie nie znają go tak dobrze!

- Mam nadzieję, że się pan nie myli, kapitanie. Ścieżka się zwężyła. Poldrennan pojechał przodem i w szerszym miejscu zaczekał na Verity. Dotarli do dróżki wiodącej do St. Perran's.

- Otóż i wieś! - oznajmił kapitan. - Jestem pewien, że żaden złośliwy skrzat nie zdoła już zwieść pani na manowce. Nie odważy się na to w cieniu kościelnej wieży!

Verity uśmiechnęła się w odpowiedzi na te żartobliwe słowa. Gdyby jej serce nie było już zajęte, kto wie, czy nie zbudziłaby się w nim słabość do przystojnego kapitana?... Jakże się różnił od swego zgorzkniałego przyjaciela!

- Czy mogę o coś pana spytać, kapitanie? Uśmiechnął się szeroko.

- Niech no zgadnę... Znów kilka pytań na temat Jamesa?

- W pewnym sensie... Widzi pan... spróbuję zrehabilitować go w oczach tutejszej ludności.

Gwizdnął przez zęby i zmarszczył brwi.

- To nie w porządku! - Głos Verity wzniósł się w bolesnym proteście. - To nie w porządku, że wszyscy uważają go za potwora... z powodu win, których nie popełnił!

Jedno spojrzenie kapitana Poldrennana uświadomiło Verity, że zabrzmiało to jak żalosny pisk. Bardzo zmieszana zaczerwieniła się znowu i odwróciła wzrok.

- Rozumiem, co pani czuje - powiedział kapitan. - I jak bardzo pragnie pani zmienić sytuację. Ale nagromadziło się już tyle ludzkich uprzedzeń...

- Wiem - odparła Verity. - I może nie zdołam oczyścić jego imienia. Ale muszę przynajmniej spróbować!

Konie zaczęły się niecierpliwić: zbyt długo stali na ścieżce. Kapitan Poldrennan pogładził długą szyję swojej klaczy. Nie odwracał oczu od Verity.

- Chyba rozumiem. Pani musi to zrobić - powiedział wreszcie.

- Miałam nadzieję, że pan mi w tym pomoże. – Dodała szybko, nim zdążył zaprotestować: - Wszyscy wiedzą, że jest pan przyjacielem Jamesa... a jednak pańska reputacja wcale przez to nie ucierpiała. Myślałam, że może zdołałby pan wśród swoich znajomych... - Nie dokończyła myśli, gdyż, prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziała, co kapitan mógłby zrobić.

- Droga pani Osborne - powiedział Alan Poldrennan - to nie do ziemianstwa należy dotrzeć. Oni wcale nie są chętni do oczerniania kogoś ze swojej sfery... a raczej oni pierwsi zdecydowaliby się wybaczyć albo udawać, że niczego nie dostrzegają. Tak czy owak, Jamesowi nie stawiano

by przeszkód, gdyby chciał się udzielać w towarzystwie. Tylko że on tego wcale nie chce, o ile mi wiadomo. Umyślnie się zaszył w swoim niedostępnym gnieździe od tak dawna, że nawet najbliżsi sąsiedzi nic o nim nie wiedzą.

Verity niecierpliwie cmoknęła językiem.

-Jedynym sposobem na oczyszczenie jego imienia jest dotarcie do ludzi, którzy żyją i pracują na jego ziemi. Musi pani przekonać o jego niewinności górników i rolników. To prości ludzie, częstokroć zabobonni. Niełatwo skłonić kogoś takiego do zmiany zdania.

- Tak właśnie przypuszczałam - odparła Verity. - I zamierzam tego dokonać!

Opowiedziała mu o świątecznych koszach z upominkami; uśmiechnęła się na widok jego zdumienia.

- Byli równie zaskoczeni jak pan w tej chwili! Nie powitali go z entuzjazmem, rzecz jasna. Z pewnością pan się tego domyślił! Był jak zawsze naburmuszony i niektórzy przerazili się nie na żarty. Ale zachowywali się grzecznie i wyrazili swą wdzięczność... z pewnymi oporami. Mimo wszystko była to ciężka próba dla Jamesa.

- Nie wątpię - przytaknął. - Z pewnością niezbyt miło stanąć twarzą w twarz z ludźmi, którzy tak go nienawidzą! Choć, prawdę mówiąc, przez te wszystkie lata zdążył się chyba do tego przyzwyczaić!... - Kapitan Poldrennan potrząsnął głową. - Biedny James! Zakasował w miejscowym folklorze wszystkie olbrzymy i upiory jako wcielenie zła. Powiadają, że zaprzedał duszę diabłu!

Powoli ruszył z miejsca, a Verity poszła w jego ślady. Rada była jak najszybciej znaleźć się w domu: jeśli się nie myliła, łąda chwila łunie jak z cebra.

- Nie ułatwi sprawy także to, że jedno z tutejszych dzieci, chłopak od Cleggów, zginęło w pożarze razem z rodziną Jamesa. A przez lata opowieści o niegodziwych postępках Jamesa rozrosły się do nieprawdopodobnych rozmiarów. Jednak ogólne przekonanie o jego okrucieństwie nie uległo zmianie. Widzi pani, my, Kornwalijczycy, nie lubimy wyrzekać się swoich przekonań, zwłaszcza jeśli chodzi o piętnowanie zła. Potrzebujemy naszych straszydeł... choćby do trzymania w ryzach niegrzecznych dzieci.

Mimo lekkiego tonu Poldrennana w jego głosie słychać było zniechęcenie. Verity pochyliła się nieco, wpierając kolano w kulę siodła, i wyciągnąwszy rękę, dotknęła ramienia kapitana.

- Rada jestem, że James ma w panu przyjaciela - powiedziała.

Nakrył jej rękę dłonią, nim zdążyła ją cofnąć.

- Myślę, że ma go także w pani. Czy się mylę?

- Nie myli się pan.

Kapitan uśmiechnął się.

- Pani naprawdę leży na sercu jego dobro!

- Oczywiście! - odparła, nie zdradzając, jak bardzo leży jej ono na sercu. Wystarczy, że przyznała się do przyjaźni. -I nikt mnie nie omami bajdami o diabłach! Widziałam, co się z nim dzieje na widok ognia.

- Widziała pani?

- Tak, widziałam. - Nie wyjaśniła sprawy bliżej. Były w niej pewne szczegóły, o których nikt nie mógł się dowiedzieć. Nawet przyjaciel

Jamesa. - On nie jest zły, tylko chory! Zasługuje nie na potępienie, ale na współczucie i sympatię!

Uśmiech kapitana stał się jeszcze szerszy, a w jego szarych oczach błysnęły wesołe iskierki.

- Droga, droga pani Osborne! Cóż za szczęśliwy los przywiódł panią do Pendurgan! Może do mego starego druha raz jeszcze uśmiechnie się szczęście?

Policzki Verity znowu poczerwieniały. Minęli już prawie wioskę. Chmury nad ich głowami przybrały barwę ołowiu. Nie było wiele czasu na pytanie o radę, na której tak Verity zależało. Spytała więc pospiesznie:

- Jak mam dotrzeć do miejscowej ludności? Jak mogę mu pomóc?

- Musi pani zacząć od kogoś, komu ludzie najbardziej ufają - odparł bez wahania.

- Babci Pascow!

- Niech ją pani przekona... a inni pójdą za jej przykładem.

Przez cały dżdżysty luty Verity korzystała z każdej okazji, by pojechać konno do St. Perran's. Siadywała przy ognisku babci Pascow, gawędząc i popijając herbatę z innymi kobietami z całej okolicy, które się tam schodziły. Pamiętała o tym, żeby zawsze przywieźć własną herbatę, gdyż stanowiła ona prawdziwy luksus, a używane przez babcię listki zaparzano tak często, że właściwie piło się już tylko gorącą wodę.

Niekiedy zamiast zwykłej herbaty Verity przywoziła ziołową mieszankę własnego pomysłu. Jedne kompozycje cieszyły się większym powodzeniem, inne mniejszym, ale babcia i pozostałe wieśniaczki były wdzięczne za każdą. Kiedyś Verity przybyła z paczuszką doskonałej, mocnej herbaty Darjeeling, pochodzącej z kuchennych zapasów pani

Chenhalls. Oczywiście Verity spytała Jamesa o pozwolenie, nim zdecydowała się na ograbienie dworskiego kredensu. Powołała się przy tym na skromne środki babci, podejmującej stale gości. James nie protestował.

- Tym razem herbata od samego barona wraz z pozdrowieniami od jego lordowskiej mości - oznajmiła, wręczając Kate wyborną indyjską mieszankę.

Kate zmrużyła podejrzliwie oczy.

- Co panusia nie powi?! - mruknęła, unosząc wymownie jedną brew.

- Ty mi się tu nie podśmiechuj z Verity Osborne! - ofuknęła ją surowo babcia. - Ona nie z tych, co miały ozorem po próżnicy! Jużś zapomniała, jak przywiezła tu Jammeza na Boże Narodzenie?

- A kto by ta zapomniał?! Mało mnie wtedy pierun nie ustrzelił! - odcięła się Kate.

- U nas tyż byli - wtrąciła Borra Nanpean cichym, nieśmiałym głosikiem. - Po mojemu to ładnie, że go panusia ze sobą zabrała. Dawniej ani mu to w głowie powstało!

- Jammez wyrabia tera niejedno, co mu dawniej w głowie nie powstało - zauważyła babcia.

- A ino! - przytaknęła Hildy Spruggins. - Ludzie gadali, co pomagał w tym roku, jak się owce kociły. A Joe, znaczy się brat mojego Nata, to go widział, jak orał na północnym zagonie! Sam poganiał te wielgie woły i orał przez niczyjej pomocy!

- To dlatego, że nie ma teraz rządcy - wyjaśniła Verity. - Ale i tak nie zląkłby się ciężkiej pracy! Dba o swoją ziemię. I o kopalnię. I o was wszystkich. Zawsze o to dbał.

Kate, nalewająca wrzątek do brązowego imbryczka babci, zerknęła z ukosa na Verity.

- Cóż mi się widzi, że naszej paniusi Potępieniec wpadł w oko! Kobiety wybuchnęły śmiechem, a Verity poczuła, że się rumieni aż po korzonki włosów.

Ale babcia się nie śmiała. Między jej brwiami pojawiła się zmarszczka. Staruszka zmierzyła Verity spojrzeniem, które zbiło ją z tropu. O, niełatwo będzie przekonać babcię Pascow!

Verity sprowadziła rozmowę na inne tory. Nie chciała zbyt nachalnie wygłaszać swojej opinii. Podczas następnych wizyt napomykała dyskretnie o pracowitości Jamesa i jego poczuciu obowiązku, kiedy tylko nadarzała się okazja. Przez resztę czasu robiła co mogła, by kobiety miały do niej pełne zaufanie. Gdyby jej się to udało, łatwiej byłoby je przekonać o krzywdzie, jaką wyrządzano Jamesowi.

Mogło się to wydawać nieprawdopodobne... ale przecież ta właśnie niewielka, zamknięta społeczność w ciągu czterech zaledwie miesięcy przyjęła do swego grona ją - obcą przybłędę. Verity co noc wspominała z wdzięcznością Edith Littleton i modliła się za nią. Gdyby ta wspaniała kobieta nie podzieliła się z nią swoją wiedzą zielarską, z pewnością Verity nie tak łatwo zostałaby zaakceptowana w Kornwalii! Jej leki dopomogły wielu tutejszym rodzinom uporać się z często nękającymi ich w zimie katarem i kaszlem, wysoką gorączką, ropnym zapaleniem gardła. Największą wszakże popularność przyniosły Verity jej podarunki gwiazdkowe: saszetki wonnych ziół i kulki aromatyczne.

- Dostawaliśmy świąteczne kosze z dworu, odkąd pamiętam - wyjaśniła Tamson Penneck. - Ale zawdy było w nich ino jedzenie:



wędzone mięso, konfitury, placki. Baryłka cydru i różne tam różności, co to pomagają ludziom łatwiej znieść ciężkie zime. Wszystko bardzo nam się przydaje. Nie powiem, że nie! Ale największa uciecha dla człowieka to coś takiego, co oczy cieszy albo słodko pachnie. Takie tam... luksusy. Jeszcze się nigdy we Wilie tak nie uradowała, powiadam paniusi!

Tak więc starania Verity i znajomość ludzkiej psychiki bardzo się jej opłaciły. Stała się dla tych ludzi „naszą paniusią ze dworu”. Agnes Bodinar, mimo iż pochodziła z tych stron, nie przypadła im do serca. Prawdę mówiąc, okoliczna ludność po prostu nie znosiła teściowej Jamesa.

Verity lubiła przesiadywać u babci Pascow w gronie miejscowych kobiet. Była z natury towarzyska i niekiedy czuła się samotnie w Pendurgan, gdyż Agnes była zła jak osa, a James zapracowany po uszy i przy gospodarstwie, i w kopalni.

Agnes ostatnimi czasy stała się jeszcze gorszą sekutnicą, wyraźnie złościła ją rosnąca zażyłość między Verity i Jamesem. Nie przeszkadzało jej specjalnie to, że młoda kobieta była (jej zdaniem) kochanką zięcia. Ale szczerą przyjaźń tej pary wydawała się starej damie zagrożeniem dla pamięci Roweny.

Verity nieraz żałowała, że nie jest w stanie przekonać Agnes, iż nie zamierza pretendować do roli lady Harkness. Stara dama nigdy jednak nie chciała rozmawiać z nią na ten temat. Ostatnio zresztą nie odzywała się do niej prawie wcale. Siedziała w kompletnej ciszy na brzegu krzesła, podobna do wrony w swej zdartej już i zrudziałej żałobie. Wyprostowana, milcząca, posepna i pełna pogardy.

Od samego początku Verity podejrzewała, że stara kobieta jest nieco nieźrównoważona. Przekonywała się o tym coraz bardziej w miarę, jak zimowe dni mijały, a wrogość Agnes rosła.

Pewnego mroźnego dnia w połowie lutego, zaniósłszy jak co wieczór nasenny napar Jamesowi do biblioteki, Verity zwróciła się do niego z kolejną prośbą w imieniu mieszkańców St. Perran's. Spytała, czy nie można by zaopatrzyć marznących w swoich kamiennych chatach wieśniaków w drewno opałowe albo węgiel.

- Widzę, że bardzo się troszczysz o okoliczne rodziny -zauważył baron, przypatrując się jej podejrzliwie.

- Dobrze wiesz, że spędzam mnóstwo czasu w ich towarzystwie - odparła Verity. - We dworze nie mam co robić ani z kim pogadać... chyba że z panią Bodinar. Bardzo lubię gawędzić z kobietami z St. Perran's. Przy tej okazji zauważyłam, że palą torfem, bo prawie nie mają drewna opałowego.

- Niech mnie poproszą, to im dam.

- Doskonale wiesz, że nie poproszą.

- O, tak! - odparł. - Wiem to doskonale! Więc wybrali ciebie, żebyś się za nimi wstawiła?

- Skądże znowu! - odparła. - To wyłącznie mój pomysł! Torfowy dym szczypie mnie w oczy, więc z czystego egoizmu proszę cię o drewno opałowe.

Rzucił jej wymowne spojrzenie i uśmiezek, po którym nadal ugiwały się pod nią nogi, choć starała się opanować.

- Ani rusz nie mogę uwierzyć w ten egoizm - powiedział. -Ale nich ci będzie. Każę Tomasowi załadować furę drewnem i rozdać je we wsi.

Na chwilę Verity zatoneła w błękitnej głębi jego oczu do tego stopnia, że prawie nie słyszała słów Jamesa. Kiedy wreszcie była w stanie odpowiedzieć, wykrztusiła zdławionym głosem:

- Jakiś ty dobry, milordzie!

Przez dłuższą chwilę spoglądał jej w oczy. Czyżby i jemu przypomniał się całus na wrzosowisku?... Albo te pocałunki w bibliotece, zanim... zanim ją wziął?...

- Wcale nie jestem dobry - odpowiedział wreszcie. - Po prostu, jak już z pewnością odkryłaś, możesz mnie ugnieść niby wosk w swoich łapkach. Nie zapomniałem, jak to było w Wigilię! Potrafisz się uprzeć, kiedy ci na czymś zależy, może nie? No więc... we wsi będą mieli opał.

Kiedy następnym razem zjawiała się u babci Pascow, całą chatkę napępiał zapach płonącego żywicznego drewna.

- Pewnie i za to należy się paniusi podziękowanie, co? - spytała Kate Pascow.

- Co znowu! - odparła Verity, siadając obok Dorcas Muddle i dotykając pieszczotliwie buzi jej malutkiego synka. - Powinnaś podziękować lordowi Harknessowi. Postanowił dobrze spożytkować to, czego w Pendurgan ma w nadmiarze. Zaręczam ci, że to pomysł pana barona.

- A juści! - Pogardliwy wykrzyknik Kate wywołał serię potakiwań.

Babcia skrzywiła się okropnie, jak zawsze, gdy rozmowa zeszła na Jamesa. Coś w jej zacietrzewionym spojrzeniu, którym powitała kolejny dowód troskliwości dziedzica, sprawiło, że Verity straciła panowanie nad sobą. Zerwała się na równe nogi.

- Co z wami jest?! - Głos jej wzniósł się aż do krzyku. Popatrzyła prosto w oczy każdej z kobiet: babci, Kate Pascow, Ewy Dunstan, Hildy Spruggins, Lizzy Trethowan, Dorcas Muddle. - Dlaczego zawsze myślicie o nim tylko najgorsze?!

- Chiba nie dziwota - odcięła się Ewa Dunstan - po tym, co ten przeklętnik zrobił!

Verity utkwiała w Ewie ostre spojrzenie.

- A cóż ty wiesz, co on zrobił, a czego nie zrobił? Poza tym, że zapewnił twemu mężowi dobrą pracę w Wheal Devoran! A wam wszystkim porządy dach nad głową! I że przemyka oczy, kiedy twój Nat, Hildy, zabawia się w kłusownika na dworskich gruntach! I że całkiem zapomina o czynszu dzierżawnym, jak się zdarzy nieurodzajny rok! O tak, Lizzy, o tym także wiem!

Zwinna jak fryga spoglądała w twarz każdej kobiecie, do której się zwracała. Wszystkie gapiły się na nią tak, jakby postradała zmysły.

- Pytam raz jeszcze: skąd tak dobrze wiecie, co on zrobił? No, skąd?!

Po dłuższej chwili Kate Pascow odchrząknęła i zabrała głos.

- Jużeśmy ci to mówiły, paniusiu - odparła z lekkim wahaniem. - Od starego Nicka Tresco, co to przódzi rządcował w Pendurgan.

- O, tak! Pamiętam, coście mi opowiadały o starym Tresco - odcięła się Verity i wzięwszy się pod boki spojrzała Kate prosto w twarz. - Ale czy on widział, że James podpala stajnię? Widział, że wrzuca dwoje dzieci, a potem własną żonę do ognia? Nie! Widział tylko, że stoi bez ruchu i patrzy. Stoi i patrzy! - Wyczerpana nieoczekiwanym wybuchem Verity opadła na krzesło. Sześć kobiet przyglądało się jej podejrzliwie. Odetchnęła parę razy, żeby się opanować, i podjęła nieco cichszym

głosem: - Stoi tam bez ruchu. Czy nikomu z was nie przyszło do głowy, jakie to dziwne? Nawet gdyby umyślnie rozniecił pożar, czy nie udawałby, że spieszy z pomocą, kiedy na horyzoncie pojawił się świadek?! Staralby się chyba odsunąć od siebie podejrzenie!... Babciu, ty przecież znałaś Jamesa od dzieciństwa, prawda?

Małe, ciemne oczy babci jeszcze się zwężyły.

- A ino - przytaknęła wreszcie. - I to od małego. W całej okolicy - wykonała szeroki gest ręką - znali chłopaka, odkąd się toto urodziło.

- I zawsze był złym, podłym dzieciakiem? - spytała Verity. Babcia wysunęła nieco brodę.

- Nie.

- No to jaki był?

Babcia nieco się odpreżyła. Wypiła łyk herbaty, nim odpowiedziała na pytanie.

- Ot, jak każdy dzieciak! Aż go rozpierało. Łobuzowali z Alanem Poldrennanem od rana do nocy. Stale coś psocili. Ale to nie były złe chłopaki... nieusłuchane i tyle. Jak trochę podrośł, tyż był całkiem udany. Ludzie tylko gadali, że młody drze koty ze starym baronem. Bez to i zaciągnął się do wojska.

- I dopiero jak wrócił z Hiszpanii - nastawała Verity -zmienił się... nie do poznania?

- A ino! Wrócił zły i złośliwy jak nie wiem co - przytaknęła babcia. - Aż przykro było patrzeć, co z niego wyrosło. Całkiem go diabli przerobili na swoje kopyto!

Pozostałe kobiety pokiwały głowami i potwierdziły zgodnym pomrukiem. Verity powściągnęła gniew.

- Chyba jednak nie wyrosło samo tylko złe - zauważyła, starając się panować nad swoim głosem. - Całkiem widać zapomnieliście o żywym dziecku i miłym młodzieńcu, jakim niegdyś był. Zrobiliście z niego wcielonego diabła. Czy nikomu z was nie przyszło do głowy, że mógł... wiele wycierpieć podczas wojny?

Stapała teraz po śliskim gruncie. Bardzo pragnęła, by kobiety oceniły właściwie sytuację, ale wyjawiając im wszystko, co wiedziała, ujawniłaby najboleśniej, najwstydlivsze sekrety Jamesa. Takiej zdrady nigdy by jej nie wybaczył!

- Czy komuś z was przyszło do głowy, że mógł zostać... okaleczony... w jakiś sposób, który trudno by wam było zrozumieć? - mówiła dalej. - I czy nie możliwe, że właśnie z tego powodu oskarżono go o zbrodnie... których nie popełnił?

I znów Kate pierwsza przerwała kłopotliwe milczenie, które zapadło po słowach Verity.

- Coś mi się widzi, paniusiu, że Potępieniec całkiem ci zamącił w głowie!

- Siedź cicho, Kate! - Ostry głos babci sprawił, że policzki Kate Pascow poczerwieniały. - Niech Verity Osborne mówi! - mówiła dalej starszka. - No, dziecino, co tak kluczysz? Mów wyraźnie, co chcesz nam powiedzieć!

Verity zdobyła się na słaby uśmiech. Zwracała się teraz wprost do babci.

- Mówiłaś, babciu, że James był normalnym chłopczykiem i porządnym młodzieńcem. Czy tak naprawdę, w głębi serca, wierzysz, że

tamten znany ci chłopak zabił ukochaną kobietę i własnego synka, a w dodatku dziecko Cleggów?

Verity wpatrywała się w twarz babci Pascow, gdy ta zastanawiała się nad odpowiedzią. Stara kobieta zacisnęła usta i z ponurą miną stuknęła po wargach zniekształconym palcem. W całej izbie słychać było tylko potrzaskiwanie ognia i - od czasu do czasu - gruchanie niemowlęcia Dorcas Muddle.

Kiedy babcia Pascow zdecydowała się wreszcie przemówić, odstawiła swoją herbatę na stary stół. Usiadła prosto, złożyła pulchne ramiona na poręczach krzesła i spojrzała prosto na Verity przenikliwym wzrokiem.

- Nikogo tamój wtenczas nie było, ino stary Nick Tresco - stwierdziła. - A on powiedział nam, co widział na własne oczy, i wyjechał z Pendurgan. No i zabrała się z nim połowa służby. Jago i Anthwenna Chenhallsowie zostali. I oni, i ich dzieciaki znają swoje miejsce i nigdy z ozorem po okolicy nie latali. A Mary Tregelly będzie wierna Harknessom do grobowej deski. No więc tak: co wiemy, to ino od starego Nicka.

Oczy jej zwęziły się nieco, gdy rozważała sprawę. Kiedy znów się odezwała, wychyliła się do przodu, a jedna z leżących na poręczy rąk zacisnęła się w pięść.

- Przyznam się wam szczerze - oświadczyła zdecydowanym tonem, spoglądając ostro na każdą z obecnych kobiet, jakby oczekiwała sprzeciwu - że najsamprzód nijak żem nie mogła w to uwierzyć. Nic a nic! - Utkwiła wzrok w Verity. - Ale Jammez zachowywał się tak, jakby ich pomordował. Ani krztyny żalu nie okazał! A jakie robił miny? Czysty

diabeł! Jak się zachowywał jak zbój, to i nie dziwota, żeśmy go mieli za zbrojaka! Ani słówkiem nie zaprzeczył bez te wszystkie lata!

Verity opadła znów bezwładnie na krzesło. Poczula tak bezmierną ulgę, że pod powiekami zapiekły ją łzy. Zwycięstwo było w zasięgu ręki. Babcia Pascow z początku nie mogła uwierzyć w winę Jamesa!

Z trudem odetchnęła kilka razy. Postanowiła, że się nie rozplacze. Nie pozwoli, żeby Kate Pascow wygadywała Bóg wie co o jej zauroczeniu baronem!

- To, że James nigdy temu nie zaprzeczył - powiedziała drżącym głosem - wcale nie świadczy o tym, że to zrobił. Mówicie, że stał się „zły”. Nie przyszło wam do głowy, że w ten sposób próbował ukryć swój ból? Mówię wam, że wiem - wiem, rozumiecie? - co się zdarzyło podczas pożaru! Nie mam prawa wyjawiać wam, co to było. Ale przysięgam, że James nie ponosi żadnej winy. Nie mógł ocalić tamtych chłopców ani Roweny. Nie mógł, i już!

- Jak to nie mógł? - spytała Kate tonem pełnym wzgardy. - Stał tam. Palili się na jego oczach!

- Nic więcej nie wolno mi powiedzieć - odparła Verity. - Tylko tyle, że to było całkiem niemożliwe. Nie mógł ich ocalić... i zadrecza się tym od prawie siedmiu lat!

- Ale...

- Chyba coś mi świta, dziewczuszko - przerwała babcia, uciszając Kate gestem ręki. - Chcesz nam powiedzieć, że cosik się przytrafiło Jammezowi na wojnie... i to nie tylko z nogą, co?

A więc wiedzieli, że był ranny w nogę! Nikt jednak nie słyszał o okolicznościach, w jakich to się stało.



- Tak, coś mu się przytrafiło... ale nic więcej nie mogę powiedzieć. Przepomnij sobie chłopca, którego znałaś, babciu, i zastanów się: czy on naprawdę mógł się zmienić w takiego potwora, za jakiego teraz uchodzi?

- Zawdy był dumny - powiedziała babcia. - I nijak by się nie przyznał... do słabości. Może ty i niegłupio gadasz, dziewczuszko!

Staruszka zmierzyła Verity tak przenikliwym wzrokiem, że sięgnęła jej prosto do serca. Policzki jej poczerwieniały i spuściła oczy, by stara kobieta nie wyczytała w nich zbyt wiele.

- No, no! - odezwała się babcia. - Widzi mi się, co Jammez znalazł sobie hadwokata jak się patrzy. Zuch z ciebie, Verity Osborne!

RS

Na zaproszenie Alana Poldrennana James wraz z Verity udał się do Bosreath.

- Musi nudzić się śmiertelnie w Pendurgan - powiedział Alan. - A moja mama będzie w siódmym niebie, mogąc ugościć was oboje podwieczorkiem.

Ustalono więc termin wizyty, a pogoda okazała się łaskawa. Alan czekał na nich u wejścia do nowoczesnego budynku z cegły. James, wychowany w domu tak starym jak Pendurgan, uważał siedzibę liczącą sobie zaledwie sto czy dwieście lat za całkiem nową. Bosreath zostało zbudowane niecałe sto lat temu, za panowania Jerzego I. Linie budynku były czyste, zwarte i symetryczne. Stanowił absolutne przeciwieństwo ogromnej granitowej bryły Pendurgan.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Verity, gdy kłusowali po granitowym podejździe. - To mi przypomina dom!

- Dom?

- Mój rodzinny dom w Lincolnshire wyglądał prawie identycznie! Czerwone cegły, rzędy okien przesłoniętych białymi kratkami, kolumnowy ganek ze skromniutkim frontonem... Jakie to cudowne!

W jej głosie brzmiała nutka melancholii, usta wygięły się w tęsknym uśmiechu.

- Budzi w tobie nostalgię - stwierdził James. Uśmiech Verity stał się szerszy, gdy spojrzała na swego towarzysza.

- Może troszkę - odparła. - Tylko, widzisz, nasz dom w Lincolnshire stał wśród bujnej zieleni i łagodnych pagórków. A tu, zaraz za

wypieszczonym trawnikiem Bosreath, rozciągają się te same usiane skałami wrzosowiska, które widać z Pendurgan. A to już wcale a wcale nie przypomina Lincolnshire!

Jej słowa wywołały zmarszczkę na czole Jamesa, więc spiesznie dodała:

- Wcale nie twierdzę, że Pendurgan i cała Kornwalia są mniej piękne od Lincolnshire! One są po prostu zupełnie inne. Powiem ci coś, ale obiecaj, że nie powtórzysz tego kapitanowi - dodała konspiratorskim szeptem. - Uważam, że Pendurgan znacznie lepiej pasuje do swego otoczenia niż Bosreath. Każdy widzi, że twój dom wyrósł z tej ziemi. Ale Bosreath, choć takie śliczne, wygląda tak, jakby jakiś wielki stwór zabrał je skądinąd i upuścił właśnie tutaj!

James uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie ogromne ptaszysko, które gubi w przelocie ceglany domek nad wrzosowiskiem. Może to był legendarny kormoran? A może jeden z mitycznych gigantów pomylił się w adresie? Pomysł Verity ubawił go tak, że gdy dotarli do głównego wejścia, uśmiechał się całkiem szczerze.

Kiedy zatrzymali konie przed frontowym gankiem, Alan powitał ich wesołym: „Dzień dobry!” Pospiesznie uniósł ręce ku talii Verity, by pomóc jej przy zsiadaniu. James miał wrażenie, że obejmował ją odrobinę dłużej, niż to było konieczne.

Być może baron wmówił to sobie, ale nie dziwota: Verity wyglądała tego dnia wyjątkowo pięknie. Uświadomił to sobie w momencie, gdy opuszczali Pendurgan. Miała na sobie tę samą co zawsze, niemodną już zieloną amazonkę i cylinderek z także zielonym, nieco spłowiałym

piórkiem, który zawsze wkładała do konnej jazdy. Bił jednak od niej niezwykle blask i coś w wyrazie jej oczu i ust niepokoiło Jamesa.

Czyżby poczyniła jakieś szczególne zabiegi, by wyglądać jak najkorzystniej podczas wizyty w Bosreath?... Czy zielony aksamit rzeczywiście opinał dziś ciasniej wszystkie jej wypukłości? Czy musiała uśmiechać się aż tak promiennie do Alana? A on czemu witał ją tak wylewnie?!

Dobry humor całkiem opuścił Jamesa. Zsiadł z konia i przekazał cugle stajennemu. Kiedy wchodzili po stopniach ganku, ręka Verity spoczywała na ramieniu Alana, a on prowadził ją do frontowego hallu.

W skromnej bawialni czekała już na nich matka kapitana. Małeńka kobietka przefrunęła jak ptaszek przez cały pokój na spotkanie Verity, szczebiocząc jakieś głupstewka. Czy to nie urocze? Nareszcie się spotkały! Czy pani Osborne zechce spocząć? Co za śliczny odcień zieleni! Jakże miło panią poznać! Jak to uprzejmie, że zechciała pani odwiedzić Bosreath!

W parze Z gorączkowym szczebiotem pani Poldrennan szły jej nerwowe gesty. Ręce, a zwłaszcza palce, były w nieustannym ruchu. James miał nadzieję, że nie zrazi to Verity; nie uzna, iż to jej obecność niepokoi starszą panią. Matka Alana była równie nerwowa i spięta, odkąd ją znał. Zachowywała się jak nadpobudliwy terier, który zaraz bierze się do obrabiania pięt, skoro tylko ktoś się pojawi. James uważał, że trudno z nią wytrzymać, ale Alan potrafił łagodną perswazją uspokoić matkę albo skłonić ją do wycofania się na górę, gdy woleli zjeść obiad tylko we dwóch z Jamesem.

Verity radziła sobie z panią Poldrennan wyjątkowo dobrze. Jej spokój i cierpliwość działały kojąco na nerwową kobietkę. Taktownie zaofiarowała się zastąpić panią domu przy nalewaniu herbaty, gdy ujrzała drżące ręce pani domu i wrzątek chlapiący poza brzegi filiżanki.

- Z pewnością pracowała pani ciężko przez cały dzień! Niełatwo utrzymać ten przepiękny ogród w tak idealnym porządku. Niech mi wolno będzie wyręczyć panią choć w tym jednym drobnym obowiązku!

Pani Poldrennan przystała na to z entuzjazmem i zaczęła się usprawiedliwiać tym, że okropnie łatwo się męczy ostatnimi czasy, strasznie jej dokucza zimno i tak dalej. Verity szybko się zorientowała, że starsza pani lubi się pożalić. Nie doradzała jej więc żadnych ziołowych leków, tylko potakiwała i uśmiechała się współczująco.

James, nadal poirytowany względami, które okazywał Verity Alan, ona zaś przyjmowała z promiennym uśmiechem, siedział milczący i nachmurzony podczas niezbyt długiego podwieczorku. Alan pokierował konwersacją tak, że z dolegliwości jego matki zeszła na bardziej ogólne tematy. Verity mimo to udawało się od czasu do czasu wciągnąć starszą panią do rozmowy. Próbowwała skłonić do wypowiedzi również Jamesa, a gdy jej się nie udało, skwitowała to pobłażliwym uśmiechem.

Po trzech kwadransach Alan zaproponował przechadzkę po niewielkim ogrodzie. Dzień był pogodny i słoneczny, więc wszyscy wyrazili zgodę. Alan skłonił matkę do pozostania w domu, ostrzegając ją przed chłodem i radząc, by położyła się i odpoczęła. Pani Poldrennan zgodziła się bez sprzeciwu. Niepokoila się tylko, czy oni wszyscy - a zwłaszcza Verity - są wystarczająco ciepło ubrani na takie spacerunki.

Pobiegła więc na górę i wróciwszy z naręczem szali nalegała, by każde z

nich wzięło przynajmniej jeden. W Verity wmusiła nawet dwa i sama otuliła nimi plecy i ramiona gościa.

- Proszę wybaczyć mojej matce - powiedział Alan, gdy tylko wyszli z domu. - Robi mnóstwo zamieszania, ale ma jak najlepsze intencje.

- Uważam, że jest przemiła - odparła Verity. Alan zerknął na Jamesa i zmrużył oko.

- Urodzona dyplomatka! - skomentował.

Kiedy gospodarz wprowadził ich na ogrodową ścieżkę, ku niebotycznemu zdumieniu barona Verity podeszła do niego i wsparła się na jego ramieniu. Nagle dzień stał się cieplejszy, słońce zaświeciło jaśniej, a zły humor Jamesa gdzieś się ulotnił. Pochylił się ku niej, a ona odpowiedziała mu uśmiechem, który sprawił, że krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach, jak po kieliszku whisky.

W oczach Alana pojawił się błysk zdumienia, ale trwało to tylko sekundę. Znalazł się natychmiast po drugiej stronie Verity i podał jej także ramię.

- Musi pani mieć podwójną eskortę - oświadczył - podczas wędrowki po moim niezwykle rozległym i malowniczym ogrodzie!

James poczuł ukłucie zazdrości nas myśl, że druga ręka Verity wspiera się na ramieniu jego przyjaciela. Napawał go jednak dziecinną dumą fakt, że podeszła najpierw do niego, Jamesa. Chciała zapewne tym gestem dać mu do zrozumienia, iż nie zamierza łapać na męża przystojnego kapitana. Mniejsza zresztą o motywy! James tak się pilnował, że nie pozwalał sobie na żadne poufałości, toteż napawał się w tej chwili dotykiem spoczywającej na jego rękawie delikatnej rączki. Nakrył ją własną dłonią.

Ogród był mały i nie wyglądał zbyt efektownie, gdyż większość drzew była pozbawiona liści; tylko kilka wczesnych pierwiosnków dzielnie wystawiało już jasnożółte główki. Obeszli go trzy razy dokoła, nim Alan zaproponował odpoczynek na dwóch kamiennych ławeczkach, ustawionych po przeciwnych stronach ścieżki. Verity najpierw puściła ramię Alana, toteż całkiem naturalnie zajęła miejsce obok Jamesa, który pociągnął ją za sobą.

Podczas spaceru po ogrodzie lord Harkness rozchmurzył się na dobre. Wszyscy troje śmiali się - tak, nawet on się śmiał! - i gawędzili o wszystkim, co im przyszło do głowy. Była to jedna z nielicznych chwil absolutnej beztroski, jaką przeżył w ciągu ostatnich kilku lat: niekrępująca, swobodna, wesoła pogawędka z jedyną parą ludzi, w których przyjaźń wierzył bez zastrzeżeń.

Rozmowa zeszała na wydarzenia w najbliższej okolicy. Jamesowi coś się przypomniało.

- Jeśli już mowa o St. Perran's - powiedział - to nigdy byście nie uwierzyli, co mi się tam wczoraj przytrafiło!

Verity podniosła nagle głowę.

- Naprawdę? - spytała.

Zmierzył ją zagadkowym wzrokiem.

- Naprawdę. Wróciłem właśnie z pola z Markiem Penneckiem i przejeżdżałem przez wieś. Stara babcia Pascow stała we drzwiach i kiwnęła na mnie. Chciała mi koniecznie podziękować za drewno na opał i unosiła się, jak to całej rodzinie smakowała szynka, którą dostali na Gwiazdkę. A potem, gdy byłem już przy końcu ścieżki, zawołała do mnie Ewa Dunstan. Kiedy zatrzymałem się obok niej, też mi zaczęła

dziękować za drewno i powtarzała, jacy to oni z Jacobem są wdzięczni za ten naprawiony dach, co już nie przecieka.

Verity przygryzła dolną wargę i uciekła z oczami. Alan uniósł pytająco brwi.

- I cóż w tym dziwnego? - spytał.

- Co dziwnego?! Ależ, Alanie! Przecież te baby zawsze na mój widok chwytały swoje dzieciaki, wpadały do chaty, ryglowały drzwi i zasłaniały okna! A teraz ni stąd, ni zowąd chcą mi wyrazić swoją wdzięczność! Babcia Pascow jeśli się czasem do mnie odezwała, to tylko po to, żeby zrzędzić, wydziwiać i mieszać mnie z błotem. A z Ewą Dunstan zamieniłem najwyżej trzy słowa przez całe lata. I zawsze babsko na mój widok coś do siebie mamrotało, żeby odczynić uroki! Wczoraj też bała się spojrzeć mi w oczy, ale wyraźnie czuła się zobowiązana do rozmowy. Co też w nie wstąpiło?! Ja nie mam pojęcia. A może wy?

Obaj mężczyźni zerknęli na Verity. Kiedy wreszcie podniosła głowę, oczy jej podejrzenie błyszczały, a usta drżały, choć się uśmiechała.

- Czy to nie cudowne?

James zorientował się natychmiast, że jego podejrzenia były trafne. To Verity przyczyniła się do zmiany nastrojów we wsi. Pod jej wpływem zaczęły pękać bariery, których nikt, jak sądził, nie mógł przełamać. Gdyby nie było z nimi Alana, James nie oparłby się pokusie: chwyciłby ją w ramiona i już nie puścił. Jakim to dobrym uczynkiem w swoim pogmatwanym życiu zasłużył sobie na opiekę tego cudownego anioła stróża?

Następnego dnia Verity pomaszerowała do St. Perran's, bo nie zanosilo się na deszcz. Idąc bez pośpiechu ścieżką wiodącą do wsi,



radowała się wspomnieniami wczorajszej przejażdżki do Bosreath, spaceru po tamtejszym ogrodzie i dotyku ciepłej ręki Jamesa na swojej dłoni.

Był to pierwszy fizyczny dowód jego przywiązania od czasu przelotnego pocałunku na wrzosowisku. Przez cały wczorajszy wieczór i dzisiejszy ranek Verity upajała się wspomnieniem tego dotknięcia. Choćby to miało być wszystko, co ich kiedykolwiek połączy, to i tak zasługiwało na miano szczęścia.

Podeszła do babcinych drzwi. Ich górną połowę otwarto: dzień był ciepły, prawie jak w lecie. Kate spostrzegła nadchodzącą i pomachała jej ręką.

„Salon babci Pascow”, jak Verity chętnie go nazywała, był nieoczekiwanie pusty. Kate i babcia przysunęły długi stół jak najbliżej paleniska i uwijały się teraz, smażąc naleśniki na patelni chybotającej się na wysokim trójnogu nad ogniem. Całe tuziny naleśników leżały już na cynowej tacy na końcu stołu. Verity zatrzymała się na progu, obawiając się, że przeszkodzi obu kobietom w pracy.

- Wchodźże, wchodź! - ponagliła ją babcia, machając łyżką. - Jużeśmy się z tym prawie uwinęły. Kate może skończyć sama. - Otarła umięcone ręce o fartuch i opadła na ławę ustawioną przy stole. Dała Verity znak, żeby siadła obok niej. - Re'm fay, alem się zmachała! Rada jestem, żeś przyszła, dziewczuszko! Gość to dobra wymówka, żeby rozprostować stare kości!

- Może w czymś pomóc? - spytała Verity.

- Gdzie tam, paniusiu! Nic już nie trza robić - odparła Kate Pascow. - Ino kapkę konfitur do środka, zwinąć i po krzyku.

- Wyglądają bardzo smakowicie - stwierdziła Verity, przyglądając się, jak Kate nakłada łyżeczkę konfitur na środek każdego naleśnika, a potem zwija go i posypuje cukrem.

- A juści! Ino patrzeć, a znaku po nich nie będzie - odparła babcia.

- Widzę, że naprawdę przyszedłam nie w porę! - zawołała Verity i wstała, by się pożegnać. - Szykuje się jakaś uroczystość familijna.

Wybaczcie, że wam przeszkodziłam!

- Siedź, Verity Osborne, kiej ci tu dobrze! Żadna tam uroczystość.

Zapustniki przylecą, i tyle.

- Kto przyleci?...

Kate roześmiała się na widok jej zmieszania.

- To w twoich stronach, paniusiu, ni ma zapustników?!

- Ja ich przynajmniej nie spotkałam.

Babcia zaczęła się również śmiać. Jej pulchne ciało trzęsło się z wesołości. Verity obdarzyła obie kobiety szerokim uśmiechem.

- Miałaś się tyż gdzie urodzić, bidulko! - powiedziała Kate, szczerząc wszystkie zęby. - Lepiej opowiedz jej o nich, babciu, zanim się przy ludziach wygłupi!

Babcia Pascow otarła oczy grzbietem ręki i pochyliła się ku swej sąsiadce, opierając dłonie na kolanach.

- Przecie dzisiaj tłusty wtorek!\*

- Rzeczywiście - odparła Verity. - Całkiem zapomniałam!

- Najgorsze urwisy z całej okolicy, znaczy się zapustniki, chodzą od domu do domu w tłusty wtorek. Wołają o naleśniki i odgrażają się, że jak ich nie nakarmimy, porozwalają wszystko w izbie.

- Ach, tak?... No to nie dziwota, że tak się uwijacie - powiedziała Verity. - Pewnie teraz po wszystkich chatach smażą naleśniki, co?

- A jakże! - przytaknęła Kate. - Przecie by te nienażarte juchy nie wiedzieć co nawyrabiały!

- Mój Boże! Mam nadzieję, że pani Chenhalls nasmażyła dosyć naleśników!

Pracowite ręce Kate zamarły w bezruchu. Rzuciła babci ostrzegawcze spojrzenie. Stara kobieta potrząsnęła głową i cmoknęła językiem.

- Nie, nie, Verity Osborne! Żadne zapustniki nie wybierają się do dworu.

- No tak, oczywiście - odparła Verity. - Powinnam się była domyślić! Ale może...

- Za! Pust! Ni! Ki!

Verity omal nie wyskoczyła ze skóry, słysząc te osobliwe piski i krzyki.

- Za! Pust! Ni! Ki!

- Już ich przyniesło! - oznajmiła Kate. Umieściła na tacy resztę zwiniętych już naleśników i otrzepała ręce z cukru. Babcia wstała i wychyliła się przez drzwi, mierząc groźnym okiem gromadę chłopaków zebranych przed jej domem. Było ich ze trzydziestu, może nawet więcej - od najmłodszych do najstarszych.

- Czego chceta, utrapieńcy? - spytała babcia.

Ku zachwytowi Verity chłopcy zaczęli wyśpiewywać na całe gardło:

Przyśli do was zapusmiki,

Podawaj ta naleśniki!

Naleśników dać im na ząb,  
Bo do chałup wam powłazom  
I narobiom wsędy skody!  
Na co wam te niewygody?  
Zapustniki! Zapustniki!  
Podawajta naleśniki!

- Weźta se naleśniki. Ino bez żadnych łajdastw! - zapowiedziała im babcia. Otworzyła także dolną część drzwi i wyszła za próg. Trzymała wysoko tacę, a wokół niej kłębił się tłum wrzeszczących i chichoczących dzieciaków. Staruszka pilnowała, by każdy z zapustników dostał swoją porcję. W mgnieniu oka taca była pusta.

Hałaśliwa gromada rozpierzchła się, wykrzykując podziękowania buziami pełnymi jeszcze naleśników. Odłączyła się od reszty zapustników mała rudowłosa postać, niewidoczna dotąd w tłumie. Powalany konfiturami pyszczyk uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Paniusiu! - pochwalił się Davey. - I ja już chodzę z zapustnikami!

Verity pochyliła się nad nim i zmierzwiła pieśczośliwie rudą grzywę.

- Widzę!

- Tato mówi, że już duży. Wystraszyliśmy paniusie?

- Śmiertelnie! - odparła Verity i wzdrygnęła się przesadnie; Davey aż piszczał z uciechy. - Lepiej biegnij za tamtymi, bo ci przepadną następne naleśniki.

Davey uściskał ją pośpiesznie i popędził dróżką w stronę kolejnej chaty.

- Za! Pust! Ni! Ki!

Verity pomogła Kate posprzątać izbę i przesunąć stół pod ścianę, gdzie zazwyczaj stał. Potem ustawiły trzy krzesła koło kominka i wyciągnęły nogi do ognia. Kate zdołała jakoś uratować trzy naleśniki. Zjadły je z apetytem, popijając herbatą.

- Ten mały rudas strasznie cie polubił - zauważyła babcia.

- O, tak - odparła Verity. - Bardzośmy się zaprzyjaźnili z Daveyem. Jak to dobrze, że mógł tu przyjść z Pendurgan i wziąć udział w zabawie!

- Chłopaki z Pendurgan zawsze latają z zapustnikami - wyjaśniła babcia.

- James też z nimi latał? Babcia zerknęła na nią z ukosa.

- Jammez to, Jammez tamto! Tobie ino Jammez w głowie, dziewczuszko!

- Bardzo przepraszam - bąknęła Verity i odwróciła twarz, by nie dostrzeżono jej ognistych rumieńców. - Ale mówiłaś, babciu, że znasz go od małego. Byłam po prostu ciekawa...

- A pewnie! Ganiał z zapustnikami jak inne chłopaki - zlitowała się babcia Pascow. - Ze dworu czy z chałupy, przez różnicy! Latał jak opętany po St. Perran's z całą bandą!

- A jak było w Pendurgan, nim się zaczęły te wszystkie kłopoty? - dopytywała się Verity.

Wiedziała od Gonetty o rozmaitych świątecznych tradycjach, o przebierańcach i kolędnikach, których przestano gościć w Pendurgan od czasu tragicznego pożaru. Mimo że niezbyt długo przebywała w Kornwalii, zauważyła, że jej mieszkańcy przywiązują ogromną wagę do starych obyczajów. Może wskrzeszenie niektórych tradycji byłoby krokiem we właściwym kierunku?

- Myślę, że ludzie przybywali wtedy do dworu w święta, prawda?  
Nie unikali Pendurgan tak jak teraz.

Babcia skrzyżowała ręce na obfitym biuście i zesznurowała usta.  
Minęła dłuższa chwila, zanim przemówiła.

- Nie, wtedy nie było tak jak tera - powiedziała. - Bez całej moje  
życie ludzie z okolicy zbierali się nie w innym dworze, ino w Pendurgan!  
Aleśmy lubili, jak nas państwo zapraszali! Każdy się ino wyszorował,  
wdział, co ta miał najlepszego, i zadzierał nosa do góry, że idzie do dworu!

- Nawet ja to pamiętam - wtrąciła Kate. - Ale była uciecha!

- Kiedy tam chodziliście? - dopytywała się Verity. - Na Boże  
Narodzenie?

- Pewnie! Ale i na wielkie śniadanie dla dzierżawców, raz do roku,  
no i, ma się rozumieć...

- Na świętojański festyn! - dokończyła Kate. - Ach, co to była za  
zabawa!

- To w Pendurgan urządzano festyny? - spytała Verity.

- I jakie! - odparła Kate. - Co roku na świętego Jana. Ale to było  
piękne! Do dziś mi tego brak.

- Opowiedzcie mi o tym dokładniej! - poprosiła Verity. Przyszedł jej  
do głowy pewien pomysł - szalony i cudowny - i zaczął nabierać coraz  
wyraźniejszych kształtów.

- Czyś ty rozum postradała?!

- Mam nadzieję, że nie - odparła spokojnie Verity w odpowiedzi na  
wybuch Agnes Bodinar. - Jestem nawet pewna, że mam wszystkie klepki  
w porządku. Słyszałam, że świętojański festyn w Pendurgan od  
niepamiętnych czasów słynął nie tylko w całej okolicy, a i w całym

hrabstwie. Wielka szkoda, że taka piękna tradycja została zaprzepaszczone.

Agnes prychnęła pogardliwie.

- Została zaprzepaszczone, bo nikt w okolicy... nikt w całej Kornwalii nie chce teraz słyszeć o Pendurgan! - Spojrzała zaczepnie na Verity, jakby chciała ją sprowokować do zaprzeczenia. - Wybij to sobie z głowy! Nawet pies z kulawą nogą nie przyjdzie!

Od momentu gdy Verity oznajmiła beztrąsko, że zamierza wskrzesić starą tradycję świętojańskiego festynu, James milczał jak głaz. Dobrze wiedział, do czego Verity zmierza. Z powodów nadal dla niego niepojętych postanowiła nastawić do niego życzliwiej okoliczną ludność i przywrócić mu dobre imię. Jej ostatni pomysł wstrząsnął nim bardziej, niż przypuszczała.

Wskrzeszenie świętojańskiego festynu byłoby znaczącym wydarzeniem, którego konsekwencje - pozytywne lub wręcz odwrotnie - musiały być ogromne. Gdyby projekt Verity zakończył się fiaskiem, zabolaloby to ją bardziej niż jego. Przywykł już przecieź do wzgardy i nienawiści swoich ziomków. Gdyby jednak wszystko się udało... Na samą myśl czuł skurcze w żołądku.

Ileż to czasu upłynęło, odkąd ktoś oprócz Alana Poldrennana odwiedził Pendurgan! Co prawda, James sam wolał trzymać się z dala od miejscowego ziemiaństwa. Ale czy naprawdę pragnął dalszej izolacji?...

- Skąd można być tego pewnym? - spytała Verity. Zerknęła na Jamesa, zapraszając go do zabrania głosu. - Czyżbyście urządzili już kiedyś festyn, na którym nikt się nie zjawił?

- Nie trzeba było takich eksperymentów - odparła Agnes zjadliwym i lekceważącym tonem. - Nie ulega wątpliwości, że cała okolica unika Pendurgan jak zarazy!

- Ale skąd pewność, że nikt się nie zjawi? - nastawała Verity. Agnes oparła pięści o blat stołu i pochyliła się ku Verity.

- Skąd ta pewność?! - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Ty... kurzy mózdzku! Nie zdążyłaś dotąd zauważyć, że traktują nas w okolicy jak zadzumionych?! Nie wiesz, że „Pendurgan” i „Harkness” to najgorsze przekleństwa?! - Odchyliła głowę do tyłu i zerknęła z ukosa na Jamesa. Jej usta wygięły się w drwiącym uśmiechu. - A może tak się w nim zadurzyłaś, że nie jesteś w stanie dostrzec prawdy?

Verity odpowiedziała Agnes otwartym, niezłomnym spojrzeniem. Nie ulegało wątpliwości: ta dziewczyna miała charakter! Tę spokojną odwagę James podziwiał w niej najbardziej. Budziła w nim podziw i zazdrość. Verity odważyła się walczyć o jego dobre imię, podczas gdy on od dawna dał za wygraną. To było przecież niemożliwe.

- Potrafię zrozumieć pani poglądy - powiedziała Verity spokojnym, opanowanym głosem. - Znosiła pani konsekwencje tych strasznych wydarzeń o wiele dłużej niż ja. Wyobrażam sobie, jak bardzo pani cierpiała, kiedy przed laty doszło do tej tragedii. Ale czasem właśnie ktoś z zewnątrz potrafi dostrzec rzeczy niewidoczne dla patrzących z bliska. Ot, choćby to, że rezygnacja ze starych i szacownych tradycji mogła jeszcze pogorszyć panujące w okolicy nastroje i wyrządzić więcej złego niż dobrego.

James wpatrywał się w Verity, zafascynowany jej uporem. Zastanawiał się, czy nie było w jej wywodach trochę racji... Jednak w



głębi serca wiedział, że to Agnes ma słuszość. Zresztą wszystko jedno. Liczyło się tylko to, że Verity w niego wierzyła. Ta wiara w niego, choćby nieuzasadniona, była bezcennym skarbem, który zachowa w swoim sercu na zawsze... nawet jeśli będzie musiał pozbawić Verity złudzeń. Nie był zresztą pewien, czy ma ochotę zawracać sobie głowę tym festynem.

Agnes skrzyżowała ramiona na chudej piersi i spojrzała z góry na Verity.

- Zjawiał się tu w okolicznościach, że każdy z odrobiną wstydu siedziałby jak mysz pod miotłą! - powiedziała głosem dźwięcznym i ostrym jak odłamki rozbitego szkła. - Ale ty wtrącasz się w cudze sprawy, podlizujesz się wieśniakom, rozdrapujesz stare rany, usiłujesz narzucić swoje zdanie! Bóg wie, skąd przyszło ci do głowy, że warto by wskrzesić letni festyn. Nie masz racji! Nie masz w ogóle pojęcia, o czym gadasz. Powiadam ci, że nikt... rozumiesz?... Nikt się nie zjawi!

- Może jest w tym trochę racji - odparła Verity. - Sześć lat temu, wkrótce po tragedii, pewnie by zbojkotowano taką uroczystość. Ale chyba już najwyższy czas zapomnieć o przeszłości! - Zwróciła się do Jamesa. - To właśnie twój lodowaty chłód, twoje trzymanie się na uboczu spowodowały te wszystkie głupie plotki! Rozmawiałam z wieloma osobami i wiem od nich, że bardzo by się ucieszyły ze świętojańskiego festynu. Wzięłyby w nim udział, z całą pewnością!

- Też coś! - burknęła Agnes. - Może tak mówią, ale tylko głupi by im uwierzył! Pewnie szykują jakąś niemiłą niespodziankę! Albo w oczy ci przytakują, a za plecami śmieją się z twojej głupoty! I z tego, że tak cię skołował!

- Agnes! - James miał już dość jej złośliwości. - Posuwasz się za daleko!

- Ja?! - Rzuciła mu wściekle spojrzenie.

- Tak, właśnie ty. Nie masz prawa mówić Verity takich rzeczy! Jest naszym gościem i... łączy nas przyjaźń.

Spojrzał w oczy Verity. Odpowiedziała uśmiechem tak słodkim, że musiał odwrócić wzrok.

- Przyjaźń?! - parsknęła szyderczo Agnes. - Ty to nazywasz przyjaźnią?... Zresztą nazywaj to sobie jak chcesz! I tak wszyscy wiedzą, jak ona tu trafiła. Za to ona nie wie, z kim ma do czynienia. Oglupiłeś ją ze szczeniem i łudzisz się, że z jej pomocą oczyścisz swoje imię. Ale to ci się nie uda! - Wstała tak raptownie, że krzesło omal się nie przewróciło. - Rób co chcesz, moja panno, staraj się jak możesz dla swego... swego gacha i przekonaj się, ile dobrego z tego wyniknie! Ja tam nie przyłożę ręki do twoich zwariowanych planów!

James z irytacją spoglądał za odchodzącą. Przywykł do humorów teściowej i od lat starał się nie zwracać na nie uwagi. Ostatecznie Agnes miała największe prawo nienawiści wobec niego. Bywały jednak chwile, gdy jej nieustająca zjadliwość stawała się nie do zniesienia.

Westchnął ze znużeniem i spojrzał Verity w oczy.

- Agnes trzeba wiele wybaczyć - powiedział. - Ona...

- Wiem o tym doskonale, milordzie! - Uśmiechnęła się w odpowiedzi na uniesioną z wyrzutem brew. - Jamesie! Rozumiem jej gniew. Tylko w ten sposób może wyładować swój ból, biedactwo. Straciła jedyną córkę, a teraz myśli, że ja...

Policzki Verity poczerwieniały. Spuściła oczy na talerz. Nie wyrzekła już ani słowa, ale oboje doskonale wiedzieli, czego nie dopowiedziała.

- Nie tylko o to chodzi - odparł James. - Agnes przez te wszystkie lata cierpiała ponad ludzką miarę. Nie tylko musiała się pogodzić ze śmiercią jedynej córki i wnuczka, ale była na łasce człowieka, który ich zabił.

- Do licha, Jamesie! - Verity podniosła raptownie głowę i przeszyła go pełnym troski spojrzeniem. - Przestań to sobie wmawiać! Wcale ich nie zabiłeś! Sam wiesz, że to nieprawda, ale powtarzasz to z uporem, jakbyś chciał, żeby wszyscy w to uwierzyli! Naprawdę cię nie rozumiem! Właśnie takie głupie uwagi sprawiają, że bajdy o Potępieńcu krążą i rozrastają się!

Przyglądał się jej z ponurym wyrazem twarzy.

- Zrozum: Agnes ma słuszość. Już za późno na moją rehabilitację. Moje imię zostało splugawione tak, że nie zdołasz go oczyścić. - Położył na sekundę rękę na dłoni Verity - Nie myśl, proszę, że nie doceniam twoich wysiłków!

Verity wpatrywała się we własną rękę, której dotknęły palce Jamesa.

- A jednak warto było spróbować! - szepnęła. - Tyle ci zawdzięczam!...

Było mu coraz trudniej ignorować przywiązanie (a może coś więcej?), które rozkwitało w jego sercu. Ostatnie słowa Verity sprawiły, że ten niepoprawny organ roztańczył się w jego piersi.

- Niczego mi nie zawdzięczasz! - rzucił pospiesznie. To przecież ona ofiarowała mu znacznie więcej, niż na to zasługiwał. On tylko brał... dobrze wiedząc, że nie ma jej czym odplacić. - Absolutnie niczego!

- Bzdura! - odparła, zbywając jego protesty machnięciem ręki. - A gdybyśmy urządzali festyn, miałabym przynajmniej coś do roboty! Proszę cię, nie każ mi się tego wyrzec! To będzie dla mnie taka przyjemność... a poza tym wiem, że ludzie przyjdą! Na pewno przyjdą!

Oczy jej płonęły entuzjazmem, mówiła tak żarliwie... Jak mógłby się temu oprzeć?

- No tak... sądzę, że uda ci się namówić sporo osób do przyjścia - powiedział James, święcie przekonany, że ściągnęłyby nawet skrzaty ze świętego gaju, gdyby się do tego przyłożyła.

- Więc się zgadzasz?!

Zerknął na nią spod oka.

- Jeśli chcesz wiedzieć, na samą myśl o tym festynie ciarki mnie przechodzą!

Zrobiła zawiedzioną minę.

- Naprawdę się boisz, że nikt nie przyjdzie?

- Wręcz przeciwnie. Trzęsę się na myśl, że przyjdą!

- O!...

Zmarszczyła brwi i zastanawiała się nad jego słowami. Była tak uroczo zmieszana, że z trudem powstrzymał uśmiech.

- Wiele czasu upłynęło, sama rozumiesz, odkąd w Pendurgan urządzano festyny - wyjaśnił. - Chyba jeszcze nie jestem gotów do takiej próby.

Twarz Verity rozjaśniła się, jakby zapłonęło tysiąc świeczek.

- Zobaczysz, że cię na to stać, milordzie! Sam się o tym przekonasz! Jeśli tylko otworzysz przed tymi dobrymi ludźmi swój dom i swoje serce, na pewno nimi nie wzgardzą! Powrót do normalności wyjdzie na dobre całej okolicy. Jeśli zrobisz pierwszy krok, przyjmą to z radością i będą ci za to wdzięczni!

James nie mógł się dłużej opierać. Sięgnął po rękę Verity i podniósł ją do ust. Tyle jej chciał powiedzieć... ale zdołał wykrztusić tylko „dziękuję”.

Powoli, jakby z żalem, wysunęła rękę z jego uścisku. Mocno się zaróżowiła i odwróciła na chwilę wzrok. Kiedy ich oczy znów się spotkały, oboje poczuli rosnące w nich podniecenie.

- Będzie taka świetna zabawa! Jestem tego pewna. Musisz mi opowiedzieć dokładnie, Jamesie, jakie rozrywki tutejsi ludzie najbardziej lubią. Tak z grubsza sama mogę się domyślić, ale może są jakieś kornwalijskie zabawy i obyczaje, o których nie mam pojęcia? Musimy się też postarać o muzykę! Ludzie chętnie sobie potańczą. Czy są jakieś specjalne kornwalijskie tańce? A co powiesz na stragany z różnościami i na kramarzy? No i jedzenie, oczywiście! Musimy się postarać o mnóstwo jedzenia! Powiedz mi koniecznie, czy...

- Verity, prrr!

Przestała paplać i spojrzała na niego zagadkowym wzrokiem, z główką przechyloną na bok. Uśmiechnął się od ucha do ucha i dostrzegł, że oczy Verity zmieniają się w roztopiony ciemnozłoty miód, kiedy wpatruje się w niego. Zwrócił oczywiście uwagę na to, że opowiadając o swych planach, używała przeważnie formy „my”. Uderzyło mu to do głowy jak wino.

- Masz przeszło trzy miesiące na przygotowanie wszystkiego - powiedział. - Nie musisz pędzić do roboty w tej chwili! Pani Tregelly odpowie na większość twoich pytań dotyczących różnych gier, tańców i tak dalej. Pomagała urządzać niejedną festyn świętojański w Pendurgan. A z panią Chenhalls obgadacie potrawy i napitki.

- Znakomicie! - Pochyliła się ku niemu i spojrzała na niego oczyma pełnymi zaraźliwego zapału. - Więc będziemy mogli...

- Ale ostrzegam: uważaj na Agnes!

W jej oczach pojawił się błysk niepokoju.

- Już i tak wmawia sobie Bóg wie co na temat naszej przyjaźni - przekonywał James. - Dobrze wiesz, co o nas myśli! - Verity skinęła głową. - Mogłaby ci zatruć życie. Nienawidzi mnie, i nie bez przyczyny. A z racji tego, o co nas podejrzewa, nie patrzy na ciebie życzliwszym okiem niż na mnie. Wcale nie byłaby rada, gdyby ci się udało naprawić to, co sam zburzyłem. Z szatańską złośliwością postarałaby się znów wszystko zniszczyć. Bądź ostrożna, Verity! To zawsze Rowena urządzała tu festyny, nawet pod moją nieobecność. Agnes nie będzie lekko, gdy zajmiesz miejsce jej córki.

W oczach Verity pojawił się głęboki smutek.

- Biedna kobieta! Jak ona musi cierpieć... Ale co z tobą, Jamesie? Czy i tobie nie przykro myśleć o tym, że będę urządzać festyn, jak niegdyś lady Harkness?

Pytanie Verity zbiło go z tropu. Może naprawdę powinien odczuwać żal na myśl, że ktoś inny przejmie obowiązki Roweny? Jednak nie sprawiało mu to przykrości. Kochał Rowenę i stracił ją. Wspomnienie żony zawsze będzie wywoływać tępy ból w jego sercu. Ale prawdę

mówiąc, przez te wszystkie lata tak się zadreślał tym, że sam się przyczynił do jej śmierci, że nie miał już czasu ani siły na zwykły smutek i tęsknotę.

W dodatku Verity w niczym nie przypominała Roweny. Była od niej różna pod każdym względem - z wyglądu, z usposobienia, z charakteru... Nawet mu nie przychodziło mu do głowy, że można je porównywać ze sobą.

- Nic, co robisz, nie może mi sprawić przykrości - odezwał się wreszcie, choć, szczerze mówiąc, jego niezaspokojone pożądanie, spotęgowane jeszcze złożoną przez niego obietnicą, nieraz utrudniało mu kontakty z Verity. Choćby w tej chwili nękało go jak dojmujący fizyczny ból. - Nigdy nie patrzyłem na ciebie jak na uzurpatorkę, która chce zająć miejsce Roweny. Nigdy mi się z nią nie kojarzysz. Ona była taka... Nie jesteś wcale do niej podobna.

Jakieś niezrozumiały błysk pojawił się na sekundę w oczach Verity, ale zaraz się uśmiechnęła i dziwny wyraz znikł.

- Jeśli więc nie masz obiekcji, milordzie, proszę cię o oficjalną zgodę na zorganizowanie świętojańskiego festynu!

- Masz moją zgodę - odparł. - I moją wdzięczność za wszystkie twoje starania. Ale proszę cię o jedno...

- O co?

- Jeżeli się okaże, że Agnes miała słuszość, i nikt nie przyjdzie na nasz festyn, nie rób sobie wyrzutów!

Cała jej twarz rozjaśniła się uśmiechem, a oczy zabłyśły. Jamesowi dosłownie zapało dech.

- Nikt nie przyjdzie?! Nie bądź głupi, milordzie! Wszyscy przyjdą!

James miał nadzieję, że Verity się nie myli. Głównie ze względu na nią.

Verity z zapamiętaniem rzuciła się w wir przygotowań do świętojańskiego festynu. Przysięgła sobie, że musi się udać. Wypytawszy całą służbę w Pendurgan i wszystkie kobiety z St. Perran's, wiedziała już dokładnie, jak wyglądały w przeszłości takie imprezy. Porzuciła ambitne marzenia o tym, że tegoroczny festyn zakasuje poprzednie. Zupełnie jej wystarczy, jeśli okaże się do nich podobny. Każdy zachował jakieś miłe wspomnienia minionych zabaw. Przynajmniej one teraz ożyją! Verity była tego pewna.

We wspomnieniach z dawnych festynów powtarzał się jeden motyw, który nieco Verity niepokoił. Był nim zwyczaj palenia ognisk w noc świętojańską. Bez ogniska nie byłoby żadnej zabawy - powtarzali jej wszyscy. I z tej właśnie przyczyny Verity gotowa była odstąpić od swoich planów.

James przekonał ją jednak, by się z nich nie wycofywała.

- Jeżeli będę wiedział z góry, że tu czy tam płonie ognisko, nic się nie stanie - zapewnił ją. - Tylko nagłe i nieoczekiwane wybuchy ognia mają na mnie fatalny wpływ. Będę musiał po prostu zachować ostrożność w chwili rozpalania ognia. A potem nie będzie już żadnych problemów.

Mimo iż Verity wielokrotnie proponowała, że wszystko odwoła, James za każdym razem nalegał, by nie zmieniała planów.

Pewnego popołudnia Verity zaprosiła na herbatę panią Poldrennan, a kiedy później zjawił się po matkę kapitan, udało się jej odciągnąć go na stronę i zapytać, czy uważa zorganizowanie festynu za rozsądne.



- Boję się o Jamesa - wyznała. - Jak też zareaguje na widok ogniska?... Tylko to mnie niepokoi, nic więcej!

- Nie martwiłbym się tym - odparł kapitan. - James ma całkowitą rację: jeśli będzie przygotowany na widok ognia, nie będzie żadnych kłopotów. Zresztą na wszelki wypadek pani i ja będziemy w pobliżu. A poza tym uważam, że pomysł jest znakomity. Dawno już należało to uczynić!

- Z pewnością ma pan słuszość - odpowiedziała Verity -ale mimo wszystko trochę się boję. Nie tylko ze względu na... bolesne skojarzenia z pożarem, ale James...

- Jakoś nie wypada - odezwała się Agnes, która zbliżyła się do nich niepostrzeżenie - żeby gospodarz tego ogniowego festynu zbyt wyraźnie kojarzył się wszystkim z pożarami, co?

Ta zjadliwa uwaga sprawiła, że w pokoju zaległa niezręczna cisza. Nawet szczebiocząca coś nerwowo pani Poldrennan zamilkła. Pierwszy zabrał głos kapitan.

- Doprawdy, pani Bodinar! - powiedział. - Nie sędzę, by obecnym na festynie świętojańskie ognie skojarzyły się z tragicznym wydarzeniem sprzed niemal siedmiu lat. Palenie ognisk w noc świętego Jana to część bardzo dawnej tradycji. Wątpię, czy bez nich festyn cieszyłby się powodzeniem!

- Chyba ma pan rację - odezwała się Verity, udając, że nie słyszy pogardliwego prychnięcia Agnes.

- Jeśli o mnie chodzi - mówił dalej kapitan - uważam, że te ognie dodają całej zabawie niezwykłego uroku. Pewnego razu byłem w środku lata w Penzance. W noc świętojańską oświetlono całe miasto beczułkami

płonącej smoły, umieszczonymi na wysokich tykach. Niezwykłe malowniczy widok! Może by wykorzystać ten pomysł podczas festynu, pani Osborne? Beczułki z płonąca smołą porozmieszczane na terenie całej posiadłości. Co pani na to?

- Sama nie wiem, kapitanie - odparła. - Nie zdążyłam się nawet oswoić z myślą o ognisku.

- A ja jestem zachwycona twoim pomysłem, Alanie - odezwała się pani Poldrennan, skubiąc rękaw syna. - Strasznie chciałabym coś takiego zobaczyć!

- Słusznie - przytaknęła Agnes, uśmiechając się do kapitana. - Im więcej ognia, tym lepiej! Może stare domisko pójdzie z dymem.

Verity zmarszczyła gniewnie czoło. Miała nadzieję, że Agnes będzie się przyzwyczaję zachowywać w towarzystwie, ale najwyraźniej nie miała zamiaru. Stawała się coraz bardziej złośliwa i gotowa na wszystko, byleby planowany festyn zakończył się kłapą.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedziała Verity. - Zgadzam się... choć niechętnie, na ognisko, ale pańskie beczułki smoły muszę sobie jeszcze przemyśleć, kapitanie!

- Jestem do pani usług - odparł - jeśli zdecyduje się pani na takie rozwiązanie.

- Czy wiecie, państwo - odezwała się Agnes - że rozpalaniem tych ognisk chciano pokrzepić słońce przed daleką drogą do zimowego przesilenia? - Zaśmiała się gorzko. - Ogień ulubioną strawą groźnego pogańskiego bożka! No cóż, mogę tylko powiedzieć: jakież to stosowne!

Verity postanowiła za wszelką cenę skierować rozmowę na inne tory.

- Przypominam sobie, że efekty świetlne odgrywały pewną rolę podczas letnich festynów w Lincolnshire - powiedziała. - Ale nie stanowiły głównej atrakcji. Pamiętam przede wszystkim zbieranie dziurawca, zwanego zielem świętego Jana, i wicie z niego wianków. Dziurawiec również jest symbolem słońca: ma takie jaskrawożółte kwiatki! Czy już wspominałam, pani Poldrennan, że chcę włączyć wicie wianków do tegorocznych uroczystości?

- Dla odpędzenia złych duchów?

Verity uśmiechnęła się. Starsza dama zadała to pytanie z całą powagą!

- Nie, proszę pani. Tylko dlatego, że to takie ładne! Mam nadzieję, że pani Bodinar pomoże nam w tym.

Agnes zmarszczyła brwi, ale nie zaprotestowała z oburzeniem. Verity uśmiechnęła się w duchu. Edith Littleton doradziła jej pewnego razu: „Jeśli ktoś bez przerwy cię krytykuje, zaproś go do pomocy!”

Poldrennanowie zabawili jeszcze chwilę, ale wymówili się od przechadzki po ogrodzie. Matka Alana czuła się zmęczona i chciała już wracać do domu. Kapitan spełnił jej prośbę.

Kiedy goście odjechali, Agnes zaatakowała Verity.

- Cóż to ma znaczyć?! Próbujesz mnie wciągnąć w przygotowania do tego idiotycznego festynu? - oburzyła się. - Już ci mówiłam: nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

- Miałam nadzieję, że zmieni pani zdanie - odparła Verity. - Bardzo by się nam przydała pani pomoc. Zawsze podziwiałam pani cudowne hafty. Pomyślałam, że może kompozycje z żywych kwiatów uzna pani za miłą odmianę.

- Hmm... No cóż... zobaczymy.

Verity rzuciła Agnes promienny uśmiech. Po raz pierwszy błysnęła jej isierka nadziei. Może zdoła pozyskać przychylność starej damy?

Reszta mieszkańców dworu rzuciła się w wir przygotowań z wyraźną przyjemnością. Verity dyrygowała wszystkim, biorąc pod uwagę każdy aspekt sprawy. Ustawicznie robiła notatki i sporządzała niezliczone listy czynności do wykonania, pomysłów do rozważenia i kwestii do rozstrzygnięcia. Przesiadywały godzinami z kucharką nad spisem potraw, które należało przygotować. Pani Tregelly pomagała Verity, wyliczając wędrownych kramarzy, których warto by skłonić do przyjazdu na festyn, oraz łakocie, które należałoby wystawić na straganach. Planowała również wyprawę do Bodmin: chciała pogadać ze znajomymi kupcami i zainteresować ich tą imprezą. Gonetta zaproponowała, że przygotuje pęczki ziół, owiązane barwnymi wstążeczkami, żeby dziewczęta mogły je wrzucać do ogniska.

Mały Davey uparł się, że on też będzie pomagał. Jego ojciec, który obiecał zorganizować gry i zawody sportowe dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zgodził się wziąć malca za swego pomocnika i polecił mu werbować okolicznych chłopców do udziału w biegach.

Nawet James, choć miał ręce pełne roboty z powodu braku rządcy, pomagał im, ile tylko mógł. Wraz z Jagonem Chenhallsem przygotowali stragany i platformę, na której miały się odbywać zapasy. Zaproponował nawet, że uda się do Bodmin - a w razie potrzeby nawet dalej - by sprowadzić na świętojańską uroczystość trupę aktorów.

Sporządzane przez Verity listy rozrastały się i mnożyły. Miała już listę najpopularniejszych smakołyków, listę gier i konkurencji sportowych,

listę rekwizytów, które należało kupić lub wykonać własnym przemysłem, listę przewidzianych atrakcji, spis osób, które mogą pomóc w przygotowaniu potraw i upominków, harmonogramy różnych prac, listę nierozwiązanych problemów, i tak dalej, i tak dalej... Utykała je po wszystkich kieszeniach, by mieć pod ręką na wypadek, gdyby przyszedł jej do głowy jakiś nowy pomysł albo nasunęła się wątpliwość.

- Jeszcze nie widziałam drugiej takiej jak ty, dziewczuszko! - odezwała się babcia Pascow, gdy Verity przysiadła obok niej. Staruszka przypatrywała się, jak jej towarzyszka opróżnia wszystkie kieszenie; jej pulchne łono trzęsło się jak galareta. - Masz chyba osobny papirek na wszystko. W życiu nie widziałam tylu papirków!

- To wielkie przedsięwzięcie, babciu. Chcę mieć wszystko czarno na białym i zapięte na ostatni guzik! No, przejrzyjmy jeszcze raz listę planowanych atrakcji, żeby się upewnić, czyśmy czegoś nie przeoczyły.

Verity rozłożyła odpowiednią listę na wielkim stole na kozłach. Wyciągała bezlitośnie z babci wszelkie wspomnienia z poprzednich festynów i odnotowywała skrzętnie wszelkie rozrywki, które wówczas organizowano. Nie miała oczywiście zamiaru włączyć wszystkich do tegorocznej uroczystości. Starła się tylko uzyskać jak najpełniejszy obraz, by wykorzystać to, co najbardziej odpowiednie, podczas wskrzeszonego po latach festynu.

Trudno było zmusić babcię, by skupiła się na jednym problemie. Chętnie zapuszczała na boczne tory, wspominając tęsknie minione uciechy. Jak się to już nieraz wydarzyło, rozpamiętywania babci Pascow pobudzały do wspomnień Kate. Kiedy przyłączyła się do nich Hildy Spruggins, jej również przypominało się to i owo. Kiedy któraś z

historyjek szczególnie przypadła Verity do gustu, dyskretnie ją odnotowywała. Była teraz pewna, że festyn stanie się momentem przełomowym w życiu Jamesa i w dziejach Pendurgan. W St. Perran's panowało już lekkie podniecenie. Verity nie miała wątpliwości, że entuzjazm kobiet udzieli się ich rodzinom. Do połowy czerwca cała okolica będzie żyła już tylko myślą o festynie!

I może wreszcie tragedia z 1812 roku zostanie zapomniana. James z podniesioną głową wkroczy w nowe życie w otoczeniu swych ziomków.

Kiedy nasuwało się jej pytanie: „A co się wtedy stanie ze mną?”, Verity odsuwała je od siebie. W tym momencie liczył się tylko festyn. Było to szczytne zadanie, które pochłaniało ją bez reszty. Ale kiedy będzie już po wszystkim? Nad tym się zastanowi później!

Wiosna wczesnie zawitała cło Kornwalii i w kwietniu była już w pełnym rozkwicie. Spacerując po niższych tarasach parku, Verity czuła cierpką woń rumianku i cytrynowy zapach orlicy. Nawet wioska St. Perran's wydawała się przeistoczona. Przysadziste chaty o brzydkich, łupkowych dachach nabrały szczególnego uroku, gdy płaskie dachówki pokryły się żółtawym porostem, który w popołudniowym słońcu lśnił jak roztopione złoto.

Kiedy wreszcie drogi obeschły po nieustannych marcowych deszczach i stały się znów przejezdne, James zabrał Verity i panią Tregelly do Bodmin. Był umówiony z dyrektorem tamtejszej trupy aktorskiej, pani Tregelly zaś chciała dogadać się ostatecznie z kilkoma kupcami. Verity postanowiła im towarzyszyć bez specjalnego powodu. Po prostu od chwili przybycia do Pendurgan nie zapaściła się dalej niż do Bosreath.

Podniecona jak dziecko przed Bożym Narodzeniem wystroiła się w kaszmirowy płaszcz i najlepszy francuski czepek, nie bacząc na to, że od dawna już wyszedł z mody. Może Bodmin okaże się prowincjonalnym miasteczkiem, a ona zada w nim szyku?... Nie miało to zresztą znaczenia. Verity była szczęśliwa, że zobaczy coś nowego, i rada, że pani Tegelly wybrała się razem z nimi. Wyprawa miała im zająć cały dzień, a takie długie sam na sam z Jamesem byłoby prawdziwą torturą. Może i rozkoszną, ale zawsze torturą!

W piękny, słoneczny dzień w Bodmin było gwarno i rojno. Miasto okazało się niezbyt wielkie, ale mogło się poszczycić gmachem sądu i prześlicznym starym kościołem bez wieży. Na głównej ulicy, długiej i

wznoszącej się po stromym stoku na szczyt wzgórza, pełno było sklepów, warsztatów rzemieślniczych oraz gospód.

James rozstał się z towarzyszącymi mu paniami, chcąc załatwić swe interesy.

- Po rozmowie z reżyserem mam umówione spotkanie z moim adwokatem - wyjaśnił, rzucając Verity zagadkowe spojrzenie.

Ustalili, że spotkają się za dwie godziny przy herbacie w gospodzie „Pod Białym Jeleniem”.

Verity i pani Tregelly spędziły większość czasu na negocjacjach z dwoma kupcami galanteryjnymi; obaj zgodzili się odwiedzić Pendurgan w dniu festynu, prezentując na straganach wstążki, koronki i inne kobiece drobiazgi. Obie panie dogadały się też z wytwórcą drewnianych zabawek; i on postanowił zaprezentować na festynie swoje wyroby. Verity odkryła, że gospodyni ma wielki dar przekonywania i potrafi się zawzięcie targować. Stawiała konkretne wymagania i nie mogła znieść zarówno nieuzasadnionego szastania groszem, jak skąpstwa. Kiedy Verity zaciągnęła ją do zielarza, chcąc kupić u niego zioła, których nie mogła znaleźć w Pendurgan, pani Tregelly zdołała namówić skwaszonego właściciela sklepiku, by przybył wraz ze swym towarem na ich imprezę.

Były właśnie w drodze do cukiernika, kiedy zorientowały się, że zbliża się umówiona pora, i pospieszyły „Pod Białego Jelenia”. James już tam był i wprowadził je do niewielkiego prywatnego saloniku, gdzie czekała na nich świeżo parzona herbata i ciastka.

- Aktorzy przyjadą - oznajmił baron, gdy Verity nalewała mu herbatę.



- Cudownie! - wykrzyknęła. - Teraz już z pewnością wszyscy się zbiegną na festyn!

Zauważyła niepokój w spojrzeniu Jamesa, gdy podawała mu filiżankę. Choć nigdy nie wyraził głośno swych obaw, wiedziała, że nie do końca wierzy w celowość całego przedsięwzięcia. Spełniał jednak bez protestu wszystkie jej życzenia. Nie tylko zapewnił przybycie trupy teatralnej, ale skłonił lokalnego piwowara, zwanego Starym Chytrusem, do dostarczenia piwa, zaś u kowala z St. Perran's zamówił komplet metalowych pierścieni, niezbędnych do gier zręcznościowych. Skłonił też swoich dzierżawców do przysyłania parobków, którzy pod jego kierunkiem zbili z desek stragany i wzniesli platformę dla popisów zapaśniczych, a nawet prowizoryczną scenę. Dopilnował także, by przygotowano jak należy główny i najbardziej ryzykowny punkt programu: świętojańskie ognisko. Poleciał Tomasowi zgromadzić wystarczającą ilość drewna na imponujący stos.

Verity miała ochotę objąć Jamesa i gorąco uściskać za wszelkie jego starania... zwłaszcza że nie bardzo wierzył w powodzenie festynu.

- Verity?...

Wróciła nagle do rzeczywistości. Boże wielki! Przez cały czas gapiła się na niego! Co też sobie o niej pomyślał...

- Bardzo przepraszam - powiedziała. - Zamyśliłam się, sama nie wiem o czym!

- Pytałem, jak paniom minął dzień. Czy udało się wam namówić kupców, żeby przyjechali?

Verity wzięła się w garść i opowiedziała Jamesowi, czego dokonały. Gawędziła z ożywieniem, zapoznając go z wszelkimi szczegółami, których

nie był zapewne ciekaw. Ale to przynajmniej powstrzymywało ją od snucia idiotycznych fantazji.

- Jest jeszcze kilku innych, których warto odwiedzić - powiedziała, wyciągając listę kupców i rzemieślników z Bodmin. - Przede wszystkim cukiernik, a poza tym...

- Pani Tregelly! - przerwał te wywody James. - Sądzę, że upora się pani sama z cukiernikiem i całą resztą?

- Oczywiście, milordzie.

- Tak też myślałem. Proszę, oto lista pani Osborne. Chciałbym załatwić z nią przez ten czas inne sprawy, jeśli żadna z pań nie ma nic przeciwko temu.

Verity poczuła dreszczyk podniecenia. Widząc, że pani Tregelly kiwa głową potakująco, ona również powiedziała:

- Zgoda!

- Doskonale - ucieszył się James.

Ustalił z gospodynią, gdzie się spotkają za godzinę. Potem wstał i podał ramię Verity.

Choć niczego nie wyjaśniał, widać było, że zmierzają w jakieś z góry upatrzone miejsce. Coś w zachowaniu Jamesa sprawiało, że Verity ogarnął niepokój. Co też on knuje?!

- Czy spotkanie z adwokatem przebiegło po twojej myśli? - spytała zbyt podminowana, by znieść milczenie.

Popatrzył na nią z tajemniczym uśmiechem.

- Tak... chyba tak. Dowiedziałem się wszystkiego, co trzeba. Spójrz, Verity! Co sądzisz o tym kapeluszu?

Zatrzymali się przed oknem wystawowym modystki. Wystawiono w nim na pokaz czepki, szale i damskie torebki. James gestem ręki wskazał prześliczny słomkowy kapelusik, przybrany kwiatami, z niewielką główką i bardzo modnym szerokim rondem. Był to najbardziej szykowny kapelusz, jaki Verity kiedykolwiek widziała.

- Prześliczny!

- Na tobie będzie się prezentował jeszcze lepiej. - James błysnął jednym ze swych nieczęstych uśmiechów na widok zdumionej miny swej towarzyszki. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej policzka. - Moja droga Verity, w kółko nosisz tych kilka sukien, na przemian to jeden, to drugi czepak i to samo okrycie, w którym przybyłaś do Pendurgan. A mam wrażenie, że te rzeczy nawet wówczas nie były prosto z igły. Najwyższy czas, żebym ci kupił coś nowego.

Zaczerwieniła się.

- Och, Jamesie, nie powinienes tego robić! Już i tak jestem ci winna tyle...

- Jeśli ośmielisz się wspomnieć o tych dwustu funtach, zostawię cię tu... i wracaj sobie piechotą do Pendurgan! - Roześmiane oczy przeczyły groźnym słowom. - Nie jesteś mi nic winna i z całą pewnością zasługujesz na to, by wystąpić na festynie w nowej sukni. I w nowym czepku! No więc jak: zobaczmy, co pani Renfree ma nam do zaoferowania?

Od tak dawna Verity nie miała na sobie nic nowego (prawdę mówiąc, od dnia ślubu z Gilbertem), że miała ochotę rzucić się w tej chwili Jamesowi na szyję. Próbowwała się uśmiechnąć, ale wargi jej drżały.

- Tylko mi się nie rozplącz! Całe miasto dojdzie do wniosku, że cię katuję!

Zaśmiała się drżącym głosem i powstrzymała jakoś łzy.

- Naprawdę nie musisz tego robić!

- Właśnie, że muszę! Tyleś się napracowała... i dobrze wiem, co usiłujesz osiągnąć. Zasłużyłaś na znacznie większą nagrodę niż kilka głupich sukienek.

- Rozpieszczasz mnie!

Objął ją w talii i wprowadził do sklepu.

- Nie tak bym cię chciał rozpieszczać - mruknął pod nosem.

- I co teraz zrobisz?

Gilbert Russell przestał krążyć po pokoju i spojrzał na swego przyjaciela. Anthony Northrup rozwalił się na kanapie i przyglądał się spokojnie, jak życie Gilberta rozpada się na kawałki.

- Strasznie mi zależy na tej posadzie, Tony! - powiedział. - Doskonale o tym wiesz. Ale Beddingfield to taki świętoszek! Gdyby się dowiedział...

- Nie dowie się.

- Skąd ta pewność?

Northrup spuścił nogi na ziemię i oparł łokcie na kolanach.

- Po pierwsze - odparł - nie wyobrażaj sobie, że z tego starego durnia taki purytanin! Był przecież w szkole, może nie? Musiał spróbować tego i owego, jak każdy.

- Nawet jeśli...

- A zresztą masz doskonałą przykrywkę! Wystarczy, że wystąpisz publicznie jako przykładowy małżonek. Pokażesz się od czasu do czasu z żoną tu czy tam... i nikt cię nie będzie pytał, jak się zabawiasz na boku.

Gilbert poczuł, jak cała krew odpływa mu z twarzy.

- Z żoną?

- Masz przecież nadal żonę, może nie? O ile jej ten Potępieniec nie zamordował.

Niepokój burzył się niczym kwas w żołądku Gilberta. Odkąd się dowiedział, kim jest człowiek, który dał mu dwieście funtów za Verity, sumienie nie dawało mu spokoju. Czuł, że należy jakoś zareagować, ale starał się odsunąć od siebie tę myśl, zapomnieć o wszystkim.

- Dobry Boże, Tony! Naprawdę uważasz, że powinienem...?

- Chcesz się wkraść w łaski Beddingfielda, czy nie?

- Pewnie, że chcę! - Przegarnął nerwowo włosy palcami. - Jestem bez grosza. Muszę dostać tę posiadłość!

- No to się postaraj, żeby nie nabrał żadnych podejrzeń. Sprowadź żonę z powrotem!

- Cy to nie jest naj... najcudniejszy we świecie kucyk, paniusiu?

Davey spoglądał z nieukrywanym zachwytem na urodzonego przed tygodniem źrebaczka. Była to najprawdziwsza miłość od pierwszego wejrzenia. Codziennie chłopczyk ciągnął Verity do starej stajni, gdzie trzymano kuce z wrzosowisk, by podziwiać źrebiątko.

- Naprawdę jest cudowny - odparła Verity, tarmosząc pieśczośliwie rudą czuprynę Daveya. - Czy wymyśliłeś już dla niego imię?

- Myślałem i myślałem - zwierzał się chłopiec. - To bardzo ważna sprawa: psecie to mój pierwszy kucyk! Musi mieć specjalne imię. Jak trochę podrośnie, bede na nim jeździł. Tato tak powiada.

- Będziesz miał wspaniałego wierzchowca.

- No chyba! - przytaknął Davey. - Jakby to była dziew-cynka, to by jej było Verity, po paniusi.

- Jak to ładnie z twojej strony!

- Ale do chłopcyka takie babskie imie nie pasuje... no to mu będzie Osborne, tyz po paniusi.

Verity przyklękła obok chłopca i uściskała go z całej siły. Była bliska łez.

- Davey, moje złotko! Bardzo, bardzo ci dziękuję, że chcesz nazwać konika moim imieniem.

- Psecie mówię paniusi - odparł chłopczyk, wrywając się z jej objęć, by raz jeszcze popatrzeć na źrebaczka - ze on musi mieć specjalne imie... a paniusia jest naj... najspecjalniejsza ze wsytkich ludziów, jakie znam!

Ucałowała go w czubek główki, uświadamiając sobie, jak bardzo pokochała tego diabluka. Ależ będzie w przyszłości łamał dziewczęce serca!

- Idziemy, Davey! - zakomenderowała. - Festyn już za dwa dni, a ja mam jeszcze mnóstwo roboty. Muszę sprawdzić u kowala, czy pierścienie już gotowe. Przejdziesz się do wsi razem ze mną?

- Pewnie! Mogę się pobawić z Benjie Sprugginsem?

- Oczywiście! Złożysz mu wizytę, a ja tymczasem odwiedzę babcię Pascow. No to krokiem maaarsz!

Davey raz jeszcze zerknął na źrebaczka i podskakując, ruszył ścieżką, która wiła się wśród zachodnich pastwisk, by połączyć się następnie z dróżką wiodącą prosto do St. Perran's. Verity spoglądała na swawołącego chłopczyka i nagle ogarnęła ją fala tęsknoty. Ach, ty idiotko! mówiła sobie. Przecież już wiele lat temu wyrzekłaś się wszelkich nadziei na własne dziecko! Skąd się nagle wzięły te głupie myśli?... Czy z powodu wzruszającego przywiązania, jakie okazywał jej Davey? A może istniała jeszcze inna przyczyna?

Kiedy znaleźli się na skraju wsi, przed chatą Dunstanów, rozmyślenia Verity przerwał przenikliwy świst. Odwróciła się raptownie i dostrzegła, że Digory Clegg daje jej jakieś znaki. Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Panie Clegg, wiem, co mi pan chce powiedzieć, ale wcale nie mam ochoty tego słuchać!

Od chwili gdy Verity rzuciła się w wir przygotowań do festynu, mały ciemny człowieczek ustawicznie ją prześladował, umyślnie szedł okreśną drogą, by ją zaczepiać i straszyć przepowiedniami straszliwej zagłady. Rozpoznała w nim od razu górnika, który zbliżył się do niej w Wheal Devoran. Już wtedy ostrzegał ją przed jakąś katastrofą. Było jej go żal, ale to ustawiczne grożenie gniewem Bożym zaczynało działać jej na nerwy.

- Chce ino paniusie przestrzec - upierał się niepozorny człowieczek, mrużąc oczy i wymachując palcem - I tego małego tyż! I każdego jednego we dworze. Tam się ino czai ogień i śmierć, paniusiu! Ogień i śmierć, powiadam!

- Żegnam, panie Clegg.

- Ogień i śmierć! - powtórzył raz jeszcze. Verity oddaliła się szybkim krokiem, ciągnąc Daveya za rękę. - Jak bedzieta świętować z tym Potępieńcem, wyjdzie z tego ino ogień i śmierć! Zapamiętaj paniusia moje słowa: ogień i śmierć!

Verity niemal biegła, chcąc jak najprędzej uciec od tych strasznych słów. Davey spoglądał na nią zdumionymi oczkami, usiłując dotrzymać jej kroku.

- Co to za jeden, paniusiu?

- Nie zwracaj na niego uwagi, Davey! To chory, biedny, stary człowiek. Trzymaj się od niego z daleka.

- No!... Wygląda jak jaki strach!

- Biegnij teraz do domu Benjiego, a ja pójde do babci Pascow.

Wpadnij do niej po mnie za jakąś godzinę, to razem pójdziemy do kowala po pierścienie. Dobrze?

Przystanęła na dróżce i spoglądała za chłopcem, póki nie znalazł się w bezpiecznym wnętrzu domu Sprugginsów. Miała szczerą nadzieję, że Digory Clegg zostawi malca w spokoju. Wcale jej się to nie podobało, że zaliczył Daveya do grona tych, którym rzekomo groziła zagłada. Prawdę mówiąc, tak ją to wzburzyło, że marzyła tylko o tym, by posiedzieć spokojnie w izbie babci, dopóki życzliwa obecność i mądra rada staruszki nie przywróca jej spokoju.

- O, jest już Verity Osborne - zawołała na jej widok babcia Pascow - ze swoimi papiórkami! Że też ci się toto w kieszeniach pomieści, dziecko!

Żarty starej kobiety sprawiły, że Verity roześmiała się już od progu. W izbie siedziały Kate Pascow i Borra Nanpean.

- No, co ci leży na wątrobie, dziewczuszko? - spytała babcia, gdy przed gościem postawiono już kubek słabej herbaty.

- Słucham?

- Co ci trapi, dziecino?

- Nic takiego... tylko Digory Clegg. Spotkaliśmy go z Daveyem po drodze do wioski.

- Cięgiem grozi Bożym sądem? - spytała Kate. - Zapowiada ogień i śmierć, co?



- Tak... ale tym razem groził też Daveyowi. To mnie najbardziej zdenerwowało.

- O Boże! - westchnęła Borra.

- Co ja mam z tym począć, babciu? - spytała Verity. - Tak się starałam, żeby festyn się udał... A jak Clegg wszystkich odstraszy?...

- Tym się nie fraszuj - odparła babcia. - Znają go w całej okolicy. Lituja się nad nim, ale kto by go ta słuchał? Każdy wie, że w głowie mu się popsulo.

- Myślisz, babciu, że on może być niebezpieczny? - dopytywała się Verity. - Zrobić coś złego?

- Ot, bidaczysko! - uzalila się Borra. - Co to za nieszczęście stracić rodzone dziecko!

- A juści... Miał tego jednego synka - prawila Kate. - Kiej jego Gracie oczy zamkla, nic mu sie nie ostalo, ino ten chlopak. Ten pozar w Pendurgan pol zycia Cleggowi odjal. Lepiej by chyba bylo, zeby go calkiem zabil! Bidaczyna nigdy juz nie byl taki jak przodzi.

- Kubek w kubek jak z Jammezem... no nie, Kate? - zauwazyła babcia.

Kate cos tam burknela, ale nie odpowiedziala wyraźnie.

Verity siedziala w chacie babci i gawedzila, poki sie nie zjawił Davey i nie zaciagnal jej do kuźni. Pierścienie byly juz gotowe, totez szybko ruszyli w droge powrotna do Pendurgan. Zanim jednak dotarli do glownej drogi, ujrzeli zmierzajacego ku nim z przeciwnej strony Alana Poldrennana. Verity polecila Daveyowi biec przodem i zaczekala na kapitana.

- Dzień dobry! - powitała go z pogodnym uśmiechem. - Nie sądziłam, że dziś się pan u nas zjawi, bo bym się pospieszyła z powrotem. Może pan zawróci i napije się ze mną herbaty?

Wydawał się trochę zaskoczony i niezbyt zachwycony jej widokiem. Uśmiechał się tylko ustami, nie oczyma.

- Cóż za nieoczekiwane spotkanie, droga pani Osborne! - powiedział.

- Dziękuję serdecznie za zaproszenie, ale przed chwilą piłem herbatę z panią Agnes.

- Z Agnes?

- Tak. Odwiedzam ją od czasu do czasu. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, wie pani.

- Nie, wcale o tym nie wiedziałam - odparła Verity. Ciekawe, dlaczego dotąd nie miała pojęcia o tych wizytach? - Miło mi to słyszeć - powiedziała. - Biedna Agnes, zawsze taka samotna. Nie chce się ze mną zaprzyjaźnić, choć nieraz próbowałam. W dodatku teraz, kiedy się zbliża festyn, staje się coraz bardziej rozdrażniona. Niepokoję się o nią.

- Przykro jej patrzeć, jak ktoś zajmuje miejsce Roweny.

- Ja przecież wcale nie...

Kapitan uniósł jedną brew.

- Doprawdy?

- Kiedy zaproponowałam, że zorganizuję festyn - odparła - nie zamierzałam bynajmniej zajmować miejsca zmarłej lady Harkness. Chciałam tylko pomóc Jamesowi w odzyskaniu dobrego imienia.

- A, prawda... festyn! Nie mogę się go doczekać. Jak tam przygotowania? To już za parę dni, nieprawdaż?

- Istotnie. A przygotowania idą jak po maśle. Nie dotarły do pana wieści o moich osławionych listach?

Tym razem zaśmiał się szczerze, a jego oczy złagodniały.

- A jakże! Wellington z pewnością mianowałby panią naczelnym kwatermistrzem i wcielił do sztabu generalnego.

- Czasem naprawdę czuję się jak generał dowodzący armią.

- A zatem: oby dopisywało pani przysłowiowe szczęście Wellingtona podczas świętojańskiego szturmu!

- Dziękuję, kapitanie.

- Przepowiadam, że będzie to najbardziej pamiętne wydarzenie w okolicy... od wielu lat.

- Mam nadzieję.

- O, spełni się z pewnością! - Błysnął zębami w szerokim uśmiechu. - Mogę przysiąc, że tak będzie!

Verity opowiedziała kapitanowi, że znalazło się wystarczająco dużo lokalnych muzykantów i nie trzeba będzie sprowadzać ich z daleka.

Poldrennan z kolei zapewnił ją, że zatroszczył się już o to, by beczułki ze smołą zostały dostarczone rankiem w dniu świętego Jana. Można je będzie bez pośpiechu rozmieścić na terenie całej posiadłości. Kapitan wyzbył się już poprzedniego skrępowania i był znowu przemiłym dżentelmenem, którego tak lubiła. Gawędzili jeszcze przez pół godziny, zanim Verity uświadomiła sobie, że sterczy na środku drogi. Ponownie zaprosiła kapitana do Pendurgan, ale znów się wymówił i rozstali się w najlepszej zgodzie.

Resztę drogi do Pendurgan Verity przebyła całkiem zatopiona w myślach. Było jeszcze tyle szczegółów do omówienia, tyle prac do

wykonania przez następne dwa dni! Nawet nie zauważyła powozu, który czekał na przeciwległym końcu głównego dziedzińca.

Pchnęła potężne dębowe drzwi i weszła do wielkiego hallu. Skręcała już w korytarz wiodący do głównych schodów, ale powstrzymał ją głos pani Tregelly.

- Bardzo przepraszam, pani Osborne - powiedziała gospodyni - ale pewien dżentelmen chce się z panią zobaczyć.

Verity wetknęła do kieszeni trzymaną w ręku listę i zwróciła się do pani Tregelly.

- Słucham?

- Jakiś dżentelmen, proszę pani. Pytał o panią. Zaprowadziłam go do nowego salonu.

- Dżentelmen?

Verity popatrzyła na gospodynię i uniosła pytająco brwi. To z pewnością jakaś pomyłka! Nie знаła tu żadnego dżentelmena oprócz kapitana Poldrennana, a ten dopiero co opuścił Pendurgan. Któż by to mógł być?

- Czy pani wie, kto to taki? - spytała gospodynię.

- Nie, proszę pani. Ale twierdził, że chce rozmawiać wyłącznie z panią.

Verity westchnęła. Nie ma rady: trzeba będzie z nim pomówić... kimkolwiek jest. Miała nadzieję, że nie zajmie jej to zbyt wiele czasu. Może jego przybycie pozostaje w jakimś związku z festynem? Może słyszał o jej planach (wieści rozchodziły się lotem błyskawicy) i zjawił się w imieniu jakiejś trupy aktorskiej, zespołu muzykantów lub grupy kupców, którzy chcieliby wziąć udział w imprezie?

- W takim razie oczywiście z nim pomówię - oświadczyła Verity. - Czy byłaby pani tak dobra zabrać mój płaszcz i kapelusz? Mój Boże, ależ jestem zakurzona. Pewnie wyglądam jak straszycło!

- Skądże znowu, pani Osborne! Tylko jeden loczek się wymknął, o, tu... załatwione! Wygląda pani prześlicznie. Czy przysłać do salonu herbatę i biszkopty?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Verity - Najpierw się przekonam, o co mu chodzi. W razie czego zadzwonię.

- Jak pani sobie życzy.

Verity przyjrzała się swemu obiciu w wypolerowanym na wysoki połysk pancerzu z okresu wojny domowej\*, który wisiał na ścianie. Poprawiła nieco fryzurę, strzepnęła fałdy sukni i otarła zakurzone noski bucików o ukryte pod spódnicą łydki. Więcej nic nie była w stanie uczynić. Skreśliła w inny korytarz, prowadzący do wschodniego skrzydła.

Drzwi do salonu były otwarte. Verity dostrzegła blask płonącego na kominku ognia. Przekroczyła próg i ujrzała sylwetkę mężczyzny, stojącego plecami do niej i wpatzonego w płomienie.

- Słyszałam, że chciał się pan ze mną widzieć. O co chodzi? Mężczyzna odwrócił się. Verity zapało dech, gdy spojrzała w oczy swego męża, Gilberta Russella.

Jago Chenhalls wydawał się dziwnie milkliwy, gdy jego pan wrócił z pola. James jednak nie zastanawiał się nad dziwnym zachowaniem stangreta. Był zbyt wyczerpany. Wraz z Markiem Penneckiem kosili siano przez wlokący się bez końca, mozolny dzień. Przy takich właśnie okazjach najbardziej żałował, że nie ma rządcy.

Od odejścia Bargwanatha James polegał przede wszystkim na Marku Penneku. Niełatwo mu przyszło prosić dzierżawcę o pomoc, gdyż opinia Pennecka na temat dziedzica nie różniła się od tego, co myśleli o Jamesie inni ludzie z okolicy. Jednak gospodarstwo Pennecka było największe na terenie Penurgan, Mark zaś był najbardziej doświadczonym farmerem, toteż baron zwrócił się jednak do niego.

Ten układ z początku był krępujący dla nich obu. Jednak po kilku miesiącach wspólnej pracy, ramie przy ramieniu, nabrali do siebie nawzajem szacunku i wszystko poszło już gładko. Jamesowi nieraz przychodziło do głowy, że Verity ma słuszość: trzymanie się dziedzica na dystans mogło rzeczywiście zwiększać wrogość okolicznej ludności. Ale Verity nie pojmowała jednego: owo stronienie od ludzi nie było kwestią wyboru. Wynikało z konieczności.

James schylił głowę, przechodząc pod niskim sklepieniem na główny dziedziniec. Przeciągnął się, prostując plecy. Mięśnie bolały go jak wszyscy diabli. Do rana zeszywnieją pewnie jak u truposza! Pchnął ciężkie dębowe drzwi wiodące do wielkiego hallu i aż stęknął z wysiłku. Starzeje się, do licha! Najchętniej od razu by wlaźł do gorącej kąpieli. Może Verity znajdzie jakiś ziołowy lek na nadwerężone mięśnie pleców, ramion i bioder?

Nie spieszyło mu się z wchodzeniem po stromych schodach na wieżę. Postanowił więc przejrzeć pocztę, która dziś nadeszła. Oczekiwał listu od Woolfe'a w sprawie nowego silnika parowego, a także najnowszego numeru The Edingurgh Review. Jeśli obie przesyłki się zjawily, zabierze je na górę i poczyta sobie bez pośpiechu w gorącej kąpieli.

Wszedł do biblioteki i pochylił się nad biurkiem, na którym pani Tregelly zawsze zostawiała mu codzienną pocztę. Na środku biurka leżała pękata skórzana sakiewka. Co u diabła? James wziął ją do ręki. Była ciężka, pełna pieniędzy. Pociągnął za rzemyczek ściągający jej brzegi i ujrzał mnóstwo złotych monet. Dobrze ponad sto funtów, może nawet dwieście...

Zimny dreszcz przeleciał mu po plecach.

Obok sakiewki leżał złożony i opieczętowany list. Wziął go ostrożnie do ręki, jakby się bał oparzyć. Obawiał się tego, co w nim wyczyta. W gardle tak mu zaschło, że ledwie mógł przełknąć ślinę. Oddychał z trudem. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w złożony arkusz welinu, nim zdobył się na odwagę, by złamać pieczęć.

Ze środka wypadł na biurko jeszcze jeden pergamin. James nie zwrócił nań uwagi. Przebiegł wzrokiem kilka słów skreślonych cienkim, niezbyt czytelnym pismem.

*Zabieram żonę do domu. W sakiewce znajduje się 200 funtów, które wyłożył Pan w listopadzie, wraz z dodatkową sumką za Pańskie trudy. Załączam oryginał aktu sprzedaży. Uznajmy obaj tę transakcję za niebyłą. Przepraszam za kłopot, który Panu sprawiłem.*

*Z poważaniem*

*Gilbert Russell*

James miał wrażenie, że jakaś ogromna pięść ugodziła go w żołądek, zapierając mu dech. Nie był w stanie zaczerpnąć powietrza. Nie mógł się poruszyć. Wpatrywał się tylko w na-bazgrane na kartce słowa, odczytywał je raz po raz, jakby czytanie mogło coś zmienić.

*Zabieram żonę do domu.*

James wczytywał się w każde słowo, w każdą literę, w każde pociągnięcie pióra. Patrzył i patrzył, a wnętrzości coraz mocniej skręcały mu się z rozpaczy. Ból wypełniał klatkę piersiową, chwycił za gardło, podchodził do ust...

- Nie! - Był to jedynie chrapliwy szept, niemal jęk. - Nie! Nie! Nie!!!  
Odeszła. Verity odeszła!

Palce odruchowo zacisnęły się na kruchym welinie, który szeleścił, gdy miał go w ręku. James rozejrzał się dokoła błędnym wzrokiem. Podobnie czuł się, odzyskując przytomność po każdym ze swoich ataków.

Odeszła. Nie był w stanie tego pojąć. Odeszła. Russell zabrał ją do domu.

Ale przecież jej dom był tutaj! Zrosła się z nim tak samo jak on. Jak mogła stąd odejść?!

I jak on zdoła żyć bez niej?...

Zacisnął powieki, zmagając się z bólem, który narastał w jego czaszce. Rozpacz i beznadzieja mogły go pochłonąć w każdej chwili. Kilka nagryzmołonych w pośpiechu linijek rozdarło mu duszę. Był teraz pusty i martwy w środku.

Nie miał prawa kochać Verity. Nie powinien był pozwolić sobie na zakochanie się w niej! Ale ją pokochał... a teraz odeszła. Chciał już tylko umrzeć...

- Nie!

Zgniół pergamin w małą, szeleszczącą kulkę i cisnął na drugi koniec pokoju. Chwycił sakiewkę i rzucił nią z całej siły o ścianę. Trafił w chińską wazę. Odłamki porcelany posypały się na podłogę razem ze złotymi monetami.



- Panie baronie?...

Hałas sprowadził panią Tregelly. O Boże! W tej chwili James nie chciał widzieć nikogo.

- Panie baronie!

Odetchnął głęboko i skoncentrował się na gniewie, tłącym się w jego piersi. Gniew był znanym, zrozumiałym uczuciem. James wiedział, jak sobie z nim poradzić. Umiał się nim posłużyć. Potrafił znaleźć w nim ucieczkę. Smakował ten gniew, podsycił go w sobie, aż rozgorzeje w czystą, niepohamowaną, wszechogarniającą wściekłość.

Odwrócił się raptownie i stanął twarzą w twarz ze swą dobroduszną gospodynią. Nieskrywana furia w jego oczach sprawiła, że kobiecina cofnęła się o krok.

- Co tu się działo pod moją nieobecność, do wszystkich diabłów?!

Jego ryk odbił się echem od grubych kamiennych ścian i wstrząsnął powietrzem.

Pani Tregelly lekko się wzdrygnęła, ale nie spuszczała z Jamesa swoich łagodnych, zasmuconych oczu.

- Ona... odeszła, milordzie.

Te słowa przeszły go jak ostrze miecza.

- Tyle już wiem, psiakrew! - wrzasnął. - Ale jak to się stało?!

- Odeszła z tym młodym człowiekiem, panem Russellem.

Powiedziała, że to... jej mąż. Była... bardzo przybita, milordzie.

- Dobry Boże! Uprowadził ją siłą?!

- Nie, panie baronie. Odeszła z nim bez oporu. I zabrała swoje rzeczy. Strach było na to patrzeć! Gonetta i kucharka płakały, aż się serce krajało, a mały Davey tak ją ścisnął za szyję i błagał, żeby nie odjeżdżała!

Biedny Tomas siłą musiał odciągnąć od niej chłopaka. A nasza paniusia zalewała się łzami tak samo jak Davey.

Głos pani Tregelly zadrżał. Urwała, by otrzeć ręką oczy.

- Uściskała każdego z nas - mówiła dalej. - Całkiem jakbyśmy byli jej rodziną. Prosiła, żeby poczekać do pańskiego powrotu, ale pan Russell nie chciał nawet słyszeć o tym. Powiedział, że muszą wyjechać bez zwłoki. Ale zostawiła list dla pana barona. Leży na biurku. Znalazł go pan, milordzie?

- Nie.

James odwrócił się raptownie i pochylił się nad biurkiem. Najpierw wziął do ręki papier, który wypadł z listu Russela. Ale to był tylko oryginał aktu sprzedaży. Identyczny z kopią, którą James trzymał pod kluczem przez te wszystkie miesiące.

- Nigdzie go nie widzę! - rzucił niecierpliwie, przegarniając papiery na biurku. - Gdzież on jest? Gdzie się podział?!

- Tutaj, milordzie.

Pani Tregelly wskazała zapieczętowany liścik oparty o kałamarz, część srebrnego przyboru do pisania, który należał niegdyś do jego ojca.

James chwycił list, przewracając piaseczniczkę. Drobiniki piasku rozsypały się po blacie. „Lord Harkness” - głosiły wytworne litery, wypisane na wierzchu złożonej kartki. Nawet nie „James”. Woląła oficjalny tytuł. Przełknął rozczarowanie, złamał pieczęć i czytał zachłannie.

*Tak mi przykro, Jamesie, że odjeżdżam bez pożegnania. Mąż wrócił po mnie. Ponieważ prawo jest po jego stronie, muszę niestety opuścić Pendurgan. Pragnę Ci podziękować za Twoją dobroć, przyjaźń i za to, że*

*dzięki Tobie poznałam zacnych ludzi z Pendurgan i St. Perran 's. Będzie mi bardzo brakowało was wszystkich. Żałuję, że nie zobaczę świętojańskiego festynu. Pewna jestem, że okaże się wielkim sukcesem. Ludzie tak się już na niego cieszą!*

*To, że Cię poznałam, pozostanie na zawsze jedną z największych radości mojego życia.*

*Z wyrazami szczerzej przyjaźni*

*Verity Osborne Russell*

James odwrócił się plecami do gospodyni i czytał po raz drugi, obracając w myśli każde słowo, usiłując znaleźć kryjącą się pod bólem nadzieję. Błysnęła mu w ostatnim zdaniu listu. Jedną z największych radości mojego życia. To ty, Verity, byłaś największą radością mojego życia! pomyślał.

Stał tak przez długą chwilę, doszukując się ukrytego znaczenia w każdym słowie. Nie chciała odjeżdżać. Była wdzięczna za jego dobroć (też coś!) i przyjaźń. Pragnęła się z nim pożegnać. Będzie jej go brakowało.. Nie, będzie jej brakowało ich wszystkich... ale i jego z pewnością też! Dziękowała mu... Zależało jej na nim.

Z pewnością! Inaczej nie zostawiłaby tego listu. Zależało jej na nim... Może nawet go kochała?... O, nie, zapędził się zbyt daleko! Ale z na pewno go lubiła. Wiedział o tym od pewnego czasu.

Tylko co mu z tego teraz, kiedy odeszła? Najwyżej serce jeszcze gorzej będzie bolało!... W tak krótkim czasie Verity wywarła wpływ na całe jego życie, na życie wszystkich mieszkańców Pendurgan i St. Perran's. Wprowadziła tyle zmian w jego ponurym domu... Nigdy już tu nie będzie tak jak przedtem.

Największe zmiany dokonały się w nim samym. Przywróciła go do istnienia, obudziła w nim wolę życia. W głębi jego posępnej duszy zakiełkowało głęboko zagrzebane ziarenko; przebijało się dzielnie przez mrok, dążąc ku słońcu. To, że się w ogóle ocknęło, było zasługą Verity. Stało się tak, bo uwierzyła w niego, natchnęła go nadzieją na to, o czym nawet nie śmiał marzyć.

Sprawiła, że znowu zapragnął żyć, ujarzmić nękające go demony, upomnieć się o swoje prawa. To Verity posiała w nim ziarno, któremu - Bóg świadkiem! - nie pozwoli zwiędnąć i zmarnieć. Był jednak absolutnie pewien, że dla niego nie będzie już następnej szansy. Jego jedyną szansą była Verity. A Verity odeszła.

Muszę niestety opuścić Pendurgan. Nie odeszła z własnej woli! Ten bydlak Russell powołał się na swoje prawa i zmusił ją do odejścia stąd. Jakoś niewiele dbał o te prawa ubiegłej jesieni, kiedy upokorzył swą dumną młodą żonę, wystawiając ją na licytację w Gunnisloe. Żonę?! Przecież ich małżeństwo nie zostało nigdy dopełnione!

Na Boga! Nie pozwoli dłużej Russellowi dręczyć i ponizac Verity! Może mieć oficjalne świadectwo ślubu, ale nie ma żadnych praw do niej! On sam, James, także nie ma żadnych prawa, rzecz jasna... ale ją kocha! Russel nigdy jej nie kochał! Nie pozwoli, by ten łajdak ciągał ją na sznurku jak marionetkę! Będzie walczył o nią! O jej prawo do własnego wyboru.

Pojedzie za nią! Może nawet zabije jej męża, jeśli nie będzie innego wyjścia. Ale, na Boga, będzie walczył o to, by ją odzyskać!

- Pani Tregelly!

Gospodyni po cichu wymknęła się z pokoju, by mógł cierpieć w samotności.

- Pani Tregelly!

Ryk Jamesa sprawił, że przybiegła z powrotem co sił w pulchnych nóżkach.

- Słucham, milordzie? - spytała bez tchu.

- Jak dawno odjechali Verity i Russell?

- Jak dawno?... Chwileczkę... niech się zastanowię. - Zesznurowała wargi i bębniąc palcem po brodzie rozważała sprawę. - Parę godzin temu... Chyba tuż przed jedenastą.

- Przed jedenastą? - James zerknął na stojący na kominku zegar. Dopiero co minęła trzecia. Byli w drodze od co najmniej czterech godzin... Niezła przewaga. - Jakim powozem?

- Jakim powozem?... - powtórzyła całkiem zdezorientowana pani Tregelly.

- Właśnie! - warknął poirytowanym tonem James. - W ile koni? Dwa, cztery?

- O!... Chyba to była czwórka, milordzie.... Tak, jestem tego pewna: odjechali czwórką koni.

Musieli wobec tego przebyć spory kawał drogi. Ale mając dobre konie, zdoła ich bez trudu dogonić. Wypyta dokładniej Jagona Chenhallsa o powóz i zaprzęg, i ruszy ich śladem. Nie ma chwili do stracenia!

Wetknął liścik Verity do kieszeni kamizelki i popędził do drzwi.

- Panie baronie? Odwrócił się niechętnie.

- O co chodzi?

- Przywiezie ją pan z powrotem, milordzie? Przywiezie pan naszą panią Verity do Pendurgan?

- Zrobię, co w mojej mocy - zapewnił. Pani Tregelly westchnęła z głębi serca:

- Dzięki Ci, Boże!

James uśmiechnął się szeroko i popędził do głównych schodów. Biegł po nich jak wariat, nie zważając na zeszywniałe mięśnie, które jeszcze niedawno tak mu dokuczały. Był już przy schodach prowadzących na wieżę, gdy zetknął się nagle twarzą w twarz z Agnes Bodinar. Stała w mrocznym korytarzu, oświetlona mdłym blaskiem kinkietu. Zastąpiła zięciowi drogę.

- Chcesz jechać za nią?

- Tak, Agnes. Przepuść mnie.

- Po co ci ona, Harkness? Niech sobie idzie!

James próbował ją wyminąć, ale uparcie zastępowała mu drogę.

- Przepuść mnie, Agnes!

- Nie bądź głupcem! Ona nie jest tego warta!

Zatrzymał się i spojrzał na teściową stalowym wzrokiem.

- Właśnie, że jest, Agnes! - Pomyślał o ponad dwustu funtach w złocie, walających się na podłodze biblioteki. - Warta jest znacznie więcej!

Verity wierciła się na ławeczce powozu, starając się przybrać w miarę wygodną pozycję. Bez skutku. Mięśnie miała obolałe i sztywne po wielu godzinach ustawicznego trzęsienia się na wyboistych i błotnistych drogach. Gilbert uparł się, by jechali do późnego wieczora. Chciał jak najprędzej dotrzeć do Londynu.

Jeśli już musiała porzucić Kornwalię, Verity wolałaby wrócić do walącego się, przycupniętego wśród piaszczystych wydm domku w Berkshire, w którym spędziła dwa i pół roku po swoim ślubie. Gilbert wyjaśnił jej jednak, że musiał go sprzedać, by zwrócić pieniądze lordowi Harknessowi. Pozostał im tylko niewielki wynajęty dom w Londynie..

Jej obecność była mu tam potrzebna. Ubiegał się o rządową posadę i nie mógł pozwolić, by rozeszły się jakieś plotki o tajemniczym zaginięciu żony.

Verity patrzyła z rozpaczą w sercu, jak ich powóz przemierza nierówną, skalistą przestrzeń Bodmin Moor.

- Cóż to za pusta i ponura kraina! - mówił Gilbert. - Nie masz pojęcia, jak mi przykro, że zmusiłem cię do wegetacji w tym zapomnianym przez Boga i ludzi kącie! Z pewnością jesteś szczęśliwa, że widzisz to wszystko po raz ostatni!

Jego słowa wywołały potoki łez, które całkiem mylnie uznał za łzy ulgi. Verity bynajmniej nie była rada, że ogląda to wszystko po raz ostatni. Nigdy jeszcze nie cierpiała aż tak! No, może z wyjątkiem chwili, gdy trzeba było siłą oderwać od jej szyi chude rączki Daveya Chenhallsa... albo gdy zanosząca się od płaczu Gonetta ścisnęła ją tak mocno, że brykle gorsetu Verity omal nie popekały... albo kiedy szara bryła Pendurgan zniknęła jej ostatecznie sprzed oczu.

Wiedziała, że zawsze będzie wspominać z głębokim żalem grube, zimne, kamienne ściany starego dworu, w których zaklęta była rozpacz jego właściciela i wspomnienia tragedii sprzed kilku lat. Verity pokochała granitowy dom i tak się cieszyła na to, że niebawem, w lecie, ujrzy jego ogrody w pełnej krasie. Nigdy się już nie dowie, co wyrosło z

malusieńkich roślinek, które sama sadziła w ogrodzie za kuchnią i które właśnie przyjęły się na dobre. Nie dowie się również, czy świętojański festyn udał się tak, jak przewidywała. Do końca życia będzie żałować, że zostawiła to wszystko za sobą!

A przede wszystkim - że opuściła właściciela Pendurgan.

- Nie powinienem był tak cię potraktować, Verity - mówił Gilbert, podczas gdy ona płakała po cichu. - Chyba nigdy nie zdołam ci wytłumaczyć, czemu to zrobiłem. Teraz to już nie ma znaczenia, ale kiedy po raz pierwszy usłyszałem, komu cię... oddałem pod opiekę, byłem wstrząśnięty. Powiadam ci: wstrząśnięty! Potępieńcowi z Pendurgan!

Verity nie przerywała mu, a on głądził dalej, jaki to był skruszony, że z jego winy wpadła w szpony osławionego potwora. Żonobójcy! Ani razu nie zająknął się o sprzedaży, ale nie ulegało wątpliwości że sprzedał ją wówczas. I tego właśnie Verity nie mogła mu zapomnieć ani wybaczyć.

Jej mąż zdołał sobie wmówić, że zjawił się jako zbawca, ratując ją od straszliwego potwora. Dla Verity jednak prawdziwym potworem był właśnie Gilbert. Wydaje się taki cichy, spokojny, skromny... a jednak to potwór, który sprzedał ją bez skrępowań i zaniepokoił się nieco dopiero wówczas, gdy usłyszał o fatalnej reputacji nabywcy. Sobie samemu mógł wmówić, że zabranie żony z Pendurgan było dowodem męstwa i wielkoduszności... Verity jednak czuła, że nigdy mu nie wybaczy, iż rozłączył ją z jedynym mężczyzną, którego szczerze kochała.

Nie miało dla niej żadnego znaczenia, że James był ciemny jak noc, gniewny, posepny... może nawet groźny. Pokochała człowieka kryjącego się za tą maską i zrozumiała powody jego gniewu i odrazy do samego siebie. I choć zgłębiwszy przyczynę jego bólu nie była pewna, czy



kiedykolwiek zdoła go w pełni uleczyć, opatrywała jego rany, jak tylko mogła.

O, jakże pragnęła nadal mu pomagać! Serce jej pękało, bo nigdy już się nie dowie, czy jej miłość zdołałaby odmienić życie Jamesa.

Otarła oczy i wyprostowała się. Nie pozwoli, by załamał ją ten kolejny, okrutny kaprys losu! Przeżyła wszystko inne, przeżyje i ten najboleśniejszy cios. Pozostawienie za sobą Pendurgan, wszystkich niezrealizowanych planów, Jamesa...

Jakoś to znieśie. Wszystko dotąd zdołała znieść. Musi zawsze pamiętać, że James nie czuł dla niej nic oprócz przyjaźni. Nigdy... z wyjątkiem tej jednej jedynej nocy. To tylko własne zarozumiałstwo podsycalo jej nadzieje i marzenia, które nie mogły się ziścić.

W niczym nie przypominaś Roweny. Te słowa Jamesa uprzytomniły jej, że nigdy nie zdoła zająć w jego sercu miejsca zmarłej żony.

Miała nadzieję, że rozwija się między nimi sympatia, że ich przyjaźń ma jakieś znaczenie dla Jamesa. Ostatecznie jednak nie mogło to być nic ważnego, bo w niczym nie przypominała Roweny - miłości jego życia.

Podczas długiej, męczącej podróży Verity przemyślała sobie wszystko, zmagala się z własnym sercem, usiłowala wypłatać z poszarpanych snów. Ignorowała wszelkie próby konwersacji, podejmowane przez Gilberta. Nie miała mu nic do powiedzenia. Chciała być sama z własnymi myślami. W końcu zorientował się w sytuacji i zamilkł na dobre.

Verity przymknęła oczy, ale nie mogła zasnąć. W jej umyśle panował zamęt, a ciało zeszywniało w niewygodnej pozycji. Jakże

pragnęła, by zatrzymali się gdzieś wreszcie na noc! Od kilku godzin było już ciemno.

Kiedy powóz zwolnił, a następnie przystanął przed jakimś pocztowym zajazdem dla zmiany koni, Verity odezwała się wreszcie do męża.

- Może zatrzymamy się tu na noc? - spytała. – Godzina już późna, a podróż była taka niewygodna! Jestem bardzo zmęczona. Nie moglibyśmy odpocząć? Gilbert wyjrzał przez okno powozu.

- Tak, zajazd wygląda całkiem przyzwoicie. Zobaczę, czy mają wolne pokoje.

Verity gotowa była w razie potrzeby przespać się na ławie w piwiarni, ale zachowała milczenie. Gilbert wysiadł z powozu i zamknął drzwi za sobą. Verity była zbyt zmęczona, by się rozglądać. Oparła głowę o poduszki i zamknęła oczy. Słyszała głosy stajennych i brzęk uprzęży; czuła, jak powóz lekko podskakuje, gdy wyprzęgano konie.

Po kilku minutach powrócił Gilbert i wyciągnąwszy ramię, pomógł jej wsiąść z powozu po opuszczonych schodkach.

- Mają wolną niewielką sypialnię i prywatny salonik. Jeśli ci to odpowiada, zjemy coś, nim się położysz do łóżka. Ja zdrzemnę się na fotelu w saloniku. Albo posiedzę w piwiarni.

Mógł sobie oszczędzić tej ostatniej informacji. Verity bynajmniej się nie obawiała, że po tych wszystkich latach mąż zechce pójść z nią do łóżka.

Odkryła, że jest nie tylko śpiąca, ale i głodna. Zamówili więc zimną kolację i kazali ją sobie podać w saloniku. Gilbertowi ciążyło widzieć ustawiczne milczenie żony, spróbował więc znowu nawiązać konwersację.

- To będzie dla nas całkiem nowy start, Verity - mówił, podając jej plaster szynki. - Mam nadzieję, że wszystko ułoży się znacznie lepiej. Wiem, że nasze małżeństwo nie było... nie było wiele warte. Ze mnie też nie miałaś wielkiego pożytku. Postaram się być lepszym mężem, moja droga. Sama się przekonasz. Zamieszkamy razem w Londynie i zaczniemy wszystko od nowa.

Verity rozsmarowała masło na kromce razowego chleba i zebrawszy wszystkie siły, postanowiła zdobyć się na odwagę, która podtrzymywała ją w czasie całego pobytu w Pendurgan.

- Wcale nie chcę zaczynać z tobą od nowa, Gilberte -oznajmiła. - Nie mam najmniejszej ochoty dzielić życia z człowiekiem, który uznał za stosowne sprzedać mnie za dwieście funtów.

Verity była zdumiona, że zdobyła się na wypowiedzenie tych słów. Dawniej odgryzłaby sobie prędzej język, niż wystąpiła otwarcie przeciw własnemu mężowi. Nie protestowała przecież nawet wówczas, gdy zaprowadził ją na plac targowy w Gunnisloe i założył jej rzemieniową pętlę na szyję.

Ale od tamtej pory coś się odmieniło. Zaszła w niej radykalna zmiana. Pogodzi się znowu (jak zawsze) z tym, co zgotowało jej życie, ale nie będzie pokornie milczeć, tając swe uczucia i pragnienia! Jakimś cudem podczas miesięcy spędzonych w Pendurgan nabrała nieco charakteru. Nie był to, rzecz jasna, niezłomny charakter, bo nigdy by nie odjechała z Gilbertem i gwizdałaby na jego mężowskie prawa. Ale nie będzie dłużej cichutką, zahukaną myszką. Mowy nie ma!

Gilbert zrobił wielkie oczy. Jedzenie stanęło mu w gardle i omal się nie udusił. Napił się piwa i to go nieco uspokoiło. Nadal gapił się na żonę; w jego orzechowych oczach pojawił się błysk niepokoju.

- Ależ, Verity!... Nie chcesz chyba powiedzieć, że wolałabyś zostać z tym... mordercą?...

- Tak! - odparła bez wahania. - Właśnie to chciałam powiedzieć.

- Dlaczego, na litość boską?! Przecież to potwór!

- Czulałam się tam szczęśliwa. Byłam na coś potrzebna. A on wcale nie jest potworem!

- Ach, tak?... - Gilbert wydawał się całkiem zbity z tropu. - Rozumiem... No cóż, cieszę się, że nie było ci tam najgorzej. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie sobie wystawiałem okropności!...

- I mimo to zwlekałeś osiem miesięcy z zabranieniem mnie stamtąd? - odparowała Verity. - Osem miesięcy niewyobrażalnych okropności! Musiałeś się naprawdę zdziwić, że zastałeś mnie żywą!

Na te słowa Gilbert zbladł. Zaczął nerwowo wyłamywać sobie palce.

- Ja... ja nie miałem pieniędzy... na... na...

- Na odkupienie mnie z powrotem?

Poprawił chustkę na szyi i zaczął się wiercić niespokojnie na krześle.

- Musiałem zwrócić Harknessowi jego pieniądze. Nie mogłem cię po prostu wykraść. Żylibyśmy w ciągłym strachu przed jego pościgiem.

- A dwieście funtów już się rozeszło?

Gilbert odsunął talerz, choć prawie niczego jeszcze nie skosztował.

- Tak. Miałem... długi honorowe, rozumiesz? Musiałem je spłacić.

- Teraz rzeczywiście rozumiem. Musiałeś sprzedać żonę, by uregulować karciane długi. Kto inny sprzedałby pewnie konia... albo jakiś

obraz. To sprytnie z twojej strony, że pozbyłeś się małżonki, na której nigdy ci nie zależało!

- Verity!... - Wyglądał tak żałośnie, jakby się miał lada chwila rozpląkać. - Wiem, że to było obrzydliwe i podłe! Sumienie będzie mnie dręczyć do końca życia. Nie oczekuję, że mi wybaczysz. Ale ci to wynagrodzę, jak tylko dostanę tę posadę w ministerstwie! Przekonasz się, Verity! Przysięgam, że będziesz miała wszystko, co tylko zechcesz!

Doprawdy?... Nawet ciemnowłosego mężczyznę, którego musiała opuścić?...

Verity znowu milczała. Wypowiedziała szczerze swoje zdanie i nie miało sensu powtarzanie tego od nowa. Gilbert był jej prawowitym mężem; musiała dostosować się do jego życzeń. Może jakoś ułożą sobie życie w Londynie. Znajdzie sobie coś do roboty, będzie się czuła potrzebna... Musi jej to wystarczyć.

Ale czy kiedykolwiek zdoła zagłuszyć w swoim sercu tęsknotę za wszystkim, co musiała porzucić?... Za Kornwalią, za Pendurgan? Za rodziną rudowłosych Chenhallsów, za dobrotliwą panią Tregelly, za babcią Pascow, za kobietami z St. Perran's?... Za Jamesem?

Nie! Nic nie zdoła uśmierzyć w jej sercu tęsknoty za Jamesem.

Odnalazł ich!

Zajęło mu to dwa razy więcej czasu, niż się spodziewał, ale wytropił wreszcie powóz Russellów przed zajazdem „Pod Głową Byka” w miejscowości Alston Cross. Russell wynajął zwykłą karetkę pocztową, typowe żółte, trzęsące się pudło, jakich setki można było spotkać na podróży traktach. Skutkiem tego odnalezienie właściwego pojazdu nie było łatwym zadaniem.

Najwięcej czasu James stracił wskutek pomyłki w Liskeard, skąd zapędził się całkiem fałszywym tropem na północ, w stronę Tavistock. Długo to trwało, nim się zorientował, że ściga nie ten powóz co trzeba. Następną kilka godzin zmarnował na powrót do Liskeard, gdzie odkrył, że Russellowie udali się na południe w kierunku Plymouth. Długi letni zmierzch już się kończył i zapadał głęboki mrok, nim James wypatrzył wreszcie samotny żółty powóz na dziedzińcu oberży „Pod Głową Byka”.

Nie mógł wprost uwierzyć, że dogonił wreszcie tę karetkę pocztową, którą ścigał; jednak właściciel zajazdu potwierdził, że państwo Russell rzeczywiście zatrzymali się u niego na noc. James omal nie zemdlął z nagłej ulgi. I z wyczerpania. Musiał jednak znaleźć w sobie siły, niezbędne do konfrontacji z Russellem i walki o wolność dla Verity.

Trzeba było dać w łapę właścicielowi zajazdu, by wskazał pokoje Russellów. Oberżysta długo wiódł Jamesa przez istny labirynt wąskich pasaży i stromych schodów, aż wreszcie wskazał przy końcu korytarza, do których prowadziły dwa stopnie.

- Tu jest salonik - wyjaśnił. - A następne drzwi prowadzą do sypialni. Właśnie podano tym państwu późną kolację, więc pewnie siedzą w salonie... choć z taką młodą parą to nigdy nic nie wiadomo.

Obrzucił Jamesa posepnym spojrzeniem i odszedł.

Baron czuł, jak rośnie w nim podniecenie. Za jednymi albo drugimi drzwiami znajduje się Verity. Gotów był do walki o nią.

Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni czuł bitewny zapach. A jeszcze więcej od momentu, gdy miał w swoim życiu coś, o co warto było walczyć. Teraz jednak krew w nim zakipiała. Myśl o rozkwaszeniu gęby Gilberta Russella na krwawą miazgę przyprawiała go o gorączkę.

Wbiegł na schodki wiodące do salonu i nacisnął kłamekę, gotów wyważyć kopniakiem drzwi, gdyby okazały się zamknięte. Ale nie były: otwały się do wewnątrz. James znalazł się na progu niewielkiego pokoju o ścianach od góry bielonych, od dołu pokrytych ciemną boazerią. Na kominku płonął ogień. Przy stole obok niego siedziała Verity. Odwrócony tyłem do drzwi Russell grzał sobie ręce nad płomieniem.

Verity podniosła wzrok i dech jej zapało. Trzymana przez nią filiżanka z brzękiem opadła na spodek. Russell odwrócił się raptownie.

- Co u diabła?! - Dostrzegł Jamesa i wykrztusił: - O, mój B... Boże! - po czym stanął za żoną, kładąc dłonie na oparciu jej krzesła.

James nie odrywał oczu od Verity. Obserwował na jej twarzy całą gamę uczuć: zdumienie, niepokój, ulgę i radość. Odnalazł jej wzrok; ich spojrzenia splotły się ze sobą. Przepelniało go równocześnie szczęście i gniew, pragnął chwycić ukochaną na ręce i zabrać stąd natychmiast! Ale jej niezłomna duma, widoczna w twarzy i postawie, kazała mu pomyśleć o

wszystkim, po Verity musiała znieść. Choćby tego nie wiem jak pragnął, nie miał prawa decydować o jej życiu. Tym razem Verity sama rozstrzygnie o własnym losie. Przynajmniej to musiał jej zapewnić.

- S... skądęś się tu wziął, Harkness? - spytał Russell. Starał się mówić buńczucznym tonem, ale zupełnie mu to nie wychodziło. - Ch... chyba nasze rachunki zostały wyrównane. Cz... czyżby nie doręczono mojej s... sakiewki?

James sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej skórzany woreczek. Przed wyjazdem pozbiierał złote monety rozsypane po podłodze biblioteki. Pragnął cisnąć nimi Russellowi prosto w twarz, ale ten tchórz schował się za plecami Verity! Wobec tego James rzucił sakiewkę na stół z taką siłą, że półmiski podskoczyły z brzękiem, a wielki widelec spadł z blatu i zadźwięczał o podłogę.

- Nie potrzebuję twoich cholernych pieniędzy! - wycodził James. Trzymał swój gniew na wodzy i mierzył tylko Russella wzrokiem. Młody człowiek miał minę przerażonego królika, który usiłuje walczyć z lisem. Pokonanie kogoś takiego nie przyniosłoby nikomu chluby, pomyślał James. Od razu było widać, że to płaksa i tchórz.

- No to cz... czego tu sz... szukasz? - spytał Russell. Zacisnął tak mocno ręce na oparciu krzesła Verity, że kostki mu zbieleły. - Nie ch... chcesz jej ch... chyba zabrać s... siłą?!

- Nie mam zwyczaju nikogo zmuszać siłą! - odparł James twardym, stalowym głosem, którego używał skutecznie podczas hiszpańskiej kampanii. Ale ten młodzieniec, którego tak łatwo można było zastraszyć ostrym słówkiem lub groźnym spojrzeniem, nie zagrzałby długo miejsca w jego regimencie! -To raczej twoja specjalność, Russell - dorzucił.



- C... co takiego?!

James skoncentrował całą swą uwagę na Verity, która nie poruszyła się od chwili, gdy wszedł do pokoju. Robił co mógł, by nie zatonać ze szczerem w jej łagodnych brązowych oczach, starał się zachować panowanie nad sobą.

- Z twojego listu wynika, że nie opuściłaś Pendurgan z własnej woli?

Obejrzała się przez ramię na męża i odpowiedziała Jamesowi z uśmiechem w oczach:

- Nie, milordzie. Nie odeszłam z własnej woli.

Nagła radość podziałała na Jamesa jak haust mocnego trunku. Oderwał wzrok od Verity i przeszył Russella ostrym spojrzeniem.

- Mój panie! Przybyłem tu dopilnować, żeby ta dama mogła bez przeszkód zdecydować o własnym życiu.

- Prz... przecież to moja żona! Mam ch... chyba prawo...

- Utraciłeś wszelkie prawa do niej, chłystku, kiedyś ją sprzedał na licytacji jak rasową klacz! - ryknął James takim głosem, że słyhać go pewnie było w całej oberży. Zadźwięczały nawet szybki w oknach piwnicy.

- Bardzo żałuję tamtej... przykrej sprawy - usprawiedliwiał się Russell. - Ale z pewnością wiedziałeś, Harkness, że ta... transakcja nie ma mocy prawnej.

- I urąga zwykłej przyzwoitości!

Gilbert zwiotczał jak przekłuty pęcherz. Całe jego ciało żałośnie oklapło. Oparł się ciężko o szeroki gzyms kominka, jakby nie mógł utrzymać się na nogach. Kiedy wreszcie podniósł głowę, James pomyślał,

że u nikogo jeszcze nie widział tak zboląłego wzroku. Czasem tylko własne odbicie spojrzęło na niego z lustra z podobną rozpaczą.

- Tak, to urągało wszelkiej przyzwoitości - powiedział Russell drżącym głosem. - To było podłe, odrażające... niczego w życiu nie żałowałem tak jak tego czynu. Przeprosiłem już Verity, choć oczywiście nie liczyłem na jej przebaczenie... miałem tylko nadzieję, że zdołamy jakoś... - Urwał i walnął pięścią w gzyms kominka. - Niech to wszyscy diabli! Do niczego się nie nadaję! Całe moje życie to seria rozpaczliwych pomyłek! Po co ktoś taki jak ja chodzi po ziemi?!

Głos Gilberta ścichł do rwącego się szeptu. Odwrócił się do ich tyłem, położył na gzymsie rękę aż do łokcia i oparł na niej czoło. Ramiona mu lekko drżały.

James osłupiał. Spodziewał się znaleźć Verity w rękach brutalnego, butnego męża, obstającego twardo przy swoich prawach. Chętnie zmierzyłby się z takim przeciwnikiem. Ale cierpienie Russella odebrało mu wszelką chęć do walki.

Wpatrywał się w Verity. Patrzyła na męża ze współczuciem i wyraźnie sama nie wiedziała, co począć.

- Verity?

Spojrzęła tym razem na niego. Z jej oczu znikła całkowicie poprzednia radość. James poczuł nagle, że i on nie bardzo wie, jak ma postąpić. Przecież chodzi o życie Verity! powtarzał sobie w duchu. Powinna sama podjąć decyzję, a on musi ją zaakceptować. Nie był już wcale pewny, jaką decyzję podejmie jego ukochana.

- Musisz nam powiedzieć, Verity, czego sobie życzysz -zwrócił się bezpośrednio do niej, starając się mówić spokojnie i obiektywnie. - Nie

zjawiłem się tu po to, by zabrać cię stąd przemocą. Możesz mi wierzyć. Ale i Russellowi na to nie pozwolę! Wszyscy szarpali cię to w tę stronę, to w tamtą... Musiałaś tak tańczyć, jak kto inny zagra. Najwyższy czas, byś sama decydowała o własnym życiu - czy będzie to zgodne z prawem, czy nie! Nieraz podeptaliśmy prawo w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy... a pewnie i wcześniej! Żaden z nas nie może dyktować ci, co masz robić, a czego ci nie wolno. Mam rację, Russell? - Powiedział to głośniej, nakazującym posłuch „oficerskim” tonem - - Zgadzasz się ze mną w tej sprawie?

Gilbert Russell nie podniósł zwieszanej głowy, ale wymamrotał coś potwierdzająco.

- A zatem, Verity - mówił dalej James łagodniejszym już głosem - nie zastanawiaj się nad tym, czego wymaga od ciebie prawo. Powiedz nam, czego sama chcesz. Czy wolisz pojechać z Russellem do Londynu czy wrócić ze mną do Pendurgan?

Russel podniósł głowę.

- Ale...

- Pozwól jej, mówić! - ryknął James.

Spojrzenie Verity biegało to w tę, to w tamtą stronę. Od męża do Jamesa i z powrotem. Przez dłuższą chwilę rozważała wszystko, zanim się odezwała. James czuł, że wnętrzości skręcają mu się ze strachu.

- Bardzo mi przykro, Gilbercie - powiedziała wreszcie -ale jeśli naprawdę mam sama wybierać, to wolę wrócić do Pendurgan. Widzisz... tam znalazłam przynajmniej trochę szczęścia.

Russell odwrócił się, by spojrzeć na żonę. Jego twarz zastygła w maskę rozpacz. Aż dziw, że charakterystyczne dla Verity współczucie nie ocknęło się na ten żalony widok.

- Postaraj się to zrozumieć, Gilberte - mówiła dalej. - Lord Harkness okazał się wiernym przyjacielem. Więc jeśli mogę wybierać, wolę żyć z nim w przyjaźni, wiesz przecie, że gorętszym uczuciem nie obdarzy mnie żaden mężczyzna, niż z tobą... w takim małżeństwie.

Najwyższym wysiłkiem woli James powściągnął emocje, które wywołały w nim jej słowa. Serce grzmiało mu w piersi jak wielki kocioł parowy w kopalni Wheal Devoran. Nie będzie musiał żyć bez Verity!

Nie była to jednak pora na uleganie sentymentalnym nastrojom. Musi wprowadzić w czyn swoje plany, zanim Russell zacznie się znów powoływać na swoje prawa i namówi Verity, by odeszła razem z nim. Przedstawi Russellowi propozycję, która pozwoli Verity raz na zawsze wyzwolić się od tej małżeńskiej farsy!

Na widok Jamesa wpadającego do salonu serce Verity na sekundę zamarło. Wydawał się taki wielki i groźny, gdy stał we framudze drzwi niczym byk gotowy do ataku. Choć wysoki i muskularny, James nie był z pewnością olbrzymem. A jednak otulony obszernym płaszczem, z kosmykiem czarnych włosów przesłaniającym oko niczym piracka opaska, z cieniem całodniowego zarostu na twarzy robił potężne wrażenie. Nigdy jeszcze Verity nie ucieszyła się do tego stopnia na czyjś widok!

Był tak pełen gniewu, że czuła niemal, jak prężą się wszystkie jego mięśnie, napięte jak struny. Na sekundę ogarnął ją strach, że James posunie się do przemocy, że zaatakuje Gilberta. Ale zapanował nad sobą w podziwu godny sposób.

Wszystko będzie dobrze: oto wracała do Pendurgan! Do domu!

- Jutro rano zabiorę Verity z powrotem do Pendurgan - mówił właśnie James. - Chciałbym, żebyś się stąd usunął jeszcze dziś wieczorem. Ale przedtem musimy porozmawiać na osobności. Proszę tu na mnie poczekać. Pozwól ze mną, Verity!

Trzymając ją mocno za ramię, James sprowadził ją w milczeniu ze schodków i powiódł labiryntem korytarzy do piwiarni na parterze. Panował tam gwar: szczękały kufle, podchmieleni goście przekrzykiwali się nawzajem. James zagadnął szynkarza, czy znajdzie się gdzieś w pobliżu ustronna salka. Wskazano mu prywatny salonik; wprowadził do niego Verity. Gdy weszła do pustego pokoju, a James pospieszył tam za nią, odwróciła się zdziwiona.

Podobnie jak przed chwilą w salonie wypełniał swą postać framugę drzwiową. Był taki potężny, taki nieugięty... taki kochany! Przez kilka sekund wpatrywali się w siebie.

- Verity...

Nie była pewna, które z nich poruszyło się pierwsze. W następnej sekundzie znalazła się w jego objęciach.

Przytuliła twarz do jego ramienia i ocierała się policzkiem o wełnę jego płaszcza, nie dbając wcale o to, że gniecie swój nowy kapelusz. Przez długą chwilę obejmowali się w milczeniu.

- Verity - odezwał się w końcu, tuląc ją z całej siły do piersi. - Myślałem, że utraciłem cię na zawsze.

Potrząsnęła głową i dopiero wówczas James zdał sobie sprawę, jak niewygodnie obejmować kobietę w kapeluszu z szerokim rondem. Cofnął się o krok. Jego ręce zatrzymały się przez chwilę na barkach Verity,

zsunęły się bez pospiechu po ramionach, a wreszcie pochwyciły jej dłonie. Zamknął obie jej rączki w uścisku i patrzył na Verity tak, jakby jej pragnął, choć mówiła sobie: „Nie bądź głupia, to przecież niemożliwe!”

- Dziękuję, żeś mnie raz jeszcze ocalił, milordzie! - powiedziała głośno. - Jakiś ty dobry! Nie przypuszczałam...

Przerwał te wywody, kładąc jej palec na ustach.

- To nie miało nic wspólnego z dobrocią, moja miła! To był czysty egoizm. Po twoim wyjeździe w całym domu zapanował kompletny chaos. A tu jutro festyn!... Jeszcze nigdy nie widziałaś takiej gromady nieszczęśników! Nie miałem pojęcia... nikt z nas nie miał pojęcia, jak sobie poradzimy bez ciebie!

Więc była potrzebna służbie! Nie Jamesowi.

- Musiałem porozmawiać z tobą sam na sam, bez Russella. Upewnić się, że do niczego cię nie zmuszamy... ani on, ani ja. Pytam więc po raz ostatni... - Palcem, którym przed chwilą dotknął jej ust, głaskał ją teraz delikatnie po policzku. - Czy jesteś pewna, absolutnie pewna, że tego właśnie chcesz: powrotu do Pendurgan?

- Tak, oczywiście - odparła. Zdumiewało ją, że potrafi mówić tak spokojnie, kiedy pod jego dotknięciem serce trzepocze się w jej piersi jak ptak. - Jak już mówiłam, było mi tam dobrze, czułam się szczęśliwa. A poza tym nie chcę mieć więcej do czynienia z Gilbertem Russellem!

- Doskonale cię rozumiem.

- Dziękuję ci, Jamesie! Za wszystko.

- Verity...

Objął jej twarz, muskając kciukiem kącik jej ust. Potem zanurkował pod szerokie rondo kapelusza i pocałował ją.

Nie był to pocałunek namiętny, tylko delikatny, słodki i tak czuły, że serce jej wezbrało bolesną tęsknotą.

Wyprostował się; na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Przepraszam - powiedział. - Obiecałem, że nigdy już tego nie zrobię. Wybacz!

Puścił Verity i odsunął się od niej. Czowała się opuszczona i spragniona dalszych pieszczot.

- Jeśli jesteś tego całkiem pewna, muszę cię teraz zostawić na chwilę i porozmawiać sam na sam z Russellem.

- Jamesie! Nie zrobisz mu chyba nic złego?!

Uśmiechnął się.

- Z początku miałem na to ochotę. Do diabła! Z przyjemnością bym go zabił! Ale jest w nim coś tak żalospnego, że całkiem mi odebrało ochotę do walki. Nie bój się, nie zrobię mu nic złego. Muszę z nim tylko omówić pewną sprawę. Daj nam na to kilka minut. Może przez ten czas porozmawiasz z oberżystą? Powiesz, żeby przeniesiono twoje bagaże z powozu Russella do mojego? Spytaj go też, czy nie ma jeszcze jakiegoś wolnego pokoju, gdzie mógłbym spędzić noc. Przepraszam za kłopot, moja droga!

Ucałował jej w rękę i pobiegł w stronę schodów.

Verity nadal kręciło się w głowie po pocałunku. Wybrała się jednak na poszukiwanie właściciela zajazdu, by omówić z nim sprawę przeniesienia kufra i wynajęcia jeszcze jednego pokoju na noc.

Wróciła następnie do prywatnego salonu w pobliżu piwiarni i zamówiła herbatę. Choć sprawiły jej radość nalegania Jamesa, by sama rozstrzygała o własnym losie, była pewna, że w tej chwili on i Gilbert w

pokoju na górze podejmują decyzje dotyczące także i jej. O czymże innym mógłby rozmawiać z jej mężem? Wyraziła zgodę na tę rozmowę, więc zostawi ich przez pewien czas w spokoju. Ale niezbyt długo!

James wiedział, że nie powinien całować Verity, ale nie zdołałby się pohamować... choćby nawet chciał! I z pewnością nie żałował swego postępu. Jeśli jej mąż pójdzie im na rękę, niebawem będzie ją mógł nie tylko całować... I to z czystym sumieniem!

James odsunął od siebie kuszące myśli i otworzył drzwi prywatnego saloniku, w którym zostawił Russella. Młody człowiek zajął przy stole miejsce Verity i siedział ze zwieszoną głową, w pozie świadczącej o kompletnym załamaniu. Jamesowi zrobiło się prawie żal tego biedaka, ale nie odstąpił od swoich zamiarów.

Po wejściu Jamesa Russell podniósł głowę. Nie odezwał się jednak. Baron zdjął płaszcz i rzucił go na stojącą pod oknem kanapę. Potem cisnął tam jeszcze rękawiczki. Usiadł przy stole na wprost Russella, przysunął sobie czysty talerz i nałożył sobie plaster szynki z półmiska.

- Wybacz, Russell, ale jestem głodny jak wilk!

Russell wzruszył obojętnie ramionami. James spróbował szynki i mówił dalej.

- Co cię właściwie skłoniło do tego, żeś po nią wrócił?

Sumienie się w tobie odezwało po tyłu miesiącach, czy co? Russell popatrzył na barona podejrzliwie.

- Sumienie dręczyło mnie od dłuższego czasu. Zwłaszcza odkąd się dowiedziałem, że sprzedałem ją żonobójcy.



- Ach, tak? - James odkroił sobie sporą pajdę chleba z dużego bochenka leżącego na stole. - Więc gdyby to był ten brudas, Will Sykes, nie wróciłbyś po Verity?

- Wróciłbym.

- Dlaczego? I czemu dopiero teraz?

James położył szynkę na chlebie i ugryzł potężny kawał. Russell długo zwlekał z odpowiedzią.

- Jeśli już musisz wiedzieć, Harkness, to staram się o pewną posadkę rządową. Zależy mi na niej... to znaczy na pensji. - Nabrał powietrza i wypuścił. - Dopytywano się o moją żonę...

- A, rozumiem! Nie miałeś ochoty się przyznawać, żeś ją sprzedał za dwieście funtów?

Russell spuścił głowę i nic nie odpowiedział. Policzki mu nieco poróżwiały.

- Miałeś nadzieję zabrać ją ze sobą do Londynu i paradować z nią przed nosem zwierzchników jak przykładowy mąż?

Russell nadal milczał.

- Najbardziej zdumiewające jest to, że Verity nigdy w rzeczywistości nie była twoją żoną, nieprawdaż?

Russell podniósł raptownie głowę. W jego rozszerzonych oczach błysnął strach.

- O czym ty gadasz, Harkness?!

- Chyba sam wiesz najlepiej, o czym gadam. Wasze małżeństwo nigdy nie zostało skonsumowane.

Twarz Russella była teraz czerwona jak burak.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?!

James uniósł brwi i popatrzył nań z szyderczym niedowierzaniem.

- Ty bydlaku!

James wzruszył ramionami i sięgnął po jabłko. Nożem od mięsa podzielił je na ćwiartki.

- Sam mi ją sprzedałeś, Russell. Nie przewidywałeś, co się stanie?

Gilbert Russell zerwał się tak raptownie, że krzesło się przewróciło. James zorientował się, że ugodził go w czułe miejsce. Kto wie, może jeszcze dojdzie do bójki, którą sobie obiecywał?... Jakoś nie bardzo mu teraz na niej zależało.

- Wiedziałem, że nie będzie przy tobie bezpieczna! - zawołał Russell.

- Powiniennem cię za to zabić!...

James zbył groźbę niedbałym ruchem ręki.

- Siadaj, Russell! - powiedział, wskazując końcem noża przewrócone krzesło. - I posłuchaj: ta sytuacja może ci jeszcze wyjść na korzyść.

- Co takiego?! Jak to na korzyść?

- Siadaj, to się dowiesz.

Przez chwilę wpatrywał się w niego morderczym wzrokiem, potem jednak podniósł krzesło i usiadł na nim.

- No więc?

James zjadł ostatni kawałek jabłka, odłożył nóż i odsunął talerz.

- Nie ulega wątpliwości, że nigdy ci nie zależało na małżeństwie z Verity. Najpierw go nie dopełniłeś, a potem sprzedałeś Verity jak konia na targu. Widać z tego jasno, że nic cię nie obchodzi i chcesz się jej pozbyć. Powinieneś chyba postarać się o rozwód.

- Co takiego?! To chyba kpiny!

- Mówię całkiem poważnie. Masz podstawę do wystąpienia o rozwód. Oskarżysz Verity, że cię zdradziła. Ze mną.

Russell wydawał się całkowicie zdezorientowany. Wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta.

- Sprawa powinna pójść gładko. Nie będziemy się bronić - przekonywał James. - Może się okazać długa i kosztowna, ale bez żadnych komplikacji.

Russell zmarszczył czoło i zdawał się rozważać sprawę.

- Bo ja wiem...

- Oczywiście, jeśli wolisz, poproszę Verity, by to ona wypełniła pozew rozwodowy. Jestem pewien, że znajdziemy bez trudu dowody twojej niewierności.

- Nie! - wykrzyknął z przerażeniem Russell; cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Z pewnością uda nam się znaleźć świadków, którzy potwierdzą jakiś jeden czy drugi twój romansik. Nie wierzę, żebyś przez te wszystkie lata żył w celibacie!

- Błagam, nie!... Nie możecie tego zrobić!

- Tak się boisz ujawnić własne grzeszki? Wszystko pójdzie jak po maśle, Russell! Starczy mi pieniędzy, by wyśledzić wszystko i...

- Nie!

- ... wyciągnąć twoje sprawy na widok publiczny!

- Nie, nie! Zaklinam, nie rób tego! - Ku najwyższemu zdumieniu Jamesa jego rozmówca ukrył twarz w rękach i rozplakał się. - Nie możesz t... tego zrobić!... O Boże!... Nie!

James osłupiał. O co tu, u diabła, chodzi?

- Dajże spokój, Russell! W czym problem? Każdy londyńczyk ma coś na sumieniu! Jeden bardziej się z tym ukrywa, drugi mniej, ale...

- Nic nie rozumiesz!

- Rzeczywiście: nic a nic!

- Nikt się nie może dowiedzieć o moich... stosunkach! Wolę umrzeć!

James prychnął pogardliwie.

- Czy ty aby nie przesadzasz?!

- Nie! - Gilbert pociągnął nosem; wyraźnie starał się opanować. - Wcale nie przesadzam. I tak będzie po mnie, jeśli wszystko wyjdzie na jaw!

- Co też ty... - James wciągnął raptownie powietrze. Dobry Boże! Nagle wszystko nabrało sensu. - To byli... mężczyźni, prawda?

Russell zerwał się z krzesła, odwrócił tyłem do Jamesa i chwycił obiema rękami za gzyms kominka.

- Nie rozumiesz?! Powieszają mnie, jeśli to wyjdzie na jaw! I tamtych też...

- Dobry Boże!

James wpatrywał się w odwróconego plecami młodzieńca. Pojmował już jego rozpacz. Brytyjskie społeczeństwo i brytyjskie prawo potępiało surowo homoseksualizm, choć w ukryciu bardzo się szerzył. Prawie każdy chłopak w szkole z internatem albo młody człowiek w armii stykał się z mężczyznami, którzy... woleli mężczyzn. Oczywiście, nigdy się o tym nie mówiło, a podobne popędy zaspokajano w najgłębszej tajemnicy. Karą za udowodnioną sodomie była śmierć.

- A więc dlatego nie skonsumowałeś swego małżeństwa! - odezwał się wreszcie James. - Czy Verity wie?

- Nie! A przynajmniej... nie sędzę. - Gilbert nadał stał tyłem do niego, jakby się bał spojrzeć rozmówcy w twarz. -Ja... próbowałem, rozumiesz?... Tylko nic z tego nie wyszło.

- Co się stało?

- Nieważne! - jęknął cicho Gilbert.

- Właśnie, że ważne! Dla dobra Verity. Ona wiele dla mnie znaczy, Russell! Bardzo wiele. Opowiedz mi o waszym małżeństwie!

- Zostało zaaranżowane przez rodziców - opowiadał Russell bezbarwnym, martwym głosem. - Spotkaliśmy się tylko raz czy dwa przed ślubem. Wiedziałem, że nie jestem... taki jak inni, ale myślałem, że jakoś sobie poradzę. Niektórzy z nas miewają żony. Verity wydawała się miłą dziewczyną, ale ja... nigdy przedtem nie byłem z kobietą. Kiedy w noc poślubną... próbowałem... ogarnął mnie straszny wstręt. Chciałem jej dotknąć... i nagle dostałem torsji. Okropnie wymiotowałem! Myślałem, że umrę!... Następnego dnia opuściłem Verity. Pomyślałem, że lepiej jej będzie beze mnie.

James próbował sobie wyobrazić tę scenę: biedny młody człowiek, próbujący bezkutecznie udowodnić, że jest kimś, kim nie był... I niczego nie rozumiejąca Verity, która dostrzegła tylko wzdarcie i wstręt męża.

Przypomniawszy sobie nagle, jak pewnego razu powiedział Verity, że nie ma pojęcia, co to znaczy żyć w bólu, wstydzie i z poczuciem winy. *Pewnie nigdy nie zdołam pojąć ogromu cierpienia, które znosiłaś.* Och, Verity!

Zaczęły mu się przypominać mu inne rzeczy, które mówiła. Nawet dziś wieczór napomknęła coś o tym, że żaden mężczyzna nie mógł żywić do niej gorętszych uczuć... Nie znając powodów wstrętu Russella, uwierzyła z pewnością, że to z nią jest coś nie w porządku, że jest

odrażająca dla mężczyzn. A jego własne zachowanie i fatalnie zakończona próba nawiązania z nią romansu utwierdziły tylko Verity w tym bzdurnym przekonaniu. Przecież kłął i wściekał się, odkrywszy, że była dziewicą! *To moja wina* - powiedziała wtedy.

Och, Verity... Słodka, dumna, piękna, tak bardzo godna miłości Verity! Gdybyż wiedziała, jak bardzo się myli!

Ale w tej żalösnej historii było coś więcej.

- Co cię skłoniło do wystawienia jej na licytacji?!

- Mój Boże... sam nie wiem! - odparł Russell. Odsunął się od kominka i zaczął krążyć po pokoju. - Zostawiłem ją w starym domu mojego ojca w Berkshire. Ot, taka waląca się buda. Zamierzałem oczywiście zapewnić jej utrzymanie, choć nie mogłem żyć z nią jak mąż z żoną. Ale jakoś stałe o tym zapominałem. Zostawiłem ją więc w tej ruderze, a sam wiodłem światowe życie. Londyn jest pełen pokus, chyba wiesz. No i wpakowałem się w kłopoty. Wstyd powiedzieć, ale przepuściłem jej posag i wszelką gotówkę, jaka mi wpadła w ręce. Wyprzedalem się ze wszystkiego, co mi jeszcze zostało. I wtedy któregoś dnia zobaczyłem w Morning Post wzmiankę o sprzedaży żony w Kornwalii. Chyba mi odjęło rozum. Doszedłem do wniosku, że mam coś jeszcze do sprzedania.

- Rany boskie! Skręciłbym ci za to kark, Russell! I to z przyjemnością! Nic mnie nie obchodzi, z kim sypiasz, ale potraktować w ten sposób niewinną dziewczynę... własną żonę!... To już przekracza wszelkie granice! I ty uważasz mnie za potwora?!

Russell przestał krążyć po pokoju i spojrzał na Jamesa, unosząc pytająco brwi.

- Chyba to nieprawda, że zabiłeś własną żonę. Gdyby tak było, Verity nigdy by się nie zgodziła wrócić z tobą do Pendurgan.

- Nie jestem całkiem bez winy w sprawie tej śmierci - odparł James. - Ale nie zamordowałem jej z zimną krwią. Co to, to nie!

Nigdy dotąd nie próbował oczyścić się z tego zarzutu. Nawet przed sobą.

- Wobec tego masz słuszność - powiedział Russell. - To ja jestem potworem.

- W takim razie pytam raz jeszcze: zgodzisz się postąpić wreszcie jak należy i rozwiązać to żalosne małżeństwo w całym majestacie prawa?

- Mój Boże! Ty ją kochasz, prawda?

- Obawiam się, że tak - uśmiechnął się James. Dopiero dziś, gdy odkrył, że Verity odeszła, przyznał się do tego. Tak, kochał ją. - Wobec tego słuchaj, Russell! Masz powody do wystąpienia o rozwód. Nie ma potrzeby ujawniać twego życia osobistego. Przyznam się do cudzołóstwa z twoją żoną. Verity także temu nie zaprzeczy. Wszystko będzie bardzo proste.

- Proste, kosztowne i w najwyższym stopniu skandaliczne! Nie, nie! Przykro mi, ale nic z tego.

- A to dlaczego, u diabła?!

- Bo mój przyszły zwierzchnik, lord Beddingfield, ma cholernie surowe zasady. Nie ścierpi najmniejszej niewłaściwości!

James uniósł brew, a Russell poczerwieniał jak burak.

- Bardzo żałuję, ale to naprawdę byłby zbyt wielki skandal. Beddington wyrzuci mnie natychmiast!

- A pocałujże go w dupę! - krzyknął James i natychmiast pożałował swoich słów.

Russell spojrział na niego z najwyższą urazą. Temperatura w pokoju spadła grubo poniżej zera.

- Nie mam zamiaru.

- Rany boskie! - James wyskoczył z krzesła jak pocisk z lufy armatniej. - Zgodzisz się na ten rozwód, albo my wniesiemy pozew przeciwko tobie! Przysięgam!

- Jak śmiesz tak mnie traktować? - syknął Russell przez zaciśnięte zęby, wznosząc ku niemu twarz.

-Jak śmiem? Jak śmiem?! Zaraz ci powiem! Bo zrujnowałeś życie niewinnej kobiecie, którą kocham! Jeśli dla zapewnienia jej wolności trzeba będzie wywlec na światło dzienne wszystkie twoje grzeszki, włącznie z tym, że sprzedałeś ją za gotówkę, już ja się o to postaram! Bóg mi świadkiem!

- Nie zrobisz tego!

- Przekonasz się!

- Jak możesz być taki okrutny?!

- Jak mogłeś skazać Verity na życie w takim piekle?!

- Nie dziwota... jeśli się zadała z Potępieńcem! James wziął się mocno w garść.

- Dość tego! Klótnie do niczego nas nie doprowadzą. Jest jeszcze jedna możliwość, której dotąd nie rozważaliśmy.

- Jaka? - spytał Gilbert.

- Unieważnienie.



- Unieważnienie? - Głos Verity sprawił, że obaj mężczyźni odwrócili się raptownie. Odczekała piętnaście minut i postanowiła, że pora do nich dołączyć. Zbliżając się do salonu usłyszała krzyki. - Macie na myśli unieważnienie małżeństwa? - W jej sercu ocknęła się nadzieja. - Czy to możliwe?

- Nie wiem - odparł James, wstając i podsuwając jej krzesło. - Rozmawiałem na ten temat z moim adwokatem. Ale to niełatwa sprawa!

Rozmawiał na ten temat z prawnikiem?... Od jak dawna chodziło mu to po głowie?...

- Bardzo trudna? - spytała.

- Niestety, istnieje niewiele podstaw do takiego unieważnienia i obawiam się, że żadna z nich nie wchodzi w grę. Właśnie dlatego nigdy nie rozmawiałem o tym z tobą, Verity. Sądziłem, że nie mamy szans.

Serce jej się ścisnęło, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów.

- Jakże to mogą być podstawy?

- No cóż... miałem nadzieję, że będzie to prosty przypadek nieskonsumowania małżeństwa.

Verity zaczerwieniła się, słysząc te słowa. A więc od początku wiedział, jak się sprawy miały!

- Ale podstawą do uzyskania unieważnienia może być tylko niezdolność do jego dopełnienia. Gotów jesteś przyznać się do impotencji, Russell?

- Nie! - wykrzyknął Gilbert. - Dobry Boże, nie!

- Tak też myślałem - stwierdził James. - Chyba nie było między wami bliskiego pokrewieństwa ani ścisłego powinowactwa?

- Nie - odparł Gilbert, a Verity potrząsnęła głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie Jamesa.

- W takim razie, zdaniem mego adwokata, w grę może wchodzić tylko jakaś sprzeczność prawna. Chyba żadne z was nie zawarło wcześniejszej umowy wstępnej z kim innym?

- Nie.

- Nie.

- Czy któreś z was nie było pełnoletnie? - dopytywał się James. - Albo nie miało zgody rodziców lub opiekunów?

- Miałem dwadzieścia cztery lata - odparł Gilbert.

- Ja tylko dwadzieścia, ale mój ojciec jak najbardziej popierał ten związek. Prawdę mówiąc, to był jego pomysł.

- To rozstrzyga sprawę - oświadczył Gilbert. - Nie ma podstaw do unieważnienia. Przykro mi, Verity.

- Chwileczkę! - odezwał się James. - Jest jeszcze jedna... choć mało prawdopodobna ewentualność. Mój prawnik poinformował mnie o takiej możliwości: błąd w dokumencie potwierdzającym zawarcie małżeństwa. Podobno może to być nieznaczne przekreślenie imienia czy nazwiska albo omyłka co do wieku nowożeńców na świadectwie ślubu... albo nawet w tekście zapowiedzi. Coś takiego stanowi podstawę do unieważnienia.

- Mam tu odpis aktu ślubu - powiedział Gilbert, sięgając do kieszeni. Uśmiechnął się niezbyt mądrze, widząc ich zdumione miny. - Podejrzywałem, że będziesz się upierał, że Verity należy do ciebie - zwrócił się do Jamesa. - Chciałem mieć przy sobie dowód moich praw do niej.

- No to obejrzymy sobie ten papierek! - zaproponował baron, a Gilbert rozłożył dokument na stole.

Verity pochyliła się nad świadectwem ślubu. Pamiętała moment składania podpisu w kościelnym rejestrze po zakończeniu ceremonii, ale tego dokumentu nigdy nie miała w ręku. Takimi sprawami zajmował się jej ojciec!

I nagle dech uwiązał jej w gardle.

- Boże wielki! Co to ma znaczyć? - Postukała palcem w pergamin. - Tutaj jest napisane, że mam dwadzieścia jeden lat... Przecież moje urodziny były dopiero pięć miesięcy później!

Och, papciu! Przynajmniej raz twoje roztargnienie na coś się przydało! Biedaczek, nigdy nie pamiętał dat urodzin, rocznic ślubu ani świąt kościelnych! Nawet o Bożym Narodzeniu trzeba mu było przypominać co roku w grudniu!

Widocznie doszedł do wniosku, że jego córka ma już dwadzieścia jeden lat, gdyż pamiętał jak przez mgłę, że dojdzie do pełnoletności w roku 1816... Dokładnej daty, rzecz jasna, nie pamiętał.

Tobias Osborne zmarł dwa miesiące po ślubie córki. Nigdy się nie dowiedział, jaką pomyłką, okazało się to małżeństwo. Verity była za to wdzięczna losowi. Serce by pękło biedakowi z żalu... I jak to się cudownie złożyło, że właśnie drogi, roztargniony papa umożliwił jej odzyskanie wolności!

Verity przemierzała wzdłuż i wszerz niewielką sypialnię, nie mogąc opanować podniecenia, które wrzało jej we krwi. Jeszcze jeden nieoczekiwany zakręt na drodze jej życia! Tym razem jednak nie budził w niej lęku. Nie musiała zbierać wszystkich sił, gotując się na spotkanie nieznanego. Tym razem los okazał się dla niej przychylny. Uwolni się nareszcie od małżeńskich więzów, będzie mogła rozpocząć nowe życie, dokonać takiego wyboru, jaki zechce... może nawet znajdzie szczęście. Potrwa to pewnie kilka miesięcy, ale w końcu będzie wolna!

Serce śpiewało w niej radości na myśl o roztaczających się przed nią perspektywach.

Ciche stukanie do drzwi sprawiło, że się odwróciła. W sam raz, by ujrzeć wchodzącego Jamesa.

- Odjechał - powiedział baron i zamknął drzwi za sobą. -Znajdzie sobie inną kwaterę w tej samej albo sąsiedniej miejscowości. Było to z mojej strony bezwzględne, ale chciałem, żeby się wyniósł. - Podszedł bliżej do Verity i ujął ją za obie ręce. - Tyle się wydarzyło! Jak się czujesz, moja miła?

- Jak w siódmym niebie! Szaleję ze szczęścia: nareszcie jestem wolna! - Parsknęła gardłowym śmiechem. Wydała nieartykułowany okrzyk nieopisanej radości, odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się na całe gardło. - Jestem wolna! Naprawdę jestem wolna! - Trzepotała rozłożonymi szeroko ramionami, jakby chciała wzbić się w powietrze niczym ptak. - Woolna!

Znalazła się nagle w ramionach Jamesa, który okręcał ją wokół siebie coraz szybciej, śmiejąc się razem z nią. Zaśmiewali się tak i wirowali aż do utraty tchu. Kiedy wreszcie postawił ją znowu na ziemi, Verity kręciło się w głowie, czuła się jak pijana i w ogóle było cudownie! Nie przestawała się uśmiechać. Była rada, że jej towarzysz obejmuje ją w pasie. Inaczej z pewnością by się wywróciła.

- Och, Jamesie! - powtarzała, łapiąc z trudem oddech. - Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy! Nie masz pojęcia, jak... O, jakież to cudowne! Nie możesz tego zrozumieć, ale... och, Jamesie! Nie mogę w to wprost uwierzyć! Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa!

- Verity! Moja słodka Verity! - zamknął jej usta pocałunkiem.

Jego wargi, z początku bardzo delikatne, sunęły po jej ustach, próbując, smakując, przekomarzając się. Verity poczuła znowu zawrót głowy, tym razem od dotyku ust Jamesa, piżmowego zapachu jego ciała, czułości jego warg, która zawsze ją zdumiewała. Wyzywająco, bezwstydnie oddawała mu pocałunki.

Jęknął z ustami na jej ustach. Pocałunek stał się bardziej namiętny, ramiona Jamesa objęły ją jeszcze ciaśniej. Jedna z rąk przesunęła się z jej pasa na pośladki; przycisnął ją do siebie z całej siły. Rozchylił jej wargi swoimi wargami i wypełnił wnętrze jej ust swoim językiem, pieszcząc ją, drażniąc i wprawiając w dziwne drżenie i niepokój.

Verity nie wiedziała, co to oznacza. Było jej zresztą wszystko jedno. Nie zamierzała się nad tym zastanawiać! Oddawała się czysto fizycznej rozkoszy - cudowny był dotyk jego warg, języka, ramion, całego ciała... Zupełnie się w nim zatraciła.

Usta Jamesa oderwały się od jej ust, sunęły teraz po jej szyi i podbródki. Odrzuciła głowę do tyłu, by ułatwić mu dostęp.

Pragnęła tego mężczyzny, pragnęła go rozpaczliwie. I chciała, żeby on także jej pragnął. Kiedy wróciwszy do jej ust próbował skłonić ją do ssania koniuszka jego języka, spełniła ochoczo jego życzenie. Gotowa była zrobić wszystko, byle jej pragnął. Choćby ten jeden, jedyny raz!

Straciła poczucie czasu, miała wrażenie, że całują się przez całą wieczność. Kiedy James w końcu podniósł głowę i popatrzył na nią, oboje byli bez tchu i dyszeli ciężko.

- Nie ma innych wolnych pokoi - powiedziała rwącym się głosem. - Wiedziałeś o tym? Będziesz musiał... zostać tutaj.

- Wiem - powiedział i pogładził palcem jej policzek. - Właśnie dlatego odesłałem stąd Russella. Jakoś byłoby mi głupio kochać z jego - na razie! - żoną, przebywając z nim pod tym samym dachem.

- Chcesz się ze mną kochać?

- Jeśli mi na to pozwolisz, nie pragnę niczego więcej!

- Och! - Verity zamknęła oczy. To z pewnością sen! Czy on naprawdę chce się z nią kochać? - Jesteś tego pewny?

Przytulił ją lekko do siebie, popatrzył na nią spod ciężkich powiek i uśmiechnął się.

- Nigdy w życiu nie byłem niczego taki pewny. Pragnę cię. I to od dawna.

- Och, Jamesie! Przecież wiesz, jak się to skończy!

- Mam nadzieję, że wiem... ale ty chyba nie bardzo. Obiecuję lepiej się postarać tym razem. Będziesz się ze mną kochać, Verity?

- Tak! - Z pewnością nie pragnął tego bardziej niż ona! -Będę!  
Oczywiście!

James uśmiechnął się rozbawiony jej skwapliwością i pocałował ją znowu. Nade wszystko chciał przekonać Verity, jak bardzo jest godna pożądania. Naprawić wszelkie szkody spowodowane zachowaniem Gilberta i jego własnym, przywrócić Verity wiarę w siebie. Choć jego ogarnięte pożądaniem ciało pragnęło natychmiast zawładnąć jej ciałem, postanowił twardo, że będą kochać się bez pośpiechu, że rozbudzi ją dotykiem warg, języka i rąk, że słowem i pieszczotą przekona ją o swoim pożądaniu.

Wtulił twarz w jej kuszący karczek, zaczął go całować i drażnić zębami. Jego ręka błądziła tymczasem wśród loków Verity, usuwając z nich wszystkie szpilki, aż wreszcie włosy spłynęły luźną falą. Uniósł wówczas ciężkie sploty w obu dłoniach i przeczesywał palcami gęste, miękkie pukle.

Potem zabrał się do tasemek z tyłu sukni, witając pocałunkami każdy odsłonięty cal skóry Verity. Pojękiwała cichutko, gdy jego usta wędrowały coraz niżej po ramieniu, które wyłoniło się spod osłony. Ciało Verity pachniało leciutko lawendą, skóra - ciepła i czysta - miała cudowny smak. Miał ochotę ją schrupać! Zapomnieć o wszelkich komplikacjach, o minionych cierpieniach ich obojga - i pogrążyć się w niej.

Zręcznie rozpiął małe guziczki z przodu stanika i zanurzył rękę w poszerzonym w ten sposób dekolcie, obejmując pełną pierś Verity. Wciągnęła raptownie oddech i wtuliła się w jego dłoń. Ledwie to wytrzymał, ale przysiągł sobie, że nie będzie się spieszył. Nie będzie się spieszył.

Gładząc jej pierś, równocześnie całował Verity w usta i czuł, jak topnieje w jego objęciach. Wreszcie podniósł głowę, ostrożnie ściągnął jej z ramion rozpiętą suknię i pozwolił, by opadła na podłogę. Sycąc się widokiem Verity w samej tylko koszulce i gorsecie, z którego wylaniały się jędrne piersi, pozbywał się pospiesznie surduta, kamizelki i krawata. Potem odwrócił Verity plecami do siebie i rozsznurował jej gorset, który również spadł na ziemię. Była już tylko w koszuli. Znowu nią obrócił i całował w usta, gładząc miękką, niczym już nie opancerzoną pierś. Verity znowu przytuliła się do niego. Oderwał się od jej ust i delikatnie ściągnął z niej koszulkę, która oczywiście też wylądowała na podłodze.

- Och!

Verity zeszywniała i zrobiła taki ruch, jakby chciała okryć swą nagość, ale James przytrzymał jej ręce.

Gęste ciemne włosy spływały na jedno ramię, kontrastując z mleczną bielą gładkiej skóry. Verity była cudownie zbudowana. Wdzięcznie zaokrąglona postać o pełnej piersi, tak odmienna od zwiewnej kruchości Roweny... W dalszym ciągu trzymał ją delikatnie za ręce i upajał się jej widokiem. Jego wzrok błędził po jędrnym biuście, smukłej talii i łagodnej krzywiznie bioder, aż wreszcie zatrzymał się jeszcze niżej - na kępcie ciemnych włosów. Oczy Verity były spuszczone, jakby się wstydziła.

- Jakaś ty piękna! - powiedział.

Na te słowa podniosła wzrok.

- Nie musisz tego mówić, Jamesie. Dobrze wiem, że nie jestem...

och!

Przerwał te wywody, przyciskając usta do jej piersi. Okręzał językiem wyprężony sutek i ssał go. Równocześnie obiema dłońmi gładził



jej pośladki. Verity wiała się pod wpływem tych pieszczot i cichutko popiskiwała, a jej wyraźna przyjemność jeszcze bardziej go roznamiętniała. Nieśmiało dotknęła ręką przytulonej do jej piersi głowy Jamesa i pogłaskała go po włosach.

Poświęciwszy równie wiele uwagi drugiej piersi Verity, James wyprostował się i wyszarpnął koszulę ze spodni, zdjął ją przez głowę i odrzucił na bok. Porwał Verity w objęcia i zaniósł ją na łóżko.

Wszystkie zmysły się w niej rozspiewały, gdy obserwowała, jak James pozbywa się spodni i pończoch. Nigdy dotąd nie widziała całkiem nagiego mężczyzny, nawet Gilberta. Nie licząc, oczywiście, greckich posągów. James był równie imponujący jak one: wysoki, smukły, a zarazem muskularny. Robił równie potężne wrażenie. Tylko zamiast gładkiego marmuru miała przed sobą męską pierś, porośniętą ciemnymi włoskami. Verity kusilo, by przejechać po nich palcem.

Stał obok łóżka w całej swojej męskiej krasie. Wzrok Verity przebiegł po pasemku ciemnych włosów, przecinającym płaski brzuch. Dech jej zapało na widok tego, co ujrzała niżej. O mój Boże! Nic dziwnego, że tak bolało: był stanowczo zbyt wielki!

Zapomniała jednak całkiem o swych obawach, kiedy James położył się obok niej, objął ją ramionami i zaczął całować. Zetknięcie jego twardej klatki piersiowej z jej delikatnym biustem, jego owłosionego ciała z jej gładką skórą okazało się niewymownie rozkoszne. Zręcznie odpiął jej podwiązki i zsunął pończochy, całując znów każdy cal odsłoniętej skóry, a nawet biorąc do ust jej palce u nóg. Wrażenie było tak silne, że miała ochotę krzyknąć z zachwyty.

Była teraz nagusieńka; czuła mrowienie i gorąco pod dotykiem rąk, które sunęły po jej ciele, sprawiając istne cuda każdą pieszczotą. Rosła w niej namiętność, granicząca niemal z bólem. James wodził ustami po jej szyi i ramionach, drażnił jej piersi, pieścił wrażliwe ciało tuż pod biustem, a następnie jej brzuszek. Czuła, że narasta w niej tępy, pulsujący ból; stawał się wprost nie do zniesienia!

- Jesteś taka piękna - powtarzał James raz po raz, aż w końcu mu uwierzyła. Prawie.

Pozwoliła swym rękóm błędzić po jego ciele. Z początku z wahaniem, potem śmieiej, gdy szeptał jej do ucha, ile mu tym sprawia radości. Sunęła więc dłońmi po jego piersi, ramionach i plecach; zapuściła się nawet na sprężyste wypukłości pośladków. James jęknął pod jej dotknięciem i przetoczył się na nią.

Rozchylił łagodnie jej kolana; poczuła dotyk jego pobudzonego ciała. Spadł jej na usta tak namiętnym pocałunkiem, że dygotała wprost z pożądania. Ręka Jamesa sunęła w dół po lekkiej wypukłości jej brzucha, ku kępce loczków u zbiegu ud.

- O Boże! - jęknęła Verity i aż się skrzyła. Palce Jamesa odnalazły najwrażliwszy punkt, o którego istnieniu Verity nie miała dotąd pojęcia. Zaczęła drżeć i wydała zdławiony okrzyk, gdy James pieścił jej rozpalone, wilgotne ciało. Szeptał jej do ucha namiętne słowa, ale prawie ich nie słyszała. Przyłgnęła do niego, dygocząc bez przerwy, świadoma tylko niezwykłych doznań, jakie w niej budził.

- Proszę... - szeptała nie wiedząc sama, czego się domaga -proszę!...

James kolanem rozchylił jeszcze szerzej jej nogi. Czuła napór jego pobudzonego ciała. Usztywniła się nagle, przygotowując się na

nieuchronny ból. Uniósł się na łokciach i spojrział Verity głęboko w oczy, potem splótł jej dłonie ze swoimi, umieszczając je po obu stronach jej głowy. Nie odrywając od niej wzroku, jednym niespiesznym, płynnym ruchem wtargnął do jej wnętrza.

Znieruchomiał, wpatrując się nadal w jej twarz. Przez chwilę miała taką minę, jakby czekała ją wyrwanie zęba. Świadomy jej lęku trzymał ją mocno za obie ręce. Po chwili jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Uśmiechnął się do niej i uściskał jej paluszki.

- Nie boli?

- Nie - wyszeptała takim tonem, jakby nie mogła w to uwierzyć. - Nie boli.

Ucałował ją.

- Znakomicie. Wobec tego pozwól, żebym kochał się z tobą naprawdę!

Zaczął poruszać się powoli, by mogła do tego przywyknąć, uświadomić sobie, że czeka ją rozkosz zamiast dawnego bólu. Puścił jej ręce i podłożył dłonie pod jej pośladki. Nadawał rytm i uczył ją, jak się do niego dostosować, kierując ruchami jej bioder tak, by synchronizowały się z jego pchnięciami.

Verity okazała się pojętną uczennicą i poddawała się bez oporu naturalnym reakcjom swego ciała. Instynktownie pojękiwała, wiła się i przeżyła pod jego ciężarem. Wyczuwał rosnące w niej napięcie; pojmował je lepiej niż ona sama. Kiedy oddech Verity stał się urwany, James zorientował się, że bliska jest szczytu. Odnalazł znów najwrażliwszą grudkę jej ciała. Verity szarpnęła się konwulsyjnie i wykrzyknęła jego imię. Obejmował ją mocno, gdy drżała pod nim; dopiero wówczas sam

stracił panowanie nad sobą. Wbijał się w nią coraz mocniej, szybciej i głębiej, aż orgazm wstrząsnął i jego ciałem, pozostawiając go wyczerpanego, ale nasyconego i zaspokojonego jak nigdy dotąd.

Długo leżeli zdyszani i zlni potem. James przygniatał ją całym ciężarem, ale Verity to nie przeszkadzało. Nadal upajała się niewiarygodnymi przeżyciami, których doświadczyli wspólnie; zdumiewającą eksplozją doznań, która omal nie rozszarpała jej na strzępy. James sprawił, że czuła się piękna i godna pożądania... a myślała, że coś podobnego nigdy się nie zdarzy. Jakże go za to kochała! Czuła pod powiekami piekące łzy.

Podniosła leniwie ramiona i oplótła nimi jego barki.

- Och, Jamesie! - powiedziała drżącym głosem. - Nie wiedziałam! Nie miałam pojęcia, że to może być takie cudowne!

Podniósł głowę i otarł kciukiem łzę z kącika jej oka. Pocałował czule Verity, a ona nie mogła już powstrzymać płaczu. James stoczył się na łóżko, przyciągnął ją do swego boku i objął mocno ramionami.

- Wiem - powtarzał tuląc ją. - Wiem.

- W... wcale nie wiesz! - wykrztusiła przez łzy.

- Cicho, kochanie moje.

Tulił ją do siebie, póki się nie opanowała.

- Nie rozumiesz, naprawdę! - powiedziała wreszcie. - Myślałam, że ze mną jest coś... nie w porządku. Że nie jestem zdolna do... fizycznego współżycia. Myślałam... że nie jestem... normalna. Ale teraz... Czyba się myliłam?... Przez cały ten czas się myliłam!

James ucałował ją.

- To wcale nie była twoja wina. To nie z tobą coś było nie w porządku. - Pogłaskał przelotnie jej pierś. - Nigdy ci niczego nie brakowało!

Verity była tak przejęta tym odkryciem, że ledwie mogła oddychać. Tyle niesłychanych rzeczy wydarzyło się w jednym dniu! Zjawił się Gilbert... James uwolnił ją od niego... znalazł się powód do unieważnienia małżeństwa... kochali się tak cudownie... Ale nic nie wstrząsnęło nią tak, jak nagła świadomość, że nie jest upośledzona ani odrażająca dla mężczyzn.

Przekonanie o własnej ułomności kładło się cieniem na całym jej dotychczasowym życiu. Odkrycie, że się myliła, zaparło jej dosłownie dech. Jakże inaczej mogłyby potoczyć się jej losy, gdyby знаła prawdę!

Nadał istniały kwestie domagające się wyjaśnienia. Nie chodziło tylko o to, czemu Gilbert ją odrzucił.

Zerknęła na Jamesa.

- A więc... ostatnim razem?...

- To była wyłącznie moja wina. Gdybym wiedział, że jesteś dziewczicą, moja miła, byłbym o wiele delikatniejszy. A potem wściekałem się na siebie, nie na ciebie. Czułem gniew i wstyd, że tak brutalnie obszedłem się z tobą. Gdybym znał prawdę, nie sprawiłbym ci takiego bólu. Boli zresztą tylko za pierwszym razem. Potem...

- Potem jest po prostu cudownie!

Objęła go mocno i przytuliła głowę do jego ramienia. W mgnieniu oka stała się inną kobietą. Ubóstwiany mężczyzna uważał ją za piękną i godną pożądania. Miała teraz istotnie prawo do dumy; nie była ona już maską osłaniającą hańbę.

- Dziękuję ci, dziękuję, Jamesie! Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. Jak ja...

O mały włos nie powiedziała mu, że go kocha, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie знаła przecież jego uczuć. To, że jej pragnął, nie znaczyło jeszcze, że ją kochał! Okropnie by się wszystko poplątało, gdyby mu wyznała miłość, której by nie mógł odwzajemnić!

Pocałował ją w czubek głowy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, łaskawa pani! -Uwolnił się z jej objęć i siadł na łóżku. - A teraz, moja droga, mamy mnóstwo spraw do omówienia. Schowajmy się lepiej pod kołdrę, będzie nam cieplej!

Usadowili się wobec tego w łóżku, wsparci o poduszki i otuleni niemal po szyję. James pod kołdrą trzymał ją za rękę.

- Nie masz pojęcia, jaki jestem szczęśliwy, że chętnie wracasz do Pendurgan i że mimo fatalnego początku znalazłaś tam choć trochę szczęścia. Ale kiedy twoje małżeństwo zostanie już unieważnione, nie mam zamiaru pakować cię w kolejny skandal, namawiając, byś żyła ze mną w grzechu. A ostrzegam, że mam szczerzy zamiar spędzać większość nocy, kochając się z tobą! Pomyślałem więc, że będzie najlepiej... jeśli się pobierzemy.

Serce Verity fiknęło koziółka. Kolejny wstrząs... następnego chyba już by nie wytrzymała! Ale ten... ten jeszcze zniesie!

- ... pobierzemy?...

- Właśnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wydaje mi się to najlepszym rozwiązaniem. Nie uważasz?

Najlepszym rozwiązaniem?... No pewnie!

- Chyba tak - odparła trzymając swe uczucia na wodzy.

- Więc wyjdiesz za mnie, Verity?

- Tak, Jamesie. Wyjdę za ciebie. Objął ją i delikatnie pocałował.

- Dzięki, moja miła! Mam nadzieję, że nigdy tego nie pożałujesz. Nie zrobiłaś najlepszego interesu, wiesz?...

Nie zrobiła najlepszego interesu?! Po raz pierwszy w życiu miała przed sobą perspektywę normalnego małżeństwa, może nawet macierzyństwa... i to z człowiekiem, którego kochała! Zdaniem Verity był to najwspanialszy interes w świecie!

- Przede wszystkim, nie jestem już pierwszej młodości -wyznał. - Mam trzydzieści osiem lat, wiesz? O wiele za stary na męża takiej prześlicznej młodej istotki jak ty!

Verity uśmiechnęła się i uniósłszy rękę, dotknęła jego przyprószonych siwizną skroni.

- Wcale nie jesteś stary - oświadczyła. - Tylko zmarnowałeś zbyt wiele lat, wmawiając sobie, całkiem bez sensu, że jesteś mordercą.

- Nawet jeśli nie jestem mordercą, z pewnością nie mam wszystkich klepek w porządku. Nie panuję przecież nad sobą podczas ataków. Prawdę mówiąc, nie powinienem zmuszać cię, żebyś się wiązała z takim pomyłceniem!

- Nie jesteś żadnym pomyłceniem! - odparła - To nie choroba umysłu, tylko ducha! Wynikła z tego, że nie mogłeś spieszyć z pomocą swoim, kiedy jej potrzebowali. Ale złamanego ducha można uleczyć, Jamesie! Pomyśl tylko, jak bardzo mi dzisiaj pomogłeś! Udowodniłeś, że nie jestem upośledzona, przekonałeś, że mogę się podobać, i dzięki temu uwolniłeś mnie od brzemienia wstydu i poczucia winy, które dźwigałam przez te

wszystkie lata. Uleczyłeś mego ducha, Jamesie! Pozwól, że uczynię to samo dla ciebie!

Z jakimś zdławionym pomrukiem pochwycił ją w ramiona i z całej siły przytulił do piersi. Długo ją tak obejmował bez słowa.

- Dziękuję ci, Verity - powiedział w końcu. - Dziękuję za twoją wiarę we mnie. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żebyś nigdy nie pożałowała, żeś za mnie wyszła.

Zaczął ją całować, a pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne. I znowu się kochali, najpierw czule, potem z szaleńczym zapamiętaniem. W końcu Verity zasnęła w jego ramionach, przytulona do niego jak syte kociątko i równie jak ono kontenta.

Kiedy powóz Jamesa wjechał na długi zwirowany podjazd, słońce akurat zachodziło. Baron opuścił okno i zagapił się na swą zmienioną nie do poznania posiadłość. Pendurgan zmienił się w krainę z baśni. James nie wierzył własnym oczom.

Ze wszystkich stron widać było barwne namioty i pełne towarów kramy, a ludzie - dobry Boże, ileż tu było ludzi! - tłoczyli się po prostu wszędzie. Wszystko było doskonale widoczne dzięki jasno płonącym pochodniom. Nie, nie pochodniom! To było coś większego. Beczułki ze smołą. Niezapomniany widok!

- Moja droga Verity - powiedział James. - Przeszłaś samą siebie! Jestem kompletnie oszołomiony! To niesamowite!

- Prawda?

Jej uśmiech jaśniał silniejszym blaskiem niż ogień. Nie mogła wprost usiedzieć z podniecenia i dumy.



Zrobiła to dla niego! Pochwycił ją w ramiona i mocno przytulił. Miotają nim tak silne emocje, że nie zdołałby ich wyrazić żadnymi słowami. Obejmował więc tylko Verity i miał nadzieję, że go rozumie.

Kiedy powóz zbliżył się do zagajnika potężnych kasztanów, podniósł się wielki gwar wśród osób, które obsiadły stoły na trawniku przed frontowymi drzwiami. W jednej chwili wokół powozu stłoczyło się takie mnóstwo ludzi, że woźnica musiał zatrzymać konie.

- Witamy w domu!
- Ale festyn, milordzie!
- Lord Harkness wrócił!

Nick Tregonnis otworzył drzwiczki powozu i opuścił schodki. James rzucił płaszcz i cylinder na przeciwległą ławeczkę i wysiadł, po czym wyciągnął rękę do Verity, by pomóc jej wyjść z powozu. Dopiero potem stawiał czoło tłumowi mężczyzn i kobiet; każde z nich chciało uścisnąć mu dłoń. Ze wszystkich stron wyciągały się do niego ręce. Zack Muddle, Gerens Palk, Ezra Noone, Ned Trethowan, Dickie Nanpean, Tom Bedruthan i tylu innych, że trudno by ich było zliczyć. James obracał się we wszystkie strony, by odpowiedzieć na zaskakująco serdeczne powitania.

Potrząsano jego dłoń, klepano go po plecach i ciągnięto w sam środek festynowych atrakcji. James czuł się jak król na czele orszaku, otoczony tłumem wiernych poddanych. Dosłownie zapierało mu dech. Ci zacni ludzie, którzy tak go nienawidzili, gardzili nim i panicznie się go bali przez prawie siedem lat, teraz witali go jak powracającego bohatera. Stary Chytrus we własnej osobie wetknął mu w rękę kufel piwa domowej roboty. Potem zaś siwy piwowar uniósł rękę do góry, nakazując milczenie.

- Pije zdrowie naszego pana barona! - obwieścił. - Znowuj mamy, jak za dawnych czasów, galanty świętojański festyn! Ino jeszcze lepszy niż bywało. Zdrowie lorda Harknessa!

- Zdrowie lorda Harknessa! - wrzasnął jednym głosem cały tłum.

James razem ze wszystkimi wychylił swój kufel, rozkoszując się dobrym, krzepkim piwem. Potem z kolei on podniósł rękę i zapadła cisza.

- Chcę podziękować wszystkim za przybycie - powiedział. - Bardzo mi przykro, żeśmy się spóźnili, ale kiedy już tu jesteśmy, cieszy nas bardzo, że gościmy w Pendurgan aż tylu z was! Mam nadzieję, że tak już będzie co roku.

- Pewnie!

- A ino!

- A teraz pora na najważniejszy toast - oznajmił James, wypychając Verity przed siebie. - Zdrowie pani Osborne, która tyle się natrudziła, by nasz festyn się udał!

- Zdrowie naszej paniusi! - zakrzyknął znów zgodnie cały tłum.

Verity poczerwieniała z radości, a James uśmiechnął się do niej promiennie. Miał ochotę oznajmić tej wesołej ciżbie o swoich planach małżeńskich, ale doszedł do wniosku, że póki nie uzyskają unieważnienia, lepiej siedzieć cicho.

- Bawcie się dalej, proszę! A ja rozejrzę się dokoła. Jeszcze raz dziękuję wam za przybycie!

- Lecę na górę i przebiorę się - szepnęła do niego Verity - a potem się upewnię, czy wszystko idzie jak trzeba. Niebawem znowu się zobaczymy!

Rzuciła mu spojrzenie pełne tyłu obietnic, że omal nie stracił nad sobą kontroli.

Verity powitała się wylewnie z całą służbą, choć tym razem nie było wiele czasu na roniecie łez - radości, oczywiście! Okazało się, że jej armia spisała się wzorowo, nawet pod jej nieobecność, pod dowództwem pani Tregelly. Wieści o festynie rozeszły się daleko i szeroko; nic dziwnego, że mnóstwo wędrownych kramarzy, sprzedawców różnych błyskotek oraz rzemieślników zbiegło się do Pendurgan, by wystawić na straganach swoje towary. Zjawiła się nawet stara Cyganka, chętna do wróżenia.

Jago Chenhalls i George Pascow, mąż Kate, zorganizowali wyścigi, zawody dla postrzygaczy owiec, zapasy i różne inne konkurencje siłowe i zręcznościowe dla mężczyzn. Borra Nanpean i Annie Kempthorne przygotowały gry i zabawy dla dzieci. Ezra Noone, który grywał na skrzypkach, zebrał innych muzykantów i kiedy Verity zjawiła się na festynie, powitała ją skoczna muzyka.

Pani Chenhalls dowodziła zastępem okolicznych kucharek (włącznie z Mag Puddifoot z Gunnisloe i specjalistką od francuskiego pieczywa z Bodmin), które przygotowały wszystkie przysmaki. W przestronnej starej kuchni wrzała robota. Młode dziewczęta ustawicznie wpadały tu i wpadały, dźwigając tace pełne pysznych pasztecików, ciastek z szafranem i innych miejscowych smakołyków. Wszystko to trafiało na długie stoły na krzyżakach, ustawione na trawniku koło drzwi frontowych.

Wraz z trupą aktorów przybyli również żonglerzy, akrobaci i lalkarze ze swymi teatrzykami kukielkowymi. Tak więc na prowizorycznej scenie odbywały się nieustannie - od rana do nocy - jakieś przedstawienia.

Verity przyglądała się straganom i błądziła po ogrodowych alejkach. Ustawicznie ktoś ją pozdrawiał. Widać było, że jej obecność w Pendurgan jest dla wszystkich czymś oczywistym.

- Paniusiu Verity! - zawołał do niej Jacob Dunstan, kiedy mijala prowizoryczną knajpkę Starego Chytrusa. - Nie wi paniusia, gdzie się podział pan baron? Jakeśmy dostali od niego kartkie, żeby zamknąć na dziś Wheal Dunstan, tom był pewien, że zobaczą go na festynie. Ale chodzę, patrzę i ani widu, ani słyhu!

- Dopiero co wrócił do Pendurgan - odparła Verity. - Właśnie rozgląda się po wszystkim. Jestem pewna, że niedługo się spotkacie!

- Fajnie! - odparł Jacob. - Chętnie wypije jego zdrowie. Porządny z niego chłop! Ma się człek znów gdzie zabawić na świętego Jana!

- Z pewnością pan baron niedługo zajrzy do piwiarni, Jacobie! Na pewno będzie rad, że się dobrze bawicie!

- Jeszcze by nie! - odparł jej rozmówca. - To najfajniejsza zabawa w tych stronach od Bóg wie ilu lat!

Verity uśmiechnęła się do Jacoba i miała już odejść, gdy ujrzała znajomą postać siedzącą na beczce i wspartą łokciami o długą deskę na kozłach, która pełniła rolę szynkwasu w skleconym na prędcie „lokalu” Starego Chytrusa. Rufus Bargwanath! Co on tu robi, u licha?! Była pewna, że wyniósł się z tej okolicy dawno temu!

Łypnął na nią obleśnie i zmrużył, oko. Verity odwróciła się natychmiast i omal się nie przewróciła się o wyciągnięte nożyska Dunstana.

- Niech no paniusia uważa! - ostrzegł, podtrzymując ją szarmancko.

- Jacobie! - szepnęła Verity. - Co ten typ tu robi?! Ruchem głowy wskazała byłego rządcę.

- Bargwanath? A kto go ta wi? Pewnie znowuj ni ma pracy, to sie włóczy. A może przywłókl sie tu, coby namącić?... On do tego pirszy!

Niech się paniusia nie kłopotczy tym zgniłkiem! Już my z chłopakami będziemy mieli na niego oko!

- Dzięki, Jacobie!

Obejrzała się przez ramię; Bargwanath wyszczerzył do niej końskie zęby. Szybko ruszyła w stronę sceny. Aktorzy bawili właśnie hałaśliwy tłum jakąś rubaszną farsą. Po chwili znów ktoś do niej zawołał. Była to Gonetta, ogromnie podniecona.

- Zara będą rozpalać ognisko! - oznajmiła, nie kryjąc entuzjazmu. - Gdzie te pęczki ziół, cośmy je tak ładnie powięzwały, paniusiu?

- O Boże! - powiedziała ze skrucą Verity - Zostawiłam koszyk w kuchni. Chodźmy tam czym prędzej, trzeba rozdać bukieciki dziewczętom!

Ledwie mogła dotrzymać kroku Gonetcie, która dosłownie pędziła do domu. Odnalazły koszyk i trzymając go wspólnie, wspinały się na wzniesienie, na którym wznosił się imponujący stos polan i chrustu. Tłum zaczął się już zbierać dokoła, bo rozeszła się wieść, że ognisko lada chwila zapłonie.

Verity i Gonetta rozdały wszystkim młodym dziewczętom pęczuszki koniczyny, kurzego ziela, werbeny i wilżyny, związane barwnymi wstążeczkami. Zgodnie z lokalnym obyczajem każda dziewczyna, wrzucając bukiecik w płomień, miała pomyśleć o wybranym młodzieńcu - a wówczas z pewnością się w niej zakocha.

- Jeden sama się wzienam - zwierzyła się szeptem Gonetta. - Mam oko na Josha Trethowana!

Verity uśmiechnęła się. Ona też schowała ukradkiem pęczek ziół do kieszeni. Zamierzała również wymówić odpowiednie zaklęcie.

Była rada, że James nie przyłączył się do tłumu otaczającego stos. Byłaby wielka szkoda, gdyby ogień wywołał jeden z jego ataków i zepsuł pamiętną chwilę, gdy przyjęto go znów na łono miejscowej społeczności. Na szczęście, nieobecność barona nikogo jakoś nie zdziwiła. George Pascow, Nat Spruggins i Cheelie Craddick przytknęli płonące pochodnie do stosu drewna i podpalili go w kilku miejscach od dołu, potem zaś rzucili je na sam wierzch przy akompaniamencie gromkich oklasków i okrzyków. Płomienie szybko objęły cały stos i po chwili ogień strzelał już pod niebo.

Dziewczęta, chichocząc i piszcząc, zaczęły wrzucać do niego pęczki ziół i wkrótce młodzi ludzie zatoczyli taneczny krąg wokół ogniska. Kiedy nikt nie zwracał na nią uwagi, Verity także cisnęła swój bukiet w płomienie. Rozejrzała się ukradkiem i w blasku płomieni dostrzegła babcię Pascow, uśmiechającą się do niej. Stara kobieta zmrużyła oko, a Verity zrobiła niemądrą minę.

- Wielka szkoda, że James sam nie podpalił stosu! Verity odwróciła się na pięcie i spostrzegła, że stoi za nią

Agnes Bodinar. Widziały się po raz pierwszy od ich powrotu, ale starsza dama nie zdziwiła się na jej widok. Verity sądziła raczej, że Agnes pozostanie w domu, by demonstracyjnie zignorować festyn.

- Rozniecenie takiego wielkiego ognia byłoby akurat w jego guście - odezwała się znów pani Bodinar. - Nie uważasz?

W odpowiedzi na jej słowa Verity karcąco cmoknęła językiem.

- To niesmaczna uwaga! - stwierdziła. - Po tych wszystkich latach spędzonych pod jego dachem wie pani z pewnością, jak James reaguje na widok ognia.

- Wiem tylko, że ma obsesję na jego punkcie - odparła Agnes. -  
Gdziekolwiek by się paliło, zawsze można go znaleźć! Wielka szkoda, że  
stracił taką okazję!

Verity miała już dość jadowego języka Agnes.

- Jest pani odrażająca! - rzuciła jej w twarz. - Wiem, że straciła pani  
córkę, ale nie z winy Jamesa. Cóż on mógł na to poradzić...

- ... że jest mordercą? I podpalaczem?!

- Nie! Pani dobrze wie, co mam na myśli! Nie jest ani jednym, ani  
drugim! Najwyższy czas, by dała pani spokój tym podłym bredniom! On i  
tak zadręcza się z powodu ich śmierci. Kochał przecież Rowenę. I  
Trystana!

- Nigdy jej nie kochał! Ożenił się z nią tylko na złość Alanowi  
Poldrennanowi. Zawsze z nim rywalizował! Tłumaczyłam Rowenie i  
tłumaczyłam, żeby wyszła za Alana... Ale ona się uparła, że zostanie lady  
Harkness!

- Z pewnością się pani myli - przekonywała Verity. - James kochał  
Rowenę. Wiem, że tak było!

Prawdę mówiąc, Verity była zdania, że James kochał żonę aż za  
bardzo. No cóż... ona sama w niczym jej nie przypominała.

- Wydaje ci się, że tak dobrze go znasz. - odparła Agnes z  
szyderyczym uśmiechem - ale w gruncie rzeczy nic o nim nie wiesz!  
Zresztą, to już nie ma znaczenia! - Zmierzyła Verity dziwnie uważnym  
spojrzeniem. - Czeka nas niebawem wiele zmian, nieprawdaż?

Odeszła, zostawiając Verity w pomieszczeniu. Nie miała jednak czasu  
zastanawiać się nad słowami starej damy. Davey wpadł na nią z takim  
impetem, że omal jej nie zbił z nóg.

- Paniusiu! Możemy teraz iść do żrebacka?

- Na litość boską, Davey! Masz dokoła tyle atrakcji, a wybierasz się do kucyka?!

- Cały dzień z nim go nie widział! - odparł chłopczyk. - Tyle było zabawy! Ale wszystko już oglądałem. Teraz chce zobaczyć Osborne'a, zanim pójdzie spać!

Verity rozejrzała się, czy nie jest gdzieś potrzebna, ale wszystko wskazywało na to, że doskonale obejdnie się tu bez niej. Teraz, kiedy słońce całkiem już zaszło, zabawa dla dzieci zmierzała powoli ku końcowi. Dorośli jednak na pewno będą długo jeszcze popijać, śpiewać i tańczyć. Tak, spokojnie mogła poświęcić kilka minut Daveyowi!

Chłopiec wziął ją za rękę i pociągnął w stronę kramów, wybiegu dla bydła i placu zabaw. Całą drogę oświetlały umieszczone na tykach beczułki smoły. Wyglądały prześlicznie, a porozmieszczano je dosłownie wszędzie, aż po granice posiadłości.

Kiedy Verity i Davey opuścili najbardziej zatłoczoną, zastawioną kramami część dworskiego parku i skierowali się ku położonej na zachodzie starej stajni, żadne z nich nie zauważyło, że ktoś się skrada za nimi.



- Ale widok, co? - spytał Mark Penneck, omiatając wzrokiem dworski park, w którym odbywał się festyn. - Wygląda toto jak prawdziwy jarmark w Morvah czy gdzie tam!

- Zdumiewające! - przytaknął całkiem szczerze James.

Zdumiewający był nie tyle sam festyn, co jego skutki. Tutejsi ludzie byli nim zachwyceni i gotowi przywrócić Jamesa do swej społeczności za to, że urządził im takie święto. A wszystko to było zasługą Verity. James niczego więcej nie pragnął, jak odnaleźć ją i wyrazić dobitnie swoje uznanie, całując ją do utraty zmysłów.

- Gdzie się, u licha, podziała Verity?! Nie spotkałeś jej przypadkiem, Mark?

- Ostatni raz jakem ją widział, rozmawiała koło ogniska z panią Bodinar.

Z Agnes?... Naprawdę zdołała skłonić jego teściową do ukazania się na festynie?! James był pewien, że stara dama nawet nosa nie wyściubi z domu i będzie uparcie odmawiać udziału w tym wszystkim. Podziękował Markowi za informację i ruszył w stronę ogniska.

Kiedy się wspinał pod górę, ciągle go zatrzymywano. Musiał to uścisnąć komuś rękę, to znów zamienić parę słów. Verity przekonywała go, że jeśli zabawa będzie udana, jej uczestnicy z pewnością zachowają się grzecznie w stosunku do gospodarza. James wątpił jednak, by ta grzeczność trwała dłużej niż do rana.

Kiedy dotarł wreszcie na szczyt pagórka, obszedł dokoła wielkie ognisko, wpatrując się we wszystkie twarze. Nie odnalazł jednak tej jednej, na której mu zależało. Verity nie było tam.

Baron podszedł do Sama Kempthorne'a.

- Widziałeś gdzieś panią Osborne, Sam?

- A jakże, milordzie - odparł dzierzawca. - Widziałem, jak znowuj szła do straganów z tym małym od Chenhallsów!

Wobec tego James zszedł z górki, czując na plecach żar ogniska. I w tej właśnie chwili uświadomił sobie, że tym razem nawet się nie wzdrygnął na widok płomieni.

Krażył między straganami, wypatrując Verity, ale i tu jej nie znalazł. Dotarł do miejsca, gdzie odbywały się przedtem zawody w strzyżeniu owiec. Dostrzegł Toma Chenhallsa i kiwnął na niego.

- Widziałeś może panią Osborne, Tomas?

- Jakieś godzinę temu, milordzie.

- Psiakrew! Szukam jej po całym terenie... i jak kamień w wodę! Mówiono mi, że była z twoim braciszkiem.

- O, jak była z Daveyem, to ani chybi pošli do starej stajni.

- Do starej stajni?

- A ino. Tam gdzie trzymamy kuce z wrzosowiska. Davey upatrzył se tam żróbka i ciągiem do niego lata!

- Warto chyba sprawdzić - stwierdził James. - Że też jeden mały kucyk nie spowszedniał mu w porównaniu z tymi wszystkimi wspaniałościami!

- Może już dość tego, Davey? - spytała Verity. - Pora wracać na festyn, nie uważasz?

- Zara - odparł dzieciak i ani drgnął.

Verity chciała upewnić się, czy wszystko idzie gładko, czy nie zabrakło jadła, piwa i cydru, czy goście nadal dobrze się bawią. Krążyła więc niecierpliwie po stajni.

Był to długi, niski budynek z dwoma oddzielnymi skrzydłami po obu stronach otwartego głównego wejścia. Masywne wewnętrzne drzwi, wiodące do południowego skrzydła, zamknięte były na cztery spusty. Otwarte północne skrzydło służyło jako schronienie dla nielicznych w Pendurgan kuców. Oprócz małego Osborne'a była tam tylko jego mama i dwa inne zabawne stworzonka o niewielkich łebkach, miniaturowych uszach, grubych karkach i krótkich nóżkach. Verity przechadzała się po stajni, przyglądając się konikom, gdy usłyszała jakiś głuchy stuk. Potem dotarł do niej nagły prąd powietrza i zapach spalenizny. Odwróciła się błyskawicznie w tamtą stronę i dostrzegła najpierw dym, a potem płomienie liżące tylną ścianę, niedaleko boksu dla kuców. Boże święty!... W stajni wybuchł pożar!

- Davey! - krzyknęła Verity. - Pali się! Natychmiast stąd uciekaj!

Kuce głośno rżały. Verity udało się zapędzić dwa z nich do centralnej części stajni i popchnąć do głównego wyjścia. Klepnęła je mocno po zadach, by upewnić się, że wybiegną pędem. Zaraz potem zawróciła po klacz i jej źrebaczka. Płomienie dotarły już do stryszku nad północnym skrzydłem. Znajdujące się tam siano buchnęło ogniem.

Wielki Boże!

- Pomóż mi, Davey! Musimy stąd zabrać Osborne'a i jego mamusię!  
Pospiesz się!

Kaszłąc i dławiąc się dymem, z załzawionymi oczyma, Verity usiłowała wypłoszyć z boksu klacz i źrebię, które zezowały z przerażeniem na rozprzestrzeniające się coraz bardziej płomienie.

- Chodźże tu, Davey, chodź!

Kiedy jednak odwróciła się do chłopczyka, zobaczyła, że skamieniał z trwogi i stoi jak wryty w przeciwległym kącie. Płomienie otoczyły go ze wszystkich stron. Przerazone dziecko krzyknęło.

W następnej sekundzie, zanim jeszcze Verity zdążyła zrobić choć jeden krok w jego stronę, wielkie drzwi między ich skrzydłem a centralną częścią stajni zatrzasnęły się z hukiem. Innego wyjścia nie było.

Znaleźli się w śmiertelnej pułapce.

James wpatrywał się z przerażeniem w stajnię, która stała w płomieniach.

Jeszcze z daleka - dzięki otwartym drzwiom i oknom w głównej części budynku - dostrzegł Verity i Daveya we wnętrzu stajni. Uszczęśliwiony, że znalazł wreszcie ukochaną, przyspieszył kroku. I nagle stanął jak wryty na widok beczułki smoły, która spadła z tyki, podpalając po drodze ścianę stajni.

W pierwszej chwili dawne koszmary, przyczajone na progu świadomości, obezwładniły Jamesa. Wybuch... ogień... płonące budynki... zwęglone trupy... Rowena... Verity!

Próbował przemóc ogarniający go bezwład, ale demony nadal go dręczyły. Musi ją ratować! Musi ocalić Verity! Błagam Cię, Boże, nie pozwól, żeby to się znów powtórzyło! Verity!

Nadludzkim wysiłkiem przełamał zły czar. Ruszył ku stajni. Pragnął biec, ale starczyło mu sił ledwie na kilka powolnych kroków. W głowie

mu dudniło, wzrok się mgił, z każdym krokiem był coraz bliższy bezruchu, ciemności, śmierci... Verity... Verity!... Powtarzał jej imię jak litanie, jak modlitewne zaklęcie, zmuszając do posłuszeństwa najpierw jedną oporną nogę, potem drugą... Usunął z mózgu wszelkie inne myśli. Istniała tylko Verity. Nie było ognia, mroku, bólu... Tylko Verity!

Znowu mignęła mu w przelocie. Biegła na tyły stajni... z dała od wyjścia. „Nie! - miał ochotę wrzeszczeć - Nie, Boże, zaklinam Cię! Tam przecież nie ma drzwi! Biegnie prosto w ogień! Nie!!!”

Jeszcze jedna czarna sylwetka, odbijająca się wyraźnie na tle ognia. Ktoś przemknął przed frontem stajni i wśliznął się do środka głównym wejściem. Dzięki Ci, Boże! Ten ktoś ją ocali!... Tylko czy wie, że ona jest wewnątrz?...

Musi dotrzeć do Verity! Nie może jej teraz stracić! Zlituj się, Boże! Nie pozwól, bym raz jeszcze zawiódł!... Jeszcze jeden krok. Jeszcze jeden. Jeszcze. Dla Verity! Musi tego dokonać. Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden...

Dotarłszy wreszcie do głównego wejścia i ujrzawszy Alana Poldrennana w centralnej części stajni, James runął na kolana. Trząsł się, nie mógł złapać tchu, był bliski śmierci.

- Alan... Tam jest... Verity... - wykrztusił. Zaczerpnął głęboko powietrza, ale było tak pełne dymu, że tylko się rozkaszał.

Pulsowanie w głowie stało się nie do wytrzymania. - I... Davey Chenhalls... Szybko!... Pomóż mi... Wydostaniemy ich...

Z trudem stanął na nogi, zmagając się z ogarniającą go ciemnością. Ograniczała mu pole widzenia. Nie podda się jej! Nie może utracić Verity!

Alan odwrócił się i popatrzył na Jamesa jakimś dziwnym, niemal nieprzytomnym wzrokiem.

- Przykro mi, Harkness - powiedział z przerażającym spokojem - ale o tym nie ma mowy.

Podniósł ciężką drewnianą zasuwę i zatarasował wejście do północnego skrzydła. James spoglądał na niego, nie wierząc własnym oczom.

- Coś ty, Alan?... Co ty... wyrabiasz?! Szybko... odrygluj te drzwi! Tam jest Verity... i Davey!

- Wiem.

Alan Poldrennan uniósł pochodnię, którą trzymał w ręku -jak James do tej pory mógł tego nie zauważyć?... - i podpalił nią całe drzwi do północnego skrzydła. Z góry, od dołu i koło zasuw.

- Alan! Na miłość boską!...

Nie wiedzieć jakim cudem James odzyskał tyle sił, że rzucił się na przyjaciela. Ale Poldrennan powalił go jednym ciosem. Znow leżał na ziemi, plecami do ściany, a Poldrennan trzymał płonąca pochodnię tuż przy jego twarzy.

O Boże...

- Obawiam się, James, że biedna pani Osborne musi umrzeć.

Niesamowite ogniki pełgały w głębi oczu Poldrennana.

Przypominały ślepią wściekłego psa.

- Nie!

- Ależ tak! Pomagała ci zapomnieć! Agnes była nawet zdania, że się z nią ożenisz! Nie mogłem na to pozwolić, James! Nie zapłaciłeś jeszcze za śmierć Roweny. Mojej najdroższej Roweny!

Poldrennan wymachiwał płonąca pochodnią przed oczyma Jamesa. Drażnił się z nim. Ale ogień nie miał już nad

Jamesem takiej władzy jak niegdyś. Słowa Alana sprawiły, że osaczająca Jamesa ciemność rozproszyła się. Wiedział, że musi w jakiś sposób ocalić Verity od tego szaleńca!

- Śmierć Roweny była nieszczęśliwym przypadkiem - powiedział James. - Dobrze o tym wiesz!

- Oczywiście! - Głos Poldrennana stał się piskliwy i zawodzący. - To nie ona miała umrzeć, tylko ty, Jamesie! Nigdy nie byłeś jej godny. Tylko ja kochałem ją naprawdę. Ale ty, śmierdzący tchórz, pozwoliłeś, żeby zginęła zamiast ciebie! Słusznie wszyscy cię oskarżali o zabicie żony! A teraz uznają cię za mordercę Verity. Tylko tym razem zginiesz razem z nią. Ot, jeszcze jedna makabryczna historyjka z Kornwalii. O, nie, tym razem nie popełnię omyłki!

Wywijał pochodnią w tę i z powrotem. W tę i z powrotem. James czuł coraz silniejszy zawrót głowy i pewnie wpadłby w trans, gdyby nie żar ognia, który nie wiedzieć czemu pomagał mu zachować przytomność. Tak, żar ognia... i nagła, desperacka potrzeba wyrwania się spod władzy Poldrennana. Drzwi były już całkowicie objęte ogniem. Płomienie sięgały krokwi. Nie, tędy nikt nie przejdzie!

Verity!

- Patrz w ogień, James! Patrz w ogień. Wiesz przecież, co on do ciebie gada. - Pochodnia nadal kołysała się wahadłowym ruchem: tam i z powrotem, tam i z powrotem... - Patrz w ogień! Wiesz, jak on na ciebie działa. Patrz w ogień, patrz!

Dobry Boże, co począć?! Poldrennan trzyma go na uwięzi, a wkrótce cały budynek zostanie objęty pożarem i zawali się na nich wszystkich!

Verity!

- Patrz w ogień, James! Pozwól, niech cię ogarnie, zabierze cię tam... Słyszysz? To wrzeszczą twoi ludzie! Czujesz smród płonących żywcem ciał?... Patrz w ogień!

Nie! Musi odwołać się do resztki człowieczeństwa Alana. Nie wolno mu się poddać!

- Nie możemy pozwolić, by Verity zginęła, Alanie! Musimy ją ocalić. Pomóż mi!

- Nie! Ona musi zginąć. Pewnie już zginęła.

O Boże, nie! Czy piękna, słodka Verity naprawdę już nie żyje? Jedyna istota na świecie, jaką kochał? Jedyna istota, która przywróciła go do życia? Czy to możliwe, że ona już nie żyje?!

Jak łatwo byłoby poddać się znowu ciemności... pozwolić, by go wchłonęła! Jeśli Verity nie żyje, to on zapadnie się po prostu w mrok i nie będzie już bólu.

Ale ciemność nie przychodziła. Walczył z nią. Pokonał ją. Ustąpiła na zawsze. Nic mu nie złagodzi bólu po śmierci Verity. Ogarniał go teraz, coraz bardziej intensywny. Potężniał z każdym ruchem pochodni - w tę i z powrotem. W tę i z powrotem...

Nie! Verity nie mogła umrzeć! Przecież nawet jej nie powiedział, że ją kocha! Dobry Boże, nawet tego jej nie powiedział! I teraz nigdy się już nie dowie... Dlaczego jej nie powiedział?!

Ale Verity nie mogła umrzeć! Nie mogła!



- Ona nadal żyje, Alanie! Możemy ją jeszcze ocalić! Puść mnie, spróbuję ją stamtąd wydostać!

- Nie! Nie możesz jej ocalić. Za późno!

- A dziecko? Nic ci przecież nie zawiniło!

- Cóż wielkiego, przypadkowa ofiara! To się zdarza. Będzie z nim jak przedtem z Trystanem i z tym małym od Cleggów. To bez znaczenia! Patrz w ogień! Zaraz cię zagarnie.

- Ty ścierrrrrwooo!

Digory Clegg wpadł do stajni i zaskoczywszy całkowicie Poldrennana, zwałił go z nóg, tak iż ten runął bokiem prosto w płomienie. Pochodnia wypadła mu z ręki i wylądowała na nodze małego górnika. Nie zważając na języki ognia, liżące mu już nogawki spodni, Clegg wrzeszczał:

- Ty zabiłeś mego chłopaka! Ty zabiłeś mojego synka! Chwycił pochodnię i zaczął nią okładać płonącego, miotającego się, krzyczącego wniebogłosy Poldrennana.

W mgnieniu oka żywioł ogarnął obu mężczyzn, stali się jedną kulą ognia, jednym przesywającym, potępieńczym skowytym wśród nocy.

Dobrze znany odór spalenizny przyprawiał go o mdłości... ale James nie tracił czasu na rozpamiętywanie swych porażek. Wybiegł na zewnątrz i przekonał się, że Clegg nie był jedynym świadkiem wydarzeń w stajni. Przed wejściem zebrała się niewielka grupka przerażonych widzów, ale od północnego krańca dobiegały okrzyki innych mężczyzn. James rzucił się w ich kierunku.

Jago Chenhalls, Cheelie Craddock i Jacob Dunstan wywijali ciężkimi toporzyskami, próbując wyrąbać otwór w zewnętrznej ścianie. Inni

podawali sobie z rąk do rąk wiadra z wodą z rzeki, by zabić płomienie. Kiedy James tam dotarł, w ścianie powstała już pokaźna wyrwa. Wydobywały się z niej kłęby szarego dymu i bił taki żar, iż musiał przysłonić oczy.

- Nadal tam są? - wrzasnął, usiłując przekrzyczeć huk i trzask ognia.

- Verity, Davey?

- A juści! Może Bóg się zlituje! - odkrzyknął Cheelie. Jago nadal wywijał toporem. Zalane łzami oczy błyszczały dziko. Tam, we wnętrzu, był jego mały synek!

- Idę po nich! - oświadczył James i zdjął chustkę z szyi, by osłonić nią twarz.

- Nie, milordzie! Ja pójdę! - zaofiarował się Jacob Dunstan, obserwując go z wyraźnym niepokojem.

Nie zwracając na niego uwagi, James ruszył ku wyrwie. Tam w stajni była Verity! Sam ją wyniesie stamtąd, żywą czy umarłą. Zanurzył chustę w wiadrze, owinał nią twarz, resztą wody chlusnął na swój surdut i głową naprzód rzucił się w wyłom.

Brzegi wyrwy płonęły. Języki ognia zaczęły lizać Jamesa, a gęsta ściana dymu omal go nie zmusiła do cofnięcia się. Oczy mu łzawiły i tak piekły, że posuwał się prawie po omacku. Ledwie mógł oddychać. Zerwał moką chustę osłaniającą mu usta i zaczął wołać Verity po imieniu, raz po raz.

Szalejący żywioł zagłuszał jego wołania. James osłonił znowu twarz chustką. Verity nie mogła go usłyszeć, a on sam nie wiedział, dokąd idzie. Wyciągnął więc ręce jak ślepiec i po omacku przedzierał się przez dym.

Natknął się na ściankę jednego z boksów. Drewno było tak rozpalone, że oparzył sobie rękę. Zaklął. W tejże chwili drugą dłonią wyczuł coś miękkiego, poruszającego się, żywego...

- Verity?

Odpowiedział mu chrapliwy kaszel.

Był to najcudowniejszy dźwięk, jaki James kiedykolwiek słyszał.

Verity żyła!

Chwyił ją za suknię i przyciągnął do siebie. Tulila w objęciach przerażonego chłopca. James zdjął zupełnie już suchą chustkę i osłonił nią twarz Verity. Nałykała się zapewne tyle dymu, że niewiele to jej pomogło, ale zawsze chustka bardziej się przyda jej niż jemu.

Zdziwił się, czując przy sobie jeszcze jedno żywe ciało. Któryś z kuców. Cholera! Wymacał zad zwierzęcia i klepnął je mocno. Przerażony kucyk ani drgnął.

James pospiesznie ściągnął surdut i okręcił nim głowę zwierzęcia. Ruszył wreszcie w stronę wyrwy, obejmując Verity jednym ramieniem, a drugą ręką popychając kuca. Płomienie lizały im pięty, kłaki płonącego siana spadały z palącego się stryszku. Przez ten czas, gdy James błądził po wnętrzu stajni, udało się poszerzyć otwór, toteż wszyscy czworo, mężczyzna, kobieta, dziecko i kucyk, wyprysnęli z niego razem - niczym kula armatnia - na chłodne, nocne powietrze. James wyczuł raczej niż spostrzegł, że tuż za nimi wymknęło się coś jeszcze. Żrebaczek!

Verity złożyła Daveya w czyjeś ramiona, potem zaś padła na wilgotną trawę, wdychając pełną piersią zimne powietrze. Dostała napadu kaszlu i zanosła się nim. Gardło straszliwie ją bolało, wstrząsały nią dreszcze.

Leżała zwinięta w kłębek, dotykając głową kolan. Sporo czasu upłynęło, nim zdołała wreszcie zaczerpnąć powietrza bez krztuszenia się. Ale nawet wówczas nie mogła się podnieść. Jak przez mgłę słyszała histeryczny głos Agnes Bodinar... Czyżby starsza pani płakała?... „Przepraszam, przepraszam...” - powtarzała raz po raz. Verity zaciekawiła się przelotnie: do kogo Agnes to mówi i za co tak przeprasza?... Ale w tej chwili nie była zdolna do żadnego wysiłku myślowego. Ludzie dokoła niej wrzeszczeli i biegali, ale ona mogła tylko leżeć i raz jeszcze przeżywać pożar. Płomienie. Żar. Dym... Przeróżliwe krzyki Daveya. I własny strach, że zaraz skóra zacznie jej skwierczeć... Płonąca belka, która runęła, sypiąc deszczem iskier na jej włosy. Zablokowane drzwi... Piekące boleśnie oczy. Brak powietrza i coraz silniejszy zawrót głowy. Okropna pewność, że zaraz umrze.

Zaczęła dygotać i nie mogła się uspokoić.

Nim pojęła, co się z nią dzieje, już ją objęły mocne ramiona, a znany, drogi głos powtarzał pieszczotliwie jej imię.

James!

Próbowała mu odpowiedzieć, ale z ust jej wydobywał się tylko ochrypły, niezrozumiały szept. James przyciskał ją do siebie tak mocno, że aż bolało. Ale Verity nic to nie szkodziło. Tak się bała, że umrze i już nie zobaczy Jamesa! Mógł ją nawet posiniaczyć, byle jej już nigdy nie puszczał.

Przez długą chwilę myślała, że naprawdę nigdy jej nie wypuści z objęć. W końcu jednak odsunął się nieco i mogła mu się przyjrzeć. Łzy pozostawiły jaśniejsze bruzdy na czarnej od sadzy twarzy.

- Myślałem, że cię stracę - powiedział głosem ochrypłym od dymu i wzruszenia. - O Boże, Verity! Myślałem, że cię stracę!

Przełknęła z trudem ślinę i znowu spróbowała się odezwać.

- Nigdy! - zdołała powiedzieć, choć głos miała bardzo słaby. Raz jeszcze przełknęła ślinę. - Nigdy się... mnie nie pozbędziesz - szepnęła.

- Cudownie! - odparł i przesunął delikatnie palcami po jej twarzy i szyi. - Widzisz... jeszcze ci nie powiedziałem, że cię kocham... Mało serce mi nie pękło, kiedy myślałem, że umrzesz... i nie dowiesz się o tym!

Serce wezbrało jej radością.

- Kochasz mnie? Zabrzmiało to jak pisk myszy.

- Nad życie - odparł i pocałował ją czule, nie zważając na kręcących się w pobliżu ludzi, którzy z pewnością ich obserwowali.

Ich pocałunek miał smak dymu i sadzy. Oboje roześmiali się, kiedy się skończył i kiedy każde z nich zaczęło popluwać popiołem. James wyciągnął chusteczkę z kieszeni kamizelki. Otarł najpierw twarz Verity, potem swoją. Kiedy uporał się z tym, Iniana szmatka była czarna. Odrzucił ją i znów chwycił Verity w ramiona. Przez długi czas tulił ją do siebie bez słowa.

- Ja też cię kocham.

- Verity!

- I to od dawna, tylko się bałam przyznać.

- A ja tobie! - zaśmiał się. - Ależ z nas para idiotów! - Ucałował ją znowu.

Spoglądała mu w oczy, napawała się jego widokiem, cudem jego bliskości... i nagle dotarło do niej, co się właściwie wydarzyło.

- Ocaliłeś nas, Jamesie! Byliśmy uwięzieni w płonącej stajni, a ty ocaliłeś nas!

W jego oczach zamajaczył ból.

- Wbiegłeś do płonącego budynku, żeby nas ocalić! Do płonącego budynku!

- No cóż, wbiegłem... - Spojrzał na usmolone, przesiąknięte dymem ubranie. - I w gruncie rzeczy nic mi się nie stało. Ale co z tobą? - Dotknął palcem jej lewej skroni. - Osmaliłaś sobie brwi, wiesz?

- Naprawdę? - Uniosła dłoń do twarzy i poczuła pod palcami opalone włoski. Ale zbyła to machnięciem ręki. - Czy ty w ogóle rozumiesz, co się wydarzyło, Jamesie?! Skoczyłeś w ogień! Nie stanąłeś jak wryty, nie straciłeś przytomności... Wydarłeś mnie z ognia, Jamesie!

Nie wiedzieć czemu był smutny. A myślała, że będzie tańczył z radości! Coś się stało... tylko co?

- Chyba otrząsnąłem się wreszcie z moich koszmarów - powiedział poważnym tonem. - Ale drogo musiałem za to zapłacić.

- Opowiedz mi o tym!

Opowiedział najzwięźlejszym jak potrafił.

- Uważałem go za mojego najserdeczniejszego przyjaciela... oprócz ciebie, oczywiście! - powiedział. - A tymczasem to on zabił moją żonę i synka, i Billy'ego Clegga! I to z nienawiści do mnie, bo ożeniłem się z kobietą, którą kochał. - James westchnął ciężko. - Wszystko, w co wierzyłem, okazało się kłamstwem. Wierzyłem, że mam przyjaciela. Wierzyłem, że to ja jestem mordercą.

Potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób uporządkować myśli. Potem spojrzął na Verity. Przyglądał się uważnie jej popalonej i

poszarpanej odzieży. Dotknął nagiego ramienia przez dziurę w oderwanym rękawie.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Że nic ci się nie stało?...

- Gardło mnie pobolewa i osmaliłam sobie brwi. Nic więcej. Serce mnie boli na myśl o twoim... przyjacielu, ale nie potrafię być teraz nieszczęśliwa. Oboje przeżyliśmy tę noc, wyszliśmy cało. I zamiast nadziei mam już pewność, że mnie kochasz. A ty pokonałeś swoje lęki i odzyskałeś dobre imię. Mimo całej tej tragedii mamy za co dziękować Bogu!

- Jednak w naszym triumfie jest wiele goryczy - zauważył James. - Odzyskałem dobre imię, lecz przekonałem się o zdradzie Alana i widziałem jego straszną śmierć... Ale naprawdę ważne jest tylko jedno: zawsze we mnie wierzyłaś, choć wszyscy inni uważali mnie za winowajcę. Nawet ja sam! Za to będę cię zawsze uwielbiał. Verity, najdroższa moja, co ja bym począł bez ciebie?! Pozwól, że raz jeszcze, w obecności wszystkich naszych przyjaciół, którzy teraz udają, że wcale się nami nie interesują, zapytam cię... dla samej przyjemności usłyszenia twojej odpowiedzi. Wyjdiesz za mnie?

- To dla mnie wielki honor, Jamesie! Ach, jakaż ja będę dumna i szczęśliwa, kiedy zostanę twoją żoną!... No i w jakiś sposób odpracuję te dwieście funtów!

Thum zaczął wiwatować, a James znów pochwycił Verity w ramiona.

## Epilog

Kiedy przyszedł po nią, była już gotowa.

Verity poprosiła Jamesa, by sprowadził ją uroczyście na śniadanie. Chciała być przy nim, widzieć jego zdumienie, gdy ujrzy niespodziankę, czekającą na nich w wielkim hallu.

Ubrała się w nową suknię z wzorzystej jedwabnej tafty, wykończoną u dołu haftem i francuską koronką. Rękawy były szerokie i długie, ozdobione również haftem na przegubach. Opadający kołnier, obrzeżony francuską koronką, pozwalał dostrzec uroki wyciętego w szpic dekoltu. Na szyi miała Verity złoty krzyżyk na łańcuszku, należący niegdyś do jej matki.

Nie włożyła czepeczka, jako że znowu, choć na krótko, wróciła do stanu wolnego.

James cofnął się o krok i spojrzał na nią z zachwytem.

- Jakaś ty piękna, kochanie moje! Czy to nowa suknia?

- Tak! - Verity okręciła się dokoła, by mógł dokładnie obejrzeć jej toaletę. - Kosztowała majątek... Mam nadzieję, że się nie gniewasz? Chciałam dziś wyglądać wyjątkowo ładnie.

Ujął jej twarz w dłonie i ucałował ją.

- Czemuż miałbym się gniewać? Twój pierwszy ślub był niezbyt udany. Mam nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Prześliczna z ciebie panna młoda!

On też prezentował się wspaniale. Miał na sobie błękitny frak z ząbkowanym kołnierzem i szerokimi wyłogami oraz popielate spodnie do kostek. Elegant w każdym calu!



- Och, Jamesie, jestem taka podniecona!

- Ja też, najmilsza. Czekaliśmy na ten dzień wiele długich miesięcy.

Niemal już zwątpiłem, czy twoje małżeństwo zostanie kiedyś unieważnione... ale na szczęście je anulowano i jesteś wreszcie wolna! A może się rozmyśliłaś i zamiast wyjść za mnie wolisz się nacieszyć wolnością, co?

Uśmiechał się od ucha do ucha, dobrze wiedząc, że ani jej to w głowie.

- Wolność jakoś do mnie nie pasuje - odparła. - Mimo wszystko wolę stan małżeński.

- Doskonale! Wobec tego zejdźmy na śniadanie. Wielebny Chigwiddon pewnie już się zjawił.

I nie tylko on! pomyślała Verity i uśmiechnęła się w duchu. James podał jej ramię i sprowadził ją po schodach do wielkiego hallu, gdzie stanął jak wryty.

- Co u licha?!

W starym hallu pełno było ludzi: farmerów, górników, mieszkańców St. Perran's oraz ich żon. Wszyscy wystroili się jak nigdy! W sali ustawiono w podkowę trzy długie stoły, nakryte do śniadania. W samym środku, na honorowym miejscu, stało imponujące siedemnastowieczne krzesło - uświęcony tradycją „tron” dziedzica Pendurgan.

James osłupiał. Verity wskrzesiła jeszcze jeden stary obyczaj. Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Całkiem zapomniałem! - wyznał. - Doroczne śniadanie dla dzierżawców, nieprawdaż?

- Właśnie! Jak zawsze w dniu świętego Perrana.

- I jak zawsze pełno na nim farmerów z mętym wzrokiem, którzy zbyt hucznie obchodzili wigilię swego patrona! - Uścisnął ją za ramię. - Ale nic nie szkodzi! Wspaniała tradycja, zbyt długo zapomniana. Dziękuję ci, kochanie!

Zmierzając na swoje miejsce, James zatrzymywał się co chwila, by pogawędzić z każdym farmerem, z każdym górnikiem i z każdą z kobiet. Wszystko to przecież jego ludzie - mieszkali i pracowali w Pendurgan. Od dawna było zwyczajem dziedzica urządzenie dla nich raz do roku wystawnego śniadania w podzięce za ich wydajną pracę na pendurgańskiej ziemi. Od śmierci jego ojca zaniechano podobnych uroczystości, ale James był pewien, że i ta stara tradycja odżyje.

Odnalazł wreszcie wielebnego Chigwiddona i odciągnął go na bok. Wspólnie pożartowali sobie z zamieszania, jakie wywołał James swym listem wzywającym proboszcza do Pendurgan, gdzie i tak miał się stawić na owo uroczyste śniadanie! James podał pastorowi indult\* i oświadczył, że oboje z Verity bardzo pragną wziąć ślub właśnie tutaj, tego ranka, w obecności wszystkich dzierżawców. Proboszcz chętnie na to przystał z zastrzeżeniem, że po śniadaniu nowożeńcy udadzą się z nim do St. Perran's, by złożyć swe podpisy w parafialnym rejestrze, jak nakazuje prawo.

- Proszę wierzyć, wielebny pastarze, że wiem już więcej o prawie małżeńskim, niż bym tego pragnął! - odparł baron. - Z pewnością nie pozwolę sobie na najmniejszą pomyłkę. Wszystko w rejestrze zostanie podpisane jak należy. Sprowadzę także dwóch świadków, gdyż wiem, że i tego prawo się domaga.

James dał znak Verity, która rozmawiała właśnie z Borrą Nanpean. Natychmiast podeszła do narzeczonego. Wziął wówczas do ręki puchar i postukał weń ostrzem noża. Przypominające uderzenia dzwonu dźwięki sprawiły, że zapadła cisza.

- Drodzy przyjaciele! - zaczął James i głos omal mu się nie załamał.

Tak długo żył w samotności, bez życzliwej duszy. Wierzył tylko w przyjaźń Alana Poldrennana, który - jak się okazało - wcale nie był jego przyjacielem. Ale od tamtej pamiętnej świętojańskiej nocy zgromadzeni tu ludzie stali się naprawdę jego przyjaciółmi. Jeszcze jeden z jego „pewników” okazał się nieprawdą.

- Zanim przystąpimy do uczty - mówił dalej James - chciałbym was o coś prosić. Jak niektórzy z was, a podejrzewam, że wszyscy, dobrze wiedzą, panna (wypowiedział to słowo tak niewyraźnie, że zabrzmiało niemal jak „paniusia”) Verity Osborne zgodziła się zostać moją żoną.

Pozwolenie na udzielenie ślubu „od ręki”, bez zapowiedzi itp.

W całej sali zagrzmiały okrzyki i wiwaty. Zebrani najwidoczniej już od wczorajszego wieczora opijali tę „niespodziankę”.

James gestem ręki nakazał znów ciszę.

- Wielebny proboszcz zgodził się udzielić nam ślubu dzisiejszego ranka w tej pięknej starej sali. Byłbym zaszczycony, gdybyście wszyscy zechcieli być świadkami tej ceremonii... a potem wzięli udział w weselnej uczcie.

Kolejne wiwaty wstrząsnęły wielkim hallem, ale podczas krótkiej ceremonii tłum zachowywał dostojną ciszę. Wielebny pastor wygłaszał wszystkie uświęcone formułki z pamięci, ponieważ nie miał przy sobie modlitewnika. Po złożeniu przysięgi małżeńskiej i wsunięciu na palec

oblubienicy pięknej, zdobnej szafirami obrączki, James zaskoczył zebranych, chwytając Verity w objęcia i całując z całego serca. Znow stary hall zatrzęsł się od grzmiących wiwatów.

Kiedy wreszcie wszyscy zasiedli do uczy, James podniósł się ze swego miejsca obok żony.

- Przez ostatnich kilka lat było w tym starym domu wiele smutków i tragedii - zaczął. - To jedyna tradycja, której nie zamierzam podtrzymywać. Kochałem w moim życiu dwie kobiety. Pierwszą zabrał mi ogień... - Popatrzył na Agnes, która siedziała po jego drugiej stronie, i delikatnie dotknął ramienia teściowej. - Drugiej omal nie straciłem w ten sam sposób. - Powiódł leciutko palcem po osmalonych w pożarze brwiach Verity, które nie całkiem jeszcze odrosły. - Jednak dawne złe dni już minęły. Rodzina Harknessów wiele wycierpiała od ognia... ale zła klątwa została unicestwiona przez miłość cudownej kobiety... i to, wyobraźcie sobie, nawet nie Kornwalijki!

Zebrani gruchnęli śmiechem, a James mówił dalej.

- Niechże to będzie początkiem nowego życia w Pendurgan! Mam nadzieję, że ten stary dom zaroi się niebawem od dzieci, zrodzonych z miłości, której triumf dziś świętujemy. A teraz ucztujmy w przyjaźni, onen hag oll, wszyscy co do jednego!

Usiadłszy znow na swoim miejscu, James podniósł rękę żony do ust.

- Dziękuję ci, moja królowo, za to, że uleczyłaś mego ducha, i za to, że przywróciłaś mnie do życia, bym mógł pracować dla tej ziemi i dla tych ludzi. I właśnie dlatego (tu wyjął z kieszeni jakiś dokument i podał go Verity z głębokim ukłonem) zamierzam oprawić w ramy ten akt

sprzedaży. Niech zawiśnie na honorowym miejscu w wielkim hallu. Był to z pewnością najwspanialszy interes, jaki ubito kiedykolwiek w Kornwalii!

Lord i lady Harkness z uśmiechem spojrzeli sobie w oczy, a potem zwrócili się do gości, by wraz z nimi świętować pierwszy dzień nowego, wspólnego życia.

RS